

◆ *A.R. Reystone* ◆



WIETRZNE KATEDRY
Tom 2

NASZA KSIĘGARNIA

◆ *A.R. Reystone* ◆



WIETRZNE KATEDRY
Tom 2

NASZA KSIĘGARNIA

WIETRZNE KATEDRY Tom 2

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

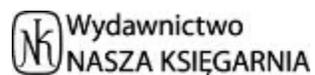
Zajrzyj na strony:

III. COGNOSCETIS VERITATEM, ET VERITAS LIBERABIT VOS

Strona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Ciceron zerknął spode łba na elfa.

– Zanim przejdziemy do omawiania naszej współpracy, zechciej porozmawiać ze mną w cztery oczy.

Evander założył ręce do tyłu, przyjrzał mu się zdumiony. A może bardziej zaniepokojony?

– Chciałbym, PANIE – podjął opat pokornym tonem – żeby między nami nie było tajemnic, bo tylko tak będziemy w stanie w pełni sobie zaufać.

Teraz elf zmarszczył brwi. Słowa mnicha go zaniepokoiły. Przyjrzał się pozostałym; mieli nieprzeniknione twarze. Skinął głową, dłonią wskazał jedną z sof na końcu nawy głównej. Zanim ku niej ruszyli, Ciceron syknął w stronę Tancmistrza i Desire:

– Cokolwiek się wydarzy, zabraniam wam ingerować. Zrozumiano?!

Tancmistrz sapnął zaskoczony, zacisnął szczęki, spojrział na Desire. Tamten zaklął.

– O co chodzi? – odezwał się Richard.

– A jak sądzisz? – wycedził płowowłosy mnich.

– Nie mogę i nie będę na to patrzeć – mruknął Desire i ruszył ku zakrystii.

– Na co?! – nie wytrzymał Dee, choć miny zakonników zdawały się mówić wszystko.

Tancmistrz spojrział na niego martwym wzrokiem.

– Za chwilę Evander pozna faceta, który uważa się za mordercę wszystkich elfów.

Dee złapał się za głowę.

– Na Onyksową! Co mu odbiło?! Trzeba to powstrzymać!

Nie wymówił imienia, a jednak wszyscy doskonale wiedzieli, kogo ma na myśli.

– No przecież ten elf go zabije!

– Słyszałeś! – warknął zakonnik. – Mamy się nie wtrącać! Decyzja Cicerona. Uszanuj ją!

Ukląkł, zaczął zbierać drobiazgi z podłogi i upychać je na powrót w kieszonkach paska. Ruchy miał nerwowe, szczęki zaciśnięte, wzrok skupiony na własnych dłoniach. Z najwyższym trudem panował nad emocjami. Najchętniej pobiegłby na pomoc opatowi.

– Za chwilę znowu rozpęta się piekło, a ty mu nie pomożesz?! Nie pomożesz Ciceronowi?! – warknął Richard.

Niedowierzanie i oburzenie walczyły o pierwszeństwo na jego twarzy. W końcu skrzywił się z niesmakiem.

Tancmistrz nie odpowiedział, choć słowa Richarda wyraźnie wyprowadziły go z równowagi.

– Skoro tak traktujesz swoich przyjaciół, to cieszę się, że nie jestem jednym z ich! – rzucił jeszcze Dee.

Nie oglądając się na mnicha, ruszył w ślad za Evanderem.

– Szlag by trafił! – Tancmistrz cisnął pas na ziemię, palcami przeczesał włosy. – Desire!

Ciemnowłosy zakonnik zatrzymał się w drzwiach zakrystii i obejrzał się przez ramię. Zobaczył Richarda idącego nawą główną i wściekłego Tancmistrza. Natychmiast domyślił się, o co chodzi. Zaklął i zawrócił.

Tymczasem opat i elf dotarli przez gąszcz klepsydr, aulosów i trybularzy do końca nawy głównej. Evander skinieniem oczyścił sofę z pozostałości jakiejś klepsydry. Gestem zaprosił, by usiedli.

– Heeej! – wrzasnął Richard.

Zaczął gwałtownie gestykulować, by zwrócić ich uwagę, i udało mu się: ujrzał konsternację na twarzy Evandera oraz gniew opata. Przyspieszył kroku.

– Evander, nie słuchaj go! To, co zamierza powiedzieć, to stek bzdur i...

Ale jego krzyk skutecznie zagłuszyły odgłosy nasilającej się na zewnątrz burzy oraz... barykada z artefaktów, którą Ciceron błyskawicznie postawił w poprzek kościółka. Na jeden jego gest klepsydry, trybularze i aulosy zaczęły lgnąć ku sobie i budować mur podparty sofami oraz pobliskimi szafami. Konstrukcję tę opat wzmocnił zaklęciem dźwiękoszczelności.

Richard rozpędził się i z wrzaskiem uderzył barkiem w zaporę, ale nie zdołał jej przewrócić.

Nadbiegli Tancmistrz z Desire.

– *Terminatus!* – krzyknęli zgodnie. Artefakt za artefaktem, wszystkie zaczęły wracać na swoje miejsca, ale Ciceron nie poddał się tak łatwo: za sprawą jego zaklęć powstał kolejny mur. Evander obserwował to wszystko z boku ze skrzyżowanymi ramionami i wyrazem skrajnego zdumienia na twarzy.

Opat w końcu zrozumiał, że w ten sposób nie wygra tej bitwy. Wyciągnął dłoń. Trzykrotnie powtórzone *Mortua* poparte zaklęciem *Silentium* pozbawiło całą trójkę głosu, na dodatek unieruchamiając ją skutecznie: w ogromnej wyrwie z magicznych artefaktów tkwiło w różnych cudacznych pozach trzech wściekłych i bezradnych mężczyzn.

– Tak lepiej – mruknął zasapany Ciceron. – Doprawdy, wasza niesubordynacja bywa wysoce irytująca.

Uspokoił oddech. Westchnął. Podniósł oczy na Evandera.

– Wybacz, panie – szepnął. – Czasem trzeba poskromić przyjaciół, zwłaszcza tak lojalnych – dodał, wskazując mężczyzn – gdy w dobrej wierze próbują nie dopuścić do zrobienia tego, co słuszne. Wyznania win.

Elf patrzył na swoich gości w milczeniu.

– Za chwilę osądzisz starego człowieka – odezwał się znów opat. – Jakikolwiek będzie twój wyrok, przyjmę go z szacunkiem. Im jednak daruj, że chcieli ratować mi życie. Proszę tylko, byś nadal chciał z nimi współpracować, bo sprawa jest wielkiej wagi. A was – zwrócił się do uwięzionych przyjaciół – zobowiązuję do tej współpracy.

Evander zmarszczył brwi. Wskazał dłonią sofę. Teraz był już bardzo poważny. Rozsiadł się wygodnie w rogu kanapy, założył nogę na nogę i ponownie skrzyżował ramiona.

– No to słucham – mruknął.

Opat przycupnął na drugim końcu sofy, dłonie złożone jak do modlitwy wsparł o kolana. Rozejrzał się po kościółku, jak gdyby w jego kojącej atmosferze szukał podpowiedzi, jak rozpocząć i poprowadzić tę rozmowę. Milczał, a elf cierpliwie czekał.

Ciceron zerknął na Tancmistrza i pozostałych mężczyzn. Wydawali się przerażeni, lecz milczeli. Opat skrzywił się, westchnął, opuścił głowę. Wzrok utkwiał w kamiennych płytach podłogi i cichym głosem zaczął znaną Richardowi opowieść.

Nie widział miny Evandera. Ujrzeni ją za to skrępowani czarami mężczyźni. Młody elf najpierw zdawał się zaintrygowany informacjami o pracy Cicerona w laboratoriach. Założył włosy za ucho i słuchał z uwagą. Ale z każdą chwilą niedowierzanie na jego pięknej twarzy mieszało się z coraz większym szokiem, gniewem... obrzydzeniem. W końcu opat doszedł w swej opowieści do momentu stypy w Palatium, w czasie której dowiedział się o spisku. Z załzawionymi oczami zsunął się z kanapy. Kolana uderzyły o podłogę. Jeszcze niżej pochylił głowę.

– Wybacz – szepnął niemal bezgłośnie.

Jednak w tym momencie wzburzony elf zerwał się na równe nogi. Doskoczył do staruszka. Wrzasnął. Magiczne latarenki rozświetlające wnętrze kościółka milionem błysków odbiły lśnienie z klingi miecza, który nagle pojawił się w ręku Evandera.

Dee z Tancmistrem zamknęli oczy. Tylko Desire patrzył, a po twarzy płynęły mu łzy.

Opat ani drgnął. Dłonie elfa mocno chwyciły rękojeść, usta zacisnęły się z pogardą, ostrze świsnęło... Sekundę przed rozplątaniem staruszkowi gardła zmieniło kierunek uderzenia i z impetem wbiło się w tapicerkę sofy. A potem jeszcze raz i znowu.

Dopiero gdy wykwinnty materiał zmienił się w strzępy, spod których zaczęło wyzierać drewno stelaża, Evander zdołał okiełznać emocje. Gestem przywołał łańcuszki trybularza leżącego opodal. Kolejne zaklęcie przemieniło je w linę, a ta okręciła się wokół ramion Cicerona. Inny jej fragment skrępował stopy staruszka, po czym silne szarpnięcie wyniosło go ku górze. Opat zawisł teraz głową na wysokości twarzy elfa i nogami nieco wyżej.

Koniuszkiem klingi Evander zmusił Cicerona do uniesienia brody. Spojrzeli sobie w oczy. Bładowodniste tęczówki opata przypominały naczynie po brzegi wypełnione żalem. Te drugie, szafirowe, nakrapiane srebrem – nocne niebo usiane gwiazdami. Biły z nich pogarda i obrzydzenie. Tych dwóch rzeczy elf nie zdołałby okazać bardziej niż tym jednym spojrzeniem.

– Dalej, starcze – wycedził. – Podaj mi jeden argument, dla którego mimo wszystko powinienes żyć ty i twoi współnicy.

Opat oddychał ciężko, ale nie zrobił nic, by się bronić. Mokra od łez twarz ciągle zwrócona była ku elfowi. Powoli odetchnął jak człek, który nareszcie pozbył się ogromnego ciężaru.

– Z wyjątkiem żalu nie mam żadnego argumentu. Od tak dawna jestem gotów ponieść karę. Do Wietrznych Katedr dotrzecie beze mnie. Proszę jedynie, byś w drogę do Dzielnicy Elfów wziął z sobą tych mężczyzn. Życie poświęcili na ratowanie magicznych istot, znają sprawę jak nikt i wspomogą, bo to jedyna rzecz, jaką potrafią i jaką robią na co dzień. Jestem gotów...

Evander wykrzywił usta. Chciał coś powiedzieć, lecz jego uwagę odwróciło nagle uderzenie wiatru o wrota świątyni. Spojrzał w tamtym kierunku i zamarł.

Opuścił klingę, palce mocniej zacisnął na rękojeści miecza. Zmarszczył brwi. Czekał. I tylko oczy uważnie badały otoczenie. Mężczyźni spoglądali to na elfa, to na drzwi kościółka, przez które – zdało się – cała natura miała zamiar wedrzeć się do środka.

Burza przybierała na sile. Wiatr łomotał, wył, zawodził. Skoble, zawiasy, zamki, wszystko, co metalowe, tarabaniło, robiąc ogromny hałas i wywołując ciarki na plecach. Przez okna ujrzeli błyskawicę. A potem następną i jeszcze jedną. Wyglądały tak surrealistycznie. Niczym pociski rzucające w bitwie przez jakichś wściekłych gromowładnych bogów. Pioruny musiały uderzać gdzieś bardzo blisko i z ogromną mocą, bo mężczyznom zdało się, że przy każdym huku posadzka kościółka zaczyna drżeć i wibrować.

Evander szybkim spojrzeniem omiótł świątynię, meble, artefakty. Cisnął miecz na podłogę, a ten natychmiast zniknął. Elf nie zwrócił na to uwagi ani na zaintrygowane spojrzenia swych gości. Gestem utorował sobie drogę w oceanie bibelotów i szybko przemierzył wnętrze kościółka. Rozglądał się przy tym, jakby czegoś szukając.

Kanonada piorunów trwała nieprzerwanie. Pył trujących kwiatów i liany wciąż walały się na podłodze i meblach, ale to nie one były celem inspekcji Evandera. Po kilku minutach nerwowych poszukiwań, gdy nawałnica niemal zaczęła wdzierać się do wnętrza, elf wrócił do mnichów. Piękną twarz wykrzywił gniew. Stał przed Desire i Tancmistrzem. Spojrzał na nich groźnie, ale też jakby... ze strachem? Uniósł szczątki jakiejś klepsydry.

– Który z was to rozwalil?!

Milczeli, wciąż spętani zaklęciami. Jednym gestem elf uwolnił całą trójkę oraz Cicerona.

– Zapytam jeszcze raz – wycedził. – Który z was był takim głupcem, by z całej masy klepsydr zniszczyć właśnie tę jedną należącą do Mairin, elfki i pani tego domu?!

Zakonnicy spojrzeli po sobie.

– Jeśli to była twoja krewna... – bąknął Desire.

– Krewna? Krewna?! – spienił się Evander. – Cierpicie na jakiś defekt mózgu? Jesteście jedynymi przedstawicielami ludzkości o inteligencji ziemniaka czy cały wasz gatunek jest tak upośledzony?

Tancmistrz z Ciceronem i Richardem przezornie milczeli. Tylko Desire mruknął urażony:

– Mamy domieszkę elfiej krwi, gwoli ścisłości.

– Elfiej?! – wrzasnął Evander. – Żaden elf nie byłby na tyle głupi, żeby rozwalać klepsydrę rodową w rezydencji jej właściciela. Nawet jeśli ten właściciel od dawna nie żyje! Co ja mówię?! ZWŁASZCZA wtedy!

Wziął kilka głębokich wdechów, by uspokoić emocje. Groźnym szeptem znów zwrócił się do Desire:

– Panie ćwierćelf, znasz pan psalm dwudziesty czwarty?

Ciemnowłosa zakonnik zaprzeczył.

– No a pan, panie medyku? – zapytał Tancmistrza.

Ten również pokręcił głową. Evander skrzywił usta, potrząsnął głową.

– I z taką wiedzą, a właściwie jej brakiem, chcecie iść do Wietrznych Katedr? Gratuluję! – w jego głosie brzmiała pogarda. – Psalm zaraz usłyszycie. A skoro nie sposób ustalić, który z was dwóch za to odpowiada, razem będziecie błagać o wybaczenie. Skupcie się!

Desire z Tancmistrzem wyprostowali się odruchowo.

– Na wasze szczęście psalm nie jest zbyt długi. Zapamiętajcie go, jeśli chcecie przeżyć. O nim za chwilę. Teraz weźmiecie ten artefakt, zanurzycie go w wodzie, którą znajdziecie w aspensorium...

– W czym? – teatralnym szeptem zapytał Richard Cicerona.

– Kamiennym naczyniu z wodą święconą przy wejściu – odparł półgębkiem opat.

Elf instruował dalej, co jakiś czas zerkając na wrota kościółka, ulewę za

oknem oraz posadzkę świątyni, której wibracje coraz mocniej czuli pod stopami. Drobinki kwiatowego pyłu unosiły się rytmicznie, podobnie jak fragmenty lian, tyle że w bardzo zwolnionym tempie. Richard przypomniał sobie, jak wchodzili do kościółka czerwonym chodnikiem, i zrozumiał, że ten spowolniony ruch nie wróży niczego dobrego. Ponownie skupił się na słowach Evandera.

– ...nabierzecie też z kropielnicy zapas wody do naczynia, które przy niej znajdziecie. Aha, nie wolno zapomnieć o trybularzu! Tak, trybularz i psalm to podstawa! – mruzczał gorączkowo elf.

Wcisnął Desire zniszczony artefakt do rąk, rzucił „chwila” i pobiegł ku miedzianej wannie z sukulentem. Oderwał z niego kilka listków. Z garścią zasuszonych kłaków pomknął ku nawie poprzecznej z fortepianem. Nie widzieli, co tam robił, jednak po chwili wrócił zdyszany z maleńką starą kadzielnicą w drugiej dłoni. Kwieciste ornamenty zdobiące jej pokrywę i koszyczek dawno nie były czyszczone, podobnie jak srebrne łańcuszki, co mogło zastanawiać w tym królestwie zadbanych bibelotów.

– Trzymaj! – Podał trybularz Richardowi. Ten złapał artefakt i chwilę dzierzył w wyciągniętych przed siebie rękach niczym bombę na moment przed eksplozją. – Za łańcuszki! – Elf popatrzył na niego zdegustowany. Uniósł pokrywkę kadzielnicy. Mruczając pod nosem, że to musi wystarczyć, roztarł dłońmi listki argemonii i włożył je do wnętrza naczynia. Odwrócił się ku Desire i Tancmistrzowi i wyrwał każdemu z nich kilka włosów, które także włożył do środka. – Teraz uwaga – rzekł, ponownie zwracając się w stronę mężczyzn – wychodzicie głównym wyjściem na zewnątrz i dalej w lewo, w stronę cmentarza. Jeden z was niesie klepsydrę, drugą ręką okadza wszystko dookoła. Drugi kropi. Byle solidnie. Aha! I ani na moment nie zapominać o psalmie.

– Po co kropić wszystko, co i tak już jest mokre?

– Desire! – Tancmistrz szturchnął przyjaciela. – Limit kompromitacji wyczerpałeś dawno temu!

– No co? Tego zwyczaju elfów akurat nie znam.

Evander westchnął.

– Doksztalcę cię, panie ćwierćelf, jeśli przeżyjesz i wrócisz. Obiecuję. Na skraju cmentarza, pod murem, znajdziecie zwykły, kamienny nagrobek. Na nim urnę z czarnego marmuru z harfą na wieku. Umieścicie klepsydrę w środku urny i dokładnie zamkniecie, cały czas powtarzając psalm pokutny. Jeśli nie potraficie śpiewać, możecie recytować. Byle wyraźnie i bez przerwy. I za nic nie patrzcie na to, co stanie wam na drodze, nie cofajcie się i nie uciekajcie. Zrozumiano?

Mnisi w milczeniu skinęli głowami.

– Teraz psalm. Słuchajcie i zapamiętajcie. Uwaga!

Evander przymknął oczy i zanucił jakąś piękną pieśń o skomplikowanej melodii. Wibracje podłogi znów się nasiliły, a elf ciągle nucił. Po chwili Desire nie wytrzymał.

– Stop! Przestań! Nie sądzisz chyba, że bezbłędnie zapamiętamy ten tekst w takim krótkim czasie. Wymyśl coś innego!

W oczach Evandera nagle pojawiła się rezygnacja. Sapnął z trudem, jakby ogromny kamień leżał mu na piersi.

– To się nie uda. Już nie żyjemy... – szepnął.

– To daj nam klepsydry z mapą i zwiejemy przez szklarnię.

– My tak, a oni?! – wtrącił się ostro Tancmistrz, kiwnął głową w stronę Evandera i ciągle leżącej we wnętrzu argemonii Evan. – To nie czas na durne żarty! Desire! Co z tobą? Nie poznaję cię!

Gwałtowna reprimenda sprawiła, że mnich się ocknął i mruknął:

– Jasne, masz rację, głupi pomysł, chodźmy.

– Evander... – Tancmistrz potrząsnął elfa za ramię, aż ten się wzdrygnął. – Teraz ty się skup. Rozumiem, że trzeba wybłagać u Mairin przebaczenie, ale psalm jest za długi. I zbyt skomplikowany. Możemy jakoś inaczej dogadać się z panią tej rezydencji?

Elf tylko pokręcił głową.

Tancmistrz przygryzł usta.

– To może wystarczy recytować fragment? Który?!

– *Nam, niegodnym, racz odpuścić, dom skalany oczyścimy, święty dym i święta woda niechaj zmyją nasze winy...*

– Dużo lepiej.

Podczas gdy Tancmistrz z Desire ćwiczyli tekst, elf podszedł do Richarda. Pochylił się nad trybularzem. Chwilę pocierał opuszki palców, aż zakwitł między nimi nieśmiały płomyk. Ostrożnie strzepnął go do kadzielnicy. Oddychając płytko i nerwowo, Evander rozejrzał się kilka razy na boki. Coraz mocniejsze wibracje podpowiadały, że należało się spieszyć. Elf dmuchnął na brunatne kłaki. Smuzka dymu – niczym stara wstążka niesiona wiatrem – uniosła się ku niemu, podobnie jak cudowny, żywiczny zapach. Evander zamknął pokrywkę. Odwrócił się do Tancmistrza i Desire.

– Gotowi?

Płowowłosy zakonnik w milczeniu odebrał z jego rąk trybularz. Zacisnął usta i potwierdził stanowczym skinieniem. W drugiej dłoni dzierżył odebraną Desire klepsydrę. Nie oglądając się na przyjaciół, ruszył ku wyjściu. Odprowadzali go wzrokiem, podziwiając jego odwagę i determinację, podczas gdy on oprócz fragmentu psalmu powtarzał sobie w myślach: „Dam radę, zrobię to dla ciebie, dam radę...”. Dłoń kurczowo zacisnął na klepsydrze, by jej drżenie nie zdradziło, jak bardzo obawia się nieznanego. Drugą ręką machnął energicznie, a wtedy obłok dymu, który uleciał z trybularza, owinał się wokół niego na podobieństwo opończy.

Desire pognął za przyjacielem. Dobiegłszy do aspensorium, zdążył nabrać wody do kunsztownej miski, którą tam znalazł, i chwycić kropidło. Wykrzykując: „*Nam, niegodnym, racz odpuścić!*”, ruszył śladem Tancmistrza, kierując się kłębamii dymu, w których zniknął płowowłosy mnich. Wrota świątyni gwałtownie zamknęły się za nimi.

Pozostałym zdało się, że gdy mnisi przekraczali próg, wychodząc naprzeciw burzy, coś ulotnego minęło ich, przedostając się do wnętrza kościółka. I nie

pomylili się. Podczas gdy Tancmistrz z Desire w oparach dymu i strugach wody kroczyli ku zabytkowym nagrobkom, w nawie głównej zaczęła materializować się postać kobiety...

* * *

Evander zbladł, cofnął się, zachwiał.

– Tylko nie to! – wykrztusił zbielełymi ustami.

Richard z Ciceronem wymienili spojrzenia. Nie rozumieli, co tak wystraszyło elfa. JESZCZE nie. Lecz po chwili, gdy po posadzce od strony wrót zaczął snuć się ku nim grafitowy dym – a może obłok? – dostrzegli przyczynę paniki Evandera. Cienkie pasma dymu, pełzające niczym kłęby splątanego robactwa, gwałtownie zaczęły się wypiętrzać i jednocześnie przybliżać.

Kobieta, która wyłoniła się z oparów, z początku wyglądała jak kiepski rysunek wymalowany na szkle palcem umaczanym w czarnej farbie. Z każdą chwilą rozmyte kształty nabierały jednak ostrości, a przezroczystą postać wypełniła barwa. Grafit. Wszystko w tej kobiecie było w odcieniach szarości i czerni, z białkami oczu i ustami włącznie. Długie warkocze spływały ku ziemi, podobnie jak suknia i peleryna, którymi była okryta. Przeguby jej rąk zdobiły bransolety z klejnotów tak mrocznych jak najczarniejsza otchłań rozpaczy. Identyczne kamyki, wplecione w warkocze, i materiał odzienia, sprawiały wrażenie, jakby kobieta obsypana była maleńkimi czarnymi diamentami. Nie nosiła naszyjnika, lecz kamień, który zdobił jej dekolt – bez oprawy, zawieszony na prostym łańcuszku – zdawał się pochłaniać otaczające światło, miast nim błyszczeć.

Istota zaczęła sunąć ku nim. A im była bliżej, tym ciemniej robiło się wokół. Była piękna i straszna jednocześnie. I jakby zawieszona ponad czasem. Swoją uwagę skupiła na elfie, wyciągnęła ku niemu rozcapierzone palce, a wtedy dostrzegli armillę wtopioną w jej ramię. Kamienie były mroczne i wyglądały jak żywe. Zdawały się nie tworzyć jednego wzoru na ramieniu zjawy, lecz „płynąć” po powierzchni skóry, pulsować. Kobieta wykrzywiła usta.

– Evandeeer...! – krzyknęła.

A może zasyczała? Dźwięk był tak okropny, że Richardowi przeszły ciarki po plecach. Teraz i on poczuł strach. Usłyszał jeszcze jęk elfa. Kątem oka dostrzegł, że znów się zachwiał. Zdążyli go wraz z Ciceronem złapać, nim padł bez zmysłów na posadzkę kościółka...

* * *

– Nam, niegodnym, racz odpuścić. Dom skalany oczyścimy... – Dłoń Desire raz po raz zanurzała kropidło w naczyniu z wodą, następnie z rozmachem polewała wszystko wokół.

Szli już chwilę chodnikiem z szarych płyt ku cmentarzykowi, na zmianę recytując słowa psalmu. Obłoczek naprędce wyczarowanych latarek – wspomagany przez podobne ogromnym iskrom błyskawice – przełamywał wszechobecny mrok.

Zgodnie z instrukcją nie rozglądali się wokół. Wpatrzeni we własne buty i niewielki fragment drogi przed sobą pokonywali kolejne metry przybliżające ich do wiadomego nagrobka. Desire nie miał pojęcia, czy to psalm, woda z kropielnicy, czy też dym uwalniany z trybularza przy każdym wahnięciu sprawiły, że ściana wody rozstępowała się przed nimi jak kurtyna uniesiona niewidzialną dłonią. A może tylko tak mu się zdawało? Może to jedynie intrygujący zbieg okoliczności? Tak czy inaczej odnosił wrażenie, że znaleźli się wraz z Tancmistrem jakby w kokonie. Strugi deszczu lały się wciąż intensywnie, błyskawice uderzały całkiem blisko, ale na nich nie spadła ani jedna kropla. Jak gdyby jakiś opiekuńczy duch rozłożył nad nimi niewidzialny parasol. Odgłosy burzy też dochodziły ich stłumione, zniekształcone.

„Więc to takie uczucie znaleźć się w oku cyklonu” – pomyślał Desire, patrząc na ulewę szalejącą dosłownie na wyciągnięcie ręki.

– Nam, niegodnym, racz odpuścić... – wyrecytował i natychmiast zastanowił się, czemu Evander zabronił patrzeć na to, co zastąpi im drogę, cofać się lub

uciekać. Przecież nie było tu nikogo...

„Bez powodu by nas nie ostrzegał. A jeśli tylko chciał nas nastraszyć? Dać nam nauczkę? Nie. Sam był zielony ze strachu. Aż tak dobrze nie mógł udawać”.

Ale oto zbliżali się do celu. Latarenki zacumowały opodal muru. Mrok ustąpił pola jasności. Ujrzeni prosty grób z płytą z ciemnego kamienia, na nim urnę z... uchyloną pokrywą! Czarna harfa w świetle błyskawic wyglądała niczym zrywający się do lotu nietoperz. Wzdrygnęli się na jej widok. Tancmistrz mocniej zakołysał trybularzem, dobitniej wyrecytował psalm. A może tylko jego przyjacielowi tak się zdawało? Ukradkiem porozumieli się wzrokiem. Desire zobaczył niepokój w oczach płowowłosego mnicha i zrozumiał, że jego też zastanawia ten kompletny brak przeszkód. Postawił naczynie na płycie nagrobnej. Zanurzył ponownie kropidło.

– Nam, niegodnym, racz odpuścić – wypowiedzieli głośno i wyraźnie.

Tancmistrz jeszcze mocniej zamachał kadzielnicą. Obłok dymu pochłonął ich i... znieruchomiał! Znów wymienili spojrzenia. Desire wyszarpnął zza paska spluwę. Tancmistrz pokręcił głową, a Desire skrzywił się, zacisnął szczęki. Odłożył pistolet na płytę nagrobną. Głową wskazał urnę. Gestem zasygnalizował, że otworzą ją „na trzy”.

– Obyś nie miał kłopotów z koordynacją – mruknął Tancmistrz i wręczył przyjacielowi trybularz.

– Ja wsadzam klepsydrę, ty machasz. Trzy machnięcia, jedno skropienie – poinstruował. – Nam, niegodnym, racz odpuścić! – zaintonował głośno, złapał za harfę i uniósł pokrywę urny...

* * *

– Mairin! – szepnął Dee.

Zjawa zbliżała się, elf leżał nieprzytomny, a Ciceron... rozglądał się bezradnie! Richard szybko przeanalizował sytuację.

– Zatrzymaj ją! – wrzasnął do opata.

– Jak?!

– Na Onyksową Harfę! Zaklęciami oczywiście! Jakimikolwiek!

– To nic nie da!

– Da! Czas, którego potrzebuję! – warknął Dee i pognał w kierunku argemonii.

Usłyszał następny krzyk zjawy, zaklęcie *Mortua* i kolejne, ujarzmiające *Cicuro*. Zjawa wciąż jednak ni to syczała, ni to jęczała. Zaklęcia opata musiały być albo zbyt słabe, albo na Mairin nie działały.

Richard czuł, że musi się sprężyć. Dobiegł do wanny z sukulentem, nie zatrzymując się, urwał kilka zasuszonych kłaków i natychmiast zawrócił. Złapał pierwszy z brzegu trybularz. Z trofeami w garściach wrócił do swych kompanów. Podczas gdy Ciceron próbował coraz to nowych zaklęć, by zatrzymać Mairin, Richard wyrwał Evanderowi kilka włosów. Razem z listkami argemonii włożył je do trybularza i... dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że nie ma czym wykrzesać ognia, a odpowiednich zaklęć rozpalających nie zna! Zrozumiał też, że stary zakonnik zbyt pochłonięty walką nie zdoła mu pomóc.

– By to elfia zaraza! Ciceron, potrzebne zapałki!

Opat jedynie pokręcił głową i rzucił kolejny urok.

– Zapalniczka?! COKOLWIEK!

Między jednym zaklęciem a drugim opat wskazał wzrokiem okna i wrzasnął:

– Oni mają! Wymyśl coś! Byle szybko! – I znów skupił się na bitwie z Mairin.

Ale nie mieli czasu, bo zjawa była już w odległości kilku kroków od stóp elfa i wciąż parła do przodu. Jakkolwiek Ciceron się starał, jego zaklęcia jedynie ją spowalniały, a z każdą chwilą stawała się też mroczniejsza i bardziej agresywna. Kamień na jej szyi coraz intensywniej pochłaniał światło kościółka. Powietrze stało się lepkie, duszne. Richard miał uczucie, jak gdyby jakaś niewidzialna istota położyła spocone dłonie na jego szyi i zaczęła dusić.

Drgania posadzki i kwiecistego pyłu znów się nasiliły. Dee zerknął na opata, który poruszał się jak na zwolnionym filmie: każde machnięcie ręką, ruch warg, obrót głowy trwały tak surrealistycznie długo. Richard czuł, co stanie się za chwilę. Zimny pot spłynął mu po plecach. Z największym trudem rozejrzał się w poszukiwaniu źródła ognia. Świat zawirował mu przed oczami. I nagle, przez kakofonię jęków zjawy i huki piorunów, usłyszał śpiew, poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Z ogromnym trudem odwrócił głowę i ujrzał... Evangeline! Nucąc psalm, podniosła pokrywkę trybularza. Wrzuciła kilka własnych włosów, potarła palce, a wtedy małeńka iskierka spłynęła do wnętrza naczynia. Kobieta zamknęła kadzielnicę, odebrała ją z rąk Richarda, rozhuśtała z trudem. Nieśmiały wężyk dymu uleciał przez oczka trybularza.

– Woda, Dee!

– C-co?!

– Nabierz wody z aspensorium i polewaj. Szybko!

Następnych kilka minut było najdziwniejszymi w życiu Richarda. Czas zdawał się przyspieszać i zwalniać w sposób zupełnie niekontrolowany. Dee nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się dotrzeć do kropielnicy i z zapasem wody w znalezionym naczyniu wrócić do Evangeline. Nie miało to znaczenia. Współpraca. Jedynie to się liczyło. Starsza pani intensywnie machała trybularzem, głośno śpiewając psalm pokutny, podczas gdy Dee dłonią nabierał wody i rozpryskiwał ją wokół.

Ciceron słabym głosem ciągle próbował na Mairin zakłęb, lecz niebawem znieruchomiał na podłodze koło Evandera. Zjawa jeszcze się zbliżyła.

Evan zdwoiła wysiłki. Richard zobaczył zmęczenie na jej twarzy i zrozumiał, że niedawno wzmocniona we wnętrzu argemonii kobieta słabnie. Dee wsłuchał się w słowa psalmu, a potem jego głos dołączył do głosu Evan. Z początku nieśmiało, ale z każdą chwilą śpiewał coraz pewniej i donośniej. Otoczył ich obłok dymu z kadzielnicy. Zjawa zatrzymała się jak gdyby zdezorientowana. Zupełnie jakby zniknęli jej z oczu.

Wysłuchana w słowa psalmu zakołysała się, a po chwili cała postać Mairin... zaczęła się zmieniać! Grafit i czerń stopniowo ustępowały szarości stali, jasności srebra. Evangeline mocniej machnęła trybularzem. Kolejny obłok uleciał przez jego oczka, opatulając zjawę pachnącym szalem. Mairin przymknęła oczy. Westchnęła niemal z... rozkoszą i mocniej się zakołysała. Jej postać znów się zmieniła. Włosy, skóra, ubranie, armilla, klejnoty, wszystko teraz połyskiwało srebrzyście.

Richard nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego to zrobił, lecz pod wpływem impulsu chlusnął na istotę całą zawartość naczynia. Mairin opuściła ręce. Jej ciało unoszące się w powietrzu błysnęło jasnością platyny, okręciło się wokół własnej osi. Ona sama wydała z siebie jakby jęk ulgi i zastygła z opuszczoną głową oraz przymkniętymi oczami!

Dee się rozejrzał. Nawałnica za oknem przycichła. Drgania podłogi i kwiatowego pyłu stopniowo ustawały. Czas przestał płatać figle. Wszystko wokół zdawało się wracać do normy. Opat z Evanderem zaczęli odzyskiwać świadomość i podnosić się z podłogi. I tylko Evangeline ciągle machała kadzielnicą, głośno wyśpiewując psalm pokutny. Zobaczył, że oczy ma przymknięte i cała się trzęsie ze strachu. A może zmęczenia?

Podszedł do niej. Łagodnie, ale stanowczo wyjął trybularz z jej rąk. Potem zwyczajnie go upuścił. Naczynie zamarło niedaleko ich stóp na posadzce. Smużki dymu wciąż ulatywały przez jego oczka, kiedy Richard objął starszą panią, przytulił i pogładził po włosach.

– Już dobrze – szepnął.

Odruchowo wtuliła się w niego. Zapach pinii i górskich potoków zmieszał się z wonią kadzidła.

– Już dobrze. Udało nam się. Słyszysz, Evan?

W odpowiedzi mocniej przylgnęła do niego. Jej zapach go... oszałamiał! Serce tłukło się w piersi niczym ryba złapana w sieci. Tłumaczył sobie, że Evangeline wiele przeszła, ale czy jej reakcję na pewno powinien brać jedynie za

strach i zmęczenie? Jej ciało zdawało się mówić zgoła coś odmiennego. Jego zresztą też! Właśnie beształ się w myślach, że zamiast domagać się wolności i odczarowania Mai, obłapia jej gnębicielkę, gdy usłyszał:

– Pięćknie! To my narażamy życie, szwendając się ciemną nocą po cmentarzu, a nasz kochaś, jak widzę, świetnie się bawi.

– Desire! – dobiegło go ostrzegawcze warknięcie Tancmistrza.

Ten niezrażony kontynuował:

– I patrzcie, jaki niestały w uczuciach! – zarechotał ciemnowłosy mnich. – Najpierw ślubował miłość po grób ślicznej bestyjce, potem niebieskołuskiemu zwierzakowi. Teraz przerzucił się na kobiety MŁODE INACZEJ! Coś pominąłem? Ach, no tak, czterokołową „niewiastę” czekającą przed kościółkiem. I chyba tylko tej jedynej pozostanie wierny.

Evander spojrzał dezorientowany na Cicerona.

– Zaraz, czy on miał na myśli moją siostrę? – szepnął.

– Nieee! Skąąąd! – odparł zakonnik z miną niewiniątka, ale gdy tylko elf odwrócił głowę, posłał Desire mordercze spojrzenie.

Tymczasem Evangeline otworzyła oczy. Spojrzała na Richarda, jakby zastanawiając się, co ciemnowłosy mnich miał na myśli. Ujrzała w oczach Dee zażenowanie.

– Nie słuchaj go – szepnął prosto do jej ucha. – Często plecie jak potłuczony. Odpoczniesz, zregenerujesz siły, ale potem zażądam od ciebie wielu wyjaśnień – dokończył już bardzo stanowczo.

Nie czekając na jej reakcję, wziął ją na ręce i ruszył ku argemonii.

– Dziękuję za pomoc, ale to jeszcze nie koniec!

Uwolniła się z jego objęć. Niespiesznie podeszła do zjawy. Przyklękła na jedno kolano i pochyliła głowę.

– Evander! – ostrym tonem zwróciła się do brata. Ten skrzywił się i niechętnie dołączył do niej. – Wiesz, co robić! – rzuciła, gdy ukląkł tuż obok.

Mnisi obserwowali to wszystko w milczeniu, nie rozumiejąc sensu tej ceremonii. Do czasu.

– Dość podłości. Czas to zakończyć! – powiedziała cicho Evan. – Zbyt długo żyliśmy w kłamstwie. Nie jesteśmy święci, lecz możemy błagać o wybaczenie.

Elfka przeniosła spojrzenie na własne ramię. Evander zerknął na nią ze strachem.

– Na pewno?...

– Na pewno! – Odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem. – Musimy to zrobić. Oczyszczyć się. To nas zatruwa. Nie widzisz tego? Wiecznie chcesz żyć w ten sposób?!

– Evangeline...

– Dość!

Elf zacisnął zęby. Wzdychając, rozpiął surdut, rzucił go na posadzkę opodal. Tuż obok wylądowała koszula. Po chwili Evander klęczał przed zjawą nagi do pasa. Stare blizny biegły przez jeden z jego boków. Był szczupły i niemal cherlawy jak zagłodzony dzieciak, czego nie sposób było się domyślić, gdy widziało się go w dobrze skrojonym ubraniu.

Evangeline nie spojrzała na brata. Wzrok skierowała ku własnemu ramieniu. Zacisnęła usta. Drobne palce dotknęły jednego z kryształów armilli. Przez chwilę jeszcze się wahała, lecz nagle wbiła paznokcie w ciało. Grymas cierpienia rozlał się po jej twarzy.

Richard zrobił krok, jakby chciał wtrącić się w ten dziwny ceremoniał, lecz Ciceron powstrzymał go gestem. Tymczasem paznokcie Evan zagłębiły się w jej ramię. Pomarszczona twarz była mokra od łez. Starsza pani bardzo cierpiała, ale z uporem próbowała wyrwać z własnego ciała jeden z kamieni. Richard poczuł ostry ból w piersi i zabrakło mu tchu.

„Tylko nie teraz!” – pomyślał o nadciągającym ataku.

Nie bacząc na własne zdrowie, znów chciał ruszyć ku Evan, by przerwać jej

cierpienia. W tym jednak momencie do elfki podszedł Tancmistrz, kucnął i położył przed nią... nóż! Ileż spokoju, a jednocześnie litości było w jego spojrzeniu! Staruszka uśmiechnęła się przez łzy.

– Akt miłosierdzia... Dziękuję, nie skorzystam. Nie zasługuję...

Przymknęła oczy i z całej siły szarpnęła ponownie. Jej krzyk wzniósł się pod sklepienie kościółka. A było w nim tyle bólu, rozpaczy, tajonych żalów, że zgromadzonym mężczyznom smutek ścisnął gardła, i teraz to oni z trudem powstrzymywali łzy. Evan otworzyła oczy, spojrzenie skierowała ku wnętrzu dłoni. Ostatni raz zanuciła psalm. Spływające łzy mieszały się z krwią, omywając kryształ tak brutalnie odebrany ciału.

Kiedy skończyła, spojrzała na brata. W milczeniu wyciągnął ku niej rękę z fragmentem własnej armilli równie mokrym od krwi. Usta Evangeline wykrzywił podziw.

Rodzeństwo zwróciło się ku zjawie. Ta nadal wisiała nieruchomo w powietrzu z opuszczoną głową. Dwoje elfów zamruczało psalm pokutny, po czym każde włożyło swój kryształ w jedną z dłoni Mairin. Jeśli zebrani czekali na odgłos upadających i roztrzaskujących się o posadzkę klejnotów, musieli być mocno zaskoczeni, bo oto zjawa... zacisnęła dłonie na kryształach! Głośno westchnęła, uniosła głowę, otworzyła oczy. Podniosła ręce na wysokość twarzy i przyjrzała się ich zawartości. Płynnym ruchem wtopiła jeden z kamieni we własną armillę. To samo uczyniła z drugim. Bransoleta ożyła. Pulsując i płynąc po ramieniu właścicielki, utworzyła całkiem nowy wzór. Mairin spojrzała na rodzeństwo. Obydwoje aż się wzdrygnęli. Milczała dłuższą chwilę, w końcu usłyszeli:

– Wasz psalm pokutny dotarł do mych uszu. Wybaczam...

Jej głos przypominał szum strumienia, jednak słowa były wyraźne. Evan i Evander odetchnęli z ulgą. Podnieśli się z kolan, porozumieli wzrokiem, pokłonili zjawie.

Ciceron trącił Tancmistrza, gestem dał do zrozumienia, by ten opatrzył rodzeństwo. Podczas gdy płowowłosy mnich zajął się ranami elfów, Mairin, krążąc

wokół, ponownie zaszeleściła:

– Proszę, proszę! Wasza dwójka w końcu zdobyła się na odwagę. Choć nie z własnej woli, jak widzę. Tak długo robiliście wszystko, by mnie nie spotkać. Pech chciał, że zniszczyłeś moją klepsydrę i uruchomiłeś swój własny armagedon. A potem już nie było odwrotu, co, Evander? Szkoda tylko, że na przebłaganie wysłałeś tamtych dwóch mieszańców wyjących jak obłąkane koty.

Brwi Desire uniosło zdumienie, Tancmistrz tylko chrząknął rozbawiony.

Zjawa kontynuowała:

– No, ale odwaga nigdy nie była mocną stroną mężczyzn w waszej rodzinie.

– Pani... – bąknął urażony elf.

– Mów mi kuzynko! Przecież od teraz jesteśmy niemal jak rodzina, choć wolałabym w niej mieć raczej jego. – Zjawa kiwnęła głową ku Dee. – Z was wszystkich najodważniejszy. Jest nadzieją na...

Ale Richardowi nie było dane usłyszeć, czego jest nadzieją, bo świat wypełniony artefaktami, mnichami, zjawami raptownie zawirował i zgasł.

* * *

– Miałem atak? – wyszeptał, kiedy w końcu otworzył oczy.

– Nie. Zwyczajnie KAWA Kinnona przestała działać. Musiałeś odespać i tyle.
– Usłyszał chichot Desire.

Dee uniósł się na łokciach i się rozejrzył. Świtało, więc bez problemu mógł zlustrować otoczenie. Leżał na jednej z kanap w nawie głównej. Tuż obok, na jakimś zydlu siedział Desire i porządkował zawartość swego pasa na drobiazgi. Nad jego głową koło jednej z kolumn, niczym przezroczysty latawiec, zawisała w powietrzu platynowa postać Mairin. Cała nawa główna była dokładnie uprzątnięta i absolutnie nikt nie domyśliłby się, jak dramatyczne sceny miały tu miejsce ostatniego wieczoru.

– Tiaa? A ile spałem? – zaniepokoił się.

– Siedem godzin. Ale spokojnie, nic cię nie ominęło. Wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku. Tancmistrz opatrzył rodzeństwo. Teraz w zakrystii robi zapas leku dla ciebie i dla nich. Evan ciągle siedzi w argemonii, Evander śpi na antresoli. Ciceron też jeszcze się nie obudził. Jest tam. – Ciemnowłosy mnich wskazał wnękę biblioteczną, a wtedy Dee dojrzał starszego pana pochrapującego w fotelu. – Ja trzymam wartę i...

– A ja to co? Duch? – usłyszeli szeleszczący głos.

Desire założył włosy za ucho, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No tak, Mairin, nasza gospodyni. Specjalistka od kiepskich dowcipów. Chwiejna emocjonalnie i zachowująca się czasami jak nieznośny dzieciak. To musi być efekt długotrwałego zamknięcia w urnie. Dobrze, że się obudziłaś, bo zagadałaby mnie na śmierć!

– Hej, mieszańcu, słyszałam!

– Mówię ci, od tego jej gadania głowa boli. A jak się wkurzy, zaczyna szeleścić trzy razy szybciej.

I jakby dla udowodnienia swej tezy mrugnął do Richarda, potem głośno i od niechcienia rzucił:

– Ty patrz, Dee! Jeszcze jedna klepsydra zniszczona! Widziałeś? Tam leży! O rany, wygląda na starą i cenną.

Zjawa gwałtownie odwróciła głowę w stronę, którą wskazał Desire. Odpowiedziała mnichowi pogardliwym szumem, z którego zrozumieli co trzecie słowo. Coś o kundlach, skażonej krwi, pohańbieniu rasy, a wszystko to przeplatane słowami w nieznanym języku.

Desire zarechotał.

– Sam widzisz. Pół nocy mnie tak męczyła. Ale poza bezsensownym gadaniem w tej postaci jest niegroźna.

Richard ziewnął.

– Choć tyle dobrego, ale daj jej już spokój.

Wstał, przeciągnął się i od razu poczuł się lepiej.

– Dobra, skoro inni jeszcze śpią, trochę się ogarnę.

Jeśli Desire liczył na męskie pogawędki, rozczarował się okrutnie. Dee rzucił mu tylko „zaraz wracam” i tyle go widzieli. Odprowadzała go kolejna sprzeczka mnicha ze zjawą.

„Aż elfom staniemy się podobni...” – patrząc na Evandera, w myślach zacytował fragment mowy pogrzebowej innego elfa, Demitreosa. Ukłucie zazdrości przypomniało mu, że to jednak nigdy nie nastąpi. Że nieważne co robi on, CZŁOWIEK, to nawet za sto lat nie stanie się w połowie tak utalentowany czy przystojny jak ten tutaj schorowany cień elfa.

– Tylko nad własnym beznadziejnym charakterem mogę popracować. Dobrze i to – mruknął pod nosem i wzdychając raz po raz, zamknął za sobą drzwi łazienki.

Gorąca woda zdawała się zmywać nie tylko brud, ale też zmęczenie i troski. Jednak dobry nastrój ponownie minął, gdy Richard zerknął w lustro.

„Hmm... Znów nie trzeba się golić” – pomyślał. Jednak, gdy przyjrzał się uważnie własnej twarzy, zamarł z dłonią na szczęcie. Była gładka.

– Ciekawe... – mruknął.

Jakiś czas temu na tęczęwkach koloru palonej kawy zauważył kilka błękitnych kropek. W przeciwieństwie do niebieskich oraz krwistych szczelin pojawiających się przy każdym ataku i niknących tuż po nim kropki na stałe zagościły na powierzchni tęczęwek. Ale że były maleńkie i było ich niewiele, nikt włącznie z samym Dee nie zwracał sobie tym głowy.

Przyglądając się kilku ciemniejszym pasemkom włosów, poruszał palcami stóp, w których znów poczuł mrowienie. Nadal nic nie wiedział o własnej chorobie, ale przecież teraz priorytetem było odczarowanie Mai, a tajemnicze ataki – mniej uciążliwe, odkąd łykał leki Tancmistrza – mogły poczekać.

Odświeżony wrócił do sypialni. Elfa nie było.

– Do tego jeszcze szybki i cichy – mruknął. – Czy jest coś, w czym elfy są

kiepskie?

Zerknął przez poręcz antresoli. Przez uchylone drzwi zakrystii dobiegały teraz stłumione głosy, ale w nawach kościółka nikogo nie było. Oślepiające słońce wdzierało się przez witraże do wnętrza, a wszechobecną ciszę przerywał sporadycznie śpiew ptaków. Dee zacisnął palce na balustradzie. Zamknął oczy. Pomału, głęboko odetchnął. Zapach kadzidła wypełnił jego nozdrza. Ukojenie. Spokój. Bezpieczeństwo. Cudownie było móc znowu poczuć to wszystko. Chwilę delektował się samotnością.

Nagle zapach się zmienił. Kadzidło rozproszył chłodny powiew. Dee otworzył oczy. Podskoczył wystraszony, bo oto zobaczył, że po drugiej stronie balustrady, na wysokości jego twarzy wisiała w powietrzu Mairin i spoglądała na niego przenikliwie. Sapnął i zaśmiał się nerwowo.

– Wybacz, nie chciałam cię przestraszyć – zaszleściła, ważąc każde słowo. – Wiem, jak lubisz tę rezydencję. Jak o nią dbałeś. Wiele razy widziałam cię, jak rozkoszowałeś się...

„Rozkoszowałem?! Zaraz, czy ona mnie podglądała?! Szlag!...” – pomyślał zażenowany.

– ...zapachem kadzidła, atmosferą tego domostwa – kontynuowała, a on westchnął z ulgą, że tylko kadzidło miała na myśli. – Są tylko dwie osoby, którym byłabym skłonna oddać MOJĄ rezydencję.

– Twoją? Myślałem, że...

– Źle myślałeś! – fuknęła. – Ten dom nadal jest mój! Ojciec tamtych dwojga pozbawił mnie życia i zagarnął to domostwo. Zwyczajnie mnie ograbił! Ale to nie znaczy, że przestałam się czuć jego właścicielką!

– Elf zrobił coś takiego?! Niemożliwe!

– A myślałeś, że czemu Evander i jego siostra unikali mnie tak długo? Jak widzę, i ty masz wiele mylnych pojęć o całej nacji elfów. Jakieś tysiąc lat temu byliśmy jeszcze uczciwi i prawi. Teraz nie zostało już z tego nic. Przesiąkliśmy zwyczajami ludzi. To nas zdeprawowało. Zawsze powtarzałam, że lepiej zginąć

w wielkiej apokalipsie, niż wychodzić do ludzi, no ale czy ktoś mnie wtedy słuchał?

Szelest na moment ucichł.

„O rany! Mairin była w grupie elfów, które przyszły w czasie zagłady na teren Palatynatu! No jasne! Czemu wcześniej na to nie wpadłem?! Jest czystej krwi elfem! Dobra, duchem elfa albo czymś w tym stylu. Nieważne! Istotne, że wie, co trzeba! Ciceronowi i reszcie powie, jak dotrzeć do Wietrznych Katedr, mnie – jak odmienić Mayę! Genialne!”.

Zerknął na zjawę. Nadal wisiała w powietrzu, szeleszcząc coś pod nosem.

– Mairin – szepnął.

Uniosła głowę jak ktoś wytrącony z głębokiej zadumy.

– Chciałbym o coś zapytać.

– Jeśli o tę rezydencję, to nie martw się, dzieciaku – odparła pogodnie. – Jak powiedziałam, są tylko dwie osoby, którym oddam mój dom. Jedną z nich jesteś ty, a...

– C-co? Ja nie o tym.

– ...drugą twoja żona.

– Żona?! – bąknął, zastanawiając się, jakim cudem rozmowa potoczyła się tak dziwnym torem i jak wrócić na właściwy. – Mairin, ja nie mam żony.

– Ale będziesz miał, a wtedy ta rezydencja stanie się waszym Palatynatem – zaszeleściła tajemniczo. – A teraz chodź do jadalni, nim ten ciemnowłosy dowcipny barbarzyńca pochłonie całe śniadanie.

– Ale!...

– Dość! W przeciwieństwie do mnie ty musisz jeść! Zwłaszcza teraz.

– Teraz? O czym ty mówisz?!

Ale nie było mu dane wypytać o nic więcej, bo Mairin rozpląnęła się między kolumnami kościołka.

Mrucząc pod nosem: „Może jednak nie należy słuchać tej pokręconej

staruszek”, ruszył ku zakrystii.

* * *

Zakrystia wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: przestronna wiejska kuchnia ze sporą częścią jadalną, w której królował stół o szklanym blacie wspartym na kryształowej klepsydrze. Kiedy Dee tam dotarł, Evander z Desire kończyli przygotowywać śniadanie. Mairin przycupnęła na którejś z belek pod sufitem. Jej błyszczące platyną ciało wyglądało jak drugie słońce, które jakby dla zabawy lub przez przypadek zakotwiczyło wśród belek. Pod oknem koło zlewu Tancmistrz kroił jakąś różową masę. Radził sobie z tym średnio, bo co rusz kleiła się do noża. Mruczał coś ze złością pod nosem, ale nie ustawał w wysiłkach. Opat siedział przy stole, popijając kawę. W całym pomieszczeniu unosił się jej aromat i mieszał z równie intensywnym zapachem herbaty owocowej. Richardowi ślinka napłynęła do ust na widok półmisek pełnych świeżego pieczywa, domowej roboty masła, dorodnych rzodkiewek czy pomidorów. Westchnął bezwiednie. Opat odwrócił głowę w jego stronę.

– O, jesteś. – Uśmiechnął się.

– Poszedłem się wykapać. Na antresoli jest łazienka, więc po śniadaniu wy też możecie...

– Wiemy, śpiący królewiczu – odparł z ironią Desire. – Dokonaliśmy jej podboju, kiedy ty chrapałeś. Pomóż Evanderowi przygotować resztę, ja sprawdzę, czy nasza pani już się obudziła i...

– Nigdzie nie pójdziesz! – Głos opata stał się oschły, niemal nieprzyjemny. – Evander już kończy, a jeśli nie masz co robić, pomóż Tancmistrzowi kroić lekarstwo. Będzie szybciej. Richard i ja musimy zamienić słówko.

Desire skrzywił się i wzruszył ramionami. Podszedł niechętnie do Tancmistrza, a ten bez słowa wskazał mu jakąś puszkę. Kiedy mnich podał mu pojemnik, Tancmistrz nabrał odrobinę białego proszku, posypał stolnicę, rzucił na nią glut różowej masy, a potem wręczył Desire wałek do ciasta. Kiwnięciem głowy

wskazał gluta.

– Wałkuj!

– Jaja sobie robisz!

– Byle cienko!

– Nigdy!

Tancmistrz nic nie powiedział. Z rozmachem wbił nóż w blat. W jego oczach było coś takiego, że przyjaciel już bez zbędnych protestów pospiesznie zabrał się za wałkowanie. Podczas gdy oni znęcali się nad różowym ciastem, Evander zaczął rozkładać talerze, a Ciceron głową wskazał ciemnowłosego zakonnika i uśmiechnął się do Richarda.

– Nie odstępował Evan na krok, kiedy spałeś – poinformował szeptem. – Troskliwie zaprowadził ją do argemonii, ale potem trzy razy chciał pójść ją budzić. Cały Desire. Lojalny przyjaciel i bystry, niezawodny kompan, w swym fachu perfekcjonista, ale gdy idzie o płęć przeciwną, jego inteligencja spada do poziomu klepki podłogowej. Na dodatek rozmoczonej. Dla takich facetów jak on są tylko dwa idealne miejsca na tym świecie – upił łyżeczek kawy – klasztor albo burdel.

– A rozważaliście kastrację? – Richard zachichotał.

– Ty wiesz, że nie? To może byłoby jakieś wyjście z sytuacji, tylko gdzie znaleźć śmiałka, który odważy się odciąć jego skarby? – Opat też się roześmiał.

Desire łypnął na nich groźnie. Było oczywiste, że nie usłyszał szczegółów, ale domyślił się, że to z niego się nabijają. Nagle jego mina się zmieniła. Zerknął ponad ramieniem Richarda w stronę drzwi. W jednej chwili całe naburmuszenie ustąpiło miejsca promiennemu uśmiechowi! Wyprostował się, wciągnął brzuch. Dee z Ciceronem zerknęli na niego z konsternacją. Ten, nieświadom swej głupiej miny na ubrudzonej mąką gębie, skłonił głowę i rzucił podejrzenie niskim głosem:

– Witaj, pani. Mam nadzieję, że...

– Dobrze spałam, jeśli o to chciałeś zapytać! – przerwała mu cierpko Evan.

Richard z opatem dyskretnie parsknęli.

– Na Onyksową Harfę, ależ ten facet musi być na głodzie! – zauważył ironicznie Dee. – I to mnie zarzucał, że podrywam staruszki.

– Nie takie znowu staruszki. – Ciceron kiwnął głową ku rodzeństwu, do którego właśnie podszedł Tancmistrz z półmiskiem różowych kostek obtoczonych w mące. A że był sporo od elfów wyższy i szerszy w barach, Evan z Evanderem na chwilę zniknęli z pola widzenia pozostałych mężczyzn.

– Nie tak mocne jak kapsułki, które miał Richard, bo nie macie tu wszystkich składników – usłyszeli specyficzną chrypkę zakonnika. – Weźcie po cztery. Powinny wystarczyć. Potem dorobię więcej.

Chwilę później Richard również został poczęstowany różową masą. Włożył dwa kawałki do ust i zaczął przeżuwać. Kleiły się i były lekko kwaskowate.

„Ciekawe, co opat miał na myśli, sugerując, że Evangeline nie jest taką staruszką” – pomyślał Dee i połknął różowe gluty. Znowu zerknął ku rodzeństwu. Coś tu nie grało. Czuł to. Bezwiednie włożył pozostałe dwa ciasteczka do ust i przyjrzał się elfom uważnie. I wtedy to do niego dotarło...

Oto na jego oczach rodzeństwo zaczęło się zmieniać. Znowu! Wszystkie zmarszczki na twarzach zniknęły, podobnie jak pasemka siwych włosów czy plamy na dłoniach. Skóra odzyskała jędrność, oczy blask, a ciała sprawność. Po kilku godzinach spędzonych w argemonii Evan nie była już starowinką! Dodatkowo po ciasteczkach Tancmistrza nie była teraz nawet w średnim wieku! Oto oczom Dee ukazała się dojrzała kobieta o pełnych kształtach. Oszalamiająco PIĘKNA kobieta, która z pewnością nie przypominała tej mizernej z tak znanych mu hologramów! Srebrne plamki na jej tęczęwkach skrzyły, walcząc o pierwszeństwo z barwą nieba. Włosy koloru pszenicy muśniętej promieniami słońca, splecione w luźny kok na karku już nie skrywały elfiego kształtu uszu. U jej brata zmiany nie były tak spektakularne, ale on spędził noc na antresoli, nie w róży śpiących.

Richardowi z wrażenia jedno ciasteczko wypadło z ust, drugie przyklepiło się do wargi na podobieństwo różowej narośli. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak idiotycznie w tym momencie wygląda, póki opat nie trącił go w bok, przerywając

ten stan osłupienia. Szybko otarł usta i doprowadził się do porządku. Evan udała, że niczego nie zauważyła. Razem z bratem rozłożyła resztę talerzy i poszła po półmiski z jedzeniem.

– Zdradziła mi co nieco, zanim weszła do argemonii – poinformował opat szeptem.

Dee przysiadł się, pochylił, by nie uronić ani jednego słowa, ale oczy nadal pilnie śledziły Evangeline. Ciceron kontynuował:

– To młode elfy. Urodzone już w Palatynacie. Ona ma tylko jakieś osiemdziesiąt lat. On parę lat mniej. Kiedy ich rodzice zrozumieli, że elfia zaraza to nie pojedyncze przypadki, tylko epidemia, uciekli z Metropolii i ukryli się tutaj – tłumaczył prędko, robiąc przerwy jedynie wtedy, gdy Evan lub jej brat zbliżali się do stołu z kolejnym talerzem czy dzbankiem. – Mairin była przyjaciółką ich matki. Zapewniła im kryjówkę. Kiedy tu przyjechali, wydawali się zdrowi. Gdy nagle pojawiły się u nich objawy choroby, tutejsza elfia społeczność zażądała, żeby się wynieśli. Kłopot w tym, że to była duża rodzina. Na dodatek nie mieli się gdzie podziać, a choroba postępowała błyskawicznie. Za ich sprawą epidemia dotarła aż tu i wybiła elfy co do jednego.

– Ooo! – mruknął zszokowany Richard. – A Mairin? Twierdziła, że to ich ojciec ją zabił...

– Prawda. Eilig pochował żonę i niemal całe potomstwo. Wszystkich na tym cmentarzu. Wiedział, że sam długo nie pożyje, ale widział, że z jakiegoś powodu choroba ominęła Evangeline i Evandera, więc prosił Mairin...

– Chyba niezupełnie ominęła – wtrącił Dee. – Gdyby nie róża śpiących, byłoby już po nich.

– Fakt. Zaraza spustoszyła ich organizmy, ale nie zabiła. Ciekawe, co? Też chciałbym wiedzieć, jak to możliwe. Ale to wymagałoby wielu badań, których w Fenaby nie zrobimy. Brak odpowiedniego sprzętu – pospieszył z wyjaśnieniem, widząc pytanie w oczach Dee. – Za to spece palatyna pewnie kwiczeliby z radości, gdyby dostali ich w swoje łapki.

Richard pogładził się po brodzie i nalał sobie kawy. Zamyślony wpatrzył się w smolisty napar.

– Racja – powiedział cicho. – Dwa młode elfy, którym udało się przeżyć, to nie lada gratka dla każdej ze stron...

– Wiem – westchnął Ciceron. – Dlatego musimy ich chronić. Co do ich ojca, Eiliga... Gdy umierał, błagał, żeby Mairin zaopiekowała się nimi. By dała im schronienie, a gdy zaraza minie, zabrała do Wietrznych Katedr.

– Ale?...

– Ale Mairin zaczęła mu tłumaczyć, że mapa zaginęła, szlak pewnie dawno nie istnieje, a ruszać z małymi dziećmi w podróż, gdy szaleje zaraza, to głupota. Zresztą wątpiła, czy ktokolwiek ocaleje. Radziła przeczekać. To były straszne czasy... – usłyszeli ciche słowa Evangeline, która nagle pojawiła się obok nich. Postawiła jeden z półmisek z wędliną, na chwilę umilkła, jakby zapatrzona we własne ponure wspomnienia. Nikt nie śmiał zakłócać jej tej zadumy. Zaraz zresztą podjęła opowieść: – Mój ojciec twierdził, że mapę można odtworzyć. Sam miał jeden z jej fragmentów. Strasznie się pokłócili. Żadne nie słuchało argumentów drugiego. I wtedy doszło do tego wypadku...

Zapadło milczenie. Nawet Tancmistrz z Desire porzucili swą pracę. Szybko oporządzili się i zasiedli obok innych przy nakrytym już stole. Radosna atmosfera śniadania niespodziewanie zmieniła się w ponurą biesiadę połączoną z podróżą w mroki historii. Podczas gdy dzbanek kawy krążył z rąk do rąk, rozsiewając cudowny aromat, a kolejne pajdy chleba zmieniały się w małe arcydzieła kulinarne, by ulec destrukcji w ustach biesiadników, odezwał się Evander. Cichym głosem kontynuował opowieść siostry. Zebrani chciwie słuchali.

– Gdy emocje biorą górę, a racjonalne argumenty zastępują rzucone w złości zaklęcia, nietrudno o kłopoty – zaczął. – Mairin chciała uspokoić ojca. Niepotrzebnie użyła magii. To go tylko wkurzyło.

– Zrozumcie, to nie był zły elf – wtrąciła szybko Evan. – Tyle że...

– Tyle że toksyczny jak kraken górski, wybuchowy niczym łajno ptakosmoka

i uparty jak feniks interceptor, gdy tropi ofiarę – gdzieś znad ich głów dobiegł ironiczny szelest Mairin. – Serio, nie mam pojęcia, co Breena w nim widziała!

– Dziękujemy, CIOTUNIU, za ten pochlebny opis naszego ojca – prychnęła Evan. – Co do niego... Rzeczywiście był nieco porywczy. Dość powiedzieć, że w gniewie zaklęciem zrzucił Mairin z antresoli, kolejnym odebrał jej życie. Zorientował się, co zrobił, gdy było za późno. Uwierzcie, BARDZO żałował tego, co się stało.

– Mój przetrącony kręgosłup właśnie popłakał się ze wzruszenia! – fuknęła zjawa.

– Parę dni później ojciec sam odszedł – odezwał się Evander, ignorując uwagę zjawy. – Przed śmiercią przekazał nam, co wie o drodze do Wietrznych Katedr, o mapach.

– Razem z moją rezydencją, całą posesją i... – szeleszczący potok żalu wypłynął z ust Mairin i na chwilę zagłuszył wszystko. Tym razem rodzeństwo nic nie powiedziało, jedynie siedziało z opuszczonymi głowami, nie śmiąc otworzyć ust, by odeprzeć atak.

Zrobił to Richard.

– Mairin! – przerwał jej łagodnie, ale stanowczo. – Oni żałują! Nie widzisz? Naprawdę?! Tyle lat żyli w twoim domu z poczuciem winy i w strachu. Prosilili o twoje wybaczenie, ty im go udzieliłaś, więc po co dalej wałkować ten temat? Nie zmienisz tego, co się stało. Rozumiemy, że ciągle jesteś wściekła, ale i ty zrozum, że teraz potrzebna nam twoja pomoc, nie wyklinanie. Dzięki tobie i twojej wiedzy możemy tak wiele naprawić. – Jego głos stał się dobitny. – Liczymy na ciebie! Więc nie trać czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Z tego, co mówił Ciceron, na świecie jest mnóstwo mieszaińców elfów i innych istot magicznych, które potrzebują pomocy. Możesz przejść do historii jako elfka, która uratowała swą nację, lub jako małostkowa istota, która wolała uzalać się nad sobą. Zdecyduj...

Spojrzał na Mairin z wyczekiwaniem. W oczach Cicerona zagościło uznanie, lecz jego twarz pozostała nieprzenikniona. Zebrani spoglądali w napięciu to na

Richarda, to na zjawę. Ta dłuższą chwilę milczała obrażona. W końcu machnęła ręką i łaskawie oświadczyła:

– Robię to wyłącznie dla ciebie, Dee. I pamiętaj, co mówiłam na antresoli, teraz ta rezydencja jest twoja. Daję ci ją.

Mnisi i rodzeństwo rzucili Richardowi zaskoczone spojrzenie. Ten tylko uśmiechnął się nieśmiało i wzruszył ramionami zażenowany.

– To mówisz, że ojciec przekazał wam wiedzę o Wietrznych Katedrach? – zagadnął Evandera, by zmienić temat rozmowy.

– Razem z jednym fragmentem mapy. Wiele czasu zajęło nam ustalanie, gdzie są pozostałe.

– Dał wam jeden kawałek i nie powiedział, gdzie jest reszta?

Evangelina z westchnieniem kiwnęła głową.

– Ojciec należał do starszyny. Losowo wybrali, kto ma wziąć jeden z pięciu fragmentów. Ukryli je w klepsydrach rodowych. Na początku Palatynatu, kiedy byli przekonani, że Wietrzne Katedry przepadły, że muszą żyć tu i teraz, zajęli się budowaniem wspólnego państwa razem z ludźmi. Ale potem, po latach, gdy stosunki z ludźmi zaczęły się psuć, a plotka głosiła, że być może droga powrotna istnieje, mój ojciec powierzył swój kawałek mapy grupie zwiadowców. Zwrócili mu ją po powrocie. Podobno przynieśli obiecujące wieści. Chcieli rzetelnie przygotować się do exodusu. Nie zdążyli... – Zamilkła i smutnym wzrokiem potoczyła po zebranych. – Nam, swoim dzieciom, ojciec też nie zdążył za wiele przekazać. Powiedział jedynie, że klepsydry starszyny są rozproszone po całym Palatynacie. Że jeśli je złożymy, ukaże się droga. Tyle.

– I nie zdradził, kto ma te fragmenty? – upewnił się Ciceron. – Ani gdzie tych klepsydr szukać?

Evander potrząsnął głową.

– Tak jak powiedziała Evan, nie zdążył.

Zauważył, że patrzą na niego z niedowierzaniem. Tym razem nie powstrzymał

emocji.

– Na Onyksową Harfę, byliśmy tylko dziećmi, pamiętacie?! Potworne czasy! Eilig po kolei grzebał nasze rodzeństwo, potem naszą matkę. Nie miał możliwości zapłakać nad jednym, a już planował pogrzeb kolejnego! Był załamany. A tutejsi najchętniej spaliliby nas żywcem, gdyby nie to, że bali się wejść na teren posesji. Przeraziły ich viverny Mairin i zaraza. Gdybyście byli w tej sytuacji, powierzylibyście jakąkolwiek tajemnicę dwójce dzieciaków?! Po co pytam? Oczywiście, że nie! On też tego nie zrobił. Wiem, że razem z Mairin próbował skontaktować się z resztą starszyny.

– To prawda – zaszeleściła zjawa.

– Nic z tego nie wyszło, bo w tym czasie większość już nie żyła, a pozostali zwiali jak i my, albo zwyczajnie bali się kontaktu z zarażonymi. To dlatego do ostatniej chwili zwlekał z przekazaniem nam wszystkiego. Bo miał nadzieję na jakąkolwiek odpowiedź od kogoś ze starszyny. Jak widać, czekał zbyt długo...

Evan położyła rękę na dłoni brata. Prosty gest sprawił, że elf ochłonął, wyciszył się i zastygł wpatrzony we własny kubek z kawą. Cisza jak ciężki baldachim zawisła nad szklanym stołem. W końcu odezwał się Tancmistrz:

– Dobra wiadomość jest taka, że mamy wszystkie fragmenty, prawda?

Zobaczył pytanie w oczach Evangeline.

– Podobno powiedziałaś Richardowi, że brakuje wam tylko jednego kawałka mapy...

Kobieta jakby się ocknęła.

– No tak. Rzeczywiście. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Przez te wszystkie lata udało nam się odnaleźć trzy części. Z tą należącą do naszego ojca i tą, którą wy macie, jesteśmy w stanie złożyć mapę, ale...

Umilkła. Rzuciła im spłoszone spojrzenie. Nim jednak zdążyła powiedzieć coś jeszcze, wtrąciła się Mairin.

– Ale to nie wszystko. Sama mapa nic nie da.

Jak na komendę wszyscy unieśli głowy i spojrzeli na zjawę, która teraz niczym żywy świetlisty lampion zawisała nad stołem.

– Evangeline, powiesz im czy ja mam to zrobić?

Elfka skrzywiła się. Znów nie zdążyła otworzyć ust, bo Mairin zaszeleściła:

– Musi wam towarzyszyć elf czystej krwi, ale rozumiem, że to akurat wiecie?

– Widząc zaskoczenie w oczach mnichów, skwitowała ironicznie: – Czyli jednak nie. Kochana bando nieuków – zachichotała – podziwiam wasze romantyczne marzenia o wyruszeniu do Wietrznych Katedr, bla, bla, bla i tak dalej... Ale jeśli naprawdę chcecie tam dotrzeć, popracujcie nad zwalczeniem własnej ignorancji. Marzenia to nie latający dywan. Nie doleciecie na nich do celu!

– Od godziny nie słyszałem, że jestem idiotą. Zaczynało mi czegoś brakować

– mruknął Desire.

Ciceron chrząknął.

– Rozumiem, że nas doksztalcisz, Mairin?

– Oczywiście. I to bez zwłoki. Bo bez tych informacji macie tyle szans, co standardowy troll na mistrzostwo w tańczeniu świątynnego walca!

– Skąd ona bierze te porównania? – odezwał się półgębkiem Desire do Tancmistrza, który bezskutecznie próbował stłumić uśmiech.

– Kłopot w tym, że jeśli wszelkie skarby Dzielnicy Elfów rzeczywiście przetrwały, są odpowiednio zabezpieczone. Chcieliście mojej rady, oto ona: po złożeniu mapy ukaze się szlak, którym trzeba podążać.

– Tyle wiemy, ale gdzie on się zaczyna? – wtrącił Desire.

– A niby skąd ja to mam wiedzieć? – Mairin wzruszyła ramionami. – W trakcie ucieczki zostałam ranna. Większość drogi z Wietrznych Katedr na teren Palatynatu byłam nieprzytomna. A złożonej mapy nigdy nie widziałam. – Widząc rozczarowanie rozmówców, pospieszyła z wyjaśnieniem: – Sporo mojej wiedzy opieram na słowach Eiliga. Wyjechałam z Wietrznych Katedr, zanim księżę i starszyzna zabezpieczyli Archikatedrę. Nie było mnie przy tym, więc wiem to

tylko z opowieści. Sama z wami nie pojedę. Dzięki ich ojcu – wskazała rodzeństwo – już nigdy nie opuszczę tego kościółka. Ale powiem wam to, co Eilig przekazał mnie. Twierdził, że samo dotarcie do Wietrznych Katedr to nie wszystko. Jak powiedziałam, skarby elfów skrywa Archikatedra, czyli pałac księcia. Jej drzwi otwiera sonet zapisany na odwrocie mapy.

– I tyle? – prychnął Desire i zatarł ręce z uciechy. – To luzik.

– Jasne, luzik. – Mairin zarechotała złośliwie. – O ile pojedzie z wami elf czystej krwi spokrewniony z księciem, bo musi przyłożyć do mapy dłoń. Wtedy i tylko wtedy ukaże się szlak. A gdy dotrzecie na miejsce, musi wyśpiewać sonet, by otworzyć wrota Archikatedry. Aha, no i musicie mieć ze sobą Onyksową Harfę, by na niej ten sonet zagrać. ORYGINALNĄ Harfę, a nie tę podróbkę, którą mają w Archikatedrze Palatynatu – podkreśliła, patrząc z satysfakcją, jak miny zakonników rzedną. – A, no i jest jeszcze sprawa argemonów.

– O! Właśnie! Dobrze, że o tym wspomniałaś! Wczoraj jakoś nie złożyło się, żeby o tym pogadać, ale teraz to załatwimy! – wycedził Richard i pokiwał palcem rodzeństwu. – Wy dwoje jesteście mi winni cholernie dużo wyjaśnień! A zaraz po nich macie natychmiast odczarować Mayę! To, co jej zrobiliście...

– Argemony też jadą – przerwała mu zjawa.

– Co?! – Dee spojrział na nią jak na wariatkę. – Nigdy w życiu!

– A jednak. Bo oprócz tego, że są niewolnikami, są też wysokiej klasy muzykami. To Paola...

– Maya!

– Zgoda, Maya, musi zagrać na Onyksowej Harfie. Ten drugi, Raven, to też wirtuoz.

– W takim razie świetnie, że Barnabus przestrzelił mu kolano, a nie dłonie – mruknął Desire.

Rodzeństwo zerknęło na niego zaskoczone.

– Spokojnie. – Tancmistrz pochylił się ku Evan, a jednocześnie posłał Desire

mordercze spojrzenie. – Już się zregenerował. Maya też. Fizycznie są zdrowi, tyle że śpią. Wspominałem wam o tym wczoraj, pamiętacie?

– A, rzeczywiście – powiedział Evander.

– Obydwoje, i Raven, i ta kobieta, mają rolę do odegrania w Archikatedrze Dzielnicy Elfów – kontynuowała zjawa.

Rodzeństwo przeniosło na nią zdumione spojrzenia.

– To, że mnie unikaliście, nie oznacza, że nie wiedziałam o waszych planach! Znam wszelkie wasze grzeszki! – Spojrzała z ironią na elfy, ale zaraz zwróciła się do Richarda: – Co do Mai...

– Cudownie, że wróciliśmy do sedna! – Teraz to on jej przerwał poirytowany. – A jeśli się nie zgodzę?! Jeśli nie pozwolę wam jej zabrać?

Nagle stała się bardzo poważna.

– Wtedy drzwi pałacu księcia pozostaną zamknięte, wiele istot, o których wspominałeś, nie uzyska pomocy, a Maya na zawsze pozostanie argemonem.

– Zaraz, chcesz mi powiedzieć, że NIE MA antyklątwy? Albo innego lekarstwa? – zapytał zaczepnie, łapiąc się przy tym pod boki. – Że jedyny sposób, by z powrotem stała się człowiekiem, to zabrać ją w tę niedorzeczną podróż? No i w całym Palatynie nie ma innych muzyków, którzy mogliby to zrobić? To musi KONIECZNIE być ona?

– Maya to wirtuoz wyjątkowo rzadkiej klasy. Jedyna. I zna Onyksową Harfę. Grała na niej – wtrąciła cicho Evan. – Jeśli idzie o jej, ehm, przypadłość...

– PRZYPADŁOŚĆ?! Masz ciekawe poczucie humoru!

– Tak, musi jechać – ciągnęła niezrażona zjawa. – Bo tylko tam jest antidotum. We wnętrzu Archikatedry.

Posłał jej gniewne spojrzenie.

– I nie można tego załatwić inaczej?! A jeśli... – warknął i aż się zatchnął z wściekłości – ...jeśli kłamiesz?! Może wystarczy zabić tego, kto zrobił z niej argemona? Ciebie! – Wbił w Evan nienawistne spojrzenie. – I być może zrobię to

teraz?!

Huknął pięścią w blat, aż zastawa podskoczyła. Evangeline drgnęła w źle skrywanym strachu, a pozostali wymienili ukradkowe spojrzenia. Desire dyskretnie zacisnął palce na spluwie, Tancmistrz na nożu. Opat uniósł dłoń, jakby chciał ostudzić emocje Dee. Evander uniósł się nieznacznie na swoim miejscu i sytuacja robiła się groźna. Z opresji znów uwolniła ich Mairin.

– Jasne, dzieciaku, oczywiście. Możesz to zrobić – powiedziała ostrożnie. – Tyle że argemon umiera razem ze swym stwórcą. Nie powiedzieli ci?

Richard chwilę ciężko oddychał.

– Obiecywałaś mi, że uwolnisz Mayę! – Spiorunował Evangeline wzrokiem. – Ty też! – dodał, patrząc na Cicerona.

Opat sapnął raz po raz, ale nie odwrócił oczu. Evan nerwowo przełknęła ślinę, jednak zaraz, siląc się na spokój, oznajmiła:

– O ile sobie przypominam, powiedziałam: Jedź do Kryształowych Wodospadów, odszukaj potrzebne mi dane, a ten kościółek stanie się twoim dożywotnim azylem. Domem, którego nie miałeś.

– Jasne, szukaj wymówek!

– Powiedziałam też, że przestaną cię nękać koszmary. Że cię z nich ulecę. Obiecałam czystą kartotekę. O argemonach w naszej umowie nie było ani słowa. Wyjeżdżając stąd, nawet o nich nie wiedziałeś.

Richard spojrzał na nią z pogardą. Nie odwróciła wzroku, choć wszyscy widzieli, jak wiele ją to kosztowało.

– Wiedziałaś, co czuję do... – Gardło za nic nie chciało wypuścić tak intymnych wyznań. – Wiedziałaś, jak zależy mi... I wiedziałaś, że... A ty?! – Odwrócił się gwałtownie ku Ciceronowi. – Też nakarmisz mnie kłamstwem?! Kolejnymi obietnicami bez pokrycia?!

Opat nie zdążył odpowiedzieć, bo Dee zerwał się z krzesła, środkowym palcem zamanifestował, co myśli o zebranych.

– Pieprzcie się! Maya nigdzie nie jedzie! Nie puszczę jej w beznadzieją podróż z bandą fanatyków owładniętych mrzonkami! Zostanie bestią dożywotnio? Trudno! Ale przynajmniej będzie żyła. Udział w waszej ekspedycji jej tego nie gwarantuje!

Splunął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Odprowadzały go ponure spojrzenia zebranych...

* * *

Ruszył ku nawie poprzecznej. Z wściekłości cały się trząsł. Złapał jakieś krzesło i cisnął o najbliższy filar. Płyty posadzki litościwie przytuliły opadające szczątki. Chwilę miotał się w gąszczu aulosów i trybularzy niczym dzikie zwierzę uwięzione w ciasnej klatce. Wściekłość i rozpacz odbierały mu oddech. Dotarło do niego, że wszystkie wizje, marzenia o wspólnej z Mayą przyszłości, których spełnienia był tak blisko zaledwie godzinę temu, teraz stały się nierealne. Poczul się bezradny, jak liść niesiony wezbranym nurtem rzeki. Przysiadł na jakiejś sofie; łokcie wsparł na kolanach, twarz ukrył w dłoniach.

„Kontroluj oddech” – wspomniiał słowa Brendy.

Odruchowo zastosował się do wskazówek. Chwilę ciężko dyszał, a nozdrza znów zaatakowała subtelna woń kadzidła. Powoli wyciszył się i uspokoił.

Mijały minuty, a on ciągle był sam. Zerknął ku witrażom. Słońce było już całkiem wysoko, bo nawet zalał strumień kolorowego światła. Jakiś ptak darł się za oknem jak opętany. Poza tym nic nie zakłócało kojącej atmosfery kościółka.

– Właśnie tyle dla nich znaczę. – Spojrzał na drzwi zakrystii, za którymi ciągle trwała narada. – Nic. KOMPLETNIE nic! – Poczul gorycz. – Jestem jedynie dodatkiem do Mai. Kretynem, który miał ich doprowadzić do Sleepy Graves, a którego teraz mogą potraktować kopniakiem jak natrętnego śmiecia. Jak mogłem być tak ślepy? Głupi? Ufny?

Westchnął.

– W życiu nie słyszałam takiej ilości bzdur z ust jednej osoby! – usłyszał

szelest.

Poderwał głowę. Niedaleko, na ambonie przysiadła Mairin. Wyglądała na szczerze zde gustowaną.

– Masz ich więcej czy to już koniec repertuaru?

Zaklął, spojrzał na nią, potem znów na drzwi zakrystii.

– Chcieli za tobą lecieć. Przepraszać cię – poinformowała łaskawie. – Wszyscy. Nawet ta dziewczucha. Pokłócili się, kto powinien to zrobić. Wyobrażasz to sobie? – Zachichotała.

– Więc czemu ty tu jesteś, a nie któregoś z nich?

– Pomyśl logicznie. Wy tłumaczyłam im, że w razie czego MNIE drugi raz nie zabijesz.

Usta zjawy rozciągnął kpiarski uśmiech. Mrugnęła do niego.

– I pewnie nie uwierzysz, ale w trakcie ich kłótni imię Mai nie padło ani razu. Twoje powtarzali do upadłego.

– W jej sprawie od samego początku kłamali – powiedział, siląc się na oschły ton. – Może Evan nie obiecała mi tego wprost, ale robiła aluzje, że będę mógł z nią tu żyć.

– A mnisi?

Zawahał się.

– Ciceron obiecał...

– Co konkretnie?

Richard się skrzywił i wbił wzrok w posadzkę. Zmełł w ustach przekleństwo, ale zaraz wyszeptał:

– Że zrobi wszystko, co w jego mocy, by odczarować Mayę, a jeśli mu się to nie uda, zmusi do tego Evan.

– Właśnie: że zrobi wszystko, co w jego mocy, a nie, że NA PEWNO to zrobi. Widzisz różnicę?

Dee westchnął.

– Rozumiem. Nie powinienem mieć do nich pretensji, bo tak naprawdę niczego mi nie obiecywali. To była tylko moja nadinterpretacja.

– Dokładnie. Słyszałeś to, co chciałeś usłyszeć: że już niedługo wspólnie z Mayą będziecie żyli w szczęściu i radości, zapewne otoczeni gromadką słodkich dzieciaczków, gdzieś na obrzeżach Palatynatu. Zgadłam?

Uśmiechnęła się na widok jego zażenowanej miny.

– Problem w tym – przysiadła obok niego na sofie i skrzyżowała ramiona – że życie to nie bajka. Nawet jeśli jest pełne elfów, vivernów czy feniksów. Życie, prawdziwe życie, to mały wredny gnom, który użre cię w najmniej oczekiwanym momencie. Jest kompletnie nieprzewidywalne. Więc lepiej pogódź się z faktem, że będziesz przez tego gnoma jeszcze wielokrotnie gryziony. Bez szczególnych powodów.

Zerknął na nią z ukosa.

– Zobacz, taka Evangeline... Nie przewidziała, że naprawdę tak mocno zakochasz się w Mai. Była pewna, że szybko ci minie. A patrząc na los twojego poprzednika – tego chłopaka, Barnabusa – myślała, że może i ty zechcesz uciec, a wtedy posłuszna rozkazom Maya po prostu cię zabije. Nie masz pojęcia, jak była zaskoczona, że jednak wywiązuje się z powierzonego zadania. Co do zakonników... Zdążyłam im się przyjrzeć. Jestem przekonana, że zrobiliby wszystko, by ci pomóc, tyle że nie mieli wystarczającej wiedzy na temat argemonów i jak ich odczarować. Każdy z nich – kiwnęła głową ku drzwiom zakrystii – żyje marzeniem. Mnisi chcą pomóc istotom magicznym. Rodzeństwo śni o wyprawie do krainy przodków. Ale żadne, nawet w najśmielszych marzeniach nie sądziło, że uda im się dotrzeć tak daleko. Że kiedykolwiek od planowania przejdą do czynów.

Richard zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

– A czego? Przecież to oczywiste: oni wszyscy całe życie fantazjują

o Wietrznych Katedrach, planują, rozmyślają, co by było gdyby... Ale podświadomie zawsze czuli, że na marzeniach się skończy. I pewnie tak by się stało, gdyby nie pojawił się pan Richard Dee-Zander. – Uśmiechnęła się, wprawiając go w zakłopotanie. – Tak, Dee. To dzięki tobie i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało się mnichom skontaktować z rodzeństwem i ruszyć z miejsca. Masz pojęcie, jacy są tym faktem zaskoczeni?

– Ten plan jest beznadziejny. Powinien pozostać w sferze marzeń i ty o tym wiesz – powiedział już całkiem spokojnie.

– Cóż, jestem duchem, nie jasnowidzem. – Wydęła usta. – I nie twierdzę, że się uda. Ta wyprawa będzie przypominać wyścigi vivernów w Memoriale. Wyścigi z ogromną liczbą przeszkód. A na ogonach będą wam siedzieli ludzie palatyna i pewnie nie tylko oni. Ale jeśli to jedyna szansa na naprawienie zła, na uratowanie tak wielu istot, o których wspominałeś, oraz odzyskanie Mai, to chyba wiesz, co robić. Chyba chcesz przejść do historii jako bohater, a nie jako małostkowa istota, która wolała uważać się nad sobą?

Czy to nie jego własne słowa? Dopiero teraz Richard poczuł się jak skończony idiota. A zaraz potem zrobiło mu się jeszcze bardziej głupio na myśl, że tam, w zakrystii nie zdołał kontrolować własnych emocji. Znowu.

– Wiesz, które z nich zrobiło z Mai i tego faceta argemony? Jak w ogóle ich złowili? – rzucił od niechcienia, by wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Obydwoje. Argemonia regeneruje ich siły na kilka godzin. Może cię to zdziwi, ale czasem na krótko opuszczają rezydencję. Ravena Evander złowił w naszym miasteczku. Jego zniknięcia nikt nie odnotował, bo Raven był bezdomnym. Wyobrażasz to sobie? Genialny bezdomny skrzypek. Na dodatek bez jakiegokolwiek rodziny. Zarabiający na życie graniem na ulicach miast Palatynatu. Evander usłyszał, jak gra, i zaprosił go na kolację. Dalej już pewnie wiesz, co się stało.

– A Maya?

– Dawała charytatywny koncert w mieście. Tutejszy komendant policji,

Terraney, ma słabość do Evan. – Zjawia się uśmiechnęła. – To starszy pan, wyjątkowy dżentelmen. Zdobył bilety i zaprosił Evangeline na coś w rodzaju staromodnej randki.

– Randki? – Brwi Richarda podniosły się niemal na czubek jego głowy. – Evan? Na randce? – upewnił się.

– A cóż w tym niezwykłego? To całkiem atrakcyjna kobieta! A kobiety chodzą na randki, wiedziałeś? Po co pytam? Oczywiście, że nie! – Zachichotała, jakby właśnie usłyszała niezły dowcip.

– Hej, chodzę na randki!

– Jaasne! – Teraz już nabijała się z niego w żywe oczy.

– Miałem... ehm... drobną przerwę w tych sprawach, tak? Byłem zajęty innymi rzeczami. No i nie każdy randkuje tak często jak Desire!

Czy wyglądał równie głupio, jak się czuł? I właściwie to czemu tłumaczy się ze swego życia uczuciowego jakiemuś popapranemu duchowi?

– Bywałem na wielu randkach, ale nigdy ze starszymi paniami! Jasne?! – rzucił urażonym tonem. Pełnię kompromitacji odczuł chwilę później, widząc, jak zjawia zanosi się ze śmiechu.

– Łaaa! Moje gratulacje! – wypaliła i zaczęła klaskać. – Ale zapamiętaj, dzieciaku, w tych sprawach nie wiek jest istotny, nawet nie płeć ani gatunek, a uczucie. U-czu-cie! – rzuciła, siląc się na powagę. – Co do Evan... Wiesz, zasadniczo ma ponad osiemdziesiąt lat, czyli dla Terraneya to ona jest staruszką, tyle że on o tym nie wie. I lepiej niech tak zostanie – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

Czas mijał, Mairin trajkotała jak najęta o sprawach sercowych, a Richard rozważał, jak ukrócić jej gadulstwo. A przede wszystkim sprowadzić rozmowę na interesujący go temat argemonów.

– Pomyśl, Dee – szelest zjawy znów wyrwał go z zamyślenia – która kobieta nie zechciałaby wyrwać się z tej dziury, nawet jeśli miałyby to oznaczać randkę ze starcem.

Na jej szeroki uśmiech nieświadomie odpowiedział uśmiechem.

– Zresztą nie traktowała tego wyjścia jak randki, przypominam ci, ale jako łowcy na argemona właśnie! Bo widzisz, dzięki znajomościom komendanta po koncercie weszła za kulisy i poznała Mayę. Obie tak się polubiły, że jeszcze tego wieczora w towarzystwie kilku innych osób wspólnie zjadły kolację. Jak powiedziałam, to były łowy. Do drinka Mai Evangeline wrzuciła nasionko argemonii z rozkazem, by dziewczyna stopniowo wycofała się z życia publicznego. Pod pozorem choroby oczywiście. Następnego dnia Maya wyjechała, by za jakiś czas powrócić już całkiem anonimowo i podjąć służbę jako argemon.

– Ooo... A Terraney? Czemu Evan z niego nie zrobiła argemona?

– Bo jest komendantem, musiał wrócić między ludzi. Nie widziała potrzeby, by tak ryzykować, no i starszy pan mógłby tego nie przeżyć, a ona chyba naprawdę go polubiła.

– A ja? Czemu mnie nie zmieniła? Bo nie zmieniła, prawda?

– Prawda. Pomijając fakt, że to zakazane, posiadanie jednego argemona to ryzyko, dwóch to szaleństwo, trzech – głupota granicząca z samobójstwem. Nadzorowanie sfory argemonów to rzecz trudna dla zdrowego elfa, niemożliwa dla kogoś tak wycieńczonego jak tych dwoje. Miałaś znaleźć klepsydry. To wymaga planowania, logicznego myślenia, analizy, przewidywania ryzyka. Argemony nie mają aż takiej jasności umysłu. To posłuszni, ale niebezpieczni niewolnicy, przypominam ci. Już wysłanie Ravena i Mai z tobą było wysoce nieodpowiedzialne. Nawet jeśli ten wypierdek Raven miał tylko nadzorować Mayę, a ona ciebie. To cud, że nie zakończyło się katastrofą. – Z głosu Mairin zniknęło wszelkie rozbawienie.

Dee przypomniał sobie tego chłopaka, Jima, leżącego pod drzwiami celi w kałuży krwi. Zacisnął szczęki i kiwnął głową, że podziela jej zdanie.

– Teraz najważniejsze. Nawet jeśli zabierzesz Mayę na koniec Palatynatu, ukryjesz w niedostępnym miejscu i będziesz strzegł jak oka w głowie, ona i tak nie będzie bezpieczna. Ani ty przy niej.

– Wiem – westchnął. – Jej los jest ściśle związany z jej stwórcą, z tym, kto zrobił z niej argemona.

– Właśnie. Jeśli w trakcie wyprawy do Wietrznych Katedr coś stałoby się Evangeline...

– Maya umrze – dokończył cicho.

Przez chwilę żadne się nie odezwało.

– Tak więc widzisz, że...

– Że mogę się wściekać, tłuc pięścią w stół do upadłego, a ona i tak musi pojechać. – Znów westchnął. – Chyba że uświadomię im, że tych planów nie sposób zrealizować, ale wtedy...

– Maya na zawsze pozostanie argemonem – dokończyła Mairin. – Ale ty wiesz, że oni nie odpuszczą, prawda? Choćby mieli zginąć, wybiorą się w tę podróż...

Oboje spojrzeli na drzwi zakrystii, za którymi wciąż panowała cisza. Richard kiwnął głową.

– Wiem – powiedział cicho. – Chodźmy. Trzeba wszystko dokładnie przemyśleć i zaplanować. Zwłaszcza że w trakcie wyprawy będę musiał ochraniać dwie kobiety...

* * *

Na widok Richarda stojącego w drzwiach zakrystii Desire zamarł w pół słowa. Pozostali natychmiast zwrócili głowy w tamtym kierunku. Przyjrzeni się Dee niepewnie i jakby z wyczekiwaniem. Evan z Ciceronem już chcieli coś powiedzieć, zapewne przeproszać, ale Dee powstrzymał ich gestem.

– Trzeba ustalić tożsamość elfów spokrewnionych z księciem – powiedział spokojnie. – Tych, którym udało się dotrzeć na teren Palatynatu w czasie Apokalipsy, i tych, którzy urodzili się już tutaj.

Powoli podszedł do stołu, usiadł, nalał sobie kolejny kubek kawy, upił łyczek

i kontynuował:

– Zorientować się, czy któryś z nich przeżył zarazę, namierzyć i skłonić do współpracy. Jeśli nie przeżył nikt, kończymy temat. Wyprawy nie będzie. Jeśli nam się powiedzie, w drugiej kolejności musimy się dowiedzieć, gdzie jest Harfa. Pewnie jest świetnie ukryta i zabezpieczona. Tak przy okazji, Mairin – zerknął ku belkom sufitowym, gdzie znowu przycupnęła zjawa – skąd wiesz, że ta w Archikatedrze Palatynatu to kopia, nie oryginał?

Mairin się uśmiechnęła.

– To proste, dzieciaku, sama kiedyś na niej grałam. Oryginalny instrument rozpoznałabym wszędzie.

– Ooo! – Z ust Evangeline dało się słyszeć westchnienie pełne niedowierzania.

– Rozumiem – powiedział Dee. – Tak czy siak, czeka nas ogrom roboty. Zapewne poszukiwania elfa i Harfy zajmą mnóstwo czasu, więc nie traćmy go więcej na czcze gadanie czy kłótnie. Od czegoś musimy zacząć. Na początek proponuję obejrzyć mapę. Evander, pokaż nam wasze fragmenty.

Elf zerknął na siostrę, jakby czekając na przyzwolenie. Gdy skinęła głową, podniósł się od stołu i na chwilę zniknął we wnętrzu oranżerii. Wrócił stamtąd z... małym vivernikiem uczepionym ramienia niczym tresowana papuga. Zwierzątko wyglądałoby jak oskubana kura, gdyby nie specyficzny gądzi kształt głowy osadzony na długiej szyi oraz goły ogon zakończony kolcem. Wąskie skrzydła pokryte rudymi piórkami podrygiwały, jak gdyby vivern miał kłopot z utrzymaniem równowagi.

– Ruiz! – zaszeleściła na jego widok zjawa. – Mój mały, kochany Ruiz.

Vivern zerknął na nią i zakwilił jak kociak na widok swej kociej matki. Mairin się rozpromieniła.

– Potrzebujemy twojej pomocy, skarbie – szepnęła z czułością. Podleciała do Evandera, spróbowała pogłodzić zwierzątko, lecz jego głowa przeszła przez jej dłoń, rozwiewając ją na podobieństwo dymu. Zrobiła minę, jakby miała się rozpłakać, że nie może przytulić swego ulubieńca. Pociągnęła nosem i powiedziała cicho: – To

nie potrwa długo, obiecuję. Zaraz będziesz mógł wrócić do oranżerii. Odpocząć.

Zauważyła, że mnisi przyglądają się zwierzakowi z ciekawością. Pospieszyła więc z wyjaśnieniami.

– Ruiz to vivern rasy ptasznik ogrodowy. Nie wiem, czy poza nim żyją jeszcze inne egzemplarze tych vivernów. To staruszek. Ale jak zaraz zobaczycie, bardzo pomocny.

– Załatwmy to szybko, bo biedak błyskawicznie się męczy – wtrąciła cicho Evan, a Mairin zerknęła na nią... z życzliwością! – Chodźmy.

Elfka ruszyła ku drzwiom zakrystii wiodącym do wnętrza kościółka. Mężczyźni karnie podążyli za nią. Orszak zamykała zjawa, frunąc nad ich głowami i nie bardzo przejmując się faktem istnienia ścian. Zatrzymali się na skrzyżowaniu nawy głównej z poprzeczną.

– Odsuńcie się. Musimy zejść tam – zakomenderowała Evan, wskazując podłogę.

– Tam jest mapa? – mruknął Desire. – No to mogliśmy szukać do upadłego.

Posadzka świątyni była jednolita. Przynajmniej do tej pory tak im się zdawało. Jednak kiedy elfka wykonała gest, jakby gładziła powietrze, dostrzegli, że proste tafle kamienne pokryte są zatartymi przez czas i buty mieszkańców napisami. Można było jedynie podejrzewać, że są to płyty nagrobne. W jednej z nich ukazały się zatopione w kamieniu metalowe kółka, których – a daliby za to głowę – wcześniej tam nie było.

Richard poczuł się nieswojo. Zakłuło go w piersi i na moment zabrakło tchu. Na szczęście nie był to początek ataku, a zwykłe emocje.

„Jeśli na cmentarzu pochowali wszystkich, to kto spoczywa tutaj?” – pomyślał i przełknął ślinę.

Wyjaśnienie było na wyciągnięcie ręki, tak więc wspólnie z Desire i Tancmistrzem wyciągnął dłoń ku metalowym uchwydom...

– Czekać! Sama to zrobię! – Rozkaz Evan osadził ich w miejscu. – Nie

o ciężar kamienia chodzi, ale o zakłęcie blokujące.

Wyciągnęła ręce przed siebie, przymknęła powieki.

– *Terminatus* – szepnęła i jeszcze raz, tyle że z większą mocą: – *Adsurgere!*...

Dłonie elfki zaczęły zataczać kółka coraz wyżej i wyżej, usta powtarzały zakłęcie. Posadzka lekko zadrżała pod stopami. Nagle pierścienie zatopione w kamieniu wystrzeliły ku górze. Jak gdyby niewidzialna siła przełożyła przez nie drągi i wszystkie cztery jednocześnie szarpnęła. Między brzegami płyty a podłogą pojawiły się małe szczeliny, z każdą chwilą wydłużające się i pogłębiające. Towarzyszył temu okropny zgrzyt kamienia o kamień. Kurz zatykający szczeliny znikł. Pomału płyta zaczęła się unosić.

Mężczyźni cofnęli się, patrząc z uznaniem i ciekawością to na Evangeline, to w głąb otwierającej się krypty. Płynnym gestem, jak gdyby tańczyła, Evan odesłała kamień nagrobny ku wannie z argemonią i tam pozwoliła mu delikatnie spocząć. Ciemna czeluść u jej stóp nie wyglądała zachęcająco, jednak kobieta zrobiła krok ku pierwszemu stopniowi, który się ukazał.

– Poczekaj! – Tym razem Tancmistrz łagodnie, acz stanowczo zatrzymał elfkę. – Pozwól sobie poświecić.

Nie zdążyła zaprotestować. Mnich szepnął *Illumina* i rój latarenek otoczył Evangeline, a potem popłynął za nią, rozświetlając mrok krypty. Kiedy kobieta przechodziła koło Richarda, ten ujrzał, że w kącikach oczu oraz ust pojawiło jej się kilka zmarszczek, i natychmiast zrozumiał, skąd nagła kurtuazja Tancmistrza. Płowowłosy zakonnik zwyczajnie nie chciał, by na kolejne zakłęcia Evan straciła zbyt wiele energii.

Dee poszukał wzrokiem zjawy. Siedziała na ambonie i beztrąsko machając nogami, obserwowała wszystkich z góry. Zmarszczył brwi i kiwnięciem głowy wskazał kryptę. Udała, że nie dostrzegła tak oczywistego zaproszenia do wejścia do środka.

Dee złapał się pod boki.

– Mairin – rzucił dziwnie uprzejmym tonem. – Wyjątkowo PROMIENNIE

dziś wyglądasz. Zechciej być naszym słoneczkiem i oświecić nas oraz kryptę. No już! Nikt nie będzie się migał od roboty!

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– Masz pojęcie, ile siedziałam w zamknięciu? Sami sobie tam wchodźcie!

– Mairin! Nie proszę cię, żebyś wróciła do urny, tylko żebyś oświetliła kryptę. To dla ciebie akurat drobnostka, a możesz wspomóc potrzebujących. – Wzrokiem wskazał Evan, właśnie znikającą w podziemiach.

– Serio muszę?

Dee skrzyżował ramiona. Jego spojrzenie mówiło: krypta albo powrót do urny. Zjawa skrzywiła się, sapnęła i marudząc pod nosem coś na temat klaustrofobii, podążyła za elfką. Już po chwili jej błyszcząca postać rozświetliła mroki grobowca.

Jeden za drugim mężczyźni schodzili w głąb krypty. Pierwszy za Evan szedł Evander z Ruizem na ramieniu. Ciasne wejście, plecy elfa i chwiejący się vivern skutecznie utrudniały pozostałym dojście, co jest w środku. Tuż za elfem szedł Richard. Początkowo skupiony, by nie zlecieć ze stromych schodków, pilnie patrzył pod nogi, jednocześnie przytrzymując się metalowego łańcucha mającego robić za poręcz. Musiał się schylić, by nie uderzyć głową w brzegi otworu wiodącego do krypty. Już w środku uniósł głowę, rozejrzał się i... cofnął gwałtownie. Ale jako że ciągle znajdował się na dolnych, zbyt gładkich, stopniach, dusząc okrzyk strachu, zjechał na tyłku na sam dół, widowiskowo podcinając nogi Evandera; Evan w ostatniej chwili umknęła im z drogi. Obydwaj spadli ze schodów, przeturlali się kilka razy i zatrzymali w komicznych pozach pod jedną ze ścian. Przestraszony Ruiz latał w kółko, skrzecząc jak zachrypnięta papuga. Gdzieś z góry dobiegło ich wyklinanie Tancmistrza, któremu ledwo udało się utrzymać równowagę po zderzeniu z plecami Dee.

– Mogłeś uprzedzić! – wysapał Richard w stronę oszołomionego Evandera, głową wskazując coś stojącego u podnóża schodów.

– Wybacz! – wydyszał tamten. – Kompletnie o nim zapomniałem. Desire!

Tancmistrz! Uważajcie na...

Ale nie było mu dane dokończyć, bo usłyszeli zduszone „Ja chędożę!”, a sekundę później reszta mnichów, potykając się i turlając, podobnie jak oni, dotarła na dół. Przerażenie sprawiło jednak, że błyskawicznie pozbierali się z podłogi. Desire odruchowo wyjął spluwę i przeładował, a Tancmistrz dobył noża.

– Nie! – rzucił stanowczo Evan i wszyscy zastygli w bezruchu.

– W mordę! – wychrypiał ciemnowłosy mnich i gwałtownie wciągnął powietrze.

Evander wystawił dłoń, na której natychmiast wylądował Ruiz. Wspólnie wysunęli się przed mnichów, odgradzając ich od... postawnego faceta zamarłego z uniesionym mieczem w jednej dłoni i niewielkim vivernem szykującym się do lotu na drugiej. Przerażający grymas na twarzy tamtego, wyszczerzone zęby gada i jego rozwarty pysk sprawiały upiorne wrażenie w półmroku krypty. Kimkolwiek był ten świetnie zachowany nieboszczyk, miał wyglądać na żywego, atakującego i świetnie mu się to udało. Zebrani potrzebowali dłuższej chwili na ochłonięcie.

– Dobra – sapnął Desire. – A ten to kto? Sądząc po wyglądzie i ciuchach, powiedziałbym, że też elf. Ale jak na nieboszczyka zbyt świeży.

– Bo to jest elf – rzuciła Mairin, która właśnie nadleciała. Zatrzymała się opodal, dokładnie oświetlając tę część krypty. – Poznajcie, proszę, Nathaniela. Mojego męża.

– Co takiego?! – wykrztusił Ciceron.

Mairin uśmiechnęła się nieśmiało.

– To Nathaniel, mój...

– Usłyszeliśmy! – huknął Desire. – Ale kto go zabił? Bo nie żyje, prawda?

Kilka razy dźgnął palcem nieboszczyka. Ten ani drgnął. Mnisi spojrzeli na rodzeństwo. Było tyle niepokoju w ich oczach, jakby właśnie uświadomili sobie, że patrzą na parę seryjnych morderców, którzy za sekundę im też rzucą się do gardeł, a potem na ich zwłokach urządzą sobie perwersyjną imprezę.

- Nie my. – Evan szybko uniosła dłonie w uspokajającym geście.
- De facto to zrobiła ONA! – Palec Evandera wystrzelił ku zjawie.

Ta znów uśmiechnęła się jakby zażenowana.

– Zatlukłaś własnego męża?! – Richard sam nie wierzył, że zadał to pytanie. – Na Onyksową! Dlaczego?! Jak?!

Mairin chwilę milczała. W końcu jednak wyszeptała ze wstydem:

– Przez przypadek.

– Przez CO, przepraszam?!

– Oj, no przypadek, tak? Elfy z innych rodów wspierane przez tutejszych chciały się pozbyć ich rodziny. – Wskazała głową Evandera. – Przyleźli jednej nocy. Nie mieli zamiaru zostawić nikogo żywego. Nathaniel z Eiligiem zaczęli nas bronić. Dałam im do pomocy moje viverny. Ale to nie zrobiło na nich wrażenia. Tamci przestali się ich bać. Zranili Eiliga, zabili jednego viverna. Niemal wdarli się do rezydencji pełnej płaczących dzieci i wtedy...

Zająknęła się i zamilkła. Opowieść dokończyła Evan.

– Wtedy Mairin wypuściła bazyliuszka.

– CO zrobiła?! – sapnął Desire.

Zszokowani przyglądali się zjawie. Ta nic nie odpowiedziała. Opuściła głowę i jakby przygasła, wisząc w powietrzu obok swego męża.

– Mały był – bąknęła. – Jeszcze nic nie umiał. Miał ich tylko nastraszyć.

– TYLKO nastraszyć? – Evangeline westchnęła. – Na Onyksową Harfę! Do tej pory mam koszmary na wspomnienie tej bestii! A ona – wskazała zjawę – myślała, że zdoła go kontrolować. Nielicznym udało się uciec. Ale te wszystkie nagrobki... – Machnęła ręką gdzieś za siebie, w stronę pobliskiego cmentarza. – Te nagrobki ciągle przypominają mi tamtą noc. Zanim Mairin przywołała bazyliuszka do porządku, ukatrupił jeszcze wszystkie viverny, a z Nathaniela zrobił figurkę.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. W końcu milczenie przerwał Richard.

– Co powiedzieliście konstablom?

– Nic.

– Jak to nic?! Tyle tam grobów, a konstable nie zadali nawet jednego pytania?!

– Dee, ten cmentarz jest tak stary jak kościółek – wtrącił Evander. – Pochowano na nim kilka pokoleń tutejszych mieszkańców jeszcze przed zarazą. W rzeczywistości grobów napastników nie ma zbyt wiele. Na widok bazyliuszka większość wiała, aż się kurzyło.

– No ale konstable musieli o wszystkim się dowiedzieć – upierał się Richard. – Bazyliszek wykończył kilku obywateli Sleepy Graves, a reszta milczała? Wierzyć się nie chce...

Elf tylko się uśmiechnął.

– Pamiętam, jak Mairin darła się za uciekającymi, że jak polecą do konstabli, to bazyliszek nogi im z tyłków powyrywa, i to dosłownie. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak szybko zwiewał. Jasne, baliśmy się, że się wygadają, ale widać potraktowali groźby serio.

– Niewiarygodne... – Dee aż westchnął.

– Ale prawdziwe – odezwał się Ciceron. – Nie mówi się o tym głośno, ale w tamtych czasach w małych miejscinach takie rzeczy zdarzały się wcale nie tak rzadko. Szalała zaraza, społeczeństwo się rozpadało. Czystej krwi elfy padały jak muchy, mieszańce chorowały. I wśród nich zdarzały się zgony. Nawet ludzie nie czuli się pewnie. Każdy chronił własny zadek, a policji było jak na lekarstwo. Żaden rozsądnie myślący konstabl nie przyjechałby na pomoc zarażonym elfom. Każdemu życie było miłe. Po wszystkim sporządzało się notatkę, że w takiej to a takiej miejscowości zaraza zabiła tyle a tyle osób. Koniec tematu. Wszystko zamiecione pod dywan. Można żyć normalnie, jak gdyby nic się nie stało. Ty urodziłeś się dużo później. Nic nie wiesz o tych sprawach. Dzieciakom w szkole podaje się jedynie słuszną wersję historii. Każde kolejne pokolenie wie coraz mniej i po prawdzie ma to gdzieś. Staliśmy się społeczeństwem egocentryków i egoistów. A Święto Srebrzystych Kaganków już dawno nie jest ku pamięci elfów. To

zwyczajnie rozpasana konsumpcja podszyta wzniosłą ideologią.

– To, co powiedział Ciceron, to szczerą prawdą – wtrąciła Evan. – Tamtej nocy atak był możliwy, bo konstable pojechali do sąsiedniego miasteczka ochraniać kogoś ważnego. Pomogliśmy ojcu i Mairin pochować napastników. Kiedy pojawił się tutejszy konstabl, wszystko było uprzątnięte. Nas zastał w żałobie po kolejnych pogrzebach rodzinnych. Nie wiedział, że te kilka świeżych grobów tym razem skrywa więcej niż jedne zwłoki. No i usłyszał, że zaraza zabrała Nathaniela, którego szanował i podziwiał. Nie chciał dodawać przykrości Mairin trudnymi pytaniami czy rozkopywaniem grobów ofiar zarazy. Wkrótce potem zginął w jakichś zamieszkach, a nam przysłano nowego konstabla, którego interesowało jedynie wygodne życie z dala od problemów. Tak jak powiedział Ciceron, wszystko zostało zamiecione pod dywan. Do Sleepy Graves napłynęli nowi mieszkańcy. Historia stała się jedynie plotką, ale na tyle żywą, że nawet po latach tutejsi wolą trzymać się od nas z daleka.

– Ooo! – Tylko tyle zdołał wykrztusić Desire.

– Podsumowując – odezwał się Tancmistrz – Nathaniela i kilku napastników załatwił bazyliszek?

Elfy wymieniły spojrzenia i wspólnie potwierdziły skinieniem głów.

– Jaki gatunek? Bo może da się ożywić męża Mairin, a wtedy mógłby nam pomóc.

– Bard zielonooki.

– Bard?! Mairin, miałaś tak niebezpiecznego bazyliszka jak bard?! – wykrztusił Tancmistrz. – Tego, który śpiewem przywabił ofiary, a potem, zanim zabił, dla zabawy wyrywał im kończyny i wypruwał flaki?! – upewnił się.

– Ahaaa...

Mężczyźni gapili się przerażeni na zjawę. Ta wierciła się jak na przesłuchaniu.

– Czyś ty kompletnie zgłupiała?! – naskoczył na nią Richard. – Bardy od zawsze były zakazane. Przy nich bazyliszek krótkopyski to łagodny szczeniak do zabaw z dziećmi!

Usta Mairin zadrżały. Pociągnęła nosem raz czy dwa, nawet zamrugła, jakby miała się rozpłakać, ale uparcie milczała.

– Też jestem winna. Prócz mnie o bazyliżku nikt nie wiedział – odezwała się cicho Evan. – Jednego wieczora, krótko przed tymi zdarzeniami, poszłam za Mairin na skraj posesji. Miała tam kilka pomieszczeń gospodarczych i świetnie ukryte klatki. Chciałam o wszystkim powiedzieć ojcu, ale zagroziła, że nas wyrzuci. Poza tym twierdziła, że ten konkretny jest łagodny, tresowany i nikomu nic złego nie zrobi. Nawet dała mi go pogłaskać! Byłam dzieckiem, nie wiedziałam, co robić, komu wierzyć...

– Zawsze mówiłem matce, że Mairin jest pomyłona. Że nie można jej ufać – wtrącił Evander. – Miała skłonności do hodowania niebezpiecznych zwierzaków. Macie pojęcie, ile miała vivernów? Szczęście, że wszystkie były małe i w miarę karne, a potem zabił je ten bazyliżek.

– O rany! – Dee podrapał się po głowie. – Ale się porobiło.

– Słuchajcie! Jeśli weźmiemy Nathaniela do Fenaby, Sloanowi na pewno uda się go ożywić – rzucił Desire. – Nie takie rzeczy robił.

– Warto się nad tym zastanowić – odezwał się Ciceron.

– On nic wam nie powie. Nic nie wie! – zaszeleściła szybko i nerwowo Mairin.

Richard zmarszczył brwi. Pozostałych też zastanowiła reakcja zjawy.

– Nie ma sensu go ożywiać. Pewnie i tak się nie uda. Lepiej zostawić go tak jak jest, w tej krypcie – szeleściła coraz szybciej. – Zresztą on jest w pewnym sensie martwy, ja też nie do końca żywa. Dobrze nam będzie w tym stanie razem...

– Nathaniel nic nie wiedział, prawda? – przerwał jej Richard. – Nie miał pojęcia o bazyliżku. A może wiedział, ale stanowczo zabronił ci tej hodowli?

Skrzyżował ramiona. Zmieszała się, więc chyba trafił w sedno.

– A więc to taaak... Zakazał ci trzymać bazyliżka. Nie posłuchałaś. Bestia pozabijała wszystkich na swojej drodze, a ty obawiasz się, co zrobiłby kochany

mężuś, gdyby wrócił do świata żywych. Ale wyluzuj – zakpił. – Sama powiedziałaś, że nie sposób cię drugi raz zabić. Co najwyżej zamknąby cię do urny.

– Bez Pimpusia nie dalibyśmy rady! – załkała Mairin. – Spaliliby rezydencję, zabiliby wszystkich.

Richard zastanowił się, czy istnieją szpitale dla umysłowo chorych duchów.

– Dałaś bazyliškowi na imię... Pimpuś?!

Desire parsknął śmiechem. Tancmistrz chrząknął i skupił się na studiowaniu detali własnego noża. Ciceron przygryzł usta, dłonią przysłonił oczy. Tylko rodzeństwu udawało się jeszcze utrzymać powagę, podczas gdy zjawa zawyła niczym zawodowa płaczka na pogrzebie.

– Był kochanyyy! Wychowałam go od jajkaaa! A potem Eilig wykończył go pająkamii! I za cooo?! Przecież nas uratowaaa!...

Przez chwilę wszyscy – czy ogłuszeni donośnym wyciem zjawy, czy niepewni, co dalej robić – milczeli.

– Niech mnie ktoś zastrzeli! – burknął w końcu Tancmistrz. – Mairin, obiecujemy ci, twój mąż pozostanie dokładnie tak samo nieżywy jak do tej pory! Tylko się, na Onyksową Harfę, zamknij!

Zjawa chyba go nie usłyszała.

– Spokojnie, Mairin! – Richard, Ciceron oraz Evan wspomogli Tancmistrza. – Już dobrze. Wszystko zostanie po staremu. Naprawdę nie musisz się obawiać.

Ta wyła dalej. Od jej wrzasków Dee rozboleła głowa, a pozostałym zaczęły puszczać nerwy. Zaczęli się wspólnie przekrzykiwać i mała krypta zmieniła się w przerośnięty ul pełen wściekłych pszczoł. Pierwszy nie wytrzymał Evander.

– No, ile można?! – krzyknął – Mairin, *Mortua! Silentium!* Pozostali ciszaaaa!

Nagle świetliste ciało zjawy znieruchomiało obok swego skamieniałego męża i w przeciwieństwie do istot żywych poddanych tym zaklęciom, zapadło w głęboki sen. Reszta umilkła. Nagle w krypcie, pełnej przed chwilą gwaru, zapadła

niesamowita cisza. Dało się słyszeć jedynie westchnienie ulgi z ust Tancmistrza.

– By to elfia zaraza! – Przeczesał dłonią płowe włosy. – A ja myślałem, że to Tom Smithard ma świra na punkcie bestii. Dobrze, że tych dwoje nigdy się nie spotkało. Wspólnie zgotowaliby nam armagedon.

– No. Dobre i to, że ta wariatka z nami nie jedzie. Przynajmniej nasze szanse z minus pięćdziesiąt skoczyły do zera – odparł Desire. – Dobra, zobaczymy w końcu tę mapę?

* * *

Krypta tonęła w półmroku. Tancmistrz wyczarował więcej latarenek i rozesał je w każdy zakamarek grobowca. Dopiero teraz mogli zobaczyć go w całej okazałości. Było to dość obszerne kwadratowe pomieszczenie wyłożone szarym kamieniem i wsparte na kilku kolumnkach, na oko dwa razy szersze niż nawa główna kościołka i takiej samej długości. W niszach ściennych po obydwu stronach kryły się metalowe, zdobione kwiecistymi reliefami trumny różnej wielkości. Najbardziej okazały kamienny sarkofag zajmował środek pomieszczenia, między kolumnami a za skamieniałą postacią Nathaniela. Przypadkowa ofiara bazyliuszka miała chronić lokatorów grobowca przed odwiedzinami wścibskich. Przynajmniej tak mogło to wyglądać dla osób niewtajemniczonych.

– Rodzina Nathaniela – szepnęła Evan, wskazując trumny. – Ich też zabrała zaraza.

Teraz, kiedy ucichły wrzaski i płacz Mairin, uwaga wszystkich skupiła się na grobowcu i jego mieszkańcach. Mężczyźni poczuli się nieswojo, gdy dotarł do nich sens słów elfki. Byli tak blisko ofiar zarazy... Desire zacisnął szczęki, Richard dyskretnie wytarł w spodnie spocone dłonie. Głęboko odetchnął chłodnym i lekko stęchłym powietrzem.

– To co z tą mapą?

– A tak, mapa.

Evangeline podeszła do jednej z nisz. Stały tam dwie niewielkie metalowe

trumienki.

– Wybacz – usłyszeli jej szept, jakby zwracała się do osoby wewnątrz! Nacisnęła jeden z płatków kwiatu zdobiącego trumnę, a wtedy cały motyw roślinny odskoczył niczym klapka. Evan sięgnęła do wnętrza i zaczęła czegoś szukać. – Tu spoczywa siostra Nathaniela – wyjaśniła. Dłoń nadal poszukiwała. Wreszcie coś uchwyciła i po chwili oczom zebranych ukazało się proste metalowe pudełko.

– I wkładasz tam rękę, ot tak? Nie obawiasz się zarazy? – zapytał Desire.

– Ciała elfów, nieistotne czy zmarłych na zarazę, czy na coś innego, rozsypują się, pamiętasz? Ta trumna to tylko piękne opakowanie. Hołd rodziny dla zmarłej. Siostra Natha umarła w Metropolii. Jej prochy przywieziono do Sleepy Graves w kamiennej urnie szczelnie zamkniętej. Nie zdążyła nikogo zarazić. To nie martwych musimy się bać.

Podąła Ciceronowi pudełko.

– Niezła skrytka. – Ciemnowłosy zakonnik wykrzywił usta z uznaniem, lecz zaraz wszyscy skupili się na kasetce.

– Tam będzie wygodniej. – Evander wskazał kamienny sarkofag.

Opat położył kasetkę na płycie grobowca. Wyciągnął dłoń do Tancmistrza, który pogrzebał w kieszonkach paska i dobył płaską paczuszkę. Otworzył ją. Ostrożnie wyjął karteluszek wielkości dłoni, poźółkły i postrzępiony na brzegach. Położył świstek na płycie, delikatnie wygładził. Gdy opat otworzył kasetkę, zebrani wstrzymali oddech. Richard przyjrzał im się dyskretnie.

„Na Onyksową Harfę! Są tak nakręceni, że nie wiem, czego im życzyć. Jeśli mapa zadziała, aktywuje się, ci wariaci pójdą jej śladem na koniec świata, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Jak nie zadziała, będą załamani. Nie wiadomo co gorsze”.

Tymczasem opat po kolei wyjmował pozostałe kawałki papieru. Niczym sporych rozmiarów pogniecione puzzle dopasował poszczególne fragmenty. Po chwili mieli przed oczami pustą kartę. Wymienili spojrzenia.

– Co teraz? – szepnął Desire.

– Ruiz – odparła Evan i po chwili wszystko stało się jasne.

Evander pogładził viverna po głowie, szepnął coś, wskazał zwierzakowi fragmenty. Ten nabrał powietrza, a potem... westchnął, wypuszczając wprost na papier maleńkie obłoczki błękitnego dymu. Wszyscy wlepili oczy w karteluszek, sami niemal wstrzymując oddech. Evander zacisnął palce na kamiennej płycie sarkofagu, Evan na ramieniu brata. Vivern ponownie westchnął. Błękitny dym przesunął się po papierowych kawałkach, scalając je i na jedną niewielką chwilę uwidaczniając sekrety dokumentu.

Ujrzeni tekst sonetu, a tuż obok notatkę dopisaną pięknym zamasztysem pismem. Notka głosiła:

*Podwójna armilla zdobi jego ramię
Szkłany sarkofag skrywa jego ciało
Archikatedra śpiących dusz
Miejscem spoczynku majestatu
Znajdź go, wydobądź i przywróć światu...*

Litery reszty wiersza i dopisku zapulsowały i zgasły. Widoczny został jedynie fragment z Richardowego kawałka mapy.

– Nie zniknął – mruknął Evander i w zamyśleniu pomasaował się po brodzie. – Ciekawe.

– Pewnie ten kawałek ktoś niechlujnie obłożył zaklęciem utajniającym. Skandaliczne, ale się zdarza. – Evan wydeła usta.

– Ten fragment widzieliśmy już wcześniej – wtrącił Desire. – Tylko geniusz zapamiętałby resztę, widząc ten tekst przez kilka sekund. Czyli nic nam to nie dało.

Evangeline zmarszczyła brwi.

– Jak to nic nie dało? Fragmenty się scalały. Na dobre. Czyli mamy potwierdzenie, że to JEST mapa! Mamy jeden fragment sonetu i notatkę, której

znaczenie musimy rozszyfrować. To bardzo, bardzo dużo.

– Ale ciągle za mało. Może niech Ruiz jeszcze raz...

– Ruiz zakończył swoją robotę – ucięła Evan. – Scalił mapę, potwierdził jej autentyczność. Mógłby chuchać do upadłego, a więcej i tak nie zdołała. Proponuję...

Ale ciągu dalszego nie było, bo nagle Ruiz coś ćwierknął, Evander zarządził ciszę, a wtedy usłyszeli... stukot czyichś podkutych butów na posadzce kościółka! Odgłos niebezpiecznie zbliżał się ku wejściu do otwartej krypty, a czyjś tubalny głos zawołał:

– Evangeline, moja droga? Jesteś tu?!

Szybko wymienili spojrzenia.

– Terraney! – szepnęło rodzeństwo.

– A ten co tu robi?! – mruknął Dee.

Evangeline się skrzywiła.

– Całkiem zapomniałam, zaprosił mnie na obiad.

Wzięła głęboki wdech, zrobiła krok ku schodom.

– Zaraz to załatwię.

Richard złapał ją za rękę. Pokręcił głową.

– Nie możesz tam pójść.

– Znam go. Szybko się go pozbędę! – syknęła.

– Terraney zna starszą schorowaną panią, nie dużo młodszą śliczną kobietę. – Spojrzał na nią znacząco.

– Ś-śliczną?

– Wmówisz mu, że użyłaś ekstrakremów odmładzających?

Kroki rozbrzmiewały coraz bliżej.

– Evangeline? Nic ci nie jest?

Wszyscy wycofali się pod ściany i tylko Richard przyłożył palec do ust,

nakazując pozostałym ciszę. Tancmistrz gestem wygasił latarenki, a Evander odesłał ducha Mairin ku najgłębszym niszom. W ciemnościach Richard złapał Desire za ramię.

– Latarka! Dawaj ją! – szepnął.

Po chwili z zapaloną latarką w garści, pogwizdując jak gdyby nigdy nic, wyłonił się z czeluści krypty, wychodząc wprost na olbrzymiej postury starszego pana dzierżącego bukiet herbacianych róż. Skrzywił się, bo wszystko wokół zdawało się emanować intensywnym zapachem wody kolońskiej i kwiatów. Terraney zauważył jego grymas i zmieszał się. W swoim staromodnym garniturze i krawacie z wzorkiem w białe króliczki, z przylizaną żelazną siwą czupryną wyglądał jak wcielenie podstarzałego adoratora żywcem wyjęte z tandetnego romansu. Szybko opuścił bukiet, schował go za plecy. Nieufnym wzrokiem zlustrował Richarda. Ten odpowiedział mu niewinnym spojrzeniem.

– Ooo! Pan musi być komendantem Terraneyem – rzucił, sam dziwiąc się swemu tupetowi. – Babcia Evan opowiadała mi o panu. Witam. Co pana sprowadza?

– B-babcia Evan?! Nie wiedziałem, że Evangeline miała dzieci, a tym bardziej wnuki...

– Bo nie miała. To moja stryjeczna babcia. – Dee zaśmiał się beztrosko. – Mam jej coś przekazać?

– Evangeline nie ma? – Terraney zerknął podejrzliwie na Dee, potem na wejście do grobowca. – Byliśmy umówieni. Na obiad... Się nazywasz?

Richard przywołał najpiękniejszy z repertuaru swych przepaszających uśmiechów.

– Gapa ze mnie! – Pacnął się w czoło, jakby dopiero teraz sobie przypomniał. – Eric Widdows, stryjeczny wnuk Evangeline. Evandera zresztą też. – Dłoń wystrzeliła ku komendantowi. Ten zawahał się, ale odwzajemnił uścisk. Jego dłoń była wielka i ciepła, lecz Dee nie miał wątpliwości, że w razie potrzeby potrafiłaby mu zmiażdżyć palce. – Babcia musiała pilnie wyjechać do rodziny do Sirens Bay.

Jedna z jej kuzynek poczuła się źle. Obawiamy się, że długo nie pociągnie – kłamał jak z nut. – Ale za kilka dni babcia Evan wróci. Tak twierdziła. Prosiła, żebym zajął się rezydencją pod jej nieobecność.

– I tak się zajmujesz? Myszkując? – Terraney zerknął na wejście do krypty. – A gdzie Evander?

– Też wyjechał. Razem z nią.

Ten stary przyk był zdecydowanie zbyt wścibski i należało go jak najszybciej spławić.

– Prawdę mówiąc, mam znaleźć jedno cinerarium, bo...

– Co masz znaleźć?!

– Cinerarium. – Richard wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była oczywista. Zobaczył otwarte ze zdumienia usta komendanta. – No tak się mówi na urnę z prochami nieboszczyka. Nie wiedział pan?

– Ahaaa...

– Ta kuzynka, która umiera, wyraziła życzenie, by przed śmiercią dotknąć cine... to znaczy urny z prochami swej matki. Babcia prosiła, bym znalazł tę konkretną i zawiózł im do Sirens Bay. Spieszyli się z Evanderem, więc nie zdążyli jej zabrać. Niestety, w tej krypcie jest sporo urn. Głównie tych z pochówków elfów, które umarły na elfią zarazę, ale też wielu innych osób. W tym z naszej rodziny. Może by mi pan pomógł? Szybciej bym skończył i babcia byłaby zadowolona. Serdecznie zapraszam. – Wskazał wejście do krypty.

– Na elfią zarazę? – mruknął olbrzym.

– Dokładnie. Tam normalnie jest pełno ofiar zarazy, więc szukanie to będzie niezła orka! Ale spokojnie, nie ma się czego obawiać. Przecież zaraza zabijała elfy i mieszaińców, nie? – paplał jak najęty. – Co prawda, trochę tam śmierdzi trupem i wszędzie są pajęczyny, no ale to w końcu grobowiec.

Jeśli myślał, że tym sposobem odstraszy Terraneya i szybko się go pozbędzie, bardzo się zawiódł. Starszy pan odłożył na pobliską sofę różę razem z marynarką.

Podwinął rękawy koszuli.

– Dla Evan... ehm... to znaczy, dla twojej babci, zrobiłbym bardzo wiele – mruknął zakłopotany. – Tylko po wszystkim wspomnij jej, że... No wiesz... I że ją pozdrawiam. Że zjemy ten obiad, jak tylko wróci.

– Oczywiście! – zapewnił Richard i natychmiast... spanikował. „By to elfia zaraza! Co mnie opętało, żeby prosić tego kochasia o pomoc?! Jeśli on tam zejdzie...”. Zerknął ku wejściu do krypty.

– A tak w ogóle to jakim cudem otwarłeś ten grobowiec? – usłyszał kolejne wścibskie pytanie, a potem zobaczył szerokie plecy starszego pana, który właśnie zmierzał ku krypcie.

– J-jak? T-to nie było trudne...

Zerknął na płytę ciągle leżącą koło argemonii i wtedy to dostrzegł. Przez metalowe uchwyty ktoś przełożył liny, których końce zaplątano o wspólny hak zamontowany do systemu wielokrążków gdzieś pod sufitem. Dzięki temu nawet dziecko zdołałoby unieść taki ciężar jak płyta nagrobna. Tyle że system ten jeszcze sekundę temu nie istniał... Ale Dee nie miał czasu zastanowić się, który z jego kompanów zaklęciem wyczarował linki, bo oto Terraney już był na schodkach.

– Evander powiedział mi, jak korzystać ze specjalnego dźwigu. O, tego tu – wyjąkał, wskazując liny. – Normalnie łatwizna!

– Aha. Rozumiem. I pewnie nie masz drugiej latarki, co?

Pytanie było z gatunku retorycznych, bo podstarzały Romeo puścił do Richarda oko, a potem wyjął zza paska... spluwę razem z niewielką latareczką! Dee nerwowo oblizał usta. Tamten się zaśmiał.

– Nie szkodzi. Ja mam. Nawet pod prysznic zabieram to maleństwo – zachichotał. – Wieloletnie nawyki starego konstabla. Zawsze mam przy sobie naładowaną broń i latarkę. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

– Cudownie... – wykrztusił Richard.

„Pod prysznic?!” – dodał w myślach. Za cholerę nie chciał wyobrazić sobie

Terraneya w kąpeli, na dodatek z zabawkami. „Na Onyksową! Ciekawe, co pierwsze nas zabije: jego spluwa czy smród wody kolońskiej?”

Błyskawicznie rozważył udawany atak epilepsji, sfingowanie małego pożaru i kilka innych opcji z zabójstwem Terraneya włącznie. Tymczasem światelko latarki komendanta zaczęło omiatać pierwsze schodki. W chwili, kiedy Richard niemal zdecydował się na kompromitującą, ale pokazową utratę przytomności – „Byle nie reanimował mnie metodą usta-usta!” – Terraney zaklął.

– Komendancie?

Zobaczył, że tamten za wszelką cenę chce się dostać do wnętrza grobowca, tyle że wejście do krypty... zmniejszyło się! Richard zmarszczył brwi. Podszedł bliżej, nie wierząc własnym oczom. Dziura, przez którą jeszcze niedawno bez problemu przedostało się pięciu mężczyzn, jedna kobieta i vivern, teraz radykalnie się skurczyła!

– Panie Terraney? – rzucił niepewnie.

Nie dosłyszał zduszonej odpowiedzi. Usłyszał za to sapanie, wyklinanie i dźwięk rozdieranego materiału. Terraney najpierw miotał się, a potem zastygł we wlocie do krypty niczym ogromny korek. Richard podszedł jeszcze bliżej.

– Panie Terraney?

Głowa tamtego poruszyła się. Starannie przylizana żelem czupryna teraz wyglądała jak zastygła strzecha.

– Możesz mi... ehm... pomóc wyjść, chłopcze? Schodzenie tutaj chyba nie było... ehm... dobrym pomysłem. Nie sądziłem, że to wejście jest takie małe. Może złap mnie za ramiona, a ja się odepchnę nogami, co?

Minutę czy dwie później Richard i jego żywy korek – spleceni niczym zapaśnicy zmagający się w pojedynku – wytoczyli się z dziury w podłodze i usiedli zasapani opodal wejścia do krypty.

– Na Onyksową, panie Terraney, tak mi przykro – odezwał się Dee, gdy złapał oddech.

– C-co? A czemu? Przecież nic się nie stało – burknął tamten i zaczął się podnosić. – To mnie jest przykro, że nie pomogłem Ev... By to elfia zaraza!

Dopiero teraz dostrzegł rozdarcie na rękawie ulubionej koszuli. Spodnie, też naddarte w trakcie wyciągania, dodatkowo uwalane były kurzem zalegającym schody i wejście do krypty. Potargana siwa strzecha na głowie i usmolona twarz sprawiały, że Terraney wyglądał teraz jak menel wyszykowany na ostrą imprezkę. Duszący zapach wody kolońskiej zmieszanej z ostrą wonią potu zdecydowanie uwiarygadniał ten wizerunek. Na twarzy i szyi komendanta pojawiły się czerwone plamy zażenowania.

Dee czuł, że musi zażegnać nadciągającą awanturę. Wysiłił się na przepaszającą minę, co nie było łatwe, bo miał świadomość, że tam w podziemiach zgromadzenie dowcipnisiów jak nic rechocze teraz ze śmiechu. I mógłby się założyć, że głównym pomysłodawcą owego dowcipu z kurczeniem się wejścia do krypty jest pewien ciemnowłosy zakonnik. Ale czemu u licha magią zaklinał starego pryka w dziurze, zamiast go z niej wypchnąć?

„Desire i jego dowcipy. Nawet w tak poważnej sytuacji sobie nie odpuści” – pomyślał zdegustowany, a już na głos powiedział:

– Jeśli pan chce, mogę poszukać jakichś nici albo kleju, żeby to załatać. Zwłaszcza spodnie. Żeby mógł pan bez problemu wrócić do siebie. Szwaczka ze mnie beznadziejna, więc ładne nie będzie, ale...

– Dzięki! – rzucił opryskliwie komendant. – Poradzę sobie! I wybacz, ale ty też sobie musisz poradzić. Sam!

Złapał marynarkę i mrużąc: „Że też dałem się na to namówić!”, ruszył wściekły do wyjścia.

– Panie Terraney?

– Co?!

– Róże! Zapomniał pan róż!

– Nie zapomniałem!

– To co mam z nimi zrobić?

– Wazon! Chyba znajdziesz jakiś?

– Pewnie tak – mruknął Richard i za znikającym w drzwiach kościółka Terraneyem krzyknął: – W imieniu babci bardzo dziękuję! Przekażę jej, że bardzo mi pan pomógł!

– Kłaniaj się Evangeline!

Trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Dee był wykończony: bardziej psychicznie niż fizycznie. Opadł na najbliższą sofę i odetchnął z ulgą. Zerknął na drzwi kościółka, by upewnić się, że komendant nie wraca.

„No jeśli miłość ogłupia i ograbia z godności oraz wolnej woli, ten kochaś to najgłupsza istota we wszechświecie” – pomyślał. Usłyszał szelest dobiegający od wejścia do krypty.

– Poszedł? – Głowa Evandera ukazała się w otworze.

– Chwila. Sprawdź. Terraney ma samochód?

– To grat, ale zadbany. Czarny. Tak wypolerowany, że świeci się jak gnomowi!... Auu, Evan, no za co?! – jęknął Evander, jakby otrzymał mocnego kuksańca. – Chciałem tylko powiedzieć, że świeci się jak gnomowi oczy! A ty co myślałaś?!

„Typowe rodzeństwo... Kłóćą się do upadłego, ale jak przychodzi co do czego, stają za sobą murem”. – Dee pokręcił głową i pobiegł do wyjścia.

Jednak na zewnątrz żadnego czarnego wypolerowanego grata – tudzież kochasia w podartych gatkach – nie zobaczył.

– No, wygląda na to, że mamy go z głowy – powiedział po powrocie. – Możecie wyjść.

Tancmistrz z Desire ponownie sprawdzili kościółek i otoczenie. Wejścia zabezpieczyli zaklęciami. Evander odczarował Mairin, zaznaczając, że jeśli znowu się wydrze, urna grobowa pochłonie ją na wieki, więc obrażona zjawa poleciała za Ruizem do oranżerii. Ciceron pomógł rodzeństwu zamknąć kryptę.

– Twoje róże. – Richard podał bukiet Evan.

Zmieszała się.

– Wyrzuć to paskudztwo.

I nie zaszczycając kwiatów jednym spojrzeniem, z mapą w garści powędrowała z powrotem do zakrystii. Chwilę patrzył za nią zaskoczony.

* * *

– Dobra, mamy mapę plus notatkę. Evangeline załatwiła Terraneya. Co teraz?
– rzucił Desire, gdy ponownie zasiedli przy szklanym stole.

– To była Evan? – mruknął Dee ze zdziwieniem. – Myślałem, że...

– Nie, tym razem to nie moja zasługa. – Mnich zachichotał. – Ale jestem pełen podziwu dla inwencji twórczej naszej uroczej gospodyni. – Skłonił przed Evan głowę.

Elfce tylko zaśmiały się oczy.

– Zakłęcie kurczące wejście do krypty było absolutnie genialne – potwierdził Richard. – Ale mogłaś mi darować wyciągnięcie Terraneya z tej dziury.

– Nigdy! Ubawiłam się przy tym po pachy! – odpowiedziała ze śmiechem tak zaraźliwym, że po chwili chichotał i Desire, i Richard wraz z Evanderem. – Hej, raz na osiemdziesiąt lat ja też mogę komuś zrobić dowcip.

– I udało ci się. Na Onyksową! Terraney długo go nie zapomni – rzucił Dee. – Tym razem ci wybaczam, ale jak mi jeszcze raz każesz uprawiać zapasy z jakimś konstabłem na podłodze świątyni... Nie wiem, co było gorsze: smród jego wody kolońskiej czy widok dziury w spodniach na tyłku.

Dłuższą chwilę wszyscy dowcipkowali na temat komendanta i jego podartej garderoby. Przyłączyła się do nich nawet Mairin, która właśnie wróciła z oranżerii i swym zwyczajem przysiadła na belkach pod sufitem.

– Słuchajcie... – burknął Tancmistrz. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. – Słuchajcie!

Bez skutku. Nabijanie się z Terraneya zdawało się najważniejszym punktem zebrania i tylko Ciceronowi oraz Tancmistrzowi jakoś radosny nastrój nie chciał się udzielić.

– Ciszaaa! – huknął płowowłosy zakonnik i dopiero wtedy wszyscy umilkli. Spojrzeli na niego ze skrajnym zdumieniem na twarzach. – Nabijacie się z tamtego faceta – wycedził. – Myślicie, że go rozgryźliście, żeście go ZAŁATWILI. Nic bardziej mylnego! Być może ten gość w kontaktach z kobietami to istna pokraka. Być może jego poczucie mody zatrzymało się w poprzednim stuleciu. I być też może, facet jest niezgrabny jak otyła ropucha, ale wiercie mi, komendantami nie zostają idioci. Ten jegomość – wskazał palcem gdzieś za siebie – zaraz wróci na posterunek. Doprowadzi się do porządku, ale potem z miejsca zacznie kombinować, bo tego go uczono już w szkole kadetów. Zada sobie pytania. I będzie szukał logicznych odpowiedzi.

– Jakie pytania? – W oczach Evandera pojawił się niepokój. Pozostałym też dobry humor minął.

– Znacie się od wielu lat, prawda? – Tancmistrz zwrócił się do Evan, która przytaknęła. – Rozumiem, że jesteście ze sobą dość blisko. Nie musisz odpowiadać – dodał, widząc jej zakłopotanie. – Więc nie powinno cię dziwić, że facet najpierw zastanowi się, czemu nigdy nie słyszał o twojej rodzinie z Sirens Bay i o stryjecznym wnuku. Potem przypomni sobie, że nigdy nie wyjeżdżałaś. A przynajmniej nie tak daleko. No i nic mu nie wspomniałaś, że zamierzasz to zrobić. Zechce wszystko sprawdzić.

– Niby czemu? – szepnęła Evan. – Przecież Richard powiedział, że wracam za kilka dni, że pójde z nim na ten obiad.

Tancmistrz zerknął na nią z... politowaniem.

– Wybacz, że to powiem, ale twoja wiedza o mężczyznach jest zerowa.

– Wypraszam sobie! – sapnęła. Jej twarz poczerwieniała z oburzenia.

– To nie była oblega, tylko stwierdzenie faktu. Poza tym przeprosiłem. Tamten facet – Tancmistrz znów kiwnął ręką – jest w tobie zakochany. Za-ko-cha-

ny! To było widać z daleka. A to oznacza, że same wyjaśnienia Dee to dla niego za mało. Kto wie, być może podejrzewa, że Richard was napadł, zamordował i okradł, a jego okłamał? Tego nie wiemy, prawda? Na dodatek został upokorzony. Wierz mi, nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zakochany poniżony mężczyzna, który dodatkowo jest stróżem prawa. To wysoce ryzykowna kombinacja. Więc jak nic Terraney sprawdzi Dee.

Richardowi mina zrzędała. Elfka ze zdenerwowania oblizwała usta. Potoczyła wzrokiem po zebranych. Teraz w oczach miała strach.

– Nie przesadzasz? – szepnęła. – Do tej pory wierzył w moje słowa.

– No właśnie, w TWOJE, nie Richarda, którego na oczy nie widział. Więc pierwsze, co zrobi, to znajdzie, a właściwie NIE ZNAJDZIE twojej rodziny w Sirens Bay. Potem przetrząśnie wszelkie policyjne zasoby w poszukiwaniu twojego stryjecznego wnuka, Erica Widdowsa.

– Jego pewnie też nie znajdzie – powiedział Evander.

– I tu się mylisz – burknął Tancmistrz. – Bo widzisz, Richard palnął pierwsze nazwisko, jakie mu wpadło do głowy. Kłopot w tym, że podróżując po Palatynacie, używał już tej fałszywki. Eric Widdows jest znany konstablom jako oszust i złodziej.

– Rzeczywiście. Czytałam jego pamiętnik – wyszeptała Evan teraz już serio wystraszona.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Dee. Ten, przerażony, zakrył twarz dłońmi.

– By to elfia zaraza! – wykrztusił. – Kompletnie o tym zapomniałem! Wszystko działa się tak szybko! Ale ze mnie idiota...

– Przez grzeczność nie zaprzeczę! – wycedził Ciceron i posłał Richardowi gniewne spojrzenie.

– Ja chędożę! – Desire złapał się za głowę. – Trzeba szybko coś wymyślić, zanim ten stary pryk tu wróci razem z całym posterunkiem.

– Dużo czasu nie mamy. Konstable są jak interceptory na tropie. Trzeba się sprężyć – dorzucił Tancmistrz. – Podejrzewam, że trochę czasu zabierze Terraneyowi sprawdzanie Richarda. Ale zakładam, że dziś po południu, najdalej jutro o tej porze, będzie tu z powrotem.

– Wtedy wyjdę do niego – odezwała się Evan – powiem, że właśnie wróciłam od rodziny, zaproszę na ten obiad i...

– Wybacz ponownie, ale o policji też wiesz niewiele – rzucił Tancmistrz.

– A Tancmistrzowi wybacz brak ogłady – wpadł mu w słowo Ciceron, widząc kolejne rumieńce gniewu na twarzy elfki. – To miły facet, ale nawykły do wydzierania się na mężczyzn. Jednak muszę mu przyznać rację. Twój urok na Terraneya nie zadziała. Czary też nie. Bo możesz zaczarować jednego faceta, ale całego oddziału nie zdołasz. Wszyscy razem nie dalibyśmy rady tego zrobić. Liznęliśmy magii, ale to nie czyni z nas wielkich czarodziejów.

Evan zagryzła usta. Milczała. Teraz odezwał się Desire:

– Tancmistrz ma rację. Kiedy Terraney tu wróci, będzie uzbrojony w spluwę, konstabli i wiedzę. Wyedukowany, kim jest Richard i że go okłamał. Wtedy przetrząśnie ten kościółek od dachu po piwnice i będziesz miała sporo szczęścia, jeśli nie oskarży ciebie – zwrócił się do Evan – oraz Evandera o ukrywanie przestępcy. Pomyśl, co się stanie, jeśli zechce was przesłuchać na posterunku? Z dała od argemonii będziecie bez szans. Jeśli na dodatek zorientuje się, że jesteście czystej krwi elfami...

Długą, bardzo długą chwilę wszyscy milczeli.

– Spieprzyłem to... – wyszeptał Richard.

– Nie da się ukryć – mruknął Desire. – Przeszarżowałeś.

– Myślałem, że pomysł z wnukiem będzie dobry. Kretyn ze mnie. Wybaczcie...

– Nie łam się, dzieciaku – dobiegł ich szelest Mairin z jakiegoś kąta. – Pamiętasz, co mówiłam o życiu? Że jest jak...

– Jak mały wredny gnom, który użre w najmniej oczekiwanym momencie. I to jest ten moment – westchnął Dee.

– Wiemy. Właśnie użarł nas wszystkich – burknął Tancmistrz. – Ale nie chodzi o to, żeby ci dokopywać, tylko by znaleźć rozwiązanie, jak się wydostać z tego szamba. I to szybko. Ktoś ma jakieś pomysły?

– Cóż, sytuacja jest niewesoła. Musimy znaleźć potomka księcia, oryginał Harfy i zabrać stąd tych dwoje – Ciceron wskazał głową elfy – zanim pojawi się komendant. Rozsądek nakazuje jak najszybciej wrócić do Fenaby. To nasza kryjówka. Tam mamy zdecydowanie większą możliwość leczenia Evan i Evandera. Oni mogliby kontrolować argemony, my namierzać naszą Harfę i tego elfa. Tu rodzeństwo już nie jest bezpieczne. Zresztą skoro mają z nami jechać do Wietrznych Katedr, i tak muszą zniknąć. Pytanie tylko jak to zrobić?

– Samochód Richarda? – podsunęła Evan.

Tancmistrz pokręcił głową.

– Odpada. Żebyśmy się wszyscy w tym aucie pomieścili, musielibyśmy zmienić was w jakieś małe przedmioty. Przy waszym zdrowiu przemiana i wielogodzinna jazda z dala od argemonii mogłaby się zakończyć tragicznie. Zwłaszcza że składników na lekarstwo, które dla was zrobiłem, zostało niewiele. Nie wiem, czy wystarczy na podróż.

Evangeline postawiła na stole półmisek ciasteczek i poszła zaparzyć świeżej herbaty. Podczas gdy mężczyźni naradzali się, Richard wstał od stołu i zamyślony wyjrzał przez okno. Założył ręce do tyłu. Dłuższą chwilę po prostu podziwiał teren posesji. Pomyślał z żalem, że ten kościółek jednak nie stanie się bezpieczną przystanią dla niego i Mai. Że gdy go opuszczą, prawdopodobnie nigdy tu nie wróci. Poczuł drapanie w gardle. Wystraszył się, że zaraz będzie miał atak. Zamrugał, by przegonić napływające do oczu łzy – oto kolejne marzenia o zamieszkaniu w tej pełnej spokoju rezydencji właśnie uleciały jak dym z komina. Zaraz jednak zbeształ się w myślach, że przez własną bezmyślność naraził przyjaciół na niebezpieczeństwo i pozbawił elfy domu, więc nie powinien się

użalać. Powinien raczej myśleć, jak uratować rodzeństwo.

– Musieliby podróżować we wnętrzu argemonii... – szepnął do siebie.

Pogrążony w rozmyślaniach kilka razy przemierzył zakrystię. Ponownie usiadł, bezwiednie skubnął ciastko.

– Musieliby podróżować we wnętrzu argemonii... – mruzczał z pełnymi ustami, wpatrzony w przesypujący się piasek w klepsydrze stołu.

– Co? – Desire nie dosłyszał. – Co mówiłeś?

Dee się ocknął.

– Że jedyna szansa, by bezpiecznie dojechali do Fenaby, to podróż we wnętrzu argemonii – powiedział już głośniej. – Ale mój wóz odpada. Za mały. Przydałby się większy. Na przykład taki jak ma Tom Smithard. Szkoda, że go tu nie ma...

– Co powiedziałaś?! – rzucił ostrym tonem Ciceron.

Richard się zmieszał.

– Że jedyna szansa, żeby oni...

– Dalej!

– Przydałby się wóz Toma Smitharda?... – dokończył niepewnie Richard.

Wodniste oczy opata zalśniły, uśmiech rozciągnął wąskie usta. Rozejrzał się. Zatrzymał na dłużej wzrok na ciemnowłosym zakonniku.

– Desire?

Tamten odpowiedział szerokim uśmiechem, ale szybko dodał:

– Da się zrobić, Cor.

– Masz zamiar ukraść taki wóz? – spytał Dee. – Czy zakłębem powiększyć mój?

Desire zaprzeczył.

– Ani jedno, ani drugie. Zbyt ryzykowne. Poza tym nie ma potrzeby tak kombinować. Pamiętaj jeszcze, że Tom to antykwariusz? Często jeździ po Palatynacie w interesach. Oficjalnie. Na dobrych papierach. Zna wszystkie posterunki i wielu konstabli. I tak się składa, że powinien być niedaleko stąd. A ja

wiem gdzie, i na dodatek wiem, jak się z nim skontaktować. Świetny pomysł, Dee. Brawo!

– Co planujecie? – wtrąciła się Evan, która wróciła z dzbankiem herbaty.

– Porwać cię, piękna pani, do leżącego gdzieś na prowincji klasztoru, pełnego samotnych mężczyzn, a tam... – powiedział Desire uwodzicielskim głosem i puścił oko do Evan. Ta zerknęła spanikowana na pozostałych. – Nie przejmuj się jego gadaniem. – Ciceron pochylił się ku elfce. – W Fenaby ty i twój brat będziecie naprawdę bezpieczni. No i mamy tam świetnego lekarza. Dobrze dla was taki zestaw leków, żebyście bez problemów mogli ruszyć z nami na wyprawę. Obiecuję. – Poklepał ją uspokajająco po dłoni. – Cor – znów odezwał się ciemnowłosy mnich – będę potrzebował samochodu Richarda i kilku wolnych... ehm... godzin. – Spojrzał znacząco na opata.

– Desire, WOLNE GODZINY mogą poczekać! Najpierw obowiązki, potem przyjemności. Masz się skontaktować z Tomem. Pamiętaj, zależy nam na czasie. Musimy stąd wyjechać, zanim pojawi się Terraney, czyli jak najszybciej!

Mężczyzna się skrzywił.

– A co, jeśli Tom nie zdąży? Jeśli komendant będzie szybszy? Przydałby się jakiś plan awaryjny. Coś, co sprawiłoby, że Terraney zrezygnuje ze sprawdzania Richarda albo żeby przynajmniej zabrało mu to więcej czasu. No i potrzebny bardziej wiarygodny powód zniknięcia Evan i Evandera.

– Wiem. – Opat pomasaował się po karku i przygryzł wąskie usta. Pozostali czekali na jakiegokolwiek jego słowo. Jednak Ciceron milczał zamyślony, rozwiązanie nie nadchodziło.

– Mogę coś powiedzieć? – nie wytrzymała Mairin. Niepewnie zerknęła na Evandera.

– Byle z sensem.

– Tancmistrz miał rację: Terraney jest zakochany.

– Tak, wiemy. Do tego jest upokorzonym stróżem prawa. Przejdź do sedna – mruknął elf.

– Jest tylko jeden sposób, żeby odciągnąć tego Interceptora od tropu albo chociaż spowolnić...

Zawiesiła głos, żeby podgrzać emocje słuchaczy.

– Tia? – zapytał Desire.

– Trzeba wykorzystać jego uczucie do Evangeline. Powinna się z nim skontaktować i potwierdzić słowa Dee. Ale musi to zrobić natychmiast, zanim komendant rozpocznie śledztwo.

– A niby jak mam to zrobić? – fuknęła Evan. – Przecież nie pójdę do niego osobiście, skoro rzekomo jestem w Sirens Bay! Wyjechać, ale tak naprawdę wyjechać, też nie mogę. Nie bez argemonii.

Mairin się uśmiechnęła.

– Ale może to zrobić ktoś w twoim imieniu i na odległość. Z jakiegoś publicznego miejsca.

– Jakim cudem?

– Zmieniając się w ciebie albo przynajmniej podrabiając twój głos i kontaktując się z Terraneyem przez ogólnie dostępny telefon. Który z was najlepiej posługuje się zaklęciem *Transformatio*?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i tylko Desire zaczął nerwowo drapać się po karku.

– A oto i nasz zwycięzca – zakpiła zjawa. – Pewnie zawsze marzyłeś o przymierzeniu kilku damskich kiecek, co? Teraz będziesz miał okazję to zrobić.

– Nawet tak nie żartuj!

– Gdzież bym śmiała? To ty będziesz żartował. Przecież lubisz robić dowcipy, prawda? No i pomyśl, chwała za uratowanie wszystkich tu obecnych przypadnie wyłącznie tobie. – Zawisła tuż koło jego głowy i szepnęła wprost do ucha: – Desire, kobiety uwielbiają niegrzecznych chłopców i wielkich bohaterów. Możesz zostać jednym i drugim. Uratować przyjaciół i zaskarbić sobie ich wdzięczność. – Wzrokiem wskazała nieświadomą ich knowań Evan.

Na twarzy mnicha natychmiast pojawił się uśmiech. Szybko spojrzał na współtowarzyszy. Przyglądali mu się, jakby nie do końca przekonani, czy podoła misji. Nie przejął się tym zbyt, tylko wyszczerzył się do elfki i zmierzył ją płomiennym spojrzeniem. Na widok groźnej miny Cicerona natychmiast się opamiętał.

– Eee, jasne! Przecież po to tu jestem. Prawda?!

Podniósł się od stołu. Złapał jeszcze ciastko i wgryzł się w nie z zapalem. Kilkoma łykami dokończył herbatę.

– Postaram się wrócić jak najszybciej. Mam nadzieję, że z Tomem i dobrymi wieściami. Wy w tym czasie zajmijcie się namierzaniem tego elfa, potomka księcia.

Odwrócił się do Evangeline.

– Bądź uprzejma zamienić ze mną słówko.

Zobaczył zaskoczenie w szafirowych oczach kobiety. Wskazał drzwi wiodące do wnętrza kościółka. Chwilę później gestem poprosił, by usiedli na jednej z sof w nawie głównej.

– Jeśli zaklęcie *Transformatio* ma się udać, muszę wiedzieć więcej...

– To znaczy?

– Mogę wyglądać jak ty i brzmieć jak ty, ale to się nie uda, jeśli nie poznam stopnia waszej zażyłości. Muszę wiedzieć, co mówisz komendantowi, co on lubi, a czego nie. Co jada, jakie ma nawyki, jak wygląda jego dom, gdzie byliście na najfajniejszych i najgorszych randkach i tak dalej. To drobiazgi, ale sprawią, że uwierzy, że rozmawia z tobą. Na początek: jak go nazywasz, gdy jesteście sami?

– Alik – odparła z pewnym wahaniem. – Ma na imię Alexander, ale lubi, jak mówię do niego Alik.

Następny kwadrans Evangeline ujawniała zakonnikowi wszelkie tajemnice Terraneya, uczyła go swego sposobu wysławiania się, ulubionych powiedzonek, a nawet gestów.

– Co zrobimy, jeśli namierzą, skąd dzwoniłeś? Bo namierzą, prawda? – spytała na koniec.

– Niech cię o to głowa nie boli. Komendant dostanie potwierdzenie, że rozmowa została przeprowadzona z domu twojej kuzynki z Sirens Bay. Ale kto wie, może gdy usłyszysz twój głos, nie będzie tak dociekliwy, jak myślimy? – Uśmiechnął się. – Potrzebuję jakiegoś twojego drobiazgu. Pomoże mi w zakłęciu.

Wyjęła z włosów spinkę i podała mu. Złapał jej dłoń i na jedną długą chwilę zamknął w swoich. Niemal wyszarpnęła ją z uścisku. Schował spinkę do kieszeni, a Evan podniosła się i skinęła mu głową na pożegnanie.

– Powodzenia.

Ruszyła ponownie ku zakrystii. Nie uszła jednak dwóch kroków, gdy zatrzymało ją:

– Jeszcze jedno. Uprawialiście seks?

Odwróciła się na pięcie, podeszła do Desire i wymierzyła mu sążniste policzki. Głowa ciemnowłosego zakonnika odskoczyła. Sapnął, zatoczył się i złapał za twarz.

Gdy się otrząsnął, elfki już nie było.

– Rozumiem, że to miała być odpowiedź przecząca – mruknął.

Usłyszał chichot. Mairin znów siedziała przyczajona na ambonie.

– Nie! W każdym języku świata to oznacza: nie twój interes. – Cała się trzęsła ze śmiechu. – Pierwszy z brzegu nagrobek na tym cmentarzyku wie o seksie więcej niż ta biedna dziewczyna. No, dowcipnisiu, jeśli to miał być twój sposób na podryw, to cię zmartwię: kiepściutki.

– Potrzebowałem tego do wypełnienia misji! – rzucił urażony.

– A nie prościej było zerknąć w metrykę komendanta? Uważasz, że taki stary pierdziel w tych sprawach jeszcze coś może?

– Kolejna, która nie ma pojęcia o możliwościach mężczyzn! – warknął i podążył za Evan, macając się po swoich nowych cyckach.

Nim dotarł do drzwi zakrystii, zapanował nad urażonym ego. Całkowicie wczuł się w rolę i przekraczając próg, wyglądał już identycznie jak Evan, poruszał się jak ona i podobnie gestykulował. Zdumionym mężczyznom posłał całusa. Ciepłym kobiecym głosem rzucił: „Co słyhać?”, a potem z rozbawieniem obserwował, jak Richard wylewa na siebie szklankę herbaty. Podszedł do nadal zagniewanej Evangeline stojącej przy oknie.

– Mnie to naprawdę było potrzebne – powiedział cicho, zanim zdążyła otworzyć usta. – Kontakty intymne sprawiają, że powstaje unikalna więź. Brak tej wiedzy mógłby mnie zdemaskować przed Alikiem. Nie zrozumiałaś moich intencji, w efekcie dostałem po gębie. W ramach przeprosin, gdy wrócę, pójdiesz ze mną na randkę. Taką prawdziwą, z kolacją, tańcami i winem.

– Chciałbyś!

Dwie identyczne kobiety stały naprzeciw siebie. Jedna urażona z rękoma wpartymi na biodrach, druga ze skrzyżowanymi ramionami i kpiącym uśmiechem na twarzy. Mężczyźni przy stole przyglądali im się zaintrygowani. Zachodzili w głowę, co wydarzyło się we wnętrzu kościółka? Dlaczego pierwsza z kobiet wpadła do zakrystii wściekła, z policzkami w kolorze dojrzałych piwonii, a druga wkroczyła dostojnie, jak gdyby nic się nie stało. No i która z nich – na Onyksową Harfę! – była prawdziwą Evangeline?

– Pójdiesz – zapewnił chełpliwie Desire. – I będziesz się dobrze bawiła. Zaręczam. Bo coś mi mówi, że od osiemdziesięciu lat nie marzysz o niczym innym.

Skinął jej głową i ruszył do wyjścia.

– Wolalabym się wysmarować moczem krakena, niż zjeść kolację w twoim towarzystwie!

Uśmiechnął się.

– Spełnię każde twoje życzenie. Nawet tak perwersyjne – rzucił, nie oglądając się za siebie. A przechodząc obok stołu, przy którym trwała narada, ciągle zmieniony w kobietę swym bardzo męskim głosem szepnął: – Znalazłem miłość życia! I jestem cholernym szczęściarzem, bo ona też szaleje za mną. – Wskazał

kciukiem wściekłą Evan i puścił do kompanów oko.

Zobaczył okrągłe ze zdumienia oczy Evandera.

– Do zobaczenia... przyszły szwagrze. – Skinął elfowi głową.

Idąc z powrotem ku nawie głównej, uśmiechnął się, słysząc, jak tamten wrzeszczy do siostry:

– Evaan! By to elfia zaraza! Jesteś mi winna sporo wyjaśnień!

Wychodząc z kościółka, Desire pomyślał zadowolony, że skoro nabral przyjaciół, to i z Alikiem nie powinno być kłopotu. Co do kolacji z elfką...

– Pójdiesz, maleńka – mruknął, zmieniając się tym razem w Richarda i odpalając jego auto. – No i czas poszerzyć twoją wiedzę w niektórych dziedzinach. Niedopuszczalne, żeby nagrobki były bardziej wyedukowane od ciebie...

* * *

Wrócił jakieś dwie godziny później. Po jego minie zorientowali się, że nie wszystko poszło jak z płatka. Miejsce Desire dowcipnisia, Desire amanta zajął specjalista od trudnych misji. Poważny, wyciszony, skupiony. Nastrój pozostałych też radykalnie się zmienił. Byli jacyś spięci, dalecy od żartowania.

– Alik? – rzuciła Evan zamiast powitania.

– On? W porządku. Łyknął wyjaśnienia jak dziecko cukierek – mruknął. – Z jego strony nie musimy się niczego obawiać. Znajdzie się jeszcze kawa? – Zajrzał pod pokrywkę dzbanka stojącego na blacie. – Szlag! Zimna!

Przyglądali mu się w milczeniu, podczas gdy on przygotowywał sobie świeży napar. Pierwszy nie wytrzymał Tancmistrz.

– Czas na złe nowiny – burknął. – Dawaj. Miejmy to z głowy.

Wszyscy spojrzeli na Desire z wyczekiwaniem.

Wrócił do stołu, usiadł, upił łyczek i zagryzł ostatnim ciastkiem.

– Tom może tu być dopiero jutro rano.

Dee się skrzywił, Tancmistrz zaklął, a Ciceron tylko mruknął: „Niech to!”.

– I tyle? – odezwał się Evander. – No to mamy jeszcze sporo czasu, żeby pogłórkować nad notatką i przygotować się do drogi.

– Jeszcze żeście jej nie odszyfrowali? – Teraz ciemnowłosego zakonnika serio wydawał się zmartwiony. – Cóżżeście robili cały ten czas?

– Ruiz zdechł – powiedział po prostu Richard. – Mairin dostała ataku hysterii. Narobiła takiego rabanu, że nie mogliśmy jej uspokoić. Evander znów musiał użyć zaklęć. A ona jest tam. – Wskazał głową drzwi oranżerii, za którymi wśród bujnej roślinności wisiał ciemny obłok uformowany na kształt klęczącej zapłakanej kobiety. Pod obłokiem Desire dostrzegł rdzawe piórka. Zacisnął szczęki.

„Jeszcze i to”.

Głośno wciągnął powietrze przez nos.

– Nie powiedziałaś nam wszystkiego... – odezwał się cicho Ciceron. – No już, mów.

Desire zmełł w ustach przekleństwo.

– Alik, znaczy się Terraney, tuż przed rozmową ze mną zdążył wysłać zapytanie dotyczące Erica Widdowsa.

– By to elfia zaraza! – wychrypiął Tancmistrz.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia. Richard cicho zaklął.

– Skąd to wiesz? – zapytał.

– Od Kinnona. Jest naszym oknem na świat, pamiętasz? Nie pytaj jak, ale skontaktowałem się z nim. Wyjaśniłem sytuację. Poprosiłem, żeby zablokował Terraneya, jeśli ten zechce cię sprawdzić. Niestety, było za późno. Komendant zdążył to zrobić godzinę wcześniej.

– Co dalej? – Surowa zazwyczaj twarz Cicerona teraz niemal zmieniła się w bezduszną maskę.

– Kazałem Kinnonowi spowalniać działania Terraneya, ile się da. Grubas zna procedury ludzi palatyna. Twierdzi, że w związku z zamieszkami w Kryształowych

Wodospadach mają ogrom roboty. Że priorytetowe są zlecenia dotyczące właśnie tamtych rejonów i że komendant doczeka się swojej odpowiedzi zapewne dopiero wieczorem – referował i zanim ktokolwiek zdążył o to spytać, dodał: – I nie może tej odpowiedzi zmodyfikować, wyczyścić akt Richarda. Szybko by się zorientowali. Ale obiecał, że będzie monitorował działania konstabli. Zarzekał się, że da radę opóźnić przepływ wiadomości dla komendanta, jednak nie więcej niż o jeden dzień. Ta blokada i tak jest ryzykowna, mogłaby zagrozić całemu klasztorowi.

– Czyli? – odezwała się Evan.

– Czyli do rana jesteście bezpieczni. O świcie zabierze was stąd Tom Smithard swoją półciężarówką. My powinniśmy ruszać już teraz. – Spojrzał na opata, jakby czekał na jego decyzję.

– Bez nich? – Ciceron zerknął na elfy. – Nie ma mowy.

– I tak nie pojedziemy razem tą samą trasą. To zbyt niebezpieczne – upierał się przy swoim ciemnowłosy mnich. – My możemy wrócić drogą, którą tu jechaliśmy. Tom musi użyć oficjalnej. Przebrnąć formalne kontrole i posterunki, pamiętasz?

– Wiem, ale nie zostawię ich tu bez pomocy i ochrony – odparł starszy pan tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jesteśmy zobligowani ich strzec! Wyjedziemy stąd dopiero, gdy przyjedzie Tom. Ufam mu. Rzetelnie się nimi zajmie i bezpiecznie dostarczy do Fenaby. Pomyślałeś, co się stanie, jeśli teraz odjedziemy, a za godzinę jednak pojawi się komendant?

– Nie pojawi się. Był zachwycony, że słyszy Evan. Chwalił się, że pomagał Ericowi szukać cinerarium. Też go pochwaliłem. Obiecałem wynagrodzić wszelkie... ehm... trudy, jakie podjął. Prawie posikał się z radości – upierał się Desire. – Oczywiście poinformowałem, że ERIC, jak tylko znajdzie urnę, natychmiast wyjedzie. Zarzekał się, że nie będzie mu przeszkadzał. Trzeba przyznać, że masz wpływ na tego starego pryka. – Spojrzał z uznaniem na zmieszaną Evangeline i kontynuował już dobitnym głosem: – Ale Terraney

przyjedzie tu, gdy dowie się prawdy o Richardzie. Wtedy nie może nas tu być! Powinniśmy się rozdzielić. Ich – wskazał głową rodzeństwo – możemy zabezpieczyć zakłęciami, ale sami musimy się zbierać. Każda godzina spędzona w tak wielkiej gromadzie...

– Koniec dyskusji! Powtarzam, nie zostawię ich bez ochrony!

– Dlaczego ten cały Tom musi użyć oficjalnej drogi? Przejechać posterunki? – wtrącił Evander.

– Ponieważ jego ciężarówka nie poradziłaby sobie na trasie, którą tu przybyliśmy – wytłumaczył opat. – Poza tym handluje antykami. Opuścił Kryształowe Wodospady oficjalnymi traktami i tym samym szlakiem musi wrócić. Konstable się go spodziewają, więc nie może tak po prostu zniknąć.

– A jak zamierza nas przemycić?

– W argemonii. – Desire wzruszył ramionami. – Więc nie mówcie mi, że się nie zmieścicie.

– Nie takie rzeczy się robiło – zapewnił pyszałkowatym tonem Evander.

Evan spojrzała na niego z politowaniem, pokiwała głową i dodała:

– Ta jazda to będzie mordęga.

– Wiem – zgodził się mnich – ale nie mamy wyjścia. Tomowi spodobał się pomysł Richarda. Mówi, że nie powinno być kłopotu. Wrzuci kłaka na tył furgonetki, przywali innymi gratami. Tancmistrz da wam resztę lekarstwa, skulicie się we wnętrzu tej waszej roślinki i jakoś to będzie.

– Co z diablami szarymi? – wypalił Richard. – Gdy tu jechaliśmy, mówiłeś, że konstable wypuszczą diabliki, zwiększą kontrole i zmienią Kryształowe Wodospady w getto.

– To jednak prawda?! – wykrztusiła Evan. – Myślałam, że mnie nabierasz...

– Ach, to... – odparł Desire. – Kinnon zauważył zwiększoną aktywność ludzi palatyna w punktach kontrolnych, ale o diablach na razie cisza. Nic do niego nie dotarło, więc mam nadzieję, że w drugą stronę podróż też będzie bezproblemowa.

Mam wam przekazać od Sloana, żebyście się nie obawiali – zwrócił się do elfów. – Argemonia wydziela takie aromaty, że zmyli każdego tropiciela. Mówię to na wszelki wypadek, gdyby konstable użyli minivivernów tropiących. Ale Tom ma tak wyrobioną markę na punktach kontrolnych, że rzadko kiedy go sprawdzają. Liczymy na to, że tak będzie i teraz. A skoro zostajemy tu z wami do rana, to gdy Tom się pokaże, pomożemy mu załadować argemonię i zabezpieczymy ją zaklęciami. Będzie dobrze – zapewnił z animuszem, lecz w myślach dodał: „Oby...”.

Ciceron wstał. Gestem poprosił wszystkich o uwagę.

– Dobrze, plan jest taki. Zaraz ponownie sprawdzimy obejście i zabezpieczenia. Samochód cały czas ma być gotowy do drogi, w razie gdyby komendant zmienił zdanie. Wszystko ma być spakowane. Potem my – wskazał mnichów i Richarda – będziemy na zmianę pełnić wartę. Ty – zwrócił się do Desire – masz kontrolować sytuację. WIESZ, co mam na myśli.

Ciemnowłosa zakonnik przytaknął.

– Wy – opat zerknął na rodzeństwo – regenerujecie się i oszczędzacie siły. Nie marnować mi ich na zaklęcia! Ci, co w danym momencie mają wolne, dbają o posiłki dla reszty i naradzają się nad notatką. Nie traćmy czasu. – Zaklaskał w dłonie. – Do roboty!

– To ja zacznę od pogrzebania Ruiza – mruknął Richard. – Vivern nie vivern, ale też mu się należy godny pochówek.

Pozostałym zrobiło się głupio na tę uwagę i po chwili wszyscy wzięli udział w zaimprovizowanym na terenie oranżerii pogrzebie. Nawet Mairin, ale Evander znów unieszkodliwił ją zaklęciem *Mortua*, bo ciągle nie mogła opanować hysterii. Wychodząc z oranżerii, Richard spojrział przez ramię: ciemny obłok zawisł teraz nad jedną z ulubionych roślinek Ruiza, dokładnie tam, gdzie vivern został pochowany. Przypomniał sobie wówczas słowa zjawy, że w miłości nie wiek gra rolę, nie płeć ani nawet gatunek, a po prostu uczucie.

„Ależ ona musiała kochać tego zwierzaka” – pomyślał.

Rzucił jej ostatnie pełne współczucia spojrzenie, a potem ruszył za pozostałymi przygotować się do wyjazdu.

Pół godziny później, po sprawdzeniu wszelkich zabezpieczeń, Desire usiadł w okienku kamiennej wieży będącej kiedyś dzwonnica i zajął się czyszczeniem broni oraz obserwacją okolicy. Evander wlaźł do argemonii, Evan z Richardem zaczęli przygotowywać obiad, a Ciceron z Tancmistrzem dyskutować nad tekstem notatki.

Po kilku godzinach, jednym obiedzie i paru dzbankach napojów później wszyscy byli już mocno zniechęceni. Tekst notki niemal nic im nie zdradził, choć przerobili go we wszystkie strony. Tancmistrz zmienił Desire na wieży. Ciceron z Evanderem pozmywali po obiedzie. Evan poszła się zdrzemnąć we wnętrzu kłaka, a Dee zebrać myśli w ogrodzie. Dzień mijał spokojnie. Zagrożeń ze strony konstabli szczęśliwie nie było widać. Atmosfera byłaby niemal sielankowa, gdyby nie poczucie gotowości i niepokoju oraz zniechęcenie wciąż nierozwiązaną zagadką.

Wieczór również nie przyniósł żadnych niespodzianek. Wszyscy byli znużeni bezczynnością i każdy po cichu marzył o wyjeździe. Desire pomyślał, że jeszcze kilka godzin tej niewoli i oszaleje. Opat naradzał się z Richardem. Tancmistrz nadal tkwił na wieży, elf w argemonii, a Evan wyszła do ogrodu. Desire został sam w kościele. Usiadł na jednej z sof w nawie głównej, wyciągnął przed siebie długie nogi, przeciągnął się. Spojrzał przez okna, przez które teraz światło księżyca sączyło się jasnym strumykiem. Liczne metalowe aulosy i szkło klepsydr odbijały to światelko, przełamując mrok panujący we wnętrzu kościółka. I tylko filary świątyni rzucały groźne cienie, jakby chcąc przypomnieć o powadze sytuacji.

Mężczyzna splótł palce na karku, na chwilę zamknął oczy. Wiedział, że nie może zasnąć. Kilka razy pomału i głęboko wciągnął do płuc powietrze przesycone wonią kadzidła. Pomyślał, jak trudna i niebezpieczna podróż czeka ich jutro, i zafundował sobie jeszcze kilka chwil relaksu w kojącej atmosferze kościółka.

„Jeśli mnie żal opuszczać to miejsce, to co dopiero oni czują? – pomyślał

o rodzeństwie. – Spędzili tu niemal całe życie”.

Rozejrzał się dookoła. Wzrokiem omiół miedzianą wannę z sukulentem i elfem w środku, meble, kolekcję artefaktów zbieranych od tak dawna, transept z oranżerią i ten drugi z fortepianem. Tu zatrzymał wzrok na dłużej. Zmarszczył brwi. Zagryzł usta. Wspomnił swój zachwyt i te drobne palpitacje serca, gdy zobaczył ten instrument wczoraj. Wtedy jednak wspólnie z Tancmistrzem skupieni byli na szukaniu klepsydr i tylko to zaprzętało im głowę. Lecz dziś wieczór był tu sam. I niestety chwilowo nie miał się czym zająć.

„Na Onyksową... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz grałem... Byłoby cudownie móc... Nie, to głupi pomysł!”.

Dłuższą chwilę starał się skupić wzrok na czymkolwiek innym, ale ten cholerny fortepian zdawał się go hipnotyzować!

„Nie mogę! Nie wolno mi! – Bezwiednie zacisnął pięści. – Nie poddam się!” – powtarzał w myślach jak mantrę, lecz wzrok ciągle uciekał mu ku instrumentowi zdobionemu kwiecistym wzorem.

Sapnął. Nie wiadomo kiedy nogi same powiodły go ku transeptowi z fortepianem. Zatrzymał się z wahaniem przy instrumencie. Opuszkami palców powiódł po obudowie, jakby bojąc się mocniej dotknąć w obawie przed uszkodzeniem. Obliznął usta zdenerwowany i rozejrzał się niczym złodziej. Przeczesał dłonią ciemną czuprynę.

„Nie, nie powinienem... Zresztą pewnie i tak nie jest nastrojony. To grat. Nikt z niego nie korzysta. To widać – rozmyślał gorączkowo jak alkoholik, któremu kazano pilnować pełnej butelki. – Pewnie się wścieknie, jeśli go dotknę – myślą pospieszył ku elfce. – Dobra, tylko chwila. Jeden utworek, nic więcej! Byle tylko inni się nie zorientowali. Zwłaszcza ona albo... Tancmistrz. Ale dałby mi popalić!”.

Rozejrzał się wokół. Ciągle był sam, nie licząc Evandera w argemonii.

„To akurat nie problem”.

Gestem wyczarował dźwiękoszczelną ściankę. Usiadł na taborecie. Spoczone

z wrażenia dłonie wytarł w spodnie. Ostatni rzut oka na drzwi zakrystii, spod których w niezmacony sposób sączyło się światełko, a potem... Palce dotknęły klawiatury, świat wokół zniknął. Umysł wypełniło królestwo przeszłości. Opuszki palców pieściły klawisze w takt wspomnień. Z początku nieśmiało, lękliwie. Jakby obawiając się, że wspomnienia te umkną. Z każdym następnym dźwiękiem uderzał w klawisze coraz mocniej, szybciej. Odczucia były niemal... erotyczne. Wzmagały się. Wspomnienia wirowały. Serce tłukło się w piersi, a krew rozsadzała tętnice. Zatracał się w tej melodii, marząc, by nie skończyła się nigdy, choć koniec znał doskonale. Pamięć znów wyczarowała czyjeś ramiona, kibić wirującą w szalonym tańcu, uśmiech znad filiżanki porannej kawy, usta odkrywające nowe szlaki na szyi. I jeszcze... Jego własną samokontrolę, opór słabnący w kontakcie z przesyconą zmysłowymi zapachami satyną pościeli. A potem barwę. Błady błękit prześcieradła zdobiony ciemnymi chmurami. Drobiniki piasku przesypującego się przez palce i... własny krzyk!

Gwałtownie wciągnął powietrze, ocknął się, otworzył oczy. Spojrzenie napotkało ponury wzrok Tancmistrza stojącego po drugiej stronie ścianki. Nie wykonał żadnego ruchu. Po prostu stał tam i patrzył. Desire wstał, gestem zlikwidował zaporę. Szybkim krokiem opuścił nawę poprzeczną, starannie unikając kontaktu wzrokowego z przyjacielem.

– Warta! – usłyszał chrapliwy głos tamtego. – Teraz twoja kolej.

– Wiem! – warknął.

Nie oglądając się, ruszył ku wieży, na której miał spędzić następnych kilka godzin. Czuł, że policzki go palą. Miał cholerną nadzieję, że lodowaty wiatr skutecznie je ochłodzi.

Tymczasem Tancmistrz się rozejrzył. Poza nim nie było tu nikogo.

„I dobrze – pomyślał. – Przynajmniej nie będą zadawali wścibskich pytań”.

Zerknął na fortepian. Błękitna poświata ciągle go okrywała. Jak zawsze, gdy Desire zasiadał za klawiaturą.

„Szczęście, że tym razem nie wyczarował ogrodu – westchnął w duchu

płowowłosy zakonnik. – Albo co gorsza pary feniksów w locie godowym. No i pomyślał o zaporze dźwiękoszczelnej. Dobrze. Czyli jednak się pilnuje”.

Wykonał oszczędny gest i poświata otulająca instrument zniknęła. Usłyszał szelest. Gwałtownie odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał. Wzrokiem nie zdołał przebić cieni rzuconych przez filary. Przemierzył nawę główną, czujnie się rozglądając, lecz nikogo nie dostrzegł.

„Starość to przechlapany temat. Na Onyksową! Zaczynam mieć zwidy – pomyślał. – Dobra, zobaczymy, co udało się ustalić Ciceronowi i reszcie. Może w końcu coś wydedukowali na podstawie tej zafajdanej notatki. Ale potem odwiedzę Desire na wieży. Trzeba mu zanieść kolację i upewnić się, że nie robi niczego głupiego...”.

* * *

– Nawet nie pytaj – westchnęła Evan, gdy Tancmistrz wszedł do zakrystii.

Nie trzeba było geniusza, żeby zobaczyć, iż prace nad notką nie posunęły się ani o milimetr.

„By to elfia zaraza!” – zaklął w myślach.

Podszedł do szklanego stołu, przy którym pogrążeni w rozmowie siedzieli Richard z Ciceronem. Szarzy na twarzach, zniechęceni, markotni. Przed nimi leżała czysta kartka papieru tak uparcie wzbraniająca się wyjawić im swe sekrety, a tuż obok karteluszek z przepisany z pamięci tekstem notatki i dwa kubki z resztkami kawy.

– Potrzebujecie odpoczynku. Zostawmy to – powiedział po prostu. – Przemyślimy ten tekst w Fenaby. Zaprzęgniemy do roboty Kinnona i resztę. Na pewno znajdą rozwiązanie, i to szybciej niż my tu i teraz. Zwłaszcza że rano trzeba jechać. Podróż będzie wykańczająca, więc zjedzmy kolację i chodźmy spać. Desire jest na wieży. Potem go zluzuję, tylko jeszcze zrobię to lekarstwo dla Evan i Evandera.

Opat pokiwał głową. Podniósł się od stołu i zerknął na elfkę.

– Pozwól, moja droga, że pomogę ci przy tej kolacji.

Odwdzięczyła się uśmiechem. Podczas gdy starszy pan pomagał Evan przygotowywać kolejny posiłek, Tancmistrz zajął blat pod oknem i zabrał się za preparowanie lekarstwa dla elfów z resztek składników. Richard przeciągnął się, wstając od stołu.

– Nocne powietrze jest bardzo orzeźwiające – mruknął. – Zaraz wracam.

Chwilę potem stanął w drzwiach oranżerii rozświetlonej pojedynczymi latarenkami. Wzrok zatrzymał na obłoku o kształtach kobiety ciągle wiszącym nad grobem ulubieńca.

– Tak nie może być – mruknął zde gustowany. – My tu gadu-gadu, a o tej biedaczce wszyscy zapomnieli!

– Richard, uwalnianie jej to zły pomysł – usłyszał głos Evandera, który dołączył do nich w zakrystii. – Wiesz, co się stanie, jeśli to zrobisz.

– Tak, zaczniesz się drzeć, ale...

– I wtedy znowu będę musiał ją uziemić zaklęciem.

– ...ale nie może tam wisieć w nieskończoność!

Dee spojrzał na elfa.

– Znasz chyba inne zaklęcia niż *Mortua* czy *Silentium*? Takie, które ją wyciszą i uspokoją? – zapytał tak stanowczym tonem, że Evander aż się zmieszał.

– Oczywiście, że znam – odparł obrażony.

– To użyjesz ich czy mam poprosić kogoś innego?

Przez chwilę człowiek i elf toczyli pojedynek na spojrzenia. W pewnym momencie dołączyła do nich Evangeline. Podeszła, położyła dłoń na ramieniu brata i powiedziała:

– Rozumiem, że nie przepadasz za Mairin, ale po tylu latach ty i ona musicie sobie naprawdę i szczerze wybaczyć wiele spraw. Wzajemnie. Ona już to wczoraj zrobiła. Teraz twoja kolej. Straciła ulubieńca. Ulżenie jej w bólu byłoby aktem przebaczenia i miłosierdzia...

Zatopiała wzrok w źrenicach Evandera. Ten zmieszał się jeszcze bardziej.

– Tylko nie licz na naszą przyjaźń – mruknął do siostry.

Wyminął Dee w drzwiach oranżerii. Ciceron stanął koło Evan i skrzyżował ramiona, czekał. Wspólnie odprowadzili elfa wzrokiem. Nawet Tancmistrz przestał wałkować kolejną porcję różowego gluta i z wałkiem do ciasta w garści zajął miejsce koło pozostałych. Wolną ręką wykonał gest, jakby siał trawę. Szepnął *Illumina* i znów latarenki, jak tresowane świetliki, popłynęły za Evanderem. Ten zatrzymał się w połowie drogi. Nie odwrócił się, tylko chrząknął i rzucił obrażonym tonem:

– Dzięki!

Po chwili stał już koło ciemnego obłoku. Nie usłyszeli, co powiedział. Nie miało to jednak znaczenia, bo oto ujrzeli, jak chmura najpierw kłębi się wściekle, potem jakby zapada w głąb siebie, by powrócić do dawnego kształtu i umownego życia.

– Zakłęcie *Doloris* przynosi ulgę nie tylko fizyczną, ale i psychiczną – szepnęła Evan. – A dziś wieczór pomoże Mairin, ale też i jemu – wskazała głową brata. – Chodźmy, pora dokończyć kolację. Zostawmy ich samych. Czas, by załatwili swoje sprawy, zwłaszcza że jutro wyjeżdżamy. – Ujęła Cicerona pod ramię i poprowadziła ku aneksowi kuchennemu.

Mężczyźni poszli za nią. Elf oraz zjawa przysiedli na skraju ścieżki wytyczonej czerwonymi płytami i zatopili się w rozmowie.

Jakiś czas potem wspólnie zasiedli do kolacji. Evander udawał, że zajścia w oranżerii nie było. Podobnie jak Mairin, która na powrót przycupnęła wśród belek pod sufitem. Rozmawiali o wszystkim i o niczym: elfy opowiadały o latach spędzonych w Metropolii, potem w Sleepy Graves, historię swego rodu, a mnisi odwdzięczali się opowieściami z życia klasztoru. Ciceron wspominał młodość, a Tancmistrz wtrącał kąśliwe uwagi na temat niektórych braci. W całkiem miłej atmosferze wieczór dobiegł końca. Kiedy jadalnia została uprzątnięta, a wszyscy mieli się już rozejść, rozległ się głos Mairin:

– Zapomnieliście jakichś papierzysk.

– Co takiego? – odezwał się Richard.

– Tych kartek na stole. – Głową wskazała szklany blat. – A tak w ogóle to nie powiedzieliście mi, jak się skończyła wizyta w krypcie.

– Co masz na myśli?

– No, czy mapa się scalała. Bo skoro Ruiz wam pomógł – głos jej zadrżał – to znaczy, że złożyliście wszystkie fragmenty. Tak?

Dopiero teraz Richard i pozostali przypomnieli sobie, że przecież przez większość ich pobytu w grobowcu Mairin była pod wpływem zaklęcia *Mortua*, potem doradzała, jak oszukać Terraneya, ale potem znów była uziemiona w związku ze śmiercią i pogrzebem Ruiza.

– Ach to... Tiaa, scalała się. Nawet na moment udało się zobaczyć sonet i jakiś dopisek. Potem wszystko zniknęło. Notatkę daliśmy radę odtworzyć. – Dee wzrokiem pokazał papiery. – Ale konia z rzędem temu, kto zrozumie jej sens.

– Notatkę? Była notatka?! To jest ten dopisek?! – Zjawa wlepiała wzrok w karteluszek.

– Aha... – wtrącił Evander. – Teoretycznie mówi, jak dotrzeć do potomka księcia.

– No właśnie, teoretycznie. Bo mówi o trupie – westchnął Ciceron. – Oddałbym cały klasztor w zamian za rozszyfrowanie tego tekstu.

Zjawa spłynęła z belek nad szklany stół. Usadowiła się na jednym z krzeseł. Pochyliła nad tekstem i uważnie przeczytała go kilka razy.

W końcu rzuciła Ciceronowi ironiczne spojrzenie.

– Na Onyksową, cały? Cudownie! – Zatarła ręce zadowolona. – To mam nadzieję, że m ó j klasztor jest w dobrym stanie? A braciszkanie? Są na wyposażeniu? No bo ktoś musi sprzątać, tak?

Opat chrząknął. Chwilę jakby się wahał, czy zareagować gniewem, czy wybuchnąć śmiechem? Ostatecznie zmusił się do pobłażliwego uśmiechu.

– Sama ich o to zapytasz, kiedy tylko dotrzesz do Fenaby. Bo rozumiem, że już wymyśliłaś, jak uciec z tego więzienia? – odgryzł się wprawnie i gestem wskazał otoczenie.

Spojrzała na niego krytycznie.

– Może i brak wam wiedzy o Wietrznych Katedrach i z osiągnięciem poziomu inteligencji trolla macie kłopot, ale przynajmniej w poczuciu humoru jesteście mistrzami! – zakpiła. Widząc, że zaczynają tracić cierpliwość, szybko dodała: – Pomogę wam i tym razem. Zachodzę tylko w głowę, jak dacie sobie radę beze mnie w trakcie wyprawy...

Zgromadzili się wokół niej, a ona znów pochyliła się nad tekstem.

– Dobrze, co my tu mamy... „Podwójna armilla zdobi jego ramię...”. No to akurat nie jest trudne. – Wydeła usta.

– Ale reszta już tak – odezwała się Evan. – No bo gdzie znajdziemy ten szklany sarkofag? I co nam po trupie z tego grobowca? Potrzebujemy żywego dziedzica.

Mairin zmarszczyła brwi. Wzruszyła ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

– Przecież tu wszystko jest. – Dźgnęła kartkę widmowym palcem, przez który przeniknął nie tylko papier, ale i blat stołu. – Nic, tylko czytać ze zrozumieniem: „Szklany sarkofag skrywa jego ciało. Archikatedra śpiących dusz miejscem spoczynku majestatu. Znajdź go, wydobądź i przywróć światu...”. Czego żeście nie zrozumieli?

Mnisi, Dee oraz rodzeństwo poczuli się jak finaliści konkursu na idiotę roku, w którym zjawa jako jedyny sędzia przymierzała się właśnie do ogłoszenia zwycięzcy.

– Ehm... Mairin – chrząknął Richard czerwony na twarzy z upokorzenia. – Głowiliśmy się nad tą zakichaną notatką cały dzień...

– Cały dzień?!

– ...więc daruj sobie szyderstwa i po prostu nas oświeć!

Długą, bardzo długą chwilę zjawa po prostu gapiła się na nich. Potem westchnęła teatralnie i zaczęła objaśnianie.

– Pamiętajcie, że mapa powstawała stopniowo? W trakcie ucieczki z Wietrznych Katedr na moment przed Apokalipsą? Czyli de facto droga zaczyna się od drzwi Archikatedry, a kończy na terenach Palatynatu, a nie na odwrót, prawda?

– To akurat oczywiste, ale co z tego? – Evander wzruszył ramionami.

– To, że sonet też wtedy powstał, ale notatka nie.

– Czemu tak myślisz? – zapytał Ciceron.

– Bo Evan miała rację: szukacie ŻYWEGO dziedzica księcia. Więc notka, choć mówi o grobowcu, czyli miejscu spoczynku zmarłych, musi go dotyczyć. Nie mogli jej spisać jeszcze na terenie Wietrznych Katedr.

– Rozumiem, że TY masz taką wiedzę? – Bładowodniste oczy opata wpatrzyły się w twarz zjawy z napięciem. – Ile książę miał dzieci? Wnuków? Które z nich przeżyły? Co się z nimi stało?

– A pewnie. Przecież należałam do ich dworu – odparła Mairin z dumą w głosie. – Synów było tylko dwóch. Rodzina księcia uciekała na końcu. Uważali, że to niehonorowo zostawiać poddanych na pastwę losu. Wyjechali w ostatniej chwili. Dopiero gdy upewnili się, że wszystkie elfy bezpiecznie opuściły Wietrzne Katedry. Taki był właśnie nasz książę. Honorowy i prawy – zaszeleściła z nieukrywaniem podziwem. – Nikt z jego najbliższej rodziny ani on sam nie dotarł na tereny Palatynatu. Wszyscy zginęli. Tak twierdzili ci, co z nimi uciekali.

– To jak, na Onyksową Harfę, mamy znaleźć żyjącego potomka?! – zirytował się Richard.

– I o kim w takim razie mówi ten dopisek? – dodała Evan.

– O którymś z dalszych krewnych – powiedziała spokojnie zjawa. – Eilig wspominał, że Archikatedrę ma otworzyć krewny księcia, ale nie twierdził, że to

musi być w prostej linii syn czy wnuk. Książę pan miał też braci i siostrę, a oni własne dzieci. Części z nich udało się uciec, ale z tych, co dotarli na tereny Palatynatu, większość umarła z powodu zarazy. Ta notatka dowodzi, że któreś z nich jednak tę zarazę przeżyło...

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Zaraz jednak ponownie odezwała się Mairin.

– Czytajcie uważnie. Dopisek wspomina o SZKLANEJ trumnie. Elfy NIGDY nie były w takich chowane. Nie na terenie Wietrznych Katedr. Ani nigdzie indziej.

Zobaczyła, że zaczynają patrzeć na nią z zainteresowaniem, i kontynuowała wyjaśnienia.

– PROCHY elfów umieszczano w...

– W niewielkich marmurowych urnach – dokończył cicho Tancmistrz.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Zjawa pochwaliła go skinieniem głowy.

– Właśnie! W marmurowych, czasem z górskiego kryształu, ale zawsze w urnach! Tej notki nie należy odczytywać dosłownie. A teraz przypomnijcie sobie, kiedy ostatni raz widzieliście czystej krwi elfa w szklanym sarkofagu? – Czekala z napięciem niczym nauczycielka spodziewająca się, że uczniowie olśnią ją swą wiedzą.

I stało się. Trybiki zaskoczyły. Umysły, niczym cudowna maszyna, zabrały się do pracy. Analizowały. Wyciągały wnioski. To jedno pytanie uwolniło rzekę odpowiedzi.

– No jasne! – Ciceron aż sapnął z ekscytacji. – Pogrzeb Demitreosa! Szklana trumna! Jak mogłem o tym zapomnieć?!

– Co? – Evander jeszcze nie zrozumiał.

– Demitreosa wystawiono na widok publiczny w szklanej trumnie!

– Tak, a potem pogrzebano. Każdy to wie – mruknął, jakby nie chciał wyjść na jedynego ignoranta w tym gronie. – Ale to by znaczyło, że jest jeszcze jedna taka trumna. Tylko gdzie ją znaleźć?

– W Instytucie Medycznym. Wśród wielu innych – szepnął bez wahania Richard.

„Skąd to wiem?! Pewnie słyszałem w czasie Święta Srebrzystych Kaganków” – dokończył w myślach.

Przyjaciele zerknęli na niego zaskoczeni, a zjawa z uznaniem.

– Racja. Właśnie miałem to powiedzieć – mruknął Ciceron. – „Archikatedra śpiących dusz miejscem spoczynku majestatu. Znajdź go, wydobądź i przywróć światu...”. Fasada Instytutu wygląda jak wejście do archikatedry! A jeśli gdzieś w Palatynie są szklane sarkofagi, to tylko w Terminalu. A tak naprawdę to nie trumny tylko urządzenia podobne do ogromnych inkubatorów. Demitrios też w takim leżał, choć postronnym miało się wydawać, że to trumna.

– Chcesz powiedzieć, że Demitrios... przeżył?! – wykrztusił Richard. – Że ciągle jest w Instytucie?! Że to o niego nam chodzi?

– Nie. W jego przypadku to urządzenie miało jedynie zapewnić, by nie rozpadł się za szybko – odparł Ciceron. – By jego ciało dotrwało w jak najlepszym stanie do końca ceremonii pogrzebowych. Prochy Demitriosa umieszczono w urnie z białego marmuru, a samą urnę w Sali Pamięci w Palatium. To zapomniany fragment historii, bo przy każdym Święcie Srebrzystych Kaganków w kółko pokazywane są tylko jego zdjęcia, jak leży w tej tak zwanej trumnie. No i nie miał podwójnej armilli. Co do inkubatorów... Podtrzymują życie pacjentów będących w ciężkim stanie. Na przykład w śpiączce. Rodziny płacą za to horrendalne ilości dragenów, ale przynajmniej mogą widywać bliskich, no i mają nadzieję na wybudzenie czy wyleczenie za jakiś czas. Te osoby nie są ani martwe, ani żywe. Można by rzec, że inkubatory to ich sarkofagi.

– Ooo! I myślicie, że nasz dziedzic przeżył i egzystuje właśnie w takim inkubatorze w Instytucie? – szepnęła ze zgrozą Evangeline. – Ale to by znaczyło, że...

– Że ten, kto pisał notatkę, wiedział o tym. I o wszystkich innych podłościach ludzi – wtrącił Richard.

– Zgadza się. Jeden z pięciu posiadaczy fragmentów mapy – powiedziała Mairin. – Ale nie wasz ojciec – szybko dodała, patrząc na Evandera. – Wiedziałabym o tym.

– To by też świadczyło, że oprócz was przeżyły inne elfy – dodał Richard.

– By to elfia zaraza! – Tancmistrz pomasaował brodę.

„Aż elfom staniemy się podobni...”. Opat przywołał w myślach ten słynny cytat i wtedy go olśniło. Popatrzył na przyjaciół z niedowierzaniem. Ale w bladych tęczęwkach pojawiło się też przerażenie.

– To się nie skończyło! – wykrztusił, sam nie wierząc, że to mówi. – Eksperymenty. Badania elfów. To się nadal dzieje! Tam, w Instytucie Medycznym!

– Szlag! – wychrypiał Tancmistrz, palcami przeczesał jasne włosy. – To zmienia całą strategię naszego działania.

Spojrzeni na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Rano do Fenaby pojedzie tylko rodzeństwo. Nas – zerknął na Dee i opata – czeka droga do Metropolii.

Wziął tacę z kanapkami i herbatą.

– Pogadam z Desire. Czas na kolejny kontakt z Kinnonem.

Zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom wiodącym do wnętrza kościółka. Już w nawie głównej dogonił go Richard.

– Tancmistrz, mam prośbę...

– Tiaa?... – Zakonnik obejrzał się przez ramię.

– Jak będziecie rozmawiali z Kinnonem, jak złapiesz ten kontakt, dowiedz się, czy... – rzucił pospiesznym, nerwowym szeptem. – Poproś, żeby ci powiedział... Zapytaj...

– Zapytam – odparł mnich, jakby sprawa była oczywista. – O Bazylię też.

Do wejścia na wieżę odprowadziło go pełne niepokoju, ale i wdzięczności spojrzenie oczu o tęczęwkach w kolorze palonych ziaren kawy.

* * *

– Chyba kpisz! – podsumował nowiny Desire.

W przypadku Tancmistrza pytanie było oczywiście z gatunku retorycznych.

Płowowłosy mnich tylko się skrzywił i splunął. Zajął się obserwacją okolicy, podczas gdy Desire sięgnął po następną kanapkę i pociągnął łyk wystygłej herbaty.

– Rano wyruszamy do Metropolii – burknął Tancmistrz po swoim. – Więc jak zjesz, skontaktuj się z Kinnonem. Musimy znaleźć kogoś, kto nas wprowadzi do Instytutu i pomoże znaleźć tego elfa.

– Nie masz pojęcia, o co prosisz! To jak stanąć nago przed wściekłym bazyliuszkiem i powiedzieć: będę twoją przekąską, tylko łaskawie mnie zeżryj!

– Już raz to zrobiłeś. Masz wprawę, dasz radę.

Desire usłyszał ironię w głosie przyjaciela.

– Tancmistrz!

Tamten westchnął.

– Mairin z opatem zarzekają się, że tylko tam znajdziemy naszego elfa. Jeśli masz jakiś inny pomysł, jak bez tego faceta dotrzeć do Wietrznych Katedr, a potem otworzyć Archikatedrę, to czekam! – Spojrzał na przyjaciela znacząco.

Desire otarł usta grzbietem dłoni. Odstawił talerz i kubek na podłogę. Głośno wciągnął powietrze.

– To miała być taka szybciutka i bezproblemowa wyprawa... Po klepsydry i z powrotem... Gnom by się uśmieł!

Chrząknął, jakby kawałek kanapki utkwiał mu w gardle. Jeszcze raz sięgnął po kubek i jednym łykiem wypił resztę.

– Ja się nie muszę martwić przebiegiem wyprawy – mruknął, a kiedy zobaczył pytanie w oczach Tancmistrza, szybko dokończył: – Kinnon zabije mnie, zanim wyruszymy do Metropolii. Już teraz był wściekły, że narażamy klasztor. To zadanie śledzenia Terraneya...

– Na Onyksową! Wiesz, że nie mamy wyjścia. Sleepy Graves leży zdecydowanie bliżej Metropolii niż Fenaby. Na dodatek poza granicami Kryształowych Wodospadów. Nasz powrót do Fenaby, a potem kolejna jazda do Metropolii to strata czasu.

– Wiem.

– No i musielibyśmy się przedzierać przez punkty kontrolne kilka razy. Zostają jeszcze diabliki. Ciągle nie wiemy, kiedy konstable je wypuszczą.

– Wiem – powtórzył z rozdrażnieniem Desire.

Tancmistrz zerknął na niego spode łba. Nie odezwał się już ani słowem. Bo co niby miałyby powiedzieć? Wyznać, że podobnie jak przyjaciel wolałby postrzał w głowę niż zapuszczanie się w stare rewiry, których tak długo udało się unikać? Że w Metropolii czeka na nich nie tylko niebezpieczne zadanie, lecz także wiele mrocznych wspomnień, za którymi bynajmniej nie tęsknił. Żaden z nich nie wypowiedział tych obaw na głos, tylko Desire ostentacyjnie sapnął:

– Dobra, miejmy to za sobą.

Z ociąganiem sięgnął do swego pasa z licznymi kieszonkami. Z jednej z nich wyjął trzy metalowe wielościany. Mieściły się w dłoni i pokryte były fantazyjnymi rzeźbieniami. Ot, wydawałoby się, zwykłe kości do gry, jakich używa się w byle przybytku hazardu.

– Chuchnij na szczęście, maleńka – mruknął Desire do Tancmistrza, jakby zwracał się do jakiejś ślicznotki asystującej w rozgrywkach.

Tamten złapał się pod boki, posłał mu mordercze spojrzenie, ale potem... pochylił się i chuchnął wprost w otwartą dłoń przyjaciela!

– Cudownie. Przynajmniej tym razem Kinnon nie wydrze się na mnie – mruknął Desire. Wprawnym ruchem rzucił kości na podłogę. – *Inflores!*

Grzechocząc niczym szkielet nieboszczyka w upiornym tańcu, kostki potoczyły się ku najbliższej ścianie, odbiły się od niej i zatrzymały blisko siebie. Mężczyźni się wzdrygnęli. Wymienili spojrzenia. Desire ponownie sięgnął do swego pasa. Tym razem wyjął fiolkę. Odkorkował ją, schylił się, wyciągnął dłoń.

Kilka razy puknął flakonik palcem, zupełnie jakby używał solniczki do posolenia potraw, a wtedy z wnętrza wysypały się drobinki złocisto-rubinowego proszku. Ten obłoczkiem spadł na wielościany.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Mężczyźni siedzieli, gapili się na kości i czekali, ale w chwili gdy Tancmistrz otworzył usta, by zaproponować ponowny rzut, wielościany zaczęły lgnąć ku sobie. Pomału, z cichym stukotem przetoczyły się, zwały, zlały w jedność. Nowo powstała bryła rozděła się do wielkości jabłka, nie tracąc nic z rzeźbień trójki swych poprzedników, a jedynie przyjmując postać metalowego tulipana. Nagle z wnętrza tego przedziwnego kwiatu wystrzeliła... woda. Przynajmniej Desire i Tancmistrzowi mogło się tak wydawać. Jej drobinki ulatywały ku górze, tworząc ściankę rozmiarów niewielkiej chustki i falując niczym tkanina smagana podmuchami wiatru. Ściana ta nagle się kończyła i drobinki znikwały równie tajemniczo, jak się pojawiały. Na połyskującej błękitem wodnej tkaninie najpierw długo niczego nie było widać. Potem obraz jakby się wyostrzył, ukazując stertę gałązek leżących na posłaniu.

Mężczyźni spojrzeli po sobie z konsternacją. Przyjrzeni się uważniej i dotarło do nich, że to, co wzięli za wiązkę drewnienek, w istocie jest biczem wielorzemiennym zakończonym supełkami. Dyscypliną zakonną do samoumartwiania się. Skóra, z której bat był zrobiony, zbrązowiała z upływem czasu na podobieństwo gałązek właśnie. Skupili się jeszcze bardziej i zrozumieli, że patrzą na wnętrze zakonnej celi.

„Powinien wisieć na ścianie. Zawsze wisiał NAD łóżkiem, nigdy nie leżał na posłaniu” – pomyślał Desire, wpatrując się w bicz!

Kiedy sobie to uświadomił, prędko machnął dłonią, szepnął *Terminatus* i widmowy obraz natychmiast zniknął. Desire zaklął szpetnie i nerwowo pogładził się po brodzie. Pełnym niepokoju spojrzeniem omiół Tancmistrza, potem tulipan, który na powrót zmienił się w trzy niepozorne kości do gry. Szybko schylił się ku nim, zacisnął w dłoni, jakby chcąc upewnić się, że ich nie straci. Pieczołowicie zamknął na powrót w kieszonce pasa.

– Co jest? – spytał Tancmistrz co najmniej zaintrygowany. Jego uwadze nie umknęło zdenerwowanie Desire, a nawet... strach?

– Co się dzieje? – powtórzył pytanie.

Ciemnowłosy zakonnik przygryzł usta.

– Mam nadzieję, że nic... – zaczął niepewnie. – Umówiliśmy się z Kinnonem...

– Dawaj!

Desire wstał, zapatrzył się na Sleepy Graves skąpane w księżycowej poświacie, na wyludnione uliczki, pojedyncze rozświetlone okna przypominające klejnoty błyszczące na dnie ciemniej pieczary. Na tych niewielu przechodniów jakby skradających się czy umykających przed zmrokiem ku bezpiecznym domostwom. Miasteczko szykowało się do snu. I tylko neon motelu przywabił ludzkie śmy obietnicą posiłku, a może i zabawy do białego rana.

– Ustaliliśmy z Kinnonem system znaków – na nowo podjął rozmowę.

Przeniósł spojrzenie na Tancmistrza. Ten cierpliwie czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Przekażnik Kinnona jest w jego celi.

– To wiem.

– Jeśli nie może rozmawiać albo nie ma go w pobliżu, zostawia na widoku modlitewnik. To znak, że wszystko w porządku i odezwie się najszybciej jak może.

– Ahaaa... A bicz?

Desire zmarkotniał jeszcze bardziej.

– Niebezpieczeństwo – szepnął. Ciemne oczy wpatrzyły się w Tancmistrza. – Właśnie w tym momencie klasztor jest przeszukiwany przez konstabli...

Tancmistrz zerwał się z miejsca. Palce rąk splótł na karku. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

– By to elfia!... Jesteś pewien?

– Kinnon nie robi głupich dowcipów. I jest sumienny. Wierzę mu – odparł

przyjaciel. – Ale rewizje już się zdarzały. Nigdy nic nie znaleźli, pamiętasz? Bicz to przekaz, że tak jest i teraz. Gdyby było inaczej, zobaczylibyśmy kaganek, wewnątrz innego pomieszczenia, ciemność, cokolwiek innego.

Następny kwadrans obydwaj pilnie lustrowali okolice kościółka, jakby spodziewając się, że i tu pojawią się konstable. Nic takiego się nie wydarzyło.

– Powiadom Cicerona – mruknął w końcu Desire. – Nic nie jest w stanie zrobić, ale musi wiedzieć. Dam znać, jeśli Kinnon się odezwie.

– Zmienię cię za dwie godziny. Na razie.

Tancmistrz skinął mu głową. Ciemnowłosa zakonnik został na wieży sam ze swoimi wspomnieniami, marzeniami, ale i obawami.

* * *

Tancmistrz zastał opata w nawie głównej. Starszy pan siedział na jakimś niskim zydłu w prezbiterium, zamyślony patrzył w przestrzeń i tylko w palcach przetaczał koraliki modlitewne. Wyglądał jak zwykły emeryt, który przyszedł pomodlić się do kościoła, lecz Tancmistrz wiedział, że to tylko pozory. W rzeczywistości umysł Cicerona zajęty był planowaniem kolejnych posunięć.

Żałując, że musi przeszkodzić, Tancmistrz podszedł do opata i szeptem zreferował sytuację. Ciceron wpatrzył się w niego i przygryzł usta. Nie musiał nic mówić, bo czyż nie było oczywiste, o co chce zapytać?

– Desire da nam znać, jeśli Kinnon się odezwie – szepnął Tancmistrz, jakby bał się, że głośniejszym słowem ściągnie na nich niebezpieczeństwo. – Zapowiada się kolejna zmiana naszych planów...

Opat nadal milczał.

– Nie ma nas tam! Nie pomożemy pozostałym. A co, jeśli tym razem konstable coś odkryją? Zejdą do piwnic, zobaczą inkubatory z jajami, cały nasz przychówek, zapasy leków? – W głosie mnicha dało się słyszeć... strach. – Wiesz, co zrobią pozostałym braciom...

Ciceron westchnął, ale nic nie odpowiedział.

– Torturami wydobędą z nich wszystko! – wychrypiał Tancmistrz. – Zginą nasi przyjaciele i wiele dekad naszej pracy!...

– Dość! – Opat położył dłoń na ramieniu mężczyzny, kilkakrotnie nim potrząsnął. – Tancmistrz, którego znam i podziwiam, nie boi się niczego – powiedział dobitnie. – Nie poddawaj się panice! To rozkaz!

Płowowłosa zakonnica zacisnęła szczękę. Z trudem skinęła głową.

– Poza tym – ciągnął Ciceron już łagodniejszym tonem – mamy warty na murach i procedury, pamiętasz? Wdrożone dawno temu i do znudzenia trenowane. Właśnie na takie okazje. Do tej pory nas nie zawiodły, więc tym razem też będzie dobrze! „Cholera, mam nadzieję!” – dokończył w myślach. Za nic nie przyznałby się przed Tancmistrzem, że wcale nie jest tego taki pewien. Nie, kiedy nie ma go w klasztorze. – Zrobiłeś to lekarstwo dla rodzeństwa? – spytał, by zmienić temat.

– Muszę dokończyć.

– To nie trać czasu.

– A ty?

– Wspomogę Desire na wieży. Moje oczy może i są stare, ale to nadal niemal elfie oczy. Potrafią sporo dostrzec.

– Co z pozostałymi?

– Evan śpi na antresoli, Evander w argemonii. Richard się kąpie, ale powiedziałem mu, żeby potem się położył. Musimy mieć wypoczętego kierowcę, jeśli chcemy bezpiecznie dotrzeć do Metropolii – wyjaśnił, widząc pytanie w oczach Tancmistrza. – Mairin widziałem ostatnio przy grobie Ruiza. Jak skończysz robić te leki, zdrzemnij się. Przemęczony nie będziesz przydatny, będziesz zagrożeniem. – Opat posłał podwładnemu znaczące spojrzenie.

Tancmistrz się uklonił i po chwili drzwi zakrystii zamknęły się z cichym skrzypnięciem.

* * *

Richard stanął pod prysznicem, odkręcił wodę, zaczął systematycznie mydlić ciało. Wszystkie te banalne czynności wykonywał bezwiednie. Rozmyślał. Tym razem wszelkie jego troski nie spłynęły wraz z mydlinami. Oto życie postawiło na drodze jego i jego... przyjaciół – bo tak, ci ludzie stali się jego pierwszymi w życiu przyjaciółmi! – nowe wyzwania i problemy. Kolejna, prosta z pozoru wyprawa, pogmatwała się nie wiedzieć kiedy i jakim cudem.

„Za każdym razem, kiedy jesteśmy blisko celu, coś się musi wydarzyć. Coś, co niweczy albo zmienia nasze plany. I jeszcze Maya... Kiedy znowu ją zobaczę? Przytulę? Na Onyksową, ale za nią tęsknię! Nie, nie mogę tyle o niej myśleć. Skupienie. Teraz muszę się skupić na tym, żeby wyprawa się powiodła – myślał, wychodząc spod prysznicza i wycierając ciało. Ale zaraz jego uwagę przyciągnęło coś innego. Przyjrzał się bliźnie oparzeniowej na piersi i tej drugiej na udzie. Odniósł wrażenie, że się zmniejszyły. Wspomnił, że ostatnimi czasy kulał jakby rzadziej, a same blizny mniej go uwierały. – Lekki Tancmistrza? To poproszę dwa razy tyle”.

Podszedł do lustra. Ciemny zarost oprószył jego twarz. „A już się martwiłem”. Ucieszył się z tej nagłej konieczności ogolenia się, bo podejrzewał, że to też może być objaw jego tajemniczej choroby.

Przyjrzał się własnej gębie. Paskudna jak zawsze. No, może na tęczęwkach koloru palonej kawy pojawiło się kilka nowych błękitnych plamek i włosy jakby ściemniały, ale to tyle. Żadnego mrowienia palców u stóp, pobołowania brzucha czy klatki piersiowej. Żadnych duszności ani zmiany głosu na niższy.

Włożył bieliznę. Zadowolony ogolił się, założył spodnie, sięgnął po buty. Właśnie wtedy jego wzrok powędrował ku umywalce. Z początku nie wiedział, co zwróciło jego uwagę. Po chwili zrozumiał. Na jej brzegu leżał włos. Długi, mieniący się złotem.

– Evan... – szepnął, gdy zrozumiał, kto korzystał z tej łazienki tuż przed nim.

Złapał włos w dwa palce, uniósł go ku oczom, wpatrzył się w niego. Z jakiegoś powodu zaschło mu w ustach. Nie do końca rozumiejąc, po co to robi,

owinał włos wokół palca. Tak powstały pierścionek schował w kieszeni spodni. Czemu – niczym fetyszysta uwielbiający grzebać w koszu z cudzą brudną bielizną – czuł się podekscytowany i zażenowany jednocześnie? Zawstydział się tego, co właśnie zrobił, ale włos nie wyrzucił.

Złapał koszulę. Wymyślając sobie od zboczeńców i przypominając o istnieniu Mai, otworzył drzwi łazienki. Wzrok padł na posłanie, na którym zobaczył... Evangeline?! Choć nie zdawał sobie sprawy, rozczulił go ten widok. Evan spała na boku z jedną nogą nieco zwisającą z łóżka. Na szóstym, najmniejszym palcu stopy miała błyszczący srebrem pierścionek. Długie włosy, splecione w warkocz, w blasku księżycy przypominały bladozłotą linię leżącą na śniegu pościeli. Jej twarz była całkiem spokojna, lecz – jakby dla kontrastu – dłonie kurczowo obejmowały poduszkę. Kryształ armilli na nagim ramieniu, podobne czarnym diamentom, nie pulsowały teraz ani nie płynęły, lecz zdawały się spać wraz ze swą właścicielką.

„Na Onyksową! Jak długo się kąpałem? – pomyślał zaskoczony. – Kiedy zdążyła tu przyjść? Hałasowałem w łazience, a ona mimo to zasnęła?”

Ale zaraz zbeształ się za drażnienie tego tematu. Nie wolno mu jej budzić, bo do Fenaby musi dotrzeć w jak najlepszej kondycji. Najciszej, jak zdołał, zgasił światło w łazience i zamknął drzwi. Dzierżąc buty i koszulę w jednej ręce, podszedł do śpiącej. W delikatnej księżycowej poświacie jej twarz wyglądała nierealnie... pięknie. Z wrażenia niemal zapomniał o oddechu. Kiedy ciało wymusiło na nim tę prostą czynność, usta wypuściły westchnienie. Zaklął w myślach w obawie, że to oraz łomot jego serca obudzą kobietę.

„Evan to elf. One zawsze są piękne! A ty pamiętaj o Mai, debilu!”

Ostrożnie nakrył Evangeline kocem. Na palcach przemknął obok, a będąc już na schodach i dalej na galeryjce, zwyczajnie zwiął, jakby go kraken górski ścigał.

Tej nocy, na jednej z kanap w nawie głównej – w trakcie krótkiej, jak mu się zdało, drzemki – przyśniły mu się trzy pary oczu. W zmysłowej i mrocznej atmosferze kościółka zaprosiły go do tańca. Trzy pary rąk objęły go i kołysząc do przedziwnej muzyki, pieszczotą rozpały zmysły. Zawierowali między

kolumienkami. Z trojga ust wprost do ucha popłynął strumień grzesznych obietnic. „Wybierz właściwie...” – szeptały. Ciemne, znajome dłonie gładziły tors. Złoty warkocz oplatał się dookoła jego szyi, upajając aromatem pinii i potoków górskich. Błękitne tęczęwki z gwiazdzistą źrenicą wpatrywały się z miłością w jego własne... Westchnął z uśmiechem i niedowierzaniem.

„Wybierz właściwie...”.

Każdą najmniejszą komórką ciała czuł nadciągającą ekstazę. Każdym nerwem zbliżające spełnienie. Poddał się tym odczuciom z radością, a wtedy trzy dłonie wyciągnęły się ku niemu.

„Wybierz właściwie...”.

Lecz którą z dłoni wybrać? Tę o smaku *café latte*? Jasną jak kwiat magnolii? Czy może tę ostatnią zdobioną... zielono-błękitną łuską?

„Wybierz właściwie...”.

Zmysły niemal eksplodowały. Serce pragnęło wszystkich trzech, lecz rozum podpowiadał, że to niemożliwe.

„Wybierz właściwie...”.

Teraz to on, wzdychając raz po raz, szeptał: „Wybierz właściwie...”. Gdzieś z mroku wysunęła się jeszcze jedna dłoń. Mała, pokryta plamami, jakby zaszuszone. Ona też zdawała się mówić „Wybierz...”.

– Jaasne! – usłyszał zde gustowany męski głos. – Ale umówmy się, że wybierać właściwie będziesz, jak wrócimy do Fenaby, okej?

Czyjeś palce zacisnęły się na jego ramieniu. Ten ktoś potrząsnął nim z taką mocą, że Richard omal nie zleciał z kanapy. Plusem tej brutalnej akcji było natychmiastowe i całkowite wybudzenie. Minusem, że erotyczny sen uleciał, pozostawiając po sobie jedynie dwa słowa, których znaczenia Dee nie ogarniał.

– Raany! – Desire przewrócił oczami. – Czemu to zawsze ja muszę budzić tego kochasia z jego wilgotnych snów?! Tfu! Zbieraj się, Dee! Tom przyjechał!

– C-co?! – Richard usiadł niezgrabnie, potarł pięściami zapuchnięte od snu

oczy. Spojrzał przez okno. Na zewnątrz wciąż było ciemno. Efektem męczącej drzemki na niewygodnej sofie był też ból kości i zdrętwiałe ciało. Przeciągnął się. – Która godzina? Jest noc! – zaprotestował, jakby w nadziei, że gdy to zrobi, będzie mógł ponownie się zdrzemnąć i dokończyć intrygujący sen. – Nie mieliśmy jechać rano?

– Jak to mówią: kto wcześniej wstaje... – rzucił Tancmistrz niosący jakiś pakunek.

– ...tego ominie poranne świntuszenie. – Desire zarechotał. – Poza tym rano to nie godzina na zegarku tylko stan umysłu. No, rusz się. Czas wrzucić kłaka na ciężarówkę Toma.

Godzinę później argemonia była załadowana, a posesja zabezpieczona. Mairin pożegnała ich wylewnie, zapewniając, że przypilnuje kościółka do ich powrotu. Tym samym popsuła wszystkim humor, bo przecież wiedzieli, że już tu nie wrócą. Najbardziej przejęła się Evangeline. Robiąc dobrą minę do złej gry, wręczyła zakonnikom prowiant na drogę.

Tancmistrz obdzielił rodzeństwo i Richarda resztką leków. Stojąc przy zdezelowanym gracie Smitharda, wymienili ostatnie uwagi i pożegnali się, obiecując, że niedługo spotkają się w Fenaby. Słońce właśnie wstawało i czas najwyższy był ruszać.

Evander wlaźł do róży, Tancmistrz ponownie zmieniony w chihuahua wskoczył do samochodu Richarda, ten zaś stał oparty o maskę. Czekał, aż Ciceron skończy dopinać szczegóły z Tomem.

Tymczasem Evangeline, siedząc z tyłu na ciężarówce obok miedzianej wanny z argemonią, patrzyła na kościółek, sad, stawik, szklarenkę. Na wszystko, co znane, bezpieczne i na swój sposób kochane. Tyle lat chciała się stąd wyrwać. Marzyła o tym. Pragnęła tego. Teraz, kiedy miało to nastąpić, myślała o tym... z żalem! Zagryzła usta. Wiedziała, że nie może się rozplakać. Zamrugła, odganiając łzy. Desire, który właśnie miał się zmienić w mastifa i dołączyć do piaskowej chihuahua, ukradkiem zerknął na Evan i dostrzegł jej minę. Zrobiło mu się jej żal

i poczuł, że musi ją wesprzeć. Przywołał więc na twarz najbezczelniejszy ze swych uśmiechów i ruszył ku kobiecie.

– Hej, skarbie, no nie rób takiej miny! – wypalił swym niskim, męskim głosem. – Ja wrócę.

Zobaczył jej konsternację i ucieszył się, że udało mu się odwrócić jej uwagę od smutnych rozmyślań. Podszedł jeszcze bliżej, nachylił się i szepnął gorąco wprost do ucha Evan:

– Nie rozpaczaj, że się ze mną żegnasz!

– Nie przeginaj! – odszepnęła.

– Wyprawa będzie krótka – kontynuował, jakby nie usłyszał jej słów – ale nasza randka po moim powrocie wręcz przeciwnie. Zapewnię ci taaakie rozrywki... – Spojrzał przeciągle w jej oczy, złapał dłoń elfki, pochylił się i szarmancko ucałował. Podniósł głowę i zobaczył ciemne rumieńce na twarzy kobiety. Jego tupet dosłownie odebrał jej mowę. – „Wkurza się. I dobrze – uśmiechnął się do własnych myśli. – To lepsze niżby miała bać się podróży albo rozpaczać, że opuszcza tę cholerną miejscinę”. – Pozwolisz, że ci pomogę? – dokończył już na głos.

Wzrokiem wskazał miedzianą wannę. Elfka dyskretnie zerknęła w stronę Richarda. Desire udał, że tego nie widzi. Lekko wskoczył na ciężarówkę. Evan nie zdążyła zaprotestować. Chwilę później leżała we wnętrzu argemonii przytulona do brata. A zanim róża śpiących zamknęła się nad ich głowami, usłyszała ostatnie bezczelne słowa ciemnowłosego mnicha:

– Myśl o mnie, słonko. Całą drogę. A ty, Evander, dobrze opiekuj się moim skarbem!

Usłyszał chichot elfa, a potem głośne „Auuu! Evan, no za co?”. Obstawił wannę z sukulentem innymi antykami, zeskoczył z ciężarówki i zamknął klapę.

– Uważajcie na siebie – rzucił jeszcze i pomachał ręką Smithardowi.

Lecz w drodze do samochodu Richarda całe wymuszone rozbawienie wyparowało. Znów powrócił Desire profesjonalista, spec od trudnych misji. Po

chwili ciemny jak bezgwiazdna noc mastif zajął miejsce z tyłu samochodu. Niedługo potem dołączył do niego Ciceron. Zmieniony w nieistotny drobiazg ukrył się w czeluściach wozu. Nim słońce wstało na dobre, zawałona antykami półciązarówka oraz zdezelowany willys wyruszyły ku przeznaczeniu...

* * *

– Ehm, Tancmistrz, dowiedziałeś się może od Kinnona... No wiesz... Pytam o Fenaby, klasztor, braci i... – mruknął Richard, gdy opuścili Sleepy Graves.

– Problemy były – odwarknęła chihuahua. – Najlepiej niech ci Desire o nich opowie.

Richard zerknął w lusterko wsteczne. Zobaczył skrzywiony pysk mastifa.

– A co się TYM RAZEM zdarzyło?

– Nalot konstabli na klasztor – burknął Desire.

– Co takiego?! – Dee gwałtownie nacisnął hamulec. Chihuahua zaczęła bluzgać, gdzieś z tyłu dobiegło ich zrzęczenie opata. Tylko mastif zachował spokój. Jak gdyby nigdy nic oświadczył:

– Wyluzuj. Nic się nie stało. Niczego nie znaleźli, nic nie odkryli. Jak zawsze!

Richard patrzył na niego z przerażeniem i niedowierzaniem.

– A... A Maya?... Bazylia?... Na pewno?...

– Na pewno! – oświadczył Desire. – Pamiętasz nasze procedury? To nie pierwsza wizyta konstabli i zapewne nie ostatnia. Zwłaszcza teraz, kiedy mieszańce krasnoludów... No nieważne. Po prostu musimy przywyknąć, że teraz konstable będą jak robaki w dupie, natrętni, ciężcy do spławienia i wyjątkowo wnerwiający. Kinnon odezwał się jakieś dwie godziny temu. Wszystko w klasztorze w porządku, a Terraney dalej nie dostał swojej odpowiedzi. Grubas nie leniuchował. Ustalił, jak wprowadzić nas do Instytutu i gdzie namierzyć tego elfa. Teraz robi wszystko, żeby znaleźć dla nas tę Harfę. Zdaje się, braciszkuwie będą dziś mieli nagły i niespodziewany post. – Wyszczrzył się. – Co poradzę? Zresztą przyda im się.

Bardziej potrzebujemy informatora niż kucharza.

– Ale nadal jedziemy do Metropolii? – upewnił się Richard.

– Ty nie, jeśli ciągle będziesz tak hamował! – wycedziła chihuahua charakterystycznym głosem Tancmistrza.

– Wybacz – mruknął Dee zły, że znów nie zapanował nad emocjami.

– Przeprosiny przyjęte. Ostatni raz. A teraz zasuway. To my mamy przyjechać do Metropolii, nie ona do nas.

Parę minut upłynęło w kompletnej ciszy.

– Richard, jeszcze jedno – rozległ się gdzieś z tyłu głos Cicerona. – W swoim bagażu masz list. Poprosiłem Evan, by napisała do Terraneya, że zostaje dłużej w Sirens Bay. To da nam czas i pozwoli trzymać komendanta na dystans. Nie chciałbym, żeby zaczął jej szukać, a tak się stanie, jeśli nie będzie miał od niej żadnych wieści. Wyślij list, gdy będziesz przejeżdżał przez tę miejscinę.

– Jasne. Na miejscu będziemy późnym popołudniem. Co dalej?

– Powiem ci po przyjeździe – odezwał się Desire. – Co godzinę budź na zmianę mnie albo Tancmistrza. Będziemy modyfikować wygląd auta. Nie mogą nas namierzyć, a już na pewno zidentyfikować. – Mastif ziewnął. – Teraz skup się na drodze, unikaj konstabli, a nam daj się trochę zdrzemnąć. Nie wszyscy mogli sobie pozwolić na taki luksus w nocy. – Zwinął się w kłębek, a zanim zasnął, wymamrotał jeszcze: – I nie każdy jest takim szczęściarzem, żeby tak często... śnić... wilgotne... sny...

* * *

Metropolia. Stolica Palatynatu. Miasto wielkich nadziei i utraconych szans, splendoru i nędzy. Świat niebywałych sukcesów, gdy znało się kogo trzeba, i sromotnych porażek, gdy znajomości tych zabrakło. Dżungla, w której wszystko było możliwe, lecz nic nie było oczywiste. To w tym ogromnym ludzkim mrowisku można było błyszczeć na tle tłumów lub dyskretnie w nich zniknąć. Ileż możliwości! Dzielnice luksusu od dzielnic nędzy oddzielała czasem jedna

przecznica. Każdy znał miejsce w hierarchii społecznej. Rzadko kto się z niej wyłamywał. I tylko niekiedy zblazowani, zgnuśniali bogacze zapuszczali się w niebezpieczne rejony, żądni adrenaliny, której na co dzień im brakowało.

Kilka dzielnic – o neutralnych światopoglądowo nazwach – tworzyło wielki, zróżnicowany, pełen witalności organizm. W leżących na wzgórzach Gajach Oliwnych od zawsze rezydowali najbogatsi tego świata. Dorobkiewiczze i szczęśliwi dziedzice młodych fortun. Nowo powstały rodzaj arystokracji żyjącej na pokaz. Tu nie wypadało być skromnym. Ekskluzywne rezydencje o fantazyjnej architekturze i stan posiadania wręcz należało eksponować. Tylko tak można było udowodnić, że coś się znaczy w świecie establishmentu.

Dzielnice Dębów zasiedlili biedacy. Naiwniacy o słabych łokciach i niskiej samoocenie. Zbyt mało cwani, za bardzo uczciwi albo zwyczajnie pechowi. Nawykli do ciężkiej roboty za byle dragena, stanowili masę smutnych, posłusznych owiec, którymi wataha apodyktycznych psów rezydujących w Palatium rządziła, jak chciała. Dzielnica Dębów była niewiele większa od Gajów Oliwnych, lecz zdecydowanie gęściej zaludniona. Wysoki standard mieszkania oznaczał tu wychodek na korytarzu – nie w podwórku – dostępny dla wszystkich lokatorów. Luksusowy – gdy znajdował się w mieszkaniu wielkości trumny i był oddany do dyspozycji tylko jednego mieszkańca.

Były jeszcze inne dzielnice. Ostrokrzewów – zamieszkałych przez klasę średniaków, szczęśliwców, którym się udało. Złocistych Cedrów – z przeszklonymi nowoczesnymi budynkami, skupiająca finansistów. Czarnych Sosen – zdominowaną przez drobny biznes oraz Smocznych Dracen. To w tej ostatniej mieściło się Palatium, Theatron oraz kompleks wystawienniczo-sportowy, w którym odbywał się Memorial i celebrowano Święto Srebrzystych Kaganków. Tuż obok przycupnęła dzielnica Purpurowych Wisterii z kampusem uniwersyteckim, zespołami laboratoriów oraz Instytutem Medycznym.

W Pustynnych Różach mieściły się ogrody pełne egzotycznych roślin, kąpielisko, tereny rekreacyjne, dostępne za opłatą, więc głównie odwiedzane przez

średniaków. Śnieżne Magnolie zaś oficjalnie odwiedzało się, by poszaleć na zakupach. Nieoficjalnie, gdy miało się ochotę na niegrzeczne rozrywki, dysponowało odpowiednią ilością dragenów, odwagą oraz wiedzą, gdzie tych rozrywek szukać. Dzielnica ta miała jeden główny deptak i mnóstwo ciekawych zaułków. To właśnie do niej skierowali się mnisi po przyjeździe do Metropolii.

– Jak się nazywa ten facet, którego mamy odszukać? – odezwał się Richard.

– Hamish Finley. – Mastif ziewnął. – Znajdziemy go w sklepie ze zwierzyną Czarna Łuska przy Konwaliowej siedemdziesiąt dziewięć.

Dee mocniej zacisnął rękę na kierownicy willysa. Po wielu godzinach jazdy zmęczenie wymuszało zwiększony wysiłek w prowadzeniu auta. Zwłaszcza że napój energetyczny Kinnona dawno się skończył. Wolną dłonią rozmasował zdrętwiały kark i ponownie rozejrzył się po okolicy.

Krążyli już jakiś kwadrans po Śnieżnych Magnoliach, znaleźli nawet wspomnianą ulicę Konwaliową, ale numeru siedemdziesiąt dziewięć dziwnym trafem nigdzie nie było. Richard miał wrażenie, że jeżdżą w kółko. Przy głównej ulicy Liliowej roiło się od ekskluzywnych sklepów, a handlowano chyba wszystkim, co można sobie wyobrazić. Wyobrażnię tę ograniczała jedynie zasobność portfela. Miałeś ochotę na buty ze skóry viverna? Nic prostszego. Zdejmowano miarę z twojej stopy, kilka dni później odbierałeś gotową parę. Najbogatszym podsuwano katalog z dostępnymi vivernami, z którego klient mógł sobie wybrać konkretne zwierzę, a potem samodzielnie w ramach bonusu upolować na zaaranżowanym safari. Za odpowiednią sumkę dostawało się pyszną kolację z viverniną w sosie własnym, wypchane trofeum w postaci gadziego łba do powieszenia nad kominkiem i zestaw obuwia oraz galanterii dla całej rodziny. Marzyłeś o płaszczu z futerkiem jednorozca? Proszę bardzo! Podobnie jak w przypadku vivernów, wybierałeś zwierza – bum! – i pelisa lądowała na twoich ramionach. Śniłeś o perfumach skomponowanych specjalnie dla ciebie? Nie ma sprawy. Pracę tę mogłeś zlecić najlepszym nosom Palatynatu i już po kilku miesiącach cieszyć się niepowtarzalnym aromatem. Przykłady można by mnożyć.

Rozpasana konsumpcja kłuała w oczy chyba tylko przybyszów spoza Palatynatu, na zamożnych mieszkańcach Metropolii nie robiła żadnego wrażenia.

Richard jechał ulicą Liliową, zerkając na te wszystkie elegantki w ich płaszczach z futer rzadkich zwierząt, dzierżące torebki warte fortunę, na rozwydrzone dzieciaki domagające się kolejnego minifeniksa czy utopca, znudzonych gości za szybami ekskluzywnej restauracji Diamentowa Archikatedra. Co rusz łapał się na myśli, że woli prostotę swego życia od zamknięcia w złotej klatce, dookoła której krąży stado głodnych rekinów. Minął sklep muzyczny z markowymi harfami, salon meblowy oferujący sofy obite najwyższej jakości skórą, jubilera oraz zegarmistrza.

Zerknął w lusterko wsteczne. Mastif zaczynał się niecierpliwić, chihuahua miała minę pokerzysty. Przejechał obok banku, którego broniła zastygła nad wejściem figura smoka z dragenem w pysku, oraz obok kwiaciarni o witrynach tak wielkich i przeszklonych, że sprawiała wrażenie dżungli zamkniętej w ogromnym słoju. Następny był sklep z egzotycznymi przyprawami. Celu ciągle nie było w polu widzenia.

– Co z tą Konwaliową siedemdziesiąt dziewięć? – odezwał się półgębkiem, bo zaczynało go męczyć to bezsensowne krążenie. – Kinnon coś wspominał, gdzie ją znaleźć?

– Nie – mruknął mastif. – Układ ulic jest tu porąbany. To ma być boczna odnoga Liliowej. Problem w tym, że Konwaliowa jest podzielona. Kilka przecznic tak się nazywa. Chyba musimy sprawdzić wszystkie. Ten, kto ustalał nazwy ulic w tym miejscu... – Desire westchnął teatralnie, dając do zrozumienia, co sądzi o beznadziejnym projektancie.

– Czarna Łuska... – szeptał Richard. – Czarna Łuska... Ciekawa nazwa, ale gdzie ją znaleźć?

Numeracja budynków zdawała się z nich kpić. Zaułki nadrabiały jednak urokiem, brakiem snobizmu i ciekawszą klientelą. I nikt nie miał wątpliwości, że to tu, nie na głównej ulicy, toczy się życie Śnieżnych Magnolii. Urokliwe puby

z ogródkami pełne były gości dyskutujących przy szklance cydru. Tuż obok mieściła się księgarenka zdobiona szyldem z wymalowaną elfką piszącą w opasłej księdze oraz lodziarnia. Do tej ostatniej ustawiała się długa kolejka chętnych. Przeważały oczywiście dzieciaki.

– Księstwo Lodowego Bazyliuszka – przeczytał Richard napis na szyldzie. Obok wejścia ujrzał sporych rozmiarów posąg bestii, chyba wykonany ze szkła w błękitnym odcieniu, oraz napis głoszący, że nie ma takich smaków lodów, których by tu nie sprzedawali, a wszystkie są „okrutnie dobre”. Specjalnością lokalu był Całus Jednorożca oraz Feniksowa Łza, lecz hitem Oddech Smoka.

„Łał! Aż takie odlotowe? – pomyślał Dee, widząc rozpromienione i umorusane buzie dzieciaków zajadających się figurkami szmaragdowego czy karminowego feniksa. – Po wszystkim zabiorę tu Mayę”.

Chodniki zaanektowali domorośli malarze oferujący wykonane naprędce portrety za dragena czy dwa. Niedaleko mieścił się bazar pachnący egzotyką, a idąc po skosie przez niewielki skwer zdobiony fontanną z postaciami faunów, można było dotrzeć do targu staroci oferującego przedmioty, zdawałoby się, z poprzedniego życia. Niemal wszystko, co zdołało ocaleć z Wielkiej Apokalipsy, było tu wystawione na sprzedaż. Nieco dalej znajdował się sporych rozmiarów sklep zoologiczny wraz z salonem piękności oraz przychodnią dla zwierzaków. Tu kończyło się bujne życie towarzyskie, a zaczynało to zwyczajne, wypełnione listą spraw do załatwienia. Miejsce pubów zajęły pospolite sklepiki oraz punkty usługowe.

– Czarna Łuska – powtórzył jak mantrę Richard i zagapił się na dzieciaka prowadzącego maleńkiego szarego vivernika na smyczy.

Ojciec chłopaka coś burknął, a wtedy ten, wyraźnie niezadowolony, pociągnął mocniej smycz. Podduszony vivern sapnął, wyrzucając kłębek dymu. Dee zacisnęła zęby. Nie podobało mu się takie traktowanie zwierząt. Przejechał powoli obok nich. Zerknął w lusterko boczne, jakby chcąc się upewnić, że zwierzakowi nie dzieje się krzywda. Ojciec z synem głośno dyskutowali. Mały chyba domagał się

lodów. Mężczyzna stanowczym gestem wskazał samochód, w którym po chwili cała trójka zniknęła.

– Gabinet okulisty... Gabinet okulisty... – odezwał się przedrzeźniającym tonem Desire, wytrącając Richarda z zamyślenia. Tancmistrz z Ciceronem zachichotali.

– Co? – Dee zerknął przez lusterko wsteczne na mastifa.

– Ziemia do Richarda – ponownie zakpił Desire. – Mamy problem. Potrzebny okulista, powtarzam, potrzebny na gwałt okulista...

– O czym ty?!... – zirytował się Dee.

– Zdejmij nogę z gazu, bystrzaku, wtedy świat się zatrzyma i zobaczysz, że jesteśmy, pardon, byliśmy – poprawił się Tancmistrz – u celu.

– Gdzie?! Gdzie jest ta cholerna Czarna Łuska?!

– Raaany! Przygniotłaby cię, a ty i tak byś jej nie zauważył, co? – odezwał się mastif. – Ten mały, no ten dzieciak z vivernem, właśnie z niej wychodził.

– By to elfia! – Richard zaklął pod nosem. Rzeczywiście dopiero co minął interesujący go budynek.

Jeszcze chwilę jeździł po okolicy, bo znalezienie wolnego miejsca do zaparkowania też zdawało się graniczyć z cudem, a ten wydarzył się dopiero za bazarem i targiem staroci, z dala od Czarnej Łuski. Cierpliwie poczekali, aż ściskająca się na pobliskiej ławce para nastolatków umknie speszona ich obecnością. Chwilę przyglądali się jakiemuś mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie placyku i czytającemu gazetę. Ani on, ani samotna kobieta kołysząca wózek z płaczącym niemowlakiem opodał fontanny z faunami czy kilku spacerowiczów nie stanowiło zagrożenia. Richard położył torbę na kolanach. Udając, że czegoś w niej szuka, rzucił półgębkiem:

– Dobra, jaki plan?

Mastif chrząknął i też się rozejrzał.

– Ten facet, którego szukamy, Hamish Finley, pracuje w Czarnej Łusce.

Powiedzmy, że ma dług wdzięczności u kogoś, kogo zna Kinnon.

– Dług wdzięczności...

– Aha, ale nie musisz nic więcej na ten temat wiedzieć. Twoje zadanie: znajdź faceta, powiedz mu, że potrzebujesz nasion chlebowca, bo pustynniki serpentynowe twojego znajomego przestały się nieść. Zapamiętasz?

Dee parsknął, nie starając się ukryć szyderstwa.

– Nasiona chlebowca? To ma być hasło konspiracyjne?

– W tym przybytku będzie w sam raz – zaperzył się mastif. – Co najwyżej wyjdiesz na ignoranta w sprawach hodowli vivernów, więc uważaj, żeby je podać właściwej osobie.

– Jak poznam tego Hamisha?

Usłyszał ni to chrząknięcie, ni to warknięcie, a potem jego obawy potwierdziły się. Desire nie wiedział. A przynajmniej nie dokładnie.

– Facet powinien być twojego wzrostu. Barczysty. Kiedyś miał jasne długie włosy, ale kłaki zawsze można ściąć, zafarbować.

– Tylko mi nie mów, że nazwisko też nie jest na sto procent pewne – zadrwił Richard. – Mamy jakąkolwiek wskazówkę, jak zidentyfikować tego gościa?

– A żebyś wiedział. – Mastif zaczynał się irytować. – Na serdecznym palcu lewej dłoni ma wytatuowaną obrączkę. Zieloną.

– Łał, teraz nie ma opcji, żeby go przeoczyć! Czyli w tłumie pracowników mam znaleźć tego jedyne z obrączką. To miejmy nadzieję, że nie ma mody na takie tatuaże. Dobra, jakoś dam radę. A jak zapyta, kto mnie przysłał?

– Wasz wspólny znajomy, Kasjus Nouri.

– Co dalej?

– Zażądaj, żeby cię wprowadził do Instytutu.

Richard prychnął.

– I niby pracownik sklepu zoologicznego ma takie możliwości?

– Zdziwisz się, ale tak – odparł pewnym głosem mastif. – Po pierwsze, to nie

byle sklepik, tylko całkiem spory market wchodzący w skład konsorcjum zrzeszającego podobne sklepy, hodowle i lecznice. Ten konkretny od zawsze pośredniczy w dostarczaniu Instytutowi zwierzków do celów badawczych. No, do wszelkich eksperymentów, tak? A Hamish jest jednym z tych gości, którzy najczęściej odpowiadają za dostawy. Ma wstęp do wielu pomieszczeń zarezerwowanych wyłącznie dla personelu. Poza tym – pospieszył z wyjaśnieniem, bo zobaczył, że nie do końca przekonał Richarda – w Instytucie pracuje też Olivia, jego dziewczyna.

– Narzeczona – poprawiła go chihuahua.

– A tak, narzeczona – zgodził się Desire. – Nie muszę wspominać, że w Metropolii narzeczeni są traktowani niemal jak małżonkowie. Z racji rychłego ślubu oraz pracy na terenie Instytutu Hamish został wielokrotnie sprawdzony przez wszelkie służby. Nic na niego nie mają. Ale tak się składa, że są w błędzie. – Mastif wyszczerzył zęby, co postronnym mogło się wydać groźne, lecz w tym momencie było jedynie oznaką rozbawienia. – Wykorzystać niewiedzę konstabli, psocąc pod ich nosami? Boskie!

– Ahaaa... – Richard skrzywił się, bo ciągle nie przekonywał go plan zakonnika. – A jak wprowadzi do Instytutu mnie i was trzech? I jak znajdziemy tam tego elfa?

Desire się zbliżył i szeptem objaśnił resztę. Chrapliwe warknięcie chihuahua dało im do zrozumienia, że ktoś nadchodzi. Na szczęście była to tylko matka z dzieciakiem, który w końcu zasnął. Przechodząc obok willysa, kobieta rzuciła mastifowi zaniepokojone spojrzenie i kolejne Richardowi.

– Proszę się nie obwiać. – Uspokoił ją promiennym uśmiechem. – Nie są groźne. Jednorożca by nie skrzywdziły. Poza tym ten mały jest po kastracji. – Wskazał chihuahua, która posłała mu pogardliwe spojrzenie. – A tego dużego właśnie idę zapisać na zabieg. – Zobaczył w lusterku wściekłą minę Desire i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Kobiety chyba to nie przekonało. Szybko oddaliła się w akompaniamencie

wrzasków swej pociechy, która jakimś cudem właśnie się obudziła. Dee wysiadł z samochodu. Złapał torbę, którą przewiesił sobie przez ramię.

– Richard – szepnął jeszcze mastif. – Nie muszę wspominać, że masz być szybki, ostrożny i dyskretny?

– Powtarzasz się, mamusiu!

– Czekaj!

– Co jeszcze?!

– Pochyl się! – rozkazał mastiff. – No już!

Richard udał, że zostawił coś w aucie, i zajrzał do wnętrza wozu.

– *Transformatio* – usłyszał.

Poczuł swędzenie twarzy, uczucie rozciągania i kurczenia tkanek. Spojrzał w lusterko boczne. Włosy miał tej samej długości, lecz teraz stały się zdecydowanie jaśniejsze, jakby spłowiałe od słońca. Szczękę oprószył jasny zarost. Nos nieco się wydłużył, a usta zwężyły. Spojrzał na Desire.

– Na wszelki wypadek – mruknął tamten. – Kup też czapkę albo okulary. A najlepiej jedno i drugie. O, tam masz stoisko. – Pokazał wzrokiem jakiś stragan.

Richard nic nie odpowiedział. Skinął tylko głową. Chwilę potem, odprowadzany czujnym spojrzeniem kilku par oczu, wkroczył do wnętrza Czarnej Łuski.

* * *

Ze starej kamienicy została jedynie fasada zdobiona łuską z czarnego kamienia. To stąd brała się nazwa sklepu, salonu pielęgnacji zwierząt oraz lecznicy. Wnętrze budynku dokładnie wypruto i na nowo zaaranżowano. Powstała w ten sposób otwarta aż po przeszkłony dach klatka schodowa prowadząca na parterze po prawej stronie do salonu piękności Rozkoszna Bestyjka, a po lewej do przychodni. Jedna centralna recepcja kierowała interesantów do weterynarza lub zwierzęcej kosmetyczki. Za to poczekalnie do wspomnianych przybytków były dwie. Osobne,

jasne, czyste i przestronne. W każdej z nich czekało po paru klientów.

„Czego to ludzie nie wymyślą! Salon piękności dla zwierzaków! – zakpił Dee w myślach. – I jeszcze ta nazwa jak z taniego przybytku uciech”.

I wtedy szczęka mu opadła, bo zobaczył stojącą obok recepcji starszą kobietę w drogim żakiecie zdobionym fantazyjnym haftem (niewątpliwie ręcznej roboty). Do niego włożyła spodnie o rozciętych do kolan wyszywanych nogawkach oraz niebotycznie wysokie szpilki i krótką pelerynę. Srebrne włosy upięła w delikatne warkoczyki i na elfią modłę wpięła w nie kosztowne spinki w kształcie kwiatów. Wsparta na ramieniu osiłka bez karku, roztaczała wokół aurę bogactwa i władzy.

„Elfka z ciebie żadna – ocenił kobietę Richard. – Takiej Evan nigdy nie dorównasz, ale stać cię na niezłe podróbki. I na zakupy dla synalka też. Bo, na Onyksową, to chyba twój syn?!...”.

Myślał do momentu, w którym kobieta potrząsnęła grzywą srebrnych włosów, wyszczerzyła się do chłopaka zalotnie, potem wpiła w jego usta tak żarłocznie, jakby chciała mu wyrwać wątrobę. Dee usłyszał jeszcze jej zmysłowe: „To dla ciebie, mój ty ogrze...”.

„Og... Ogrze?!”. – Brwi Richarda uniosły się nienaturalnie wysoko.

Tymczasem srebrnowłosa wykonała gest, po którym jak spod ziemi wyrósł ktoś z personelu, prowadząc na szelkach wściekle zielonego viverna wielkości labradora. Zwierzę było otyłe, poruszało się z trudem, kołysząc się na boki. Końcami skrzydeł szorowało po podłodze.

„Łąkowy zielony? Ktoś jeszcze je hoduje? – Dee podrapał się za uchem. – Myślałem, że moda na nie dawno minęła... Nie dość, że tłusty, to jeszcze się świeci”.

Rzeczywiście zwierzę błyszczało, jakby właśnie wyszło z kąpieli w oleju zakończonej solidnym polerowaniem. Zagadka wyjaśniła się sekundę później. Kochaś bez karku roześmiał się przesadnie głośno.

– Nie musiałaś, kochana! Naprawdę, nie musiałaś.

– Ależ dzióbeczku, przecież zawsze o tym marzyłeś! – zapewniła

z uśmiechem starsza pani. – I zobacz, tak jak chciałeś, wypucowany do ostatniej łuseczki. – Wskazała zwierzaka, który rozjechał się na posadzce niczym zielona żaba. – Kazałam go też natrzeć olejem kokosowym. Cudownie, prawda?!

„Na Onyksową! Kokosowym?! – pomyślał Dee zdegustowany. – Dlatego taki ospały. Zwyczajnie jest pijany jak świnia! Czy ta idiotka nie wie, że ten olej upija viverny?! Nawet przez łuski?!”.

– ...i popatrz na jego pazurki. Tak, wiem, tego nie chciałeś, ale pomyślałam, że jak zobaczysz, to zmienisz zdanie i że z tym lakierem będzie wyglądał tak cholernie seksi! – zaszczębiotała kobieta.

Dee podążył wzrokiem za spojrzeniem faceta, który gapił się na pazury pijanego zwierzaka oraz kolce na końcach jego skrzydeł i ogonie. Naturalnie czarne teraz zostały przyozdobione w dziwne esy-floresy we wszystkich możliwych odcieniach zieleni.

„Lakier? Na pazurach? Serio?!” – Richard zgrzytnął zębami.

Jak na komendę wspólnie z kochasiem przenieśli spojrzenie na kobietę. Obydwaj wściekli. Lecz ona dostrzegła gniew jedynie w oczach wybranka. Zmieszała się. Zaczęła przeproszać, coś mamrotać. Szybko wrócili do wnętrza Rozkosznej Bestyjki, zapewne by usunąć ślady bezmyślności srebrnowłosej.

– Takie rzeczy są tu na porządku dziennym.

Wyrwany ze stanu gniewnego osłupienia Richard odwrócił się z impetem. Łagodny melodyjny głos należał do innej kobiety. Była nieco starsza od niego, niewysoka, miała długie jasne włosy i plakietkę z imieniem „Jo” na piersi. Modre oczy patrzyły na niego życzliwie.

– Mogę panu jakoś pomóc?

Przypomniał sobie, że chwilę temu widział ją za ciężkim, dębowym kontuarem recepcji.

– Czy upijanie vivernów olejem kokosowym nie jest czasem zabronione? – nie zdołał się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Nie, jeśli jest podawany w celach leczniczych. Ten vivern jest już bardzo stary. Olej to remedium na jego problemy ze stawami i całą resztą. No i bardzo go uspokaja.

„Ciekawe dlaczego?” – zakpił w myślach Dee.

– Tę kurację zalecił lekarz, a pani Llewelyn zdobyła wszelkie pozwolenia, byśmy mogli go użyć – odparła Jo z uśmiechem dającym do zrozumienia, że oczywiście to kłamstwo, ale w Rozkosznej Bestyjce na małe grzeszki opłacone sporą ilością dragenów przymyka się oczy. – Czy jest coś, co możemy dla pana zrobić?

Przypomniał sobie, po co tu przyszedł, i zrezygnował z wdawania się w podejrzaną dyskusję.

– Proszę wybaczyć. – Uśmiechnął się przepaszająco. – Dopiero przyjechałem z prowincji. Takie widoki – kiwnął głową w stronę salonu piękności – to dla mnie nowinki. I to dość szokujące. No ale człowiek całe życie się uczy, prawda? – Zaśmiał się i nawet on poczuł, jak sztucznie to zabrzmiało. – Mam parę rzeczy do kupienia... – dodał szybko.

– Który dział? – zapytała kobieta. Wszystko w jej twarzy nadal się uśmiechało. Wszystko prócz oczu. Te stały się czujne.

– Głównie dla vivernów, ale pobuszuję po pozostałych. – Zaśmiał się, żeby rozładować sytuację. – Wie pani, starszy syn chciał jakąś zabawkę dla kota, żona witaminy dla kanarka. Dali mi całą listę życzeń. Ale mnie interesuje dział z egzotyką i myśliwski. Trochę poluję. – Puścił do kobiety oko, jakby zdradzał tajemnicę, której nie wyjawiał nawet wyimaginowanej żonie. Recepcjonistka odprężyła się. Uśmiechnęła szczerze.

– Pomogłabym, ale wie pan, nie mogę... – Wskazała kontuar recepcji.

– Na Onyksową Harfę! Wcale tego nie żądam!

– Na każdym piętrze znajdzie się ktoś z personelu, kto chętnie panu doradzi.

– Jasne. Dziękuję i jeszcze raz przepraszam. – Skinął kobiecie głową na pożegnanie.

Nie wiedział, czy łyknęła jego kłamstwa. Nie był na tyle głupi, żeby odwrócić się i to sprawdzić. Czuł, że odprowadza go wzrokiem. Postanowił na wszelki wypadek uwiarygodnić się w roli ćwoka z prowincji i pokręcić po niższych kondygnacjach.

Na kolejne piętra można było dostać się zwykłymi lub ruchomymi schodami tudzież windą. Wszystko tu było nowe, choć starannie wystylizowane na antyki jakby żywcem wzięte z czasów sprzed Apokalipsy. Takie więc były drewniane schody z rzeźbionymi poręczami, ażurowa winda zamknięta w szybie z metalowej koronki, a nawet dziwaczne schody ruchome o drewnianych stopniach. Odstępstwem była fontanna, a właściwie ściana wody spływającej po szklanej tafli gdzieś spod samego dachu i kończącej swój lot w jeziorku obok recepcji, w której urzędowała Jo. Wykorzystano tę fontannę jako ekran, na którym co rusz pojawiały się a to latające smoki, a to fauny wyglądające zza krzaczków, elfy grające na flecie czy kolibry spijające nektar z kielichów wielobarwnych kwiatów. Powietrze przesycone było aromatem świeżo ściętej trawy. Dee wiedział, że nie miało to nic wspólnego z prawdziwą trawą. To jedynie perfumy rozpylane, by sprawić klientom przyjemność.

„Przyjemność i poczucie, że żyją niczym bajkowe elfy. Ależ hipokryzja”.

Wspiął się na pierwszy poziom. Przywitała go przestrzeń podzielona na sektory. W każdym można było znaleźć interesujący gatunek zwierząt oraz wszystkie akcesoria, karmę czy podręczniki hodowli.

Pierwszy był dział wyłącznie dla kotów i psów. Nie wystawiano tu żywych zwierzków, te dostarczano wprost do domu po zamówieniu ze specjalnego katalogu. Było za to mnóstwo regałów uginających się pod ciężarem odżywek, szamponów, obróżek i czego tam sobie kto zażyczył. Centralnie ustawiono wygodną okrągłą ławę, w środku której osadzono dorodną palmę. Siedząc tu, można było przejrzeć katalogi z dostępnymi zwierzkami, napić się kawy czy na pobliskich monitorach obejrzeć program przyrodniczy.

Oprócz Richarda było tu jeszcze sporo innych osób oglądających kuwety,

legowiska, dopytujących o coś obsługę i oczywiście mnóstwo dzieci. Ze znużoną miną też zaczął oglądać różne drobiazgi. W końcu wybrał kulki naszpikowane kocimiętką, najtańszą i najprostsza zabawkę dla swego wymyślonego kota oraz drugą wypełnioną walerianą.

„Mam nadzieję, że patrzysz, Jo” – pomyślał o kobiecie z recepcji, kątem oka zerkając ku kamerze monitoringu, gdy płacił za niepotrzebne kulki.

Kolejne były działy z gryzoniami, ptactwem i akwarystyką. Jak można się było spodziewać, tu też kręciło się sporo dzieciaków. Biegały od działu do działu, robiąc więcej szumu niż lokatorzy klatek czy woliery, słodkim szantażem wymuszając na rodzicach kolejny bezsensowny zakup. Niespiesznie przeszedł całe piętro. Jak klient zaciekawiony, choć niepewny, co powinien kupić. Dyskretnie się rozglądał. Minął rozćwierkane woliery pełne kolorowych ptaków, klatki ze zwyczajnymi króliczkami wszelkich rozmiarów i odmian barwnych. Po drugiej stronie zobaczył imponujące akwaria z utopcami w najmodniejszym tęczowym ubarwieniu i kolejne ze zwykłymi rybkami. Obsługa była dyskretnie niewidoczna. Było tu wszystko dla zwyczajnych i niezwykłych zwierzaków i absolutnie nic dla vivernów.

„Ostrożności nigdy dosyć – pomyślał. – Postawić klatkę z vivernami przy królikach to jak podać głodnemu sztucce i zaprosić do suto zastawionego stołu. Pewnie miniviverny są na kolejnym piętrze. Ale gdzie jest ten cały Hamish?”

– Mogę jakoś pomóc? – usłyszał kolejny wysoki głos.

Odwrócił się. Ujrzał ciemnoskórą dziewczynę sięgającą mu najwyżej ramienia. Czarny żakiet z nadrukowaną łuską, plakietka z imieniem i uśmiech. No tak, dokładnie tak powinien wyglądać personel tego sklepu. Odpowiedział równie promiennym uśmiechem.

– Pięknie tu – wskazał woliery z kolorową zwierzyną – ale chyba pomyliłem piętra. Interesują mnie viverny...

– A jakie konkretnie? – Dziewczyna uparła się być pomocna. – Nasi pracownicy są wszechstronnie wykształceni.

„Nie wątpię – pomyślał z przekąsem. – Tylko dlaczego musicie za mną łązić?!”.

Powtórzył wymyśloną bajeczkę o przyjeździe z prowincji, zabawce dla kota, witaminach dla kanarka i własnym upodobaniu do polowań. Pomachał dziewczynie przed nosem dopiero co kupionymi kulkami z kocimiętką.

– Mój syn, Sebastian, ma też vivernika, jaskiniowego grafitowego – kłamał jak z nut, gdy już się rozkręcił. – Szukam odżywek dla niego, bo straszny cherlak nam się trafił.

Dziewczyna pokiwała głową. Dee kontynuował:

– A korzystając z okazji, że jestem w Metropolii w delegacji, pomyślałem, że wpadnę do waszego sklepu, pobuszuję trochę i może spotkam znajomego. Hamish. Zna pani Hamisha? Wspominał, że tu pracuje.

– Ach, Hamish! – olśniło dziewczynę. – Ten wysoki? Jasne włosy? – upewniła się. – Powinien być piętro wyżej. Dział egzotyka i łowiectwo. Tuż obok vivernów, ale kasy mają wspólne. Zamykamy za półtorej godziny, więc jeszcze powinien być w pracy. – Zerknęła na zegarek. – Zazwyczaj kręci się po dziale. Gdyby go pan nie znalazł, proszę zapytać w kasach. Pewnie będzie na zapleczu, bo dziś pora karmienia. Dotarły pisklaki srebrzystych karłów – wyjaśniła w pośpiechu. – Cudowne, ale strasznie żarłoczne.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Skinął głową w podzięcie. Powtarzając w myślach, że trzeba się sprężyć, bo zbyt wiele czasu już tu zmarnował, ruszył zwykłymi schodami na kolejne piętro.

„Oby ten Hamish tam był”.

Drewniane stopnie skrzypiały, gdy wspinał się na kolejną kondygnację. Znów przybrał minę klienta zaciekawionego, ale i znudzonego jednocześnie. Wmieszany w tłum, rozglądał się dyskretnie. Drewniane ruchome schody szumiały usypiająco, podobnie jak ciche rozmowy ludzi czy łagodna muzyka płynąca znikąd. Powietrze przepojone zapachem trawy i szmer płynącej z fontanny wody uspokajały. Winda ruszyła z ostatniego piętra w podróż ku parterowi. Zwrócił na nią uwagę, bo nieco

zgrzytnęła. Każdy metalowy detal ażurowej klatki oraz szybu starannie wykuto, by jak najbardziej przypominał antyk. Zaraz jednak coś, a właściwie ktoś w jej wnętrzu przykuł uwagę Richarda. Postawny mężczyzna w kosztownym garniturze o krótkich zaczesanych na bok rudych włosach i połamanym nosie. Stał pośrodku windy ze skrzyżowanymi ramionami i lustrował wzrokiem hall Czarnej Łuski, niczym dowódca pole walki. Biła od niego samcza pewność siebie połączona z arogancją wspieraną zasobnym portfelem.

Ale oto winda znalazła się na poziomie schodów, po których wspinał się Richard. Przez jeden krótki moment spojrzenia mężczyzn spotkały się. Nagle Dee zabrakło tchu jak po ciosie w splot słoneczny. Zadrżał. Ponownie spojrzał w szare oczy tamtego. Coś ścisnęło jego gardło. Zaskoczenie? Strach? Ekscytacja? Wspomnienia?

„Znamy się?”.

W pamięci przeszukał listę wszystkich istot, które oszukał czy obrabował. Szarookiego rudzielca na niej nie było. A jednak nie dawała mu spokoju myśl, że już się spotkali. I że nie była to uroczą konwersacja przy kawie.

Tamten odpowiedział zmarszczeniem brwi i hardym spojrzeniem. Richard poczuł uderzenie gorąca. Nie, nie był to atak tajemniczej choroby, a zwyczajny skok adrenaliny. Zaczął oddychać szybko i krótko. Dłoń zacisnął na poręczy schodów. Odwrócił głowę, by mężczyzna nie mógł dokładniej mu się przyjrzeć. Przeczucie mówiło mu, że właśnie to powinien zrobić. Nieznajomy chwilę odprowadzał go wzrokiem. Potem potrząsnął głową jak ktoś, kto sobie uświadamia, że się pomylił. Dee zacisnął szczęki.

„Gdzie ja go widziałem?...”.

Nie chcąc ryzykować, pospieszył na piętro z minivivernami, by jak najszybciej dokończyć misję. Będąc na samej górze, zasłonięty filarem i donicą z ogromną palmą, zerknął przez poręcz w dół. Rudowłosy właśnie opuszczał Czarną Łuskę. W drzwiach na moment zatrzymał się, odwrócił, uniósł głowę ku górze. Ponownie potrząsnął głową i wyszedł.

„Kimkolwiek jesteś, rudzielcu, nie chcę cię spotkać ponownie”.

Z każdą minutą ryzyko dekonspiracji wzrastało. Jeśli tamten znał któreś z jego wcieleń, może zawiadomić konstabli. Należało się sprężyć. I to bardzo. Już miał wychylić się zza filaru, gdy usłyszał dobiegający zza niego chropowaty męski głos:

– Szlag by trafił pieprzonego rudzielca! Przyłazi debil jeden w tym swoim kosztownym zasranym garniaku i będzie mi mówił, jak mam dbać o MOJE viverny!

– Wrzuc na luz, Bastien – odparł inny, łagodny, przypominający Richardowi szum morza.

Dee udał, że ciągle podziwia wnętrze galerii, jednocześnie nastawiając uszu.

– Wrzuc na luz?! Kretyn nie odróżniłby viverna od mopa do podłogi, ale będzie się wymądrzał! Znowu!

– Ten kretyn wypłaca ci co miesiąc pensję – zaszumiał drugi mężczyzna.

– Ale...

– W każdym słowniku takiego kretyna nazywają „szef”, wiedziałeś?

– Ale to go nie upoważnia do... – pieklił się Bastien. – Na Onyksową, przemeblowałbym mu ten jego parszywy uśmiech!

– Jaaasne! Gdybyś tylko nie był takim zasranym tchórzem i nie miał rodziny na utrzymaniu!

– Nie jestem idiotą! Rudas przeszedł profesjonalny trening bokserski, wiedziałeś? – odezwał się Bastien tak pogardliwie, że słowo „rudas” w jego ustach zabrzmiało jak „brudas”. – Od czasu tego łomotu, który mu spuścił Ian McLaurie na ostatnim Świącie Kaganków. Specjalnie nie zoperował tego nosa, bo twierdzi, że przez to wygląda groźniej. Sam słyszałem, jak tak gadał. Nie dość, że kretyn, to jeszcze psychopata. Ech, szkoda, że nie ma z nami Iana...

– Niestety – westchnął drugi. – Został rudy. Nasze szczęście, że pojechał na spotkanie. Do jutra mamy go z głowy. Dobra, dość stękania. Czas nakarmić pisklęta. Srebrzyste karły czekają.

Richard usłyszał jeszcze odgrążanie Bastiena. Coś o gównie pustynnika, którym wypastuje fotel rudzielca w jego biurze, oraz śmiech drugiego mężczyzny, potem stukot butów o posadzkę. Jak gdyby nigdy nic wychylił się zza filaru.

„Ależ plotkarze. Proszę, proszę! Kilka minut ich gadania i ile informacji. Więc jesteś tu szefem, rudasku... A teraz masz umówione spotkanie... I nie będzie cię do jutra... Świetnie!”.

W mgnieniu oka wszedł znowu w rolę w klienta. Szybko obejrzał woliery z najmniejszymi vivernikami rasy srebrzysty karzeł przepychającymi się przy drzwiach w oczekiwaniu na wyżerkę i kilka półek z literaturą oraz odżywkami. Minął paru klientów rozmawiających z personelem. Dyskretnie zerkał na plakietki z imionami pracowników. Przyglądał się im, ale postawnego blondyna nigdzie nie dojrzał. Chwycił jakiś tani drobiazg z jednego z regałów i skierował się ku kasom.

I wtedy go zobaczył. Jasnowłosego młodzian w czarnym uniformie wyszywanym łuską rozmawiał ze starszym panem, pakując jego zakupy. Za jego plecami inny wyższy, szerszy w barach o postrzępionej ciemnej fryzurze sprawdzał jakieś dokumenty. Richard podszedł do kasy, stylizowanej jak wszystko tutaj na antyk. Jeszcze raz rzucił okiem na plakietkę blondyna. Hamish. Westchnął z ulgą. Starszy pan złapał torbę z zakupami i pożegnał się wylewnie, a Hamish odpowiedział mu szerokim uśmiechem. Na jego ładnej chłopięcej twarzy pojawiły się urocze dziewczynskie dołeczki. Ciągle uśmiechnięty przeniósł spojrzenie na Richarda. Ten podał mu pudełko z witaminami. Niby od niechcienia rzucił:

– Potrzebuję nasion chlebowca, bo pustynniki serpentynowe mojego znajomego przestały się nieść.

Odrobinę za długo zatrzymał spojrzenie na Hamishu. Ten zamrugał zdumiony. Jego długie niemal kobiece rzęsy zatrzepotały niczym wachlarze. Mina obwieszczała wszem wobec, że większych idiotyzmów w życiu nie słyszał. Zdobył się jednak na profesjonalny uśmiech i wykrztusił:

– Ahaaa...

Dee się zmieszał. Definitywnie nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Czuł, że

coś jest nie tak, ale jeszcze raz spróbował:

– Mój znajomy, Kasjus Nouri mówił, że macie... – Zerknął wyczekująco na sygnał, że do Hamisha dotarło, co ma na myśli. Brwi faceta się uniosły. Kolejny uśmiech był już z gatunku pobłażliwo-pogardliwych.

– Pana znajomy chyba dopiero zaczyna hodować pustynniki, co?

Richard zgrzytnął zębami. „Wiem, idioto, że pustynniki są żyworodne, a ty wiesz, po co tu przyszedłem, więc skończmy ten teatr!” – pomyślał i wtedy dostrzegł ręce Hamisha: bez wytatuowanej obrączki. Zmełł w ustach przekleństwo.

„Desire i jego informacje! Niech no tylko dotrę do wozu! Już ja mu!...”.

Wysilił się na uśmiech.

– Wygląda na to, że znajomemu coś się pomyliło – rzucił.

– Zdarza się, zwłaszcza początkującym.

Jak niepyszny przyjął od mężczyzny parę broszur dotyczących pustynników wraz z garścią porad o ich hodowli i zapłacił za witaminy. Odprowadzany ironicznym spojrzeniem Hamisha ruszył do windy z mocnym postanowieniem, że awantura Desire nie minie.

„Kinnona zresztą też. Znalazł się wywiadowca od siedmiu boleści!”.

Niemal przy samych drzwiach windy usłyszał tarabanie wózka dostawczego gdzieś opodal. Nie zdążył się odwrócić, bo coś wpadło na niego z impetem, wytrącając mu broszury i pudełko z rąk.

– Pan wybaczy! – usłyszał.

„By to elfia zaraza! I jeszcze to! Trzeba przejść casting na ofertę roku, żeby dostać tu angaż?!”.

Zgrzytnął wściekły zębami na widok ciemnowłosego mężczyzny w służbowym uniformie, który właśnie wytrącił mu z rąk zakupy, a teraz rzucił się, by je zbierać.

Kucnął koło sprzedawcy i odebrał z jego rąk resztę sprawunków.

– Wylęgarnia Feniksów. Za dwie godziny. Trafisz? – wyszeptał tamten

półgębkiem. – Wcześniej nie dam rady. Pracuję.

Dee rzucił mu zaskoczone spojrzenie. Ciemna postrzępiona czupryna, zielonoszare oczy, szerokie bary, plakietka z imieniem.

– Też Hamish?! – palnął, nim ugryzł się w język.

– Albo to jednemu psu Burek? – Nieznajomy wcisnął mu do rąk pudełko, przez moment zaciskając swą lewą dłoń na dłoni Richarda. – Pana witaminy – powiedział na głos i bardzo dobitnie. Dee przeniósł wzrok na ręce mężczyzny. Tatuaż w formie obrączki zdobił serdeczny palec na jego lewej dłoni. – Jeszcze raz najmocniej przepraszam. Straszna gapa ze mnie.

– W porządku. Zdarza się. – Richard wydał usta, bo parę osób zwróciło na nich uwagę. Wzruszył ramionami.

Chwilę później piękna ażurowa winda poniosła go na sam dół wzdłuż fontanny ukazującej teraz obraz elfki grającej na harfie o najgłębszych odcieniach onyksu. Towarzyszyła temu liryczna muzyka i dla odmiany woń lasu po deszczu.

„Aż elfom staniemy się podobni, co? – Dee przypomniał sobie, co według Cicerona naprawdę oznacza ten cytat i z jakim uporem ludzkość próbuje upodobnić się do swych ofiar. – Z takim uporem dążymy do tego, by wyglądać jak elfy, zachowywać się jak one, jeść to co one, budować i tworzyć... Kradniemy tysiące ich pomysłów. Zakładamy milion masek. Nie możemy po prostu być sobą? – pomyślał. – Kompleksy, chciwość, egoizm, okrucieństwo, bezmyślne podboje, niszczenie natury... Nie ma gorszego gatunku na tej planecie niż my, ludzie”.

W minorowym nastroju opuścił Czarną Łuskę, pocieszając się, że co prawda los znów pogmatwał mu plany, ale tym razem przynajmniej niezbyt drastycznie.

* * *

WYLĘGARNIA FENIKSÓW

Od jakichś dwudziestu minut Desire z Tancmistrzem okupowali stolik pod

oknem w Wylęgarni Feniksów, sącząc cydr. Dyskretnie obserwowali otoczenie. Niedaleko w kącie Ciceron popijał kawę i czytał gazetę, Richard zaś przy barze nad szklaneczką złocistego szczęścia z pianką gawędził o niczym z barmanem, zastanawiając się, skąd zna ten pub. Na wszelki wypadek rozdzielili się, uznawszy, że w niemal pustym lokalu mogliby stanowić obiekt zainteresowań, czego absolutnie nie chcieli. Do umówionego spotkania mieli jeszcze pół godziny, może trochę więcej.

Nadciągał wieczór. Wylęgarnia powoli zapełniała się kolorową klientelą spragnioną dobrych trunków i niewyszukanej rozrywki. Samotni emeryci tęskniący za kontaktem z drugim człowiekiem, pary płci obojga, które wybrały się tu na randkę, i zwyczajni robotnicy mieszały się z tłumem hodowców istot wszelkich. Dominowali oczywiście miłośnicy feniksów.

Wylęgarnia – jak sama nazwa wskazywała – całym swym wnętrzem nawiązywała do hodowli tych fascynujących ptaków. Drzwi wejściowe wykonano z metalu, na którym przytwierdzono relief interseptora siedzącego na gałęzi z rozpostartymi skrzydłami. Każde otwarcie drzwi skutkowało podświetleniem sylwetki ptaka, przez co wyglądał, jakby wzbijał się do lotu w płomienistej poświacie.

Samo wnętrze o surowych kamiennych ścianach skrywało wiele zakamarków. W każdym z nich, na niewielkim podwyższeniu, postawiono sporych rozmiarów kocioł, w którym zamontowano siedziska i stoliki. Doły podświetlono fantazyjnymi lampkami, więc goście wyglądali, jakby siedzieli wewnątrz ogromnego garnka ustawionego wprost na ognisku. Ściany Wylęgarni zdobiły trójwymiarowe zdjęcia feniksów wygrywających Memoriale w kolejnych Świętach Srebrzystych Kaganków oraz podobizny najsławniejszych hodowców. Osobna ściana sławy była marzeniem każdego szanującego się hodowcy, lecz na nią trafiali wyłącznie wielokrotni triumfatorzy Memoriali.

I był jeszcze bar. Podobnie jak stoliki uformowany na podobieństwo ogromnego podświetlonego kotła służącego kiedyś do wylęgu piskląt. Nawet drinki

nosiły tu nazwy ras feniksów, a nalewaki do trunków miały kształt ptasich łbów. Po pociągnięciu odpowiedniej rączki z ich dziobów lało się płynne złoto wprost do stylizowanych na jaja feniksa kufli. Metalowa tablica na jednej ze ścian obok baru informowała o aktualnych promocjach, które okresowo wybuchały ognistymi literami, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Największą furorę robił Katalizator Wylęgu, drink podawany w przezroczystym kuflu przypominającym maleńki wulkan. Ciemnoszara, podobna do stygnącej lawy ciecz łagodnymi erupcjami bulgotała na krawędzi jego krateru, nad nim zaś wirował obłoczek dymu i płatków imitujących pyły wulkaniczne.

„Wyglądają jak ogromne wiórki sadzy. Ciekawe... – pomyślał Desire. – Ale musi być dobry, skoro ma takie wzięcie”.

Jak głosił napis, Katalizatora używano kiedyś do przyspieszenia klucia piskląt, bo dawał „epickiego kopa, a teraz ten kop może być także twój i odrodzisz się niczym feniks z popiołów!”.

– Raany, Tancmistrz, widziałeś? – Desire wskazał tablicę z ognistym tekstem. – Brzmi jak reklama leku na problemy z potencją – zarechotał. – Coś w sam raz dla twojego nielota. Spróbujesz?

Tancmistrz uśmiechnął się po swojemu, kącikiem ust, lecz nie przyjął tak oczywistego zaproszenia do potyczki słownej. Popijając łyčzkami cydr, w milczeniu obserwował lokal i pojawiających się co chwila nowych klientów.

– Gdyby każda durna reklama zawierała przysłowiowe ziarno prawdy, już dawno elfom bylibyśmy podobni. – Desire też zanurzył usta w swojej szklanicy i upił łyčzek. – Ten pub powinien się nazywać Feniksowa Obsesja, chociaż trzeba przyznać, że ma... ehm... interesujący klimacik.

Ten interesujący klimacik jawił mu się w postaci zgrabnego tyłka kelnerki śmigającej między stolikami. Desire śledził go dłuższą chwilę, uśmiechając się nieznacznie, gdy rozbrykana wyobraźnia podsuwała mu coraz bardziej grzeszne obrazki z kelnereczką w roli głównej. Sama dziewczyna była przeciętna. Mysie włosy do ramion, małe cycki w firmowej koszulce z feniksem na plecach,

spódniczka odsłaniająca mocne uda, zbyt szerokie i nieustannie roześmiane usta. Z wyjątkiem tyłka absolutnie nie była w jego typie. Jednak brak „wolnych godzin”, nadmiar stresu i przygotowań związanych z misją podlane odrobiną cydru chwilowo zmodyfikowały jego gust.

„No dobra, poleciał na pysk – zakpił z siebie w myślach Desire. – Ale jak się nie ma, co się lubi...”.

Nieświadomie oblizał usta. Kelnerka posłała mu ukradkowe spojrzenie i uśmiech istoty, której takie lustrowanie wzrokiem nieobce, na dodatek całkiem miłe. Podała następne kufle cydru facetom siedzącym pod ścianą. Przyjęła zamówienie od pary pod drugim oknem. Tancmistrz skinął na nią dłonią. Niespiesznie, kołysząc biodrami jakby dla lepszego efektu, podeszła do stolika przyjaciół. Złożyli zamówienie na dwie kawy i dziewczę odeszło, zostawiając Desire ze wspomnieniem swego bujającego się tyłka oraz karteczką, na której koślawymi literami napisało: „Za 5 minut. Boczne wyjście koło WC”.

Ciemnowłosa zakonnik ponownie się uśmiechnął. Palcami przecesał czuprynę. Ta kelnerka i karteluszek były dla niego niczym dzban źródlanej wody ofiarowanej konającemu z pragnienia na pustyni. Czuł nadciągające odprężenie. Kawa pojawiła się na ich stoliku jak za sprawą magicznej różdżki. Jeszcze chwilę rozmawiał z Tancmistrzem, ustalając, co powiedzą Hamishowi.

– Kibelek wzywa – mruknął w pewnym momencie, patrząc za dziewczyną, która zniknęła w bocznym wyjściu.

– Nawet o tym nie myśl!

– Nie bądź zgredem. Po wszystkim znajdę ci miłą aseksualną zakonnice, którą nago zobaczysz dopiero na stole do autopsji. Obiecuję! – wypalił, szczerząc się w uśmiechu.

– Desire, ja wcale z tobą nie dyskut...

– A jak się dobrze koło mniszki za życia zakręcisz, na pewno zgodzi się z tobą... odmówić pacierz!

– Desire!

– Oj, daj się zabawić tym, którzy wiedzą, do czego służy zawartość spodni. I wyjmij ten kij z tyłka, nim uszkodzi ci migdałki! Zdążę wrócić, zanim pojawi się ten cały Hamish. – Puścił do Tancmistrza oko i tyle go widzieli.

Ciceron zmarszczył brwi. Richardowi też nie umknęło zniknięcie Desire. Rzucił Tancmistrzowi pytające spojrzenie, ale ten tylko się skrzywił i przewrócił oczami. W lot zrozumieli, co miał na myśli. Zerkając od czasu do czasu na boczne wyjście koło WC, opat wrócił do popijania kawy, a Dee do pogawędek z barmanem.

Minęło dwadzieścia minut. Wylęgarnia była już pełna gości, a Hamisha i, co gorsza, Desire nie było. Kiedy Richard zdecydował się ruszyć na poszukiwania ciemnowłosego mnicha, drzwi bocznego wyjścia się otworzyły. Nieco chwiejnym krokiem, z czupryną zmierzwioną bardziej niż zwykle i nieprzytomnym spojrzeniem Desire wrócił do stolika. Prawdę mówiąc, wyglądał jak zgoniony, ale cholernie zadowolony pies.

Tancmistrz zaczął szeptem udzielać mu reprimendy, ale Desire wzruszył tylko lekceważąco ramionami. Kiwnięciem głowy wskazał Richarda, a ten kogoś przeciskającego się przez tłum. Szerokie bary, ciemna fryzura jak po trafieniu piorunem, nieco niedźwiedzi chód.

Natychmiast domyślili się, że to Hamish. Spojrzeli na Cicerona, jakby chcąc się upewnić, że i on dostrzegł nowo przybyłego. Tymczasem opat... zbladł! Palce mocno zaciśnięte na stronach gazety dosłownie rozerwały papier! Jego zachowanie zaintrygowało przyjaciół, lecz nic nie powiedzieli. Skupili się na obserwowaniu, jak Hamish dosiada się do Richarda, zamawia Katalizator Wylęgu, a chwilę później zanurza usta w bulgocącej szarej cieczy, cały czas pilnie słuchając wyjaśnień. Jedno czy dwa gniewne sapnięcia i stanowcze potrząśnięcie czupryną odpowiedziało im, że po sprawie.

– By to elfia zaraza! – wycedził Tancmistrz. – Co teraz? Ten facet... Nie pomoże nam, ale czy nas nie zdradzi? – zerknął na Desire. – Czy Kinnon...

– Z Kinnonem rozmówię się później! – warknął przyjaciel, któremu nagle

wróciła cała energia. – Nie ma nikogo innego, kto mógłby nas wprowadzić do Instytutu! Musimy tego faceta przeko...

Ale nie było mu dane dokończyć, bo kątem oka dojrzał, że opat podniósł się od stolika. Przecisnął się przez tłum, dotarł do baru, stanął za plecami Hamisha. Zapytał o coś barmana. Ten zamarł z konsternacją na twarzy, ale zaraz udzielił Ciceronowi odpowiedzi. Jak na zwolnionym filmie Hamish się odwrócił. Chwilę po prostu patrzył na Cicerona, a wyglądał, jakby ducha zobaczył. Ten tylko się uśmiechnął. Coś powiedział najpierw do Hamisha, potem do Richarda i nonszalanckim krokiem ruszył w kierunku toalet. Oszołomiony Hamish zaczął wpatrywać się w swój kufel. Nagle stanowczym ruchem odsunął go od siebie i... pospieszył za opatem! Dee udał, że dostrzegł wolny stolik, i usiadł opodal przyjaciół.

– Co tam się stało?! – rzucił Desire.

– Sam chciałbym wiedzieć. Ciceron zapytał barmana o ciasto z dodatkiem krwi feniksa. Hamisha jakby kto w gębę strzelił...

– Widzieliśmy! – mruknął Tancmistrz.

– Ten Hamish... Chyba się znają z Ciceronem, bo...

– Bo ostentacyjnie wyszli razem! Tak, to też widzieliśmy! Tyle, że my tego faceta nie znamy! – rzucił Desire. – Dobra, czas do nich dołączyć. Koniec tajemnic.

– Desire podniósł się od stołu i mrużąc: „Ten zaulek bije rekordy popularności”, ruszył ponownie ku wiadomym drzwiom.

Tancmistrz pognął za nim. Przeciskając się przez rozbawiony, hałaśliwy tłum, żaden nie usłyszał, jak Dee mówi:

– Ciceron zakazał nam iść za sobą!

Richard dogonił mnichów dopiero przy samych drzwiach. Wpadając do zaułka, usłyszał Desire wrzeszczącego: „Ja chędożę!”. Potem dojrzał Tancmistrza zastygłego w osłupieniu i dwa ciała gwałtownie odskakujące od siebie. Zszokowani mnisi zerkali to na opata, to na Hamisha. Chwilę wcześniej złączeni w namiętym uścisku, całujący się, jakby to miała być ostatnia czynność w ich życiu, teraz

zdyszani spoglądali na siebie spode łbów!

Ciceron otarł usta, Hamish grzbietem dłoni łyzy z policzków. Spojrzał gniewnie na opata i wymierzył mu sążnisty policzek, po którym Cicerona odrzuciło na ścianę. Aby nie pozostawić żadnych wątpliwości, co myśli o Ciceronie, splunął jeszcze z pogardą, pokazał środkowy palec, odwrócił się na pięcie i skierował do wyjścia z zaułka. Opat rozmasował obolałą szczękę. Spojrzał ze łzami za odchodzącym.

– Braden!

Ruszył za facetem, dogonił go, ale przyjaciół dobiegły już tylko szczątki ich rozmowy. Opat prosił o wybaczenie. „Powiedziano mi, że nie żyjesz! – tłumaczył. – To dla twojego bezpieczeństwa...”.

– By to elfia zaraza! – Desire złapał się za głowę. – Tego, co tu widziałem, nie zapomnę i za dwadzieścia lat!

– Co ty powiesz! – rzucił Tancmistrz, przyglądając się tamtej dwójce. – Ale pomijając nasz szok, czy Cor wspominał ci kiedykolwiek o tym gościu?

Przyjaciel pokręcił głową.

– No właśnie. – Płowowłosy zakonnik skrzyżował ramiona. – Tyle dekad wspólnej pracy, a on nie puścił pary z ust. Zupełnie jakby nie miał życia prywatnego. Nie pisnął ani słówka! Nikomu. Nawet mnie! A to musi być całkiem świeża sprawa. Nie uważasz?

– Aha.

– Zastanawia mnie, jak poznał tego Hamisha i kiedy się widywali. Nie przypominam sobie, żeby Cor opuszczał klasztor. Nawet do Fenaby zawsze wysyła któregoś z nas.

– No.

– Wyjątek zrobił dopiero dla wyprawy do Sleepy Graves. To się robi coraz ciekawsze.

– A podejrzewałem, że to jego syn albo coś w ten deseń... – wtrącił Dee. –

Ale się porobiło.

– Cóż – mruknął Tancmistrz – każdy ma swoje tajemnice.

– Niektórzy dodatkowo bujne życie uczuciowe i erotyczne. A inni nie – odgryzł się Desire. Na przyjacielu nie zrobiło to wrażenia.

– To nie najlepszy czas na to, ale Cor będzie nam musiał sporo wyjaśnić. Zwłaszcza że ten facet ma nas wprowadzić do Instytutu. Musimy wiedzieć, czy można mu ufać. No i jakim cudem Kinnon nic o tym nie wiedział?

Tamci w końcu się pogodzili. Wydawało się, że Hamish dopiero teraz zauważył Richarda, Desire i Tancmistrza, a gdy uświadomił sobie, czego byli świadkami, spojrzał na Cicerona zażenowany.

– Spokojnie – szepnął starszy pan. – To moi przyjaciele. Nie musisz o nich wiedzieć nic poza tym, że potrafią być bardzo dyskretni. Mamy w Metropolii pewną sprawę do załatwienia i liczymy, że nam pomożesz.

Hamish nic nie powiedział. Skinął jedynie głową na znak, że rozumie. Chwilę później wspólnie wrócili do Wylęgarni. Tłum był już spory, wolnego miejsca jak na lekarstwo, lecz na stoliku Desire ktoś postawił karteczkę z napisem „Rezerwacja”. Dziewczyna o masywnych udach i mysich włosach wyszczerzyła się do nich zza baru, pomachała ręką.

– Cokolwiek jej zrobiłeś, tym razem spisałeś się dobrze – zakpił Tancmistrz, pochylając się nad kolejną szklanką cydru, która pojawiła się przed nim znienacka na blacie.

Desire tylko chrząknął zadowolony i z miną supersamca zanurzył usta w swojej szklance. Richard milczał. Dyskretnie obserwował Hamisha-Bradena rozmawiającego z Ciceronem.

Gdy pierwszy szok minął i emocje opadły, zerkali na siebie z mieszaniną urazy, żalu ale i... szczęścia! Jak istoty, które los rozdzielił na dziesięciolecia, a teraz splótł ich drogi na nowo.

– Przyjaciele – zaczął nieco pompatycznie Ciceron. Gestem wskazał osiłka, ten skinął głową. – To jest Braden. Jest dla mnie... On... My... To znaczy... By-

byliśmy parą – zająknął się zmieszany. – Jeszcze przed epidemią.

Uderzyło ich, że zawsze tak skupiony i poważny, teraz przypominał gejzer radości! Ale zszokowała ich także nowina. Byli parą?! PRZED epidemią? Jakim cudem?! Przecież ten facet mógł mieć zaledwie trzydzieści kilka lat!

– Ale później wszystko się zmieniło. Trafiłeś do szpitala. – Teraz zwrócił się do Bradena, ten słuchał w milczeniu. – W tym chaosie zniknąłeś mi z oczu. Potem był pogrzeb Demitreosa, a media w kółko trąbiły, że razem z nim wymarła cała populacja czystej krwi elfów. – Wspomnienia stały zadowolone z twarzy Cicerona. Znów był tym samym starszym poważnym jegomościem z ogromną charyzmą, wiecznym smutkiem i skupieniem. – Zabili moją matkę. Pobili brata. Bo wiedziałem za dużo. O wielu strasznych rzeczach, które ludzie zrobili elfom. Kiedyś ci o nich opowiem. Musiałem zniknąć...

Głośno wciągnął powietrze przez nos. Upił łyczek cydru. Braden westchnął.

– Nie wiedziałeś, że przeżyłem... – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie...

Opat chwilę milczał. Nikt nie miał odwagi mu przerywać.

– Byłeś pierwszym elfem, któremu podałem prototyp najnowszej szczepionki. Myślałem, że zawiodła. Jak poprzednie.

– Elfem?! – wykrztusił Richard, a Desire z Tancmistrzem unieśli brwi zainteresowani. Nagle ogromna różnica wieku między Ciceronem a Bradenem przestała szokować. Wszystkie wcześniejsze pytania i domysły znalazły odpowiedź. Byli rówieśnikami. Co z tego, że tylko dla jednego z nich czas był łaskawy? – Braden jest elfem?!

– Helou, gdzie byłeś, kiedy Cadon mówił, że byliśmy parą jeszcze przed zarazą? Niby jakim cudem przeżyłbym w takim stanie tak wiele lat? – odparł tamten. – Myślałeś, że co chwilę biegam do kosmetyczki? – Uśmiechnął się. – Ale pomijając zwolnione starzenie, choćbyś mi się bardzo uważnie przyjrzał, nie zobaczysz blizn na uszach. Mogę nawet zdjąć buty i koszulkę. Prawie nie ma śladu po amputacji palców, usunięciu armilli. Wszystko dla bezpieczeństwa. Ja też sporo

naoglądałem się w czasie zarazy i wierz mi, nie były to miłe widoczki. Od tamtej pory wiem jedno: tylko idiota przyznałby się do swego pochodzenia. Znam jeszcze jednego czy dwa elfy i kilku mieszaińców. Też po zabiegach. Żaden się nie wychyla. A co do twojej szczepionki... – Przeniósł wzrok na opata.

– Nie powiedziałem ci, że ją dostałeś. Mieliśmy tylko kilka dawek. Była w fazie testów i cholernie droga. Nie dawała zbyt wielu szans na przeżycie, ale w tamtych czasach każdy elf zabiłby nawet za tę ociupinkę nadziei. Gdybym wiedział, że przeżyłeś, że na ciebie zadziałała... – Starszy pan był wyraźnie wzruszony.

– Tak, ale...

– Jak to się stało, że żyjesz w Metropolii od tak dawna? Ludzie palatyna się nie zorientowali? Że jesteś elfem? Byle skaner takie rzeczy wykrywa – wpadł mu w słowo Desire.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

– Po tylu latach życia tutaj wie się, kiedy i do jakich drzwi zapukać. Kogo poprosić o przysługę. Co jakiś czas sfinguję własną śmierć i pojawia się w innym miejscu, innej roli, z inną historią życia. Teraz na przykład jestem Hamishem i pracuję w Czarnej Łusce. Metropolia to duże miasto, a skanery to tylko głupie maszyny. Nauczyłem się je mistrzowsko oszukiwać.

Przyjaciele pokiwali głowami, Desire przyjrzał się uważnie Bradenowi, wykrzywił usta z podziwem. W milczeniu pociągnął łyk cydru.

– Dobra, przejdźmy do rzeczy, bo czas ucieka, a jeszcze dziś muszę odwiedzić moją tak zwaną narzeczoną, która niedługo zostanie niedoszłą panią Hamishową Finley. – Braden puścił do nich oko i zaśmiał się serdecznie. Animozje odeszły w niepamięć. – Nie wiem, po co pchacie się do Instytutu. Uważam to za cholernie ryzykowny pomysł, bo ten budynek to nie tylko szpital i hospicjum. Ale o tym wicie. I ciągnie was tam raczej nie w odwiedziny do krewnych. Poproszono mnie, bym ci pomógł. – Zerknął na Richarda. – Gdybym z góry wiedział, o jaką przysługę chodzi, w życiu bym się nie zgodził. Ale dobrze, zrobię to, bo... bo... –

spojrzał z czułością na Cicerona – ...bo sytuacja się zmieniła.

– Jesteśmy ci bardzo wdzięczni – odparł opat z ledwo skrywanym wzruszeniem.

Zapadło niezręczne milczenie zagłuszone szczęśliwie rozmowami klientów z sąsiednich stolików i muzyką.

– Macie jakieś imiona? – Pierwszy odezwał się Braden. – Bo z wyjątkiem Cadora nawet nie wiem, jak się do was zwracać.

– Mamy – odparł Desire, nim zrobił to ktokolwiek inny. – Ale nie musisz ich znać, bo więcej się nie spotkamy. Jak to mówią, im mniej wiesz...

– Jeszcze wrócimy do tego tematu – mruknął Braden, nie precyzując, co ma na myśli. – Macie farta. Wszystko, co najciekawsze, dzieje się w Instytucie w nocy, z dala od oczu ciekawskich.

– A nasz fart polega na?... – zapytał Tancmistrz.

– Na dostawie zwierzaków. Odbywa się dwa razy w tygodniu i tak się składa, że jej termin przypada na dziś.

– Akurat dziś? Hmm, no to rzeczywiście cholerni z nas szczęściarze – mruknął Tancmistrz.

Braden zerknął na niego z konsternacją.

– Zawsze z niego taki żartowniś? – zwrócił się do pozostałych.

– Oczywiście! – oświadczył Desire, machnął przy tym ręką niby z lekceważeniem. – Normalnie to dusza towarzystwa! Ciągłe rozbawia nas do łez! A jakbyś zobaczył, jakie ma powodzenie u kobiet! – Zacmokał, udając podziw. – Ze swym urokiem ogra tyle ich zalicza co, nie przymierzając, najlepszy kusznik turnieju strzeleckiego w Memoriale!

Wszyscy spojrzeli na Tancmistrza. Na jego płowosiwe włosy spięte w niechlujny kucyk, bliznę przecinającą podbródek, podkrążone oczy i pobrużdżoną zmęczoną twarz człeka, któremu do amanta równie blisko co krowie do zatańczenia w balecie.

Richard złapał się na myśli, że skamieniałe ofiary bazyliżków okazałyby więcej emocji niż ten mnich zastygły ze szklanicą cydru w garści. Wspomniał dotychczasowe Święta Srebrzystych Kaganków i triumfatorów jej Memoriali. Jak wszystkie gwiazdy nigdy nie mogli opędzić się od rozkochanych fanek. Większe powodzenie od nich mieli chyba tylko wirtuozi elfiej poezji o lekko erotycznym zabarwieniu czy harfiści swą grą poruszający delikatne kobiece... serca. Tancmistrz zaś, ze swą niespecjalną aparycją i „ujmującym” sposobem bycia, nie zbliżył się do listy celebrytów nawet na milę. Porównywanie go do sławnych kuszników było równie bezpieczne jak próba jazdy na oklep na bardzie zielonookim. Wspomniał też, co Tancmistrz zrobił Kinnonowi, gdy ten ośmielił się z niego zakpić, i rzucił Desire ostrzegawcze spojrzenie.

Ciceron też pokręcił głową, dając mnichowi do zrozumienia, że przegina. Chmury burzowe zdawały się gromadzić nad ciemnowłosym zakonnikiem. Powietrze pachniało nadciągającą awanturą. Ale ku zdumieniu przyjaciół Tancmistrz jedynie zerknął na Desire. To w zupełności wystarczyło, by przywołać go do porządku. W sekundzie opamiętał się, przełknął ślinę, chrząknął i uśmiechnął się głupawo.

– To co z tym naszym fartem? Objasnisz nam, na czym polega?

Przyjaciele odetchnęli z ulgą.

– Eee, jasne... – Do Bradena dotarło, że potyczki słowne między Tancmistrzem a Desire to norma, i natychmiast wrócił do tłumaczenia. – Koło północy pod skrzydło Terminala podjedzie kilka furgonetek. Przez jakieś pół godziny będzie spore zamieszanie. Będą wyładowywać pojemniki z drobnicą, klatki z większymi zwierzakami, odbierać trupy do utylizacji i tak dalej. Skanery wtedy nie działają.

Zobaczył pytanie w oczach przyjaciół.

– Wyłącza się je na czas dostawy, bo zdarzyło się, że zareagowały na zwierzaki w klatkach i zaczęły wyc na całą okolicę. A o północy raczej nie zależy nam na gapiach, a już na pewno na awanturach mieszkańców.

– Zaraz, czemu dostawy są w nocy? – wtrącił Richard.

– Już mówiłem. Chodzi o dyskrecję i o to, żeby nie zakłócać pracy Instytutu za dnia. Oficjalnie Instytut to tylko hospicjum i szpital. Społeczeństwo nie musi wiedzieć o tych kilku paskudnych dodatkowych funkcjach. Wracając do skanerów. No więc nie będą działać, ale to wiadomość tylko dla waszych uszu. – Pochylił się ku przyjaciółom i konspiracyjnym szeptem wyjaśniał dalej: – Cały personel Instytutu i ci, co odpowiadają za dostawy, wszyscy zostali wiele razy sprawdzeni. Zajmują się tym od lat i nigdy nie zawiedli, wypracowali jakiś tam kredyt zaufania. Rozumiecie? Więc żeby dostawy były szybkie i bezproblemowe, ci z monitoringu wyłączają skaner przy wejściu. Ale tylko tym od strony Terminala. Biorę w tych dostawach udział od dawna. Znają mnie. Dziś co prawda nie powinno mnie tam być, ale Olivia ma nocny dyżur, a ja jestem z nią umówiony. Przymykają oko na nasze randki. W końcu oficjalnie jesteśmy narzeczonymi, tak? – pospieszył z wyjaśnieniem, widząc, że Tancmistrz znów marszczy brwi. – Jeśli chcecie się dostać do środka, to tylko tą drogą. Olivia nadzoruje dostawy – mruknął z dumą. – Odwrócę jej uwagę.

Mężczyźni słuchali propozycji Bradena, co jakiś czas kiwając głowami, zadając pytania. Następną godzinę wraz z tym sympatycznym osiłkiem rozpracowali sposoby wtargnięcia do Instytutu, zdobycia koniecznej wiedzy oraz namierzenia i uprowadzenia interesującego ich elfa. Braden był istną kopalnią wiedzy i – co spodobało się mnichom najbardziej – nie brakowało mu pomysłów oraz odwagi.

– I nie powiecie mi nic więcej? – zapytał na koniec. – Na przykład skąd przyjechaliście? Czym się zajmujecie? Kogo szukacie? Po co wam on lub ona? I dokąd go zabieracie?

Ciceron właśnie miał otworzyć usta, lecz ubiegł go Desire.

– Jak już mówiłem, tak będzie bezpieczniej. Dla wszystkich.

– Jasne. Rozumiem. No dobra. – Westchnął. – Skoro tak sobie życzycie... Teraz Instytut. Zadanie będzie cholernie trudne – zastrzegł – ale damy radę! Do

rana będzie po sprawie, a wy daleko poza Metropolią. O resztę się nie martwcie. Namówię Oliv, żeby wszystko zatuszowała. W tej masie zdechłaków zamkniętych w inkubatorach nikt nie zauważy zniknięcia jednego. Większości z nich i tak nikt nie odwiedza... O, nie! – mruknął, zwracając się nagle do Richarda. – Znasz go?

Dopiero teraz pozostali zauważyli, że Dee wpatruje się w kolorowy tłum przy barze.

– C-co?

– Bena Stoykova? Znasz?

– Tamtego faceta? – Richard wskazał głową rudzielca. – Nie, patrzyłem na tablicę nad jego głową. – Czemu czuł, że musi skłamać? – Po wszystkim chyba wpadnę tu na kilka drinków.

– Jasne.

– O kim mówicie? – nie zrozumiał Desire.

Braden kiwnął głową w stronę baru. Rzeczywiście na jego końcu, pod tablicą z wybuchającymi promocjami stał mężczyzna. Popijając cydr, słuchał wyjaśnień barmana. Nawet na tle hałaśliwego tłumu wyróżniał się nie tyle wzrostem, ile drogimi ciuchami oraz płomiennie rudą czupryną i złamanym nosem.

– Mówisz o tym facecie, który rozmawia z barmanem? Rude włosy, przestawiony nos? – upewnił się Ciceron.

– Tiaa... Ben Stoykov, tak zwany hodowca feniksów, ale dla wielu to skończony fiut. Nie mógł się dostać na ścianę sławy – Braden wskazał kciukiem gdzieś za siebie – to zwyczajnie ją sobie kupił. Razem z całym tym lokalem. Parę miesięcy temu. Zaraz po ostatnim Świącie Kaganków, na którym podobno dorobił się niezłych pieniędzy. Niedługo potem przejął Czarną Łuskę. Egoistyczny skurwiel. Myśli, że drageny dają mu prawo pomiatać ludźmi. Przez chwilę bałem się, że to wasz przyjaciel. Wybaczcie, ale z tym panem kufelka nie wychylę – rzucił z pogardą. – Wam sugeruję to samo. Zresztą za godzinę muszę być u Olivii. Wy za dwie. Trzeźwi! – rzucił im znaczące spojrzenie. – Nie traćcie czasu. Przygotujcie się tak, jak wam mówiłem.

Zaczął podnosić się od stołu, ale jeszcze coś mu się przypomniało. Ponownie usiadł, pochylił się ku Ciceronowi. Poklepał go lewą ręką po dłoni.

– Nie wierzyłem w twoją śmierć, Cador – powiedział cicho. – Ani przez minutę. Ten tatuaż miał mi przypominać, żebym nigdy nie tracił nadziei, że... no wiesz... – chrząknął, jakby coś utkwilo mu w gardle.

Starszy pan przeniósł spojrzenie na rękę Bradena. Zielonkawe litery C i B fantazyjnie oplatały serdeczny palec.

– Jak będzie po wszystkim, rzucę Oliv, a wtedy myślisz, że moglibyśmy?... – szepnął elf.

Ciceron przełknął ślinę, odwrócił głowę, by ukryć wzruszenie. Przykrył dłoń Bradena własną. Uścisnął.

– Nie pozwolę ci drugi raz zniknąć z mojego życia! – Elf wstał. – Pamiętajcie, boczne skrzydło Terminala. Kwadrans przed północą.

Rozpłynął się w kolorowym tłumie. Przyjaciele jeszcze chwilę siedzieli, ustalając szczegóły wyprawy. Potem kolejno zaczęli opuszczać Wylęgarnię. Kiedy Ciceron z Tancmistrem byli już na zewnątrz, Desire zapłacił rachunek. Spory napiwek w postaci całusa i klapsa kelnerka przyjęła z rozbawieniem, a obietnicę szybkiego powrotu mnicha do Wylęgarni niemal z entuzjazmem.

– To co? Widzimy się przy samochodzie? – mruknął do Richarda.

Po chwili i on zniknął w gwarnym strumieniu gości.

Dee został sam. Jak wiele razy, odkąd poznał mnichów, złapał się na myśli, że to, co za chwilę zrobią, jest absolutnie szalone i nigdy w życiu by się tego nie podjął, gdyby nie...

„Maya...”.

Miał złe przeczucia. Pomyślał, że plan wdarcia się do Instytutu, znalezienia i porwania potomka księcia jest absurdalny. Że w najlepszym wypadku zapłacą za niego życiem – bo przecież mimo pomocy Bradena, nie ma prawa się udać! – a w najgorszym zostaną złapani, zginie o wiele więcej osób, a sam klasztor w Fenaby

zostanie zrównany z ziemią. Więc czy nie lepiej zwiać? Tak wiele razy to robił...

„Ale wtedy nie miałem nic do stracenia. Teraz jest Maya. Evander. Evangeline. Bazylija. Oni wszyscy” – pomyślał o przyjaciółkach. A potem jeszcze o Ciceronie, który dekady temu uratował życie Bradena szczepionką i zrezygnował z prywatnego szczęścia, by co dzień ratować następne istoty. O Sloanie skrywającym uczucia, odtrącanym i poniżanym przez Desire, lecz nietracącym wiary, że być może pewnego dnia... O tych wszystkich zakonnikach, którzy w Fenaby produkowali leki dla wszelkich istot magicznych. I wtedy to do niego dotarło. Nieważne, co się wydarzy i na jak wielkie ryzyko się narazi. Dla niej, dla Mai zmierzyłby się z całym światem. Nieważne też, jak szalone pomysły mają mnisi. Stali mu się równie bliscy jak ona. Niczym bracia, których nigdy nie miał. Ich też za nic by nie opuścił. Odsunął szklankę napoczętego cydru. Podniósł się.

– Nie smakuje? – usłyszał.

Uniósł głowę. Wzrok napotkał spojrzenie szarych oczu patrzących czujnie, a jednocześnie z kpina.

– W takim razie mój personel dostanie reprimendę – powiedział rudzielec. – Nasz cydr uchodzi za najlepszy w mieście, więc jeśli rozczarował...

– Nie! Jest świetny, naprawdę!

– To może napijemy się razem? – Mężczyzna wskazał kanapę, ale najpierw wyciągnął do Dee dłoń. Była twarda i mocna, a uścisk stanowczy. Przekaz był jasny: ja tu rządę. – Ben Stoykov. Właściciel Wylęgarni. Chyba widzieliśmy się dziś w Czarnej Łusce.

– A rzeczywiście. – Richard udał, że sobie przypomniął. – Byłem tam. Zakupy dla rodziny.

– To co? Po kufelku?

– Chciałbym, ale jestem umówiony. I prawdę mówiąc, trochę już mi się spieszy.

– Szkoda. Może innym razem? Jutro? Jestem tu niemal codziennie wieczorem, panie... – Spojrzał z wyczekiwaniem na Richarda.

– Paul McCoy. – Dee rzucił zmyślane nazwisko. Z jakiegoś powodu poczuł niepokój. Jak oszust na sekundę przed zdemaskowaniem. Ciarki przeszły mu po plecach, dłonie lekko zwilgotniały. Dyskretnie wytarł je w spodnie.

Tymczasem tamten pokiwał głową.

– To do jutra, Paul. – Znów wyciągnął dłoń. – Miło cię było poznać.

Do samych drzwi Wylęgarni odprowadzało Richarda spojrzenie jasnych oczu rudzielca.

– Gdzie ja cię widziałem, Paul? No, zdradź mi. Gdzie?... – szepnął tamten. Rozejrzał się w zamyśleniu po pubie. Czemu był absolutnie przekonany, że wewnątrz Wylęgarni dostarczy mu odpowiedzi? Omiótł wzrokiem hałaśliwy tłum przy stolikach, bar, tablicę z eksplodującymi promocjami, ściany zdobione zdjęciami triumfatorów. Nagle coś przykuło jego uwagę. Jedna z trójwymiarowych fotografii, a na niej barczysty mężczyzna o srebrnej czuprynie. Na jego ramieniu siedział przepiękny feniks o rubinowych piórach ze złotymi refleksami, którego ogon sięgał aż do ziemi. Starszy pan miał odwróconą głowę i z uśmiechem patrzył na ptaka. Ten nastawiał łepkę do głaskania. Stoykov podszedł bliżej. Uważnie przyjrzał się fotografii. – Niemożliwe! – mruknął, ale zaraz dodał: – To wszystko zmienia, prawda, Paul?...

* * *

– Wiesz, że mam rację!

– Bredzisz!

Z minuty na minutę sprzeczka między Ciceronem a Desire przybierała na sile. Od kwadransa siedzieli w ciemnym, dopiero co skradzionym vanie, w jakimś zaułku, kilka przecznic od Instytutu. Do umówionego spotkania z elfem czasu zostało niewiele, a oni ciągle nie mogli dojść do porozumienia. Tancmistrz z Richardem przysłuchiwali się tej kłótni w milczeniu.

– Na Onyksową Harfę, daj mi trzy cholernie mocne argumenty, że to zasadzka, a Braden nas wkłęca! Trzy! – zaperzył się Ciceron.

– Będzie ich dużo więcej! Nie zastanowiło cię, że nie uciekł z Metropolii przez tyle dekad, mimo że życie tutaj jest dla niego ekstremalnie niebezpieczne? Nie zadałeś sobie pytania, czemu nie ma żalu do ludzkości o to, co zrobiła elfom? Dlaczego tak chętnie nam pomaga?

– To elf! One nie mają ŻADNYCH skłonności do agresji, do odwetu, nie są podejrzliwe. Zawsze były do nas pozytywnie nastawione!

– Właśnie opisałeś mi nację najgłupszych cip świata! Po poznaniu Evandera...

– I Evangeline – wtrącił szeptem Richard.

– ...mam zgoła odmienne zdanie o czystej krwi elfach! Czegoś ty się naczytał, stary głupcze!

– Znałem elfy czystej krwi!

– Tak, w czasach SPRZED zarazy! Ale czasy się zmieniły! Elfy też!

– Argumenty!

– Proszę bardzo! Po pierwsze, na jednym oddechu Braden stwierdził, że zagada Olivię, żeby nas nie zobaczyła, a sekundę potem, że ona wszystko zatuszuje. Widzisz sprzeczność?

– To niczego nie dowodzi!

– Po drugie – Desiree punktował stanowczym tonem – twierdzi, że nauczył się oszukiwać skanery. Słodko! Ale obydwaj wiemy, że to niemożliwe! Nawet na tak badziewnym, jaki mamy w Fenaby!

– Ale...

– Po trzecie: Angela, ta kelnerka z Wylęgarni, widziała go kilka razy balującego w pubie w towarzystwie szpicli policyjnych!

– Dajesz wiarę jakiejś małej puszczałskiej?! – Ciceron zgrzytnął zębami. – By to elfia, ona kłamie!

– Serio?! To dam ci jeszcze czwarty argument, a potem kilka kolejnych. Chwilę po wyjściu z Wylęgarni udało mi się nawiązać kontakt z Kinnonem.

– A myślałem, że znów poleciałeś do tej kelnereczki – mruknął Tancmistrz.

Desire posłał mu ostre spojrzenie. Zaraz jednak ponownie skupił się na Ciceronie.

– Kinnon twierdzi, że Braden NIE JEST Hamishem!

– O czym ty...?!

– Prawdziwego Hamisha Finleya konstable zgarnęli niedługo po kontakcie z naszym kucharzem. Zdaje się, od dawna mieli na niego oko, bo dorabiał na boku nielegalnym handelkiem. Kinnon dowiedział się tego za późno i nie zdążył nas uprzedzić. Na nasze szczęście nie rozmawiał z właściwym Hamishem bezpośrednio.

– Jasna cholera!

– Spokojnie, nawet torturami nic z tego faceta nie wydobędą, bo jedyne, co wiedział, to że ktoś znajdzie go w Czarnej Łusce, wygłosi to debilne zdanie o pustynnikach i poprosi o bliżej niesprecyzowaną pomoc. Kinnon to cholernie ostrożny gość, więc nie ma takiej opcji, żeby namierzyli klasztor. Wniosek: podstawili Bradena w miejsce Hamisha, nie wiedząc, czego się spodziewać. To dlatego Braden dopytywał, skąd jesteście, jak się nazywamy, co chcemy zrobić i tak dalej.

– A co jeśli nas śledzili w tamtym pubie? – wtrącił Richard.

– Nie śledzili! – uciął Desire. – Chyba spodziewali się, że namierzą drobnego dilerę jajami zakazanych ras vivernów. Przynajmniej takie słuchy doszły Kinnona. Braden przyszedł do Wylęgarni zbadać sprawę. Był sam. Wiem, bo Angela zna wszystkich szpicli i twierdzi, że ich tam nie było.

– Jasne, zna wszystkich, bo pewnie z nimi też... – Opat zgrzytnął zębami.

– Ciceron! – nie wytrzymał Desire. – Jeśli nawet, to nie twoja, moja czy kogo innego sprawa! W tej chwili to Angela, poza Kinnonem, jest naszym jedynym źródłem informacji. Wiarygodnym!

– Słucham?! – Opat niemal zatkanął. Ciemnowłose zakonnik zrozumiał, że chlapnął za dużo. Zmieszał się, przeczesał palcami czuprynę. Sapnął.

– Nie pytaj, dlaczego jej wierzę, bo nie mogę powiedzieć. Dałem słowo.

Oczy Tancmistrza i Dee wyrażały zdumienie. Tylko Ciceron roześmiał się szyderczo.

– Jasne! Nie możesz! Bo cała odpowiedź tkwi w jej majtkach! Cudownie, że trafiłeś w końcu na równie jurną co ty istotę, ale nie pozwolę, żeby jakaś!...

– Dość! – ryknął Desire. Dłoń wystrzeliła w kierunku staruszka, zupełnie jakby mnich chciał rzucić zaklęcie. Ciceron aż się cofnął i gwałtownie wciągnął powietrze, a ciemnowłosey mnich wycedził: – Nie ma znaczenia, co o mnie myślisz. Przypominam, że sprawami klasztoru, tam na miejscu w Fenaby, zarządzasz ty. Ale poza nim, w trakcie misji dowodzę ja! Tak ustaliliśmy na początku naszej współpracy! Więc nie waż się podważać moich kompetencji czy decyzji! Koniec dyskusji!

„Interesujący podział władzy – pomyślał Dee. – Może to i dobrze, bo przez Bradena Ciceronowi chyba rozum odjęło”.

Zapadła cisza. Pulsująca niczym wrzód, gniewem, rozzaleniem, nieufnością. Wrzód, który mógł pęknąć i wylać się w dowolnym momencie. Wystarczyła iskra, nie takie spojrzenie, pochopnie rzucona uwaga. Panowie zerkali na siebie spod łbów.

„Na Onyksową! – Dee zacisnął usta. – Trzeba coś wymyślić. I to szybko. Zanim te dwa wilki znów rzucą się sobie do gardeł i wybujałym ego zniweczą plany wyprawy do Dzielnicy Elfów”.

Lecz nie zdążył otworzyć ust, bo uprzedził go Tancmistrz.

– Co z monitoringiem? – rzucił od niechcienia. – Przez niego łatwo nas namierzą. Zidentyfikują.

Desire odwrócił głowę w jego stronę. Wziął kilka głębokich wdechów.

– W środku pubu go nie ma. Decyzja któregoś z poprzednich właścicieli. A ten nowy chyba się nie zorientował. A może zwyczajnie ma to gdzieś? Z tego, co słyszałem, to snob. Interesuje go tylko brylowanie w towarzystwie. I pomnażanie dragenów. Jediną kamerę naprzeciw wejścia do Wylęgarni dawno temu zniszczyły

jakieś gnojki. Do tej pory nikt jej nie naprawił. Więc jeśli ludzie palatyna chcieliby nas namierzyć, będą musieli przejrzeć wiele zapisów z innych miejsc. Na przykład z Czarnej Łuski. Ale tam Richard był sam. Na dodatek miał czapkę i zmodyfikowaną buźkę. Zakładam, że Braden nie spodziewał się zobaczyć w Wylęgarni kogoś więcej niż Dee, a już na pewno nie Cicerona. Gdyby wiedział, że będzie nas czterech, lepiej przygotowałby się do spotkania. Ale teraz już wie, ilu nas jest i że chcemy kogoś wykraść. Na kretyna nie wyglądał. Z pewnością obmyślił niezłą pułapkę i cierpliwie czeka, aż w nią wleziemy. Na poważnie zacznie nas szukać dopiero, gdy nie pojawimy się w Instytucie.

– Nie lekceważ inteligencji przeciwnika, Desire – odezwał się cicho Tancmistrz.

– Wiesz, że tego nie robię. Nigdy. – Mężczyzna spojrzął w oczy przyjaciela. Był bardzo poważny. Przeniósł wzrok na Cicerona, który ciągle nie mógł ochłonąć po scysji. – Cor... – szepnął do uparcie milczącego starszego pana, u którego złość i rozżalenie ustąpiły teraz rezygnacji. – Co do Bradena... Wypytywałem Kinnona parę razy. Nie ma mowy o pomyłce. Cor...

Przyjrzał się twarzy Cicerona. Z jakiegoś powodu skojarzyła mu się z pustynną różą. Wyschniętą, poskręcaną, martwą. Ta ludzka róża godzinę temu zasilona źródłem wspomnień, emocji i uczuć ożywiła się i rozkwitła, nabrała wigoru, stała się niemal młoda. Teraz po wyznaniach Desire z powrotem zwinęła się i obumarła. Zrobiło mu się żal starego przyjaciela.

– Nie widziałeś Bradena pięćdziesiąt lat. Zdaje ci się, że ciągle znasz tego faceta. Że między wami nic się nie zmieniło. Mylisz się – zakończył cicho. – Przykro mi.

– Jesteś absolutnie pewien? – Ciceron wpatrzył się w ścianę budynku przed nimi.

– Znamy się od dawna. Czy w takich sprawach kiedykolwiek zawiodłem? Czy nie do takich rzeczy byłem szkolony?

Zapadło milczenie.

– Czyli co, odpuszczamy? – odezwał się Richard. – Skoro to zasadzka, tylko idiota albo samobójca wszedłby w nią dobrowolnie.

Desire odwrócił się ku niemu.

– Albo człowiek sprytny i zdesperowany.

Panowie wymienili spojrzenia. Desire tylko się uśmiechnął.

– Bez potomka księcia cała wyprawa do Wietrznych Katedr już na starcie nie będzie miała sensu, więc to oczywiste, że musimy wejść do Instytutu. Ale zrobimy to po mojemu.

– To znaczy? – Tancmistrz uniósł brwi zaintrygowany.

– Mam pewien pomysł. Cierpliwości. Postaram się wrócić jak najszybciej, więc nigdzie nie łażcie. Miejcie oczy otwarte.

Nie zdążyli wypytać ciemnowłosego mnicha, co ma na myśli, bo Desire błyskawicznie wyskoczył z wozu i zaklęciem zmodyfikował własny wygląd. Na pożegnanie rzucił czar maskujący na auto oraz przyjaciół i pognął w kierunku wyjścia z zaułka.

* * *

Zostali sami. Z początku milczeli: jakoś żaden nie miał ochoty na roztrząsanie szczegółów związanych z poznaniem Bradena i jego prywatnymi układami z Ciceronem. Cała ta sytuacja była co najmniej niezręczna i ponura. Starszy pan w myślach zaklinał niebiosy, żeby to, co usłyszał od Desire, jednak okazało się nieprawdą. Tancmistrz zapadł się głębiej w fotel i z tych głębin czujnie obserwował zaułek ledwo oświetlony małą latarką. Zastanawiał się, co takiego wykombinował Desire. A Richard... Powoli wziął głęboki wdech, bo poczuł znajomy ból w piersiach i duszności. Znów w stopach pojawiło się mrowienie, twarz oblał mu zimny pot, a świat zawirował przed oczami.

„Kontroluj oddech – nakazał sobie w myślach z nadzieją, że w ten sposób odegna atak. – Na Onyksową! Nie teraz! – Wziął jeszcze jeden wdech i kolejny. Ból nie nasilał się, ale też nie malał. Jego dziwne zachowanie zwróciło uwagę

Tancred.

– Nie wzięłaś pigułki! – rzucił i wykrzywił usta.

– Chciałem... – szepnął z trudem Dee. – Chciałem oszczędzić na czarną godzinę.

– To uznaj, że nadeszła! No już!

Richard wyjął z kieszeni woreczek z fasolkami. Wysypał zawartość na otwartą dłoń. Cztery. Włożył jedną do ust. Przylepiła się u nasady języka i za nic nie zdołał jej połknąć. Zaczął kasłać, dławić się. Znajoma gorycz lekarstwa przyprawiła go o mdłości, język sprawiał wrażenie wygarbowanej niechlujnie skóry, oczy zaszyły łzami. Ciceron zdzielił go w plecy. Krztuszenie jakby zmałało, ale ta cholerna pigułka za nic nie chciała się przesunąć, a ochota, by uwolnić pawia, jeszcze się nasiliła.

– Zaraz rzygnę! – zapiał jak młodzik przechodzący mutację.

– Ani mi się waź! – Tancred szybko zaczął sprawdzać zawartość jego torby.

Nie znalazł nic, co mogłoby mu pomóc, więc zaczął przetrząsać samochód. W licznych skrytkach znalazł kilka prezerwatyw i czyste błękitne koronkowe figi.

„Szczęście, że Desire z nami tu nie ma. Już widzę, jak zaczęłyby się ślinić. Jak nic zechciałyby poznać właścicielkę!” – pomyślał.

Dalej była pusta butelka po napoju, stare rachunki, parę opakowań po batonikach, pudełko tamponów, szminka, śrubokręt oraz notes. Była też latarka (bez baterii), parę map (te zarekwirował), jakieś pastylki oraz sznurek i flakonik z napisem „Wyciąg z morwy”.

– Tak musi wyglądać piekło – mruknął – albo damska torebka.

Potrząsnął buteleczką. Pełna. Zerknął na opis. „Redukuje zmarszczki. Wygładza cerę. Pić dwa razy dziennie po jednej łyżeczce”.

– Na zdrowie! – Podał buteleczkę Richardowi.

Ten z trudem wciągnął powietrze. Duszności wzmagaly się, czarne plamy

przed oczami skutecznie ograniczały pole widzenia. Wyciągnął rękę niczym ślepiec obawiający się przeszkody na drodze. Tancmistrz zacisnął jego palce na butelce.

– Do dna. No, nie trać czasu!

Jakimś cudem flakonik zdołał dotrzeć do ust Richarda. Ten, nie pytając, co zawiera, opróżnił go kilkoma łykami. Cholerstwo uczeplone jego języka wreszcie spłynęło do żołądka. Dee zakasłał jeszcze parę razy. W mokrych od potu ciuchach czuł się niczym źle wyżęta ścierka.

Mdłości nadal były silne. Na całe szczęście po kilku minutach duszności zaczęły mijać, puls powoli się uspokajał. Mógł więc teraz wyprostować się i głęboko oddychać, co pomogło utrzymać wirującą zawartość żołądka na miejscu.

Wszystko zdawało się wracać do normy.

„Chyba działa – pomyślał Tancmistrz. Porozumiał się wzrokiem ze zmartwionym opatem. Uniósł kciuk, dając do zrozumienia, że wszystko zmierza ku dobremu. Ponownie zerknął na butelkę. – Po takiej dawce pewnie wygładzą mu się nawet zwoje mózgowie. Byle nie kosmki jelitowe, bo będziemy tu mieli fekalną katastrofę”.

– Jak się czujesz? – zapytał już na głos.

– Jak świeżo wysrane gówno – odparł rzeczowo Dee, dużo niższym niż zwykle głosem.

– Czyli niemal zdrowy. Słodko!

Ale minęło jeszcze pół godziny, nim Richard na dobre doszedł do siebie. W tym czasie Ciceron znów pogrzyżył się w rozmyślaniach, Tancmistrz poszedł sprawdzić pobliskie uliczki, jednak zaraz wrócił. Oświadczył, że okolica jest bezpieczna, i ponownie rozsiadł się w fotelu. Od czasu do czasu zerkał na Richarda, potem skupiał się na obserwacji uliczki. Tonęła w ciemnościach. Nic nie zakłócało wszechobecnej ciszy.

Termin spotkania z Bradenem w Terminalu minął dawno temu, a Desire – dokądkolwiek polazł – ciągle nie wracał. Mnisi znieruchomieli w swych fotelach niczym przedziwne posągi, które szalony artysta jakby dla żartu zainstalował

wewnątrz wozu. Cierpliwie czekali. Cierpliwość, oczekiwanie... w tych dwóch sprawach Richard nigdy nie czuł się mocny. Złapał się na myśli, że tęskni za Fenaby i wszystkim, co tam zostawił. Że cholernie mocno chce tam wrócić.

Potem wspomniął swą dotychczasową wędrówkę po Palatynacie. Te miesiące spędzone na poszukiwaniach odpowiedzi na tak wiele nurtujących go pytań. O własną chorobę, o poczucie wyalienowania, o to, skąd pochodzi, gdzie są jego korzenie? Kim jest i jak ma się odnaleźć w otaczającym go świecie? O ciągły przymus wędrówki. Niby znał swą rodzinę, więc czemu nie potrafił sobie przypomnieć wyglądu rodzinnego domu, głosu ojca, kłótni z Haylee o Kamyka? A matka? W zakamarkach wspomnień szukał jakiegokolwiek jej uśmiechu, ulubionego powiedzonka, hobby czy choćby koloru oczu. Czegokolwiek. Lecz w jego pamięci była ogromna luka. Jakby ktoś nożycami, mało subtelnie wyciął wszelkie rodzinne wspomnienia, zostawiając mu na pocieszenie pamiętnik, którego spisywania też nie pamiętał.

„Po wszystkim – pomyślał – odwiedzę ich. Może tam, w naszym domu, kryją się odpowiedzi na moje pytania? I zabiorę ze sobą Mayę. – Wspomniawszy jej łagodny uśmiech, ciemne oczy, delikatne dłonie. – Na pewno ją polubią”.

Zagryzł wargi. Musi wziąć się w garść. Tyle jeszcze do zrobienia. Porwanie następcy księcia, wyprawa do Wietrznych Katedr, odczarowanie Mai... I na każdym etapie realizacji plany może szlag trafić. To też nie czas na słabość. Boleśniej niż zwykle uświadomił sobie swoje ograniczone możliwości. Co z tego, że w jakiejś tam części był elfem, skoro cała reszta niego, ta zdecydowanie większa, była ludzka? Słaba, chorowita, beznadziejna.

„Gdybym był czystej krwi, pewnie dawno bym się zregenerował. Jeśli do końca mam brać udział w misji, być pomocą, a nie ciężarem, muszę więcej dowiedzieć się o swojej chorobie, a potem znaleźć na nią lekarstwo”.

Przez chwilę jeszcze dał się ponieść marzeniom o wspólnej przyszłości z Mayą. Niemal czuł, jak bierze ją w ramiona, wdycha zapach jej skóry, wtula twarz w zagłębienie szyi...

– Nie czas na bujanie w obłokach, Dee. – Chrapliwy głos Tancmistrza przywrócił go do rzeczywistości.

Ocknął się i dopiero teraz zobaczył woreczek z pozostałymi pigułkami, leniwie fruwający tuż nad jego otwartą dłonią. Unosił się i opadał, przelewał jak ogromna kropla wody. Richard uśmiechnął się, widząc ten mały magiczny cud, którego był nieświadomym sprawcą.

– Ta wyprawa trwa zdecydowanie za długo. – Teraz mnich zwrócił się do Cicerona, jakby rozmową chciał wypełnić czas w oczekiwaniu na powrót Desire.

– Wiem – westchnął opat.

– Żebyśmy tylko zdążyli wrócić, zanim Sloan... – szepnął Dee.

– Sloan nie zabije Bazylia przed naszym powrotem! – przerwał mu Tancmistrz.

– Ale twierdził...

– Powiedział ci to, co musiałeś usłyszeć. To miał być dla ciebie bodziec do działania, żebyś się nie ociągał. Mnie bardziej martwią diabliki. Oby tylko nie zdążyli ich wypuścić, bo nie wiem, jak wrócimy. Wycieczki do Metropolii nie było w planach.

– A Instytut? Wyprawa po potomka księcia, po Harfę? To cię nie martwi? – Richard spojrział na niego zaskoczony. Woreczek z pigułkami zawisł nad jego dłonią w bezruchu.

– Desire wie, co robi! – oznajmił jasnowłosy zakonnik. – Może i ma problem z kobietami, może zbyt często i zbyt frywolnie żartuje, ale misji nie zawala nigdy.

– Skoro tak twierdzisz...

Dokładnie w tej chwili u wylotu zaułka pojawiła się jakaś postać. Za sprawą długiej, ciemnej peleryny wyglądała jak nadciągający obłok. Szła pomału, niepewnie. Rozglądała się, choć w tych ciemnościach możliwości, by dostrzec cokolwiek, były niewielkie. Mężczyźni zamilkli, znieruchomieli. Przez moment nawet przestali oddychać. Chwilę później westchnęli z ulgą, gdy do środka

samochoodu wskoczył Desire.

– Konkurs na najgorszego czarodzieja roku? – Wzrokiem wskazał dłoń Richarda, nad którą teraz wisiała metalowa uszata sówka pohukująca groźnie. W sekundzie sówka zmieniła się w miniaturowego pelikana o wściekle zielonym ubarwieniu. Ten czknął zaskakująco głośno, wypluł pastylki wprost na dłoń Richarda, po czym sam teatralnie skonał! Desire wyszczerzył zęby. – Wygrałeś!

Tancmistrz zamrugnął zde gustowany.

– Żenujące – mruknął. – Po powrocie do Fenaby popracujemy nad twoją znajomością magii. Zgadzasz się, Ciceron?

– A mam jeszcze coś do powiedzenia? – burknął starszy pan. Zaraz jednak machnął ręką. – Niech będzie. Zajmiecie się tym ze Sloanem.

Tancmistrz wykonał oszczędny gest, szepnął *Terminatus* i zwłoki zielonego pelikana na powrót stały się woreczkiem na lekarstwo. Richard szybko schował go do kieszeni.

– No to co robimy? – zapytał.

– Wy? – Desire zerknął na niego i Cicerona. – Nic. My – posłał spojrzenie Tancmistrzowi – wracamy do szkoły!

– To znaczy? – Przyjaciół zmarszczył brwi. Nie spodobały mu się słowa Desire, bo szkoła kojarzyła mu się z uczniami, ci z dziećmi, a tych, delikatnie mówiąc, unikał.

– Już tłumaczę. – Ciemnowłosy mnich zatarł dłonie bardzo czymś uradowany.

– W dużym skrócie: Instytut zajmuje się wieloma rzeczami. Między innymi prowadzi zajęcia dydaktyczne dla studentów medycyny, a ja zdobyłem dla nas przepustki.

Na otwartej dłoni mnicha leżały dwie zapinki w kształcie fantazyjnych harf oplecionych węzami Eskulapa. Znak adeptów sztuki medycznej mających w przyszłości parać się leczeniem ludzi i ewentualnie elfów.

– Studenci uwielbiają szlajać się po pubach, a Wylęgarnia jest obowiązkowym

punktem na ich trasie. Teraz zapinki. Ci z pierwszego roku noszą zwykłe, żelazne – zaczął wyjaśniać. – Drugi rocznik ma wersję miedzianą, a trzeci z brązu. Czwarty oraz ostatni piąty mają zapinki srebrne i złote. A dyplomowani medycy onyksowe ze srebrzystym węzłem. To nie tylko biżuteria. To też przepustka do Instytutu.

– Jakim cudem?... – wtrącił Dee.

– Genialnie prostym – zaśmiał się Desire. – Bo widzisz, studenci wchodzą zawsze bocznym wejściem, ale nie tym, o którym wspominał Braden. Tamto służy tylko do przyjmowania dostaw. Dla personelu i studentów jest jeszcze jedno małe i niepozorne, tuż obok. A że uczniów jest sporo i że wcześniej zostali wielokrotnie sprawdzeni, dla oszczędności czasu tylko przykładają zapinkę do czytnika. Na dodatek ci z ostatniego rocznika, w przeciwieństwie do pierwszorocznych, mają dostęp niemal wszędzie. A ja zdobyłem?...

Obie zapinki leżące na dłoni Desire były złote. Popatrzył na przyjaciół mocno z siebie zadowolony i jakby oczekujący aplauzu.

– Nie do wiary! – mruknął Ciceron.

– Zaraz! – Richard pokręcił głową. – Chcesz mi powiedzieć, że mają tu tak beznadziejne zabezpieczenia?!

– Zabawne, nie? Też byłem zaskoczony, ale Dave, ten student, któremu gwizdnąłem to świecidełko, zarzeka się, że tak właśnie jest. Może nie w całym Instytucie, ale w bocznym wejściu do niego na pewno. Na dodatek czekają na nowy skaner, bo poprzedni kilka dni temu padł.

– I ty mu wierzysz?

– Katalizator Wylęgu rozwiąże każdy język. Nawet nie musiałem używać zaklęcia prawdomówności.

Mina Richarda wyrażała powątpiewanie.

– To może mieć sens – burknął Tancmistrz. – Pamiętaj, Dee, że w mniemaniu tutejszej społeczności wszystko co najgorsze dzieje się w Kryształowych Wodospadach. Ale tu jest Metropolia. Bezpieczne miasto. Pewnie ludziom palatyna do głów by nie wpadło, że ktoś może być tak bezczelny, by coś kombinować pod

ich nosami. Zwłaszcza w Instytucie, czyli szpitalu i hospicjum. Bo niby czemu?

– No nie wiem – mruknął Richard i zerknął na Desire. – Rozumiem, że zmodyfikujesz własny wygląd? Bo na studenta jesteś trochę za stary, ale...

– Dzięki!

– ...ale nie możesz tylko zwyczajnie się odmłodzić. Jeśli to odznaka studenta piątego roku, na pewno jest spersonalizowana. Ten ktoś pewnie ma mnóstwo znajomych, nazwisko, rozkład zajęć. To musi być konkretna osoba, którą wszyscy znają, która nie wzbudza podejrzeń. Przychodzi na zajęcia zgodnie z rozpiską. Ma swoje powiedzonka, styl bycia. Jak chcesz się pod nią podszyć?

– Co za noc! Użyłeś szarych komórek, zapamiętam! – Desire cmoknęła z uznaniem.

Wziął jedną z zapinek, nacisnął jej bok, a wtedy harfa z węzłem odskoczyła. Zapinka okazała się jednocześnie medalionem, wewnątrz którego zobaczyli podobiznę młodego mężczyzny. Miał pociągłą twarz, krótkie ciemne włosy, ciemne oczy.

– Dave Calliere. Przeciętny aż miło. – Usta Desire rozciągnął uśmiech. – Ale Richard ma rację. Jeśli chcemy wiarygodnie odegrać role studenciaków, musimy przyjrzeć się oryginałom. Chodź – zwrócił się do Tancmistrza – poznaj swego protoplastę, póki jest w miarę trzeźwy. Obydwu naszych przyszłych doktorów zostawiłem w Wylegarni. Angela pilnuje, żeby zbyt szybko się nie upili i zbyt szybko nie wytrzeźwieli – zarechotał.

– A my? Ja i Richard? – wtrącił Ciceron.

– Zostajecie. Ale spokojnie, niedługo wrócimy. Tylko przyjrzymy się tym gagatkom i...

– Wiesz, że nie to miałem na myśli!

Desire natychmiast spochmurniał. Przygryzł usta, po czym spojrzał na opata i westchnął. Starszy pan skrzywił się i zaśmiał szyderczo.

– Nie ufasz mi!

– Nie. Nie, póki w pobliżu jest Braden.

Starszy pan spojrzał na niego z żalem. Zaraz jednak pociągnął nosem, kiwnął głową.

– W porządku. Nie mam pretensji, że działasz zgodnie z instrukcjami, choć znam Instytut. Mógłbym pomóc – zaproponował, ale widząc nieustępliwy wzrok Desire, machnął ręką. Mruknął: „Słusznie, sam bym tak postąpił” i zamarł w fotelu.

– A ja? – dla odmiany odezwał się Richard.

– To też oczywiste. Twoja choroba – odparł spokojnie Desire – jest nieprzewidywalna. Założę się, że miałeś atak, gdy mnie nie było. Mam rację? – Spojrzał na ciągle słabego Dee, o zlepionych potem włosach, podkrążonych oczach i nadmiernie wygładzonej, choć szarej cerze. – Nie wiem, co mu tym razem zaserwowałeś – teraz zerknął na Tancmistrza – ale wygląda, jakby mu ktoś bużkę żelazkiem wyrównał.

Dee przejrzał się we wstecznym lusterku. Faktycznie, jego twarz była tak nienaturalnie gładka i obrzmiała, że przypominała napompowany balonik. Teraz rozumiał, skąd to uczucie, jakby ktoś nałożył na jego czaszkę zbyt mało skóry, a potem uparł się ściągnąć jej brzegi. Odruchowo pomasaował szczękę, bo okrutnie swędziała. Przeniósł spojrzenie na niedawno opróżnioną butelkę po preparacie na zmarszczki, potem na Tancmistrza. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby zmarszczyć brwi.

– Do wyboru miałem to albo nasikać do kubka. Ale po drinku z uryny wyglądałbyś jeszcze gorzej – burknął mnich tytułem wyjaśnienia.

– Ahaa...

– Nie ma za co!

– Ale to kiedyś minie? – upewnił się Richard.

Tancmistrzowi drgnął kącik ust.

– Trwale to świństwo działa jedynie w reklamach – oznajmił beznamiętnym tonem. – A w reklamy wierzą tylko desperatki, które lubią się oszukiwać. Ale

gdybyś uznał, że po tej miksturze jesteś zbyt piękny, zawsze możesz poprosić Sloana o odrobinę moczu krakena.

– Moczu krakena? – Desire parsknął śmiechem. – Wyrabiasz się, Tancmistrz! Serio!

Ciceron też uśmiechnął się pod nosem, a Dee zrobił głupią minę. Podrapał się po twarzy.

– Ale śmieszne – mruknął. – Wracacie do pubu czy dalej będziecie się ze mnie nabijać?

Ciemnowłosa mnich spoważniał.

– Racja. – Poklepał Tancmistrza po ramieniu. – Chodź. Przed nami sporo roboty, a tamte dwa gagatki nie będą chłać wiecznie.

Kilka chwil później znów wchłonął ich mrok zaułka. Dwóch pozostałych w wozie mężczyzn ponownie zagłębiło się w fotele. Żaden nie kwapił się do pogawędki.

* * *

Minęli strzelistą fasadę Instytutu Medycznego, całą skąpaną w deszczu. Zatrzymali auto na tyłach u wylotu parkingu dla pracowników. Od Terminala odgradzał ich park ze stawem i wyspą porośniętą wierzbą płaczącą. Był wczesny ranek. Ciężkie granatowe chmury zacumowały nad kompleksem, a ściana wody zniekształcała pole widzenia, zupełnie jakby tam, w górze ktoś bezmyślnie otworzył śluzę zapory i pozwolił kaskadom spłynąć, zatapiając wszystko. W tych strugach granitowe mury i chodniki przypominały zwierciadła, ciemne i ponure. Porywisty wiatr skutecznie zniechęcił mieszkańców do opuszczania domów. To nie pomagało. Desire wiedział, że w tłumie łatwiej zniknąć. A jeśli zajęcia studentów zostaną odwołane?...

Siedzieli w samochodzie, w milczeniu obserwując okolicę. Ulewa dudniła o szyby i dach. Rzeki deszczówki, której nie zdołała przyjąć ziemia, spływały ku stawikowi i kanałom burzowym. Minął kwadrans, ulewa trwała w najlepsze,

a studenci nie pojawiali się.

– A zapowiadali tylko przelotne opady. – Desire przygryzł usta. Świeżutki, tylko co utkany plan B właśnie brał w łeb, a planu C nie było. – Pieprzyć to! – Wyjął splotkę zza paska. – Przechowaj do mojego powrotu. – Podał broń Ciceronowi. – Tancmistrz!

Ponaglił wzrokiem przyjaciela. Ten z ociąganiem zrobił to samo. Obydwaj oddali też opatowi swe pasy na drobiazgi i wszystko, co w razie wpadki pomogłoby ich zidentyfikować. Następnie Desire wyciągnął dłoń do Richarda.

– Flet!

– Co?!

– Dawaj flet! No dobra, tylko pożycz! Wiem, że masz!

– Flet?!

– Zaciąłeś się? – zniecierpliwił się Desire. – Potrzebuję go!

– Po co? – Oczy Richarda zaokrągliło zdumienie.

– A jak myślisz? Zapewnię strażnikom poranek melomana! – Ciemnowłosy zakonnik sapnął zniecierpliwiony.

Ciceron położył mu dłoń na ramieniu.

– Dee nie wie o nas jeszcze wielu rzeczy, pamiętasz?

– Wybacz – mruknął Desire. – Ciągle zapominam, że nie jest jednym z nas. – Udał, że nie zobaczył urażonej miny Richarda, i kontynował: – Bardzo możliwe, że zajęcia studentów z powodu nawałnicy zostały odwołane, ale my i tak musimy tam wejść. Co najwyżej udamy, że zabalowaliśmy wczoraj zbyt ostro i o niczym nie wiemy. Tamtych dwóch facetów dość często to robi. W każdym razie nie możemy tam iść z bronią. Zbyt ryzykowne. Ale flet w tym porąbanym społeczeństwie ma każdy. No tak, z wyjątkiem ciebie, ale na to nic nie poradzę – palnął, zerkając na Tancmistrza i nie przejmując się jego niezadowoloną miną, spokojnie tłumaczył: – Braden nie wie, że znamy czary. I dobrze. Wykorzystamy tę niewiedzę do samoobrony.

– Chcesz się bronić... ehm... FLETEM?! – Dee wybałuszył oczy i parsknął śmiechem. – A niby jak?!

– Daj, to się przekonasz. – Desire odpowiedział uśmiechem i wyciągnął dłoń w oczekiwaniu.

Richard się zawahał.

„W innej sytuacji pomyślałbym, że to żart, ale dziś...”.

Z pewnym ociąganiem z głębin swej torby podróżnej wyjął instrument. Stary, metalowy, towarzysz wszelkich wypraw, choć Richard nie pamiętał, by kiedykolwiek na nim zagrał. Z jakiegoś powodu był jednak przywiązany do tego instrumentu i myślał, że ma go pożyczyć, choćby na chwilę, sprawiała, że czuł się podle. Z ociąganiem podał flet mnichowi. Ten ujął jeden jego koniec, obejrzał dokładnie, machnął niczym przerośniętą różdżką. A zrobił to tak energicznie, że Richardowi serce podskoczyło do gardła.

– Nada się – mruknął zakonnik, wprawiając Dee w jeszcze większą konsternację. – Trzymaj.

Podał instrument Tancmistrzowi. Podciągnął rękaw na lewym nadgarstku i oczom przyjaciół ukazała się bransoletka zdobiona różyczkami oraz innymi świecidełkami. Ostrożnie ją rozpiął. W milczeniu chwilę manipulował przy ogniwkach. Potem Dee w zagłębieniu dłoni Desire ujrzał coś, co przypominało dwie małe sprężynki. Były czarne i najeżone na swej zewnętrznej powierzchni niewielkimi zadziorkami. Sprężynki także na chwilę znalazły schronienie w ręku Tancmistrza. Z cholewki buta Desire wyjął własny flet i również podał go przyjacielowi. W zamian odebrał jeden artefakt. Odchrząknął.

– Patrz, Richard, i ucz się, bo wiecznie żył nie będę. To, co tu widzisz, nazywa się *stellum*. – Otworzył dłoń i wskazał kolczastą sprężynkę. – Choć wygląda niepozornie, będzie potężnym wsparciem w naszej sprawie. Choć mam nadzieję, że nie będę musiał go użyć – dodał enigmatycznie.

Zacisnął dłoń tak mocno, że aż mu kostki pobiełały. Sapnął. Dee spojrzał na niego zaskoczony. Przez twarz Desire przemknął cień bólu, lecz pięści mnich nie

otworzył. Tancmistrz z Ciceronem też patrzyli z zainteresowaniem. Gdy po chwili mężczyzna rozchylił palce, wewnątrz dłoni wypełniała krew. Richard zastanawiał się, jak ostre muszą być kolce pokrywające *stellum* i z czego wykonane, że spowodowały takie rany. Po co Desiree to robi? Zagadka miała wyjaśnić się za chwilę, bo oto sprężynka pokryta krwią mnicha zaczęła gwałtownie powiększać swe rozmiary, aż wyglądała jak najeżona kolcami spiralna czerwono-czarna bransoletka.

Richard w milczeniu obserwował, jak ciemnowłosego mnicha nakłada *stellum* na koniec własnego fletu. W tym momencie kolce sprężyny przemieściły się na jej wewnętrzną powierzchnię, wbiły się w instrument, a cała bransoletka gwałtownie się skurczyła!

– Oooo! – Tylko tyle zdołał wykrztusić Richard.

Flet Desire wyglądał jak dawniej, tyle że wokół jego końca – niczym wąż – owijała się czarna spirala. Ale w kompletnie osłupienie Dee wpadł dopiero chwilę później, gdy *stellum* kilka razy błysnęło i perfekcyjnie wtopiło się w instrument, stając się niewidzialne. Z szoku ocknął się dopiero na sapnięcie Tancmistrza. Spojrzał w jego stronę i zobaczył, że mnich robi dokładnie to, co Desire przed chwilą. Jego własny instrument także ozdobiła czarna żmijka, która natychmiast zniknęła.

– Hej, zniszczyliście mój flet!

– Nic podobnego. Po wszystkim oddamy ci go w doskonałym stanie.

Mina Richarda sugerowała, że mocno w to wątpi.

– Dobra, wiem, jak to wygląda! Falliczny kształt z ciekawą nakładką na końcu, ale nie miej grzesznych myśli! – Desire zażartował, by odwrócić uwagę Dee. Bezskutecznie. – Oj, serio nie przejmuj się, nie zniszczymy ci go. Choć na to nie wygląda, teraz ten flet to niezła broń. Bo widzisz, *stellum* wzmacnia wszelkie rzucone zaklęcia. I słucha tej osoby, z której utoczyło krwi lub do której należy dany przedmiot.

– Czyli teraz to nie flety, ale... różdżki?!

– Można tak to ująć. Fajne, nie?

– To po co zawsze nosicie spluwy, skoro macie to... to *stellum*?

Desire się uśmiechnął. Dokładnie wytarł dłoń z resztek krwi chusteczką, którą podał mu opat. Ranki natychmiast przestały krwawić.

– Dopiero je dostaliśmy – wyjaśnił. – O *stellum* czytałem wielokrotnie, ale nigdy go nie widziałem ani nie znałem nikogo, kto by je miał. Te dwa konkretne to prezent od Evandera i Evangeline. Jestem im cholernie wdzięczny, że nie użyli ich przeciw nam. No ale ostatecznie tamtego dnia, kiedy ich zaskoczyliśmy, zwyczajnie nie zdążyli po nie sięgnąć.

– Aha...

– Na Onyksową, mam nadzieję, że my też nie będziemy musieli się nimi posłużyć, bo z tego, co mówił Evander, wnioskuję, że trudno je okiełznać i wysysają masę energii. Poza tym zależy nam na dyskrecji. Powinniśmy anonimowo wejść do Instytutu i błyskawicznie wyjść, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Chyba nie muszę przypominać, że nie chcemy ściągać uwagi ludzi palatyna na klasztor w Fenaby. Stąd te nasze tak zwane różdżki pozostaną w ukryciu. Użyjemy ich tylko w ostateczności.

– Da się tym odczarować Mayę?! – Richard nie zdołał powstrzymać się od zadania tego pytania.

Desire pokręcił głową.

– Nie ma leku cud na wszystkie dolegliwości. Na argemona nawet *stellum* nie podziała. Przykro mi.

Richard zagryzł usta. Szybko przeniósł spojrzenie na budynki Instytutu, by nie dostrzegli, jak bardzo jest rozczarowany.

– Co teraz? – zapytał.

– Zajęcia powinny zacząć się za kwadrans i potrwać sześć godzin. Zgodnie z rozpisną grupą Dave’a jako pierwsza ma ćwiczenia z medycyny sądowej.

– Czyli? – nie zrozumiał Dee.

– Będą kroić trupy! – burknął Tancmistrz.

– Co takiego?!

– Dziękujemy, Tancmistrzu, za to cudowne poczucie humoru oraz takt i kulturę osobistą – zakpił Desire. – Ale w sumie Tancmistrz ma rację – zwrócił się już całkiem poważnie do Richarda. – Medycyna sądowa to między innymi sekcje zwłok. A tak się składa, że chłodnia i prosektorium są blisko Terminala. Ale wyluzuj, nie zamierzamy nikogo kroić, tylko porwać.

– A my w tym czasie?... – odezwał się Ciceron.

– Richard przestaje skrobać się po twarzy i zapamiętuje, że eliksir na zmarszczki już nie działa – zakpił Desire. – A tak serio trzymacie się z daleka od kamer i obserwujecie wierzbę – powiedział Desire. – Trzy kruki na jej szczycie będą oznaczały, że mamy tego faceta i czekamy na transport. Wtedy podjeżdżacie pod Terminal i zmywamy się.

– A co jeśli?...

– Dajcie nam godzinę. TYLKO godzinę. Potem macie odjechać. To rozkaz! I żadnych prób bohaterstwa! – Desire spoważniał. – Niech wam nie wpadnie do głowy iść po nas! Skontaktujecie się z Angelą. W razie wpadki na pewno wszystkie drogi z Metropolii zostaną odcięte, więc głupotą byłoby wyjeżdżać. Angela was ukryje do czasu, aż sprawa przycichnie. Potem pomoże wrócić do Fenaby. Wbrew temu, co o niej myślisz, to naprawdę... – Spojrzał na opata, westchnął. – Zresztą nieważne. Do godziny będziemy z powrotem.

– Chyba jednak mamy szczęście – wtrącił Tancmistrz.

Kiwnięciem głowy wskazał dróżkę, po której przeskakując kałuże, przemieszczało się kilka osób.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że zajęcia jednak nie zostały odwołane, ponieważ na parking – w krótkich odstępach czasu – wjechało parę samochodów. Tych kilka osób, które je opuściły, biegiem pokonało dystans do wejścia, bo ani peleryny przeciwdeszczowe, ani parasole nie chroniły przed strugami wody, a już na pewno nie przed wichurą.

Richard zobaczył, że Tancmistrz z Desire porozumieli się wzrokiem, po czym obydwaj wyszeptali *Transformatio*. Dwóch „przeciętnych aż miło” studenciaków pognało za resztą ku bocznemu wejściu do Instytutu.

* * *

Wpadli za innymi do środka. Zobaczyli, jak przyszli doktorzy wieszają przemoczone kurtki na kołkach w szatni, pozdrawiają gestem strażników stojących za kontuarami i nie okazując dokumentów, a jedynie przykładając zapinki do czytnika, ruszają w głąb korytarza. Skanerów rzeczywiście nie było. Dwaj fałszywi studenci szybkim krokiem podążyli za innymi. Z nonszalancją godną nagrody aktorskiej Desire pozdrowił ciemnoskórego strażnika. Ten zerknął na niego wzrokiem pokerzysty taksującego przeciwnika.

– Marnie wyglądasz, Dave. Niech zgadnę, zarwana nocka – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Nawet nie chcę wiedzieć, gdzie żeście tym razem balowali, ale przystopujcie, chłopaki. Zwłaszcza jak macie zajęcia z Helen. Przy okazji – rzucił konspiracyjnym tonem – nie włączcie jej dziś w drogę. Jest w wyjątkowo podłym nastroju. Lepiej w ogóle nie ruszajcie tyłków z sali sekcyjnej i udawajcie, że jesteście cholernie grzeczni. Dobrze radzę.

– Jasne. Dzięki – mruknął Desire.

„Dave nie kłamał! Braden też nie! Swoich kontrolują pobieżnie. Niewiarygodne! No ale przeświecili ich przed przyjęciem na studia. Jednak ostrożności nigdy dosyć, a im szybciej się uwiniemy...”.

Skinęli strażnikowi głowami. Tamten pozdrowił ich gestem i odwrócił się do nich plecami, by przejrzeć jakieś dane na monitorze.

Prędko przemierzyli jasny, sterylny korytarz. Jako ostatni wpadli do sali ćwiczeń, w której poczesne miejsce zajmował stół sekcyjny. Rozejrzeli się. Jasne kafle, białe, zimne oświetlenie, kilka metalowych zlewów z dziwnymi pokrętłami i metalowe stoły zaopatrzone w rynienki do odprowadzania płynów oraz podręczne stoliki na narzędzia. Jednak u żadnego z nich to obrzydliwe miejsce nie wywołało

najmniejszej reakcji. Za przykładem pozostałych studentów odłożyli torby tych, za których się podszyli, na ławę pod ścianą. Z metalowej szafy wyjęli ciemnozielone wiązane z tyłu kitle, czepki i maseczki. Ledwie je włożyli, a drzwi do sali ponownie się otworzyły.

Niczym zielono-białe tornado do sali wpadła kobieta w średnim wieku o krótkich postrzępionych blond włosach. Intensywnie błękitne, podkrążone oczy błyszczały złością. Biały kitel narzucony na ciemnozielony szpitalny uniform powiewał jak proporzec targany wichurą. Nad lewą kieszonką, na wysokości piersi, zielonym fantazyjnym pismem wyhaftowano: dr Helen Gregorian. A obok nazwiska wpięta była czarna zapinka w kształcie harfy oplecionej srebrnym węzem Eskulapa.

Cała grupa zamarła. Desire rzucił ukradkowe spojrzenie i zobaczył zastygłe twarze, zaciśnięte pięści. W oczekiwaniu na kolejną reakcję kobiety niemal przestali oddychać!

„Na Onyksową! Tylko nie zaczynajcie beczeć!” – pomyślał zde gustowany.

Przyjrzał się kobiecie.

„Zoła nieradząca sobie z klimakterium, ale raczej nieszkodliwa – ocenił. – Czy Kinnon coś o niej wspominał? – poszukał w pamięci jakichś informacji o Helen Gregorian, lecz niczego nie mógł sobie przypomnieć. – Gdyby była ważna, Kinnon by mi o tym powiedział” – uznał.

Tymczasem Helen Gregorian palnęła opasłym zeszytem o najbliższy stół. Chwilę krążyła rozjuszona. W końcu przystanęła, sapnęła, klasnęła kilka razy i podparła się pod boki.

– Na co czekacie?! Do roboty! Trup sam się nie pokroi! – warknęła. – À propos trupa, panie de Vries! – zwróciła się do pulchnego blondyna. – Czemu go tu jeszcze nie ma?! Czy to czasem nie pana kolej na przygotowanie sali i zwłok do zajęć?!

– Tak, rzeczywiście, ale z powodu pogody nie zdążyłem...

– Z powodu pogody?! Kpi pan ze mnie?! Nie interesuje mnie, w jakim ścieku

pan utknął, zajęcia odbywają się punktualnie i nawet kolejny armagedon tego nie zmieni! Co do dzisiejszych zajęć, już ich pan nie zaliczył! Jeżeli w ogóle zamierza pan zaliczyć ten przedmiot, niech się pan w końcu weźmie do roboty!

Wciągnęła powietrze przez nos. Kilka razy odetchnęła głęboko. Głos z gniewnego stał się spokojniejszy, a nawet podejrzanie grzeczny. Desire zauważył jednak, że grupa wcale się nie zrelaksowała. Wręcz przeciwnie. Młodej kobiecie koło niego zaczęły drżeć usta. Brunet pod ścianą zacisnął pięści. Nikt nie ważył się otworzyć ust. Tymczasem blond furia kontynuowała z mrozącą krew w żyłach uprzejmością:

– Panie de Vries, razem z panem Calliere przejdziecie do chłodni. Nasz pacjent zdaje się niecierpliwie tam na was czeka. I macie się uwijać! No już! Nie jesteśmy elfami, nie mamy całej wieczności! – Znów zaklaskała w dłonie.

Pulchny blondyn ruszył ku metalowym drzwiom. Dotarł do nich, przystanął, obrócił się, jakby na coś czekał.

– Panie Calliere! – warknęła kobieta. – Mam panu wysłać ponaglenie feniksem interceptorem?! O której wyszedł pan z pubu tym razem?!

Tancmistrz szturchnął Desire.

– To do ciebie! – szepnął półgębkiem.

Desire się ocknął. Skinął kobiecie głową, co przyjęła za przeprosiny. Natychmiast podążył za blondynem. Nim zamknęły się drzwi, usłyszał jeszcze szyderczy głos Helen Gregorian:

– Dzisiejsze zajęcia poprowadzi panna Emily N’Guyen. Rozumiem, że dziś jest pani na czczo i zaskoczy nas wiedzą, nie wymiocinami?

„Suka! – Desire zgrzytnął zębami. – W innej sytuacji utarłbym jej nosa, ale dziś... Nie, nie wolno się wychylać”.

Idąc, kombinował, jak urwać się z zajęć. Pierwotnie miało to być banalne wyjście do kibelka. Przy Helen Gregorian ten pretekst odpadał.

„Pewnie każe im sikać do butelek. Ta baba to jakiś koszmar”. – Zrobiło mu się

autentycznie żał tej grupy studentów.

De Vries też musiał bać się jak diabli, bo nie czekając na Desire, pognął korytarzem ku chłodniom. Mnich rozejrzał się dyskretnie. Wszędzie monitoring. Ruszył w ślad za blondynem. Minął kilka osób personelu. Jedne nie zwróciły na niego uwagi, lecz inne pozdrowiły go gestem czy uśmiechem. Pomyślał, że prawdziwy Dave Calliere musi być tu częstym gościem.

„Szkoda, że nie udało mi się więcej z niego wyciągnąć. No, ale kto mógł przypuszczać, że chłopak ma tak słabą głowę?”

Parę metrów dalej zaczepiła go młoda, ładna szatynka. „Dana Janssen, starszy asystent” – głosiła plakietka na jej piersi. Zapinki z harfą i węzłem nie było.

– Ty nie na zajęciach, Dave? Doktor Gregorian cię puściła? – Uniosła brwi zdumiona. – Jeśli szukasz matki, to widziałam ją w laboratorium doświadczalnym, no ale tam nawet ty nie masz wstępu... Zresztą dziś lepiej nie szwendać się po Instytucie. Mieliśmy problemy w nocy – poinformowała konspiracyjnym tonem, a Desire natychmiast wzmógł czujność.

– Tiaa? A co takiego? Drobnica z dostawy zwiąła? – Udał lekceważenie, choć serce podskoczyło mu do gardła.

– Nic nie wiesz?! Chodzą słuchy, że był zamach na laboratorium, więc... – rozejrzała się nerwowo.

– Zamach?!

– ...więc najpierw była narada kierownictwa Instytutu, a teraz wszyscy tam siedzą i coś kombinują. Pewnie szacują straty.

– Jakie straty?!

– Matka ci nie mówiła? Dziwne. Pół nocy tam siedzi. – Dana posłała mu spojrzenie pełne przejęcia i zaskoczenia.

Desire przełknął ślinę. Wzruszył ramionami. Nie wolno mu okazać zdenerwowania.

– Byłem w pubie. Nie do końca trzeźwy. Ale, na Onyksową, kto i po co

miałby robić zamach na laboratorium?!

– Złapali jakiegoś mieszańca krasnoluda. Tak, mnie też brzydzi sama myśl o nich – rzuciła, błędnie interpretując skrzywioną minę Desire. – Chciał zniszczyć hodowlę naszych... eee – palnęła i szybko ugryzła się w język.

– Hodowlę naszych?... – odpowiedział Desire w nadziei, że dziewczę chłapnie coś jeszcze. – Dana, znamy się nie od dziś. Co chciał zniszczyć tamten facet?

Szatynka westchnęła, rozejrzała się.

– Nikomu ani słowa. Nawet twojej matce. Zwłaszcza jej! Chcę jeszcze pożyć!

– Dobra, dawaj!

– Wiesz, że hodujemy tam różne istoty? Otóż dziś w nocy mieliśmy wysłać transport diablików szarych na tereny Kryształowych Wodospadów. Do zaprowadzenia porządku. Rozumiesz.

– Co takiego?!

– A cóżeś taki zdziwiony? Nie wciskaj mi kitu, że nie wiedziałeś o diablikach. Matka na pewno ci o nich wspominała.

– No, coś tam mówiła...

– Poza tym wszyscy wiedzą, co za patologia egzystuje w Kryształowych Wodospadach – kontynuowała dziewczyna teraz autentycznie oburzona. – Nic tylko zamieszki, morderstwa, rabunki i gwałty. Kto normalny chciałby tam mieszkać?! Zresztą to podobno była decyzja palatyna. Miały tylko wspomagać konstabli – dodała szybko, widząc zgrozę w jego oczach.

„Wspomagać! Ależ eufemizm!”.

Skwapliwie kiwnął głową na znak, że rozumie i w pełni podziela zdanie Dany.

– Podobno tamten facet jakimś cudem dowiedział się o planach, wykorzystał zamieszanie przy dostawie zwierzaków, wpadł do laboratorium i wytlukł ponad połowę przychówku!

– Jak?!

– A ja wiem?! Chodzą słuchy, że struł je jakimś gazem, a potem zaczął obcinać łby! Wyobrażasz to sobie?! Zanim go dopadli, zrujnował lata naszej pracy! Te kilka diablików, które przeżyło, pewnie będzie się długo kurować – szepnęła z żalem. – Szczęście, że zostały jaja. Do inkubatorów facet nie dotarł. Masz pojęcie, jak długo pracowaliśmy nad wyhodowaniem tej odmiany?!

– By to elfia zaraza!

– No! Ale spokojnie. – Desire zobaczył mściwą satysfakcję na twarzy dziewczyny. – Porządne lanie facet już dostał. Widziałam gościa. Teraz sam potrzebuje doktora. A ochrona jeszcze z nim nie skończyła...

– Ochrona? Nie zgarnęli go konstable?

– W Instytucie? – Zobaczył ironię w piwnych oczach dziewczyny. – Twoją matką jest Monica Calliere, a ty serio do tej pory nie słyszałeś o specjalnym statusie tego miejsca?

– Wiesz, ma trochę mało czasu na pogawędki...

– Jasne, ale ty podobno masz tu w przyszłości pracować. Powinieneś wiedzieć o pewnych sprawach. A im szybciej to się stanie...

– Jasne. Jestem bardzo wdzięczny, Dana, serio! Czyli do matki nie mam po co iść?

– Nawet tam nie wejdiesz. Śluzą jest zablokowana. I wszędzie strażnicy.

Niepokój zdławił Desire. Jednak zakonnik nie dał po sobie nic poznać, skupił się na słowach Dany. Chciał jeszcze pociągnąć ten temat, ale nagle drzwi gdzieś obok uchyliły się. Wyłoniła się zza nich srebrna zmierzwiona czupryna. Zobaczyli niezadowoloną minę starszego mężczyzny, a potem dobiegł ich jego głos:

– Panno Janssen! Znowu pani plotkuje?! No ileż mogę na panią czekać?!

Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco. Mężczyzna na powrót zniknął w pomieszczeniu.

– Zobacz, co my tu dzisiaj mamy. Istny dom wariatów. Szczęście, że ochrona już wszystko sprawdziła i możemy wrócić do pracy. No, ale gdyby było inaczej,

sparaliżowałyby całą działalność Instytutu. – Westchnęła, pokręciła głową. – Z drugiej strony niby twierdzą, że jest bezpiecznie, ale strażników nie odwołali. Nawet tego przy Terminalu. Ale ty lepiej wracaj na zajęcia do Helen, zanim znowu doniesie na ciebie twojej matce. I pamiętaj, nikomu ani słowa!

– Nie ma sprawy. Dzięki, Dana.

Skinęła mu dłonią i zniknęła za drzwiami. Desire został na korytarzu sam. Szybko analizował najnowsze informacje. Zanim dotarł do chłodni, już wiedział, jak wymigać się od zajęć z blond żołą i znaleźć czas na realizację swych planów.

„A Tancmistrz, tak jak było ustalone, użyje najstarszego pretekstu od zarania studenckich dziejów. Sraczki”. – Uśmiechnął się do swoich myśli. – No, dobrze. Czas poznać mamusię”.

– De Vries, wspomnij doktor Gregorian, że matka mnie wezwała. To podobno coś pilnego. Postaram się wrócić jak najszybciej – rzucił przez ramię i zostawił grubiotkiego blondyna na środku chłodni razem z jego leżącym na wózku i okrytym prześcieradłem zimnym „przyjacielem”. Sam szybko wrócił na korytarz i nie usłyszał już, jak de Vries szepcze nerwowo:

– Doktor Gregorian? Nie stara nieruchalka, nie wredna suka, ale doktor Gregorian?! I od kiedy matka cię wzywa? Nigdy do niej nie chodzisz. Ty nienawidzisz matki!

* * *

Podczas gdy Desire zbierał informacje, a Ciceron z Richardem ciągle wsłuchiwali się w deszcz walący o dach samochodu, zajęcia w sali sekcijnej rozpoczęły się na dobre. W oczekiwaniu na de Vries i nieboszczyka Helen Gregorian zaczęła odpytywać grupę z zakresu oględzin zwłok i technik sekcyjnych. Z nieukrywaną satysfakcją oblewała jednego studenta po drugim, nie szczędząc im przy tym kolejnych złośliwości. Tancmistrz pojął, że nie ma znaczenia poziom wiedzy tych dzieciaków – tak, dzieciaków, tak żalosne sprawiali wrażenie – dziś obleją wszyscy. Stąd nie przejął się, słysząc, że jest „przerośniętym imbecylem

o ambicjach mrówki z wielkimi odstającymi uszami” (chłopak, w którego się wcielił, rzeczywiście posiadał imponujące małżowiny uszne niepasujące do zaskakująco małej głowy). Za beznamiętną miną ukrył postanowienie, że kara doktor Gregorian nie minie.

– Panno N’Guyen – kobieta zwróciła się do swej ulubionej ofiary. Ta pobladła, zacisnęła pięści. Bardzo starała się wyglądać na opanowaną, jednak z każdą chwilą coraz mocniej drżały jej usta. Nawet nieczułemu z reguły Tancmistrzowi zrobiło się jej żal. – Pani kolej. Czas udowodnić ojcu, że nie zmarnował fortuny na pani edukację.

„Gdzie się podział Desire? Może już jest w Terminalu? No a ten drugi?” – pomyślał Tancmistrz, zerkając ku drzwiom z nadzieją, że przynajmniej de Vries zaraz wróci, a wtedy blond babsko odczepi się choć na chwilę od tej biednej dziewczyny.

Mężczyzny jednak nie było, a Helen Gregorian rozkręcała się, zasypując Emily gradem pytań, na które tamta zwyczajnie nie nadążała odpowiadać. Pod pretekstem odwiedzenia kibelka Tancmistrz właśnie zamierzał ulotnić się z zajęć. Nagle zobaczył, że Emily zaczyna szybko i histerycznie oddychać, chwilę potem zachwiała się i osunęła... wprost w jego ramiona! Odruchowo ją złapał, odciągnął na bok i posadził na ławce. Dziwnie się czuł, trzymając w objęciach tę nieprzytomną, wtuloną w niego młodą kobietę. Dobiegł go szyderczy głos Helen Gregorian:

– Dziewczyno! Jakim cudem dotarłaś na piąty rok medycyny?! By to elfia zaraza! Co za rusalki przyjmują teraz na studia?! – Posłała ostre spojrzenie Tancmistrzowi. – Christoph! Zabierz ją do ambulatorium, bo jak ja zacznę ją cucić, do końca życia będzie śmierdzieć moczem krakena!

Tancmistrz zacisnął usta i skinął głową. Wziął omdlałą dziewczynę na rękę i opuścił salę sekcijną goniony kolejnymi szyderstwami blond zołzy. Już na korytarzu minął ciemnoskórego strażnika, tego samego, który zaczepił ich przy wejściu. Mężczyzna przyjrzał mu się, przeniósł wzrok na nieprzytomną Emily.

– Znowu zemdląca?

Tancred skrzywił się, co tamten wziął za potwierdzenie.

– Doktor Gregorian kazała ją zanieść do ambulatorium.

– A powinna odesłać w złotej lektyce do rezydencji tatusia. Razem z listem sugerującym karierę modelki – mruknął strażnik.

Pokręcił głową z dezaprobatą i wszedł do sali sekcyjnej. Mnich odprowadził go wzrokiem. Drzwi zamknęły się za mężczyzną i szyderstwa doktor Gregorian także umilkły. Tancred nie zobaczył już, jak kobieta ze skupieniem słucha przekazywanych szeptem przez strażnika informacji. Przytulił mocniej Emilię i poniosł ją w stronę ambulatorium. Tymczasem Helen Gregorian po wysłuchaniu nowin zwróciła się do studentów:

– Jak pewnie wiecie, tu, w Instytucie zajmujemy się także hodowlą różnych zwierząt. Nie powinnam was w to wtajemniczać, ale nie mam wyboru. Zresztą pewnych spraw i tak zbyt długo nie zdołamy ukryć – rzuciła enigmatycznie. – Dziś w nocy pewien... ehm... mężczyzna wtargnął do laboratorium doświadczalnego i wybił połowę dnia... znaczy się, zwierzyzny.

W odpowiedzi dało się słyszeć szemranie.

– Sytuacja jest już opanowana. Złapali tego... ehm... człowieka i teraz go przesłuchują. Jednak w laboratorium cały czas jest bałagan. Wiele zwierząt jest rannych. Ucierpiał też personel. – Spojrzała na grupę poważnie i jakby z wahaniem. – Zostałam wezwana do laboratorium, ale to nie oznacza odwołania zajęć.

Powiodła wzrokiem po rozczarowanych twarzach.

– Wręcz przeciwnie. Wygląda na to, że dziś będziemy mieli do zbadania świeże i bardzo, że tak to ujmę, ciekawe zwłoki.

– Ooo! – wyrwało się któremuś studentowi.

– Macie nie opuszczać tego pomieszczenia. To nie jest prośba. Niedługo wracam.

Ruszyła za strażnikiem.

Tymczasem Tancmistrz brnął przez korytarze Instytutu z nieprzytomną dziewczyną w ramionach. Ambulatorium było w budynku głównym, więc pójście tam oznaczało stratę czasu.

„A jak wróci Desire? – kombinował mnich. – Będzie przekonany, że jestem w Terminalu. By to elfia!...”.

Za rogiem pod oknem dostrzegł ławkę. Posadził na niej Emily, poklepał ją po twarzy. Żadnej reakcji. Nagle usłyszał stukot kółek. Odwrócił głowę. W bocznym korytarzu ukazał się de Vries. Pchał wózek okryty prześcieradłem. Albo pasażer wózka był zbyt ciężki, albo kółka zdezelowane, bo de Vries z trudem panował nad swoim pojazdem. Co rusz wózek ściągało w jedną stronę, wywołując zduszoną falę przekleństw blondyna. Co ciekawe, de Vries był sam. Mijając Tancmistrza, zobaczył jego pytający wzrok.

– Calliere poszedł do matki – burknął. – Podobno go wezwała. Nie ma to jak urodzić się dzieciakiem wicedyrektorki Instytutu! – palnął. Tancmistrz przełknął nerwowo ślinę. Nic nie odpowiedział. – Zawsze nawija, jak to jej nienawidzi, a dziś tam niemal pobiegł. I jaki uradowany!

– Pewnie nie chciał wracać na zajęcia do Gregorian – rzucił Tancmistrz, żeby tylko coś odpowiedzieć.

– Tiaa, jasne. I zostawił mnie samego z tym sztywniakiem, sukinkot jeden! – De Vries mocniej pchnął wózek. – Znowu zemdlą? – nieświadomie powtórzył pytanie strażnika. Wzrokiem wskazał Emily. – Jeszcze jedna rozpieszczona dziedziczka. Zero wiedzy, umiejętności, charakteru, ale za to miliony dragenów na koncie tatusia! – prychnął z pogardą. – Z takim personelem Palatynat niedługo szlag trafi!

Zmagając się z wózkiem i własną wściekłością, ruszył korytarzem ku sali sekcyjnej.

„Za to ty, de Vries, najwyraźniej pochodzisz z nizin społecznych – pomyślał Tancmistrz. – To nic złego, o ile wielkim ambicjom i brakowi kasy nie towarzyszą

ogromne kompleksy i jeszcze większa zawiść. Niebezpieczna mieszanka. Ale co z tym Desire? I co on naopowiadał temu de Vries?”.

Zerknął na dziewczynę, która właśnie otworzyła oczy.

– Helen Gregorian powiedziała, że mam posiedzieć z tobą, póki się nie ockniesz. Potem masz iść do ambulatorium – kłamał jak z nut. – Mnie kazała wrócić. Dasz radę sama tam dotrzeć?

Zobaczył figlarne ogniki w oczach dziewczyny, poczuł jej ręce wyłuskujące go z medycznego kitla. Nagle usiadła na nim okrakiem, ujęła jego twarz w dłonie i... niemal przyssała się ustami do jego warg! Dłuższą chwilę całowała go namiętnie. Tanmistrzowi zrobiło się gorąco. Uniósł ręce w poddańczym geście, podczas gdy język Emily penetrował najdalsze zakamarki jego ust. Z wrażenia mężczyźnie zabrakło tchu. Nie zdążył zareagować na miłosne zapędy dziewczyny, bo ta, jak nagle zaczęła go całować, tak nagle przestała. Zobaczył jej bezczelny uśmiech.

– Dzięki, Christoph!

– C-co robisz?!

Zbliżyła usta do jego ucha. Postronnym, gdyby tacy tu byli, mogłoby się zdawać, że teraz liże go po karku. Tymczasem ona wyszeptwała:

– Tu wszędzie jest monitoring, pamiętasz?

– Co z tego?!

– Pokażą ojcu, jak mnie niosłeś, bo ZNOWU zemdlałam, pokażą, jak całuję się z największym kretyńcem na tym wydziale. Tatuś wyciągnie wnioski, że cię przeleciałam, co oczywiście będzie twoją winą. – Zachichotała. – Dziekan zażąda wyjaśnień naszego wulgarnego zachowania. Zwałę wszystko na ciebie. Udam, że nie wiedziałam, co robię. Może nawet powiem, że dałeś mi jakieś prochy?

– Odbiło ci?!

– Ale potem zrobi mi się przykro – kontynuowała, jakby pytania nie było. – Będę ZROZPACZONA i WYKORZYSTANA. W końcu stary wymięknie

i pozwoli mi rzucić te pieprzone studia! Nie wywalą cię, ale wybaczą, dostaniesz nagane.

– Czemu sama nie odejdziesz, skoro tak bardzo ci na tym zależy?

Emily parsknęła.

– Może i nie mam wiedzy, umiejętności, charakteru, ale nie jestem taką idiotką, żeby dobrowolnie rezygnować z fortuny ojczulka. – Zachichotała, a on zrozumiał, że doskonale usłyszała przemowę de Vries. – A tak się składa, że staruszek zrobił zapis. Nie zobaczę złamanego dragena z funduszu powierniczego, jeśli sama zrezygnuję ze studiów. Widzisz, nie mogę tego zrobić – tłumaczyła jak dziecku. – Więc albo mnie wywalą, albo zmuszę papcia do zmiany zdania. Uwierzyć, przeleciałabym zawszonego krasnoluda w zamian za wymazanie tej klauzuli z dokumentów.

Jeszcze raz wygięła się lubieżnie, jeszcze prowokująco zaśmiała się do kamer, jeszcze pogładziła zszokowanego Tancmistrza po udzie.

– No to leczę!

Wstała, a odchodząc, obejrzała się przez ramię.

– Przy okazji, jak na kretyna nieźle całujesz, pa!

Sekundę potem siedział sam i – nie zdając sobie sprawy, jak idiotycznie wygląda z rozdziawionymi ustami – zachodził w głowę, czy mu się to wszystko tylko wydawało.

„Wyrachowana, rąbnięta albo samotna – pomyślał, choć na wspomnienie jej pieszczot ciągle robiło mu się gorąco. – A wyglądała tak niewinnie! Palicho Emily, najważniejsze, że urwałem się z zajęć. Czas dogonić Desire w Terminalu, a potem wynieść się z tego przeklętego miejsca”.

Podniósł się z ławki. Odwrócił się w stronę korytarza wiodącego do Terminala i zobaczył... Desire-Calliere. Stał oparty o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami i osłupieniem wymalowanym na twarzy. Tancmistrz zacisnął usta. Bez słowa minął przyjaciela. Przechodząc obok, usłyszał jego ironiczne:

– Serio?

Zapewne Desire nie uronił nic z tego, co wydarzyło się na ławce. Tancmistrz nie odpowiedział, tylko przyspieszył kroku, a przyjaciel ruszył za nim.

– Przy waszej różnicy wieku to trąci pedofilią – nie dawał za wygraną – ale skoro panna dorosła i napalona, a ty w końcu nie masz obiekcji... Szkoda tylko, że z amatorami czekałeś do andropauzy!

Tancmistrz zacisnął szczęki. W innej sytuacji palnąłby Desire w ucho.

„Przy pierwszej okazji...” – obiecał sobie.

Wykonał oszczędny gest, mruknął zakłęcie oślepiające *Caeco*. Ukradkiem zerknął ku kamerom w nadziei, że skutecznie je zablokował. W końcu spojrzał na przyjaciela. Nie skomentował jego dowcipów, a jedynie warknął:

– Gdzie cię nosiło?!

– Nie uwierzysz, jakie mamy szczęście – mruknął Desire w ramach odpowiedzi. – Był zamach na laboratorium doświadczalne. Jakiś mieszaniec wytlukł połowę diablików! A dziś mieli je wysłać do Kryształowych Wodospadów!

Tancmistrz zerknął na niego jak na wariata.

– Teraz ochrona magluje gościa, a reszta personelu szacuje straty.

– By to elfia zaraza!

– No – zawtórował mu ucieszony Desire. – Niechący facet odciągnął od nas uwagę. Nie zmarnujmy takiej okazji. Do roboty!

Należało się spieszyć, bo czasu zostało niewiele. Na szczęście Terminal był blisko i chwilę potem stali pod drzwiami śluzy wiodącej do jego wnętrza. Poddany zakłęciu posłuszeństwa i niepamięci strażnik otworzył im przejście, a jedyny, także zaczarowany, pracownik w tej całkowicie zautomatyzowanej części Instytutu oświadczył, że z radością pomoże im odnaleźć właściwego rezydenta.

Podczas gdy Tancmistrz nadzorował poszukiwania elfa, Desire uśpił strażnika zakłębieniem *Somnum*, a kolejnym zablokował korytarz. Nie licząc śpiących

pacjentów, strażnika i nadzorcy, byli sami. Spokój i ciszę zakłócał jedynie szum pracujących urządzeń.

„Przypominają ogromny brylant zamknięty w metalowej szkatule ze szklanym wiekiem” – pomyślał Desire, przyglądając się stłoczonym aż po strop kryształowym kapsułom.

Zadarł głowę. Powierzchnie kapsuł rzeczywiście sprawiały wrażenie fasetek oszlifowanego klejnotu. Jednak podłużne, ciemne kształty wewnątrz nich wyglądały jak skaza. Było coś takiego w tej hali, co kojarzyło się z atmosferą dawnych kościołów. Podniosła, ale też kojąca. A może to deszcz i ołowiane niebo widoczne przez szklany sufit odpowiadały za te odczucia?

„Wygląda jak opuszczona świątynia. Archikatedra śpiących dusz. Miejsce spoczynku majestatu” – patrząc na armię znieruchomiłych ciał, Desire nieświadomie przywołał tekst notatki znajdującej się na odwrocie mapy.

Zerknął na środek Terminala. Znajdowała się tam ogromna półkolista konsola zawiadująca wszystkimi funkcjami tego miejsca. Nadzorujący ją mężczyzna przypominał pianistę stojącego za klawiaturą monstrualnych rozmiarów fortepianu. Zdawał się sprawować niemal boską władzę nad ciałami rezydentów.

Ale oto posłuszny woli mnichów nadzorca uruchomił sekwencję przycisków. Dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem z najdalszych sektorów Terminala nadleciała kapsuła. Zacumowała przy stanowisku dowodzenia jak żołnierz oczekujący na rozkazy, a wtedy mężczyzna wstukał na klawiaturze kolejne polecenia. Boczny fragment blatu uniósł się, ukazując szklany pojemnik z błękitno-czarnym piórem w środku, leżącą tuż obok ogniotrwałą rękawicą i kryształowym flakonikiem wypełnionym bulgocącym płynem w odcieniu burgunda.

– Pióro i krew interceptorów – szepnął nadzorca.

Kolejne polecenie otworzyło kapsułę, ukazując szczupłego blondyna. Był nieładny i jak na elfa bardzo wysoki. O pomyłce jednak nie mogło być mowy, bo spod włosów wyzierały spiczaste uszy, ramię zdobiła podwójna armilla, a u każdej stopy miał po sześć palców.

Odzianą w rękawicę dłonią nadzorca złapał pióro. Dokładnie i powoli przesunął nim wzdłuż ciała pacjenta. W zetknięciu ze skórą pióro błysnęło. Podobnie armilla rozbłysła, potem zaczęła leciutko pulsować. Kilka rubinowych kropli zwilżyło blade usta elfa.

– Długo jeszcze?! – usłyszał szept Desire.

Tancmistrz wpatrzył się w twarz nieprzytomnego. Kompletnie nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela, bo nagle policzki elfa nabrały barwy. Usta drgnęły. Zlizwały resztki krwi interceptor. Westchnęły. Klatkę piersiową uniósł wdech. Ramiona i nogi zaczęły drżeć, palce rąk zacisnęły się w pięści i ponownie otworzyły. Cera nabrała zdrowszego kolorytu. Nadzorca powtórzył procedurę. A potem jeszcze raz i znowu. Drżenie kończyn ustało, elf przeciągnął się jak ktoś dopiero co wybudzony z głębokiego i przyjemnego snu. Odetchnął jeszcze raz czy dwa i otworzył oczy.

„Wyglądają jak chabry na łące. Chabry usiane srebrem...” – pomyślał Tancmistrz i wyciągnął dłoń, by pomóc mężczyźnie wydostać się z kapsuły.

– Witaj.

* * *

– Ciceron! – Dee wskazał czubek wierzby rosnącej na środku wysepki.

Opat poderwał głowę.

– Na Onyksową, nie wierzę, że im się udało! – szepnął na widok trzech dorodnych kruków balansujących na cienkich gałązkach. – Gazu, Richard! Zabierajmy ich i wynośmy się stąd!

Już przy bocznym wejściu do Terminala przez zalane szyby wozu ujrzeli rozmazaną sylwetkę Desire. Machał do nich, pokazywał coś we wnętrzu budynku. Przywoływał ich? Ciceron opuścił szybę.

– Co jest?

– Pomóżcie! Szybko! – usłyszeli tylko, a potem Desire ponownie wbiegł do

środka.

– Czekaj tu. Nie gaś silnika – mruknął opat.

Zanim Richard zdążył cokolwiek powiedzieć, starszy pan zniknął za drzwiami Instytutu.

Dee się rozejrzał. Bezwiednie zabębnił palcami o kierownicę. Nerwowym wzrokiem zlustrował okolicę. Ciągłe lało. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo. Jednostajny szum deszczu tym razem nie uspokajał. Wręcz przeciwnie. Bębnienie kropli o dach samochodu brzmiało jak ostrzał z karabinu. Wycie wiatru jeszcze nasilało niepokój. Dee oblizał usta. Sapał.

– Szybciej! – mruczał pod nosem. – Szybciej! No, gdzie jesteście?!

Ponownie zerknął na wejście. Nic.

„Strażników też nie ma. To musi być sprawka Desire. Ale, na Onyksową, mieli być dyskretni!”.

Już nie wiedział, co myśleć. Niepokój dławił gardło, niepewność dobijała, a wyobrażenia podsuwała okropne scenariusze.

„Wrzuć na luz – uspokajał sam siebie. – Ciężko zwać z nieprzytomnym elfem. Ale to profesjonaliści, zaraz tu będą”.

Przeniósł wzrok na deskę rozdzielczą. Dwie czarne ulubienice Desire i Tancmistrza spoczywały w oczekiwaniu na swych właścicieli. Zawahał się, dotknął ich. Chłód metalu i dreszcz biegnący przez palce kazały mu się zastanowić, czy zdołałby użyć tej broni w razie konieczności. Wiedział, że odpowiedź pozna tylko w jednej sytuacji. Minęła kolejna minuta, a przyjaciół ciągle nie było. Pochylił się ku desce rozdzielczej. Ujął rękojeści pistoletów, pogładził je pieścotliwym gestem. Sekundę później obie spluwy tkwiły za paskiem jego spodni.

– Na wszelki wypadek – mruknął. – Jak za pół minuty nie wyjdą, idę tam.

Wbił wzrok w przeszklone wejście. Zapatrzył się tak bardzo, że przez chwilę nawet zapomniał o mruganiu. Nagle dostrzegł jakiś ruch. Ciemny kształt po drugiej

stronie szyby mocował się z drzwiami. Dee wstrzymał oddech. Bezwiednie zacisnął dłonie na kierownicy. Wtedy drzwi otworzyły się. Przeskakując kałuże, do wozu dotarł Tancmistrz. Już nie wyglądał jak „przeciętny aż miło” Christoph. Z każdą chwilą jego ciemny golf i spodnie coraz mocniej przesiąkały lodowatym deszczem. Płowy warkoczyk przypominał teraz zmoknięty mysi ogonek, męczyzna trząsał się z zimna. Gestem przywołał Richarda.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Dee.

Tamten uniósł kciuk do góry.

– Tak, ale Cador utknął – burknął zdrewniałymi ustami. – Chodź, potrzebna twoja pomoc. Sami nie damy rady go wyciągnąć.

Biegiem zawrócił ku Instytutowi.

– Utknął? Gdzie utknął? W czym?

Odpowiedzi już nie dosłyszał, bo Tancmistrz zdążył zniknąć w budynku.

„Po setnych urodzinach tylko czystej krwi elf powinien bawić się w komandosa! – Richard zaklął w myślach. – Mieszaniec w wieku Cicerona ma siedzieć przy kominku ze szklaneczką cydru i dziękować niebiosom, jeśli ciągle nie musi nosić pampersów! A temu zebrało się na udział w napadach i porwaniach!”

Wyskakując z samochodu, niemal skręcił nogę na śliskich granitowych taflach. Zaklął.

„I kto tu powinien zostać przy kominku?”

Kompletnie mokry dotarł do wejścia. Wszedł do środka i spojrzał w głąb korytarza. Tancmistrz zniknął. Poczucie osamotnienia potęgowała nieokreślona obawa i... déjà vu.

„To Instytut. Wszyscy wiedzą, jak wygląda. Pewnie widziałem go w jakichś wiadomościach”.

Wyszarpnął zza paska jeden z pistoletów. Ze zdławionym gardłem ruszył po mokrych śladach zostawionych przez przyjaciela na posadzce. W ciszy stukot butów brzmiał nieco upiornie. Dee minął szatnię i kontuary strażników. Zza

jednego z nich wystawały stopy...

Ciemnoskóry strażnik żył, ale był nieprzytomny. Richardowi zaschło w ustach. Wolał nie wiedzieć, co Desire zrobił temu mężczyźnie.

– Hej! – szepnął. Głos odbił się kilkakrotnie echem od ścian korytarza, przyprawiając Richarda o gęsią skórkę. – Gdzie jesteście?

Kałuże na posadzce wskazywały drogę, którą podążył Tancmistrz. Nagle on sam wystawił głowę zza zakrętu korytarza, machnął dłonią.

– Nie drzyj się, tylko chodź! – syknął i znów zniknął.

Dee usłyszał jakieś głosy. Coś jakby jęczenie? Szuranie? Tupot? Przyspieszył kroku. Teraz już niemal biegł. Dotarł do zakrętu, z rozpędu pokonał jeszcze kilka metrów i stanął jak wryty. Usłyszał jeszcze radosne:

– Ian! Tak się cieszę, że do nas wróciłeś!

A potem kolejne gniewne:

– Nie! Zrobisz mu krzywdę!

Poczuł ból z tyłu głowy. Posadzka zaskakująco szybko podniosła się na wysokość oczu. Jasne kafle w jednej chwili pochłonęła ciemność.

III

COGNOSCETIS VERITATEM, ET VERITAS LIBERABIT VOS

”Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli...”

Ewangelia św. Jana

Ciemnoskóry strażnik zamknął za sobą drzwi gabinetu i zastygł w pozie pełnej szacunku. Kobieta przy biurku nawet nie podniosła wzroku znad dokumentów, nad którymi właśnie pracowała.

– Moja grupa? – mruknęła jakby do siebie.

– Kroją nieboszczyka, którego dostarczył im de Vries. Dokładnie tak, jak pani sobie życzyła. Nadzoruje ich Dana Janssen.

– Doskonale. Co z tamtą trójką, która wam zwiąła?

Strażnik zerknął spode łba, zawahał się.

– Chudego z jasnym kucykiem i tego bruneta już mamy. Mieli przy sobie tylko to.

Podszedł do biurka, położył na blacie dwa flety i na podobieństwo świetnie wytresowanego psa wrócił na swoje miejsce. Helen Gregorian w końcu uniosła głowę, przyjrzała mu się znad okularów bez oprawek.

– Żadnej broni?

– Żadnej.

– A ten ostatni?

– Dziadek? Znalezienie go nie potrwa długo – zapewnił, widząc, że błękitne oczy patrzą z powątpiewaniem.

– Braden wspominał, że chcieli porwać któregoś z pacjentów. Coś wiadomo na ten temat?

– Sprawdziłem, w Terminalu nikogo nie brakuje.

– To co w takim razie robili od momentu wdarcia się do Instytutu poza tym, że

wpadli na chwilę na moje zajęcia? Entuzjaści medycyny sądowej czy zwyczajnie chcieli pozwiedzać?

Strażnik udał, że nie słyszy drwiny.

– Właśnie to ustalamy – powiedział cicho.

– Przepraszam, co robicie?!

Mężczyzna chrząknął.

– Jak powiedziałem, ustalamy. Mieliśmy problem z... ehm... kamerami.

– Z kamerami. – Helen Gregorian pokiwała głową. – Rozumiem. Innymi słowy – teraz mówiła wolno i dobitnie – NIC w tym burdelu nie działa, jak powinno, i byle przybłęda może tu wejść, obrabować nas czy podpalić. To chcesz mi powiedzieć?

Strażnik potrząsnął głową niczym skarcone dziecko.

– Nie, proszę pani.

– Heron, doceniam, że mi o tych kretynach doniosłeś, ale powiedz, serio nie czujesz się ani trochę zażenowany? Ty i reszta strażników?

Mężczyzna mocniej zacisnął usta, gniew z upokorzeniem przez chwilę rywalizowały o pierwszeństwo na jego twarzy. Ciemnoskóry wbił wzrok w czubki swoich butów. Tymczasem Helen Gregorian kontynuowała spokojnym tonem osoby zainteresowanej problemem. Lecz empatia w jej głosie była złudna, chęć pomocy zwodnicza. Heron, podobnie jak studenci, szybko to zrozumiał. Złączone za plecami dłonie miażdżyły nerwowo palce. Między łopatkami poczuł spływającą strużkę potu. Gorączkowo zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji.

– Dwie wpadki w ciągu jednej nocy, Heron – powiedziała Gregorian. – Dwie! Najpierw laboratorium i strata niemal całego przychówku diablików, a teraz to. W budynku zabezpieczonym lepiej niż skarbiec Palatynatu zwiąło wam trzech facetów, z czego jeden tak stary, że grabarzy nurtuje pytanie, co jest z nim nie tak? Jak ty, podobno świetnie wyszkolony ochroniarz, zechcesz mi to wyjaśnić?

Wstała, okrążyła biurko, przysiadła na brzegu jego blatu. Zdjęła okulary

i westchnęła.

Heron milczał.

– Mam rozumieć, że Instytut wydał fortunę na bezwartościowych strażników i jeszcze gorsze zabezpieczenia? Że równie dobrze moglibyśmy wysypać te pieniądze na środku Theatronu i podpalić ku uciesze gawiedzi?

Heron przełknął ślinę.

– Nie, proszę pani.

– To co się, do kurwy nędzy, stało?!

Ciężki szklany przycisk do papieru przeleciał strażnikowi koło głowy. Z hukiem roztrzaskał się o ścianę i milionem okruszków zaścielił podłogę. Heron gwałtownie się cofnął. Kobieta głośno wciągnęła powietrze i kilka razy przemierzyła gabinet. Po czym zdumiewająco spokojnym głosem powiedziała:

– Wybacz, że się uniosłam. Niekontrolowany gniew to słabość maluczkich. A na słabości w Instytucie nie ma miejsca. Dla nikogo. Czy to jasne? – Przekaz był oczywisty, kolejnych wpadek nie będzie. – Przyprawdźcie mi tych śmieci, kiedy tylko złapiecie tego ostatniego. Z nim obchodzić się delikatnie. I ustalcie, czy między napadem na laboratorium a odwiedzinami naszych gości istnieje jakiś związek.

– Tak, proszę pani.

Wróciła za biurko. Usiadła, włożyła okulary, ponownie skupiła się na dokumentach.

– Coś jeszcze? – spytała, bo Heron nie ruszył się z miejsca.

– Chciałem tylko zapytać, co z nim? – Wskazał nieprzytomnego Richarda leżącego na kozetce pod oknem.

– Nie przypominam sobie, żebym musiała ci się tłumaczyć.

– Tak, ale nie powinniśmy go skuć? Był razem z tamtymi, miał broń...

– Heron, nie przeciążaj niepotrzebnym myśleniem tych kilku szarych komórek, które dostałeś od losu. Gdybym chciała, żeby był skutym, poprosiłabym

o to. Następnym razem, kiedy podniosę głowę znad dokumentów, masz tu być z tamtą trójką. Wychodząc, cicho zamknij drzwi.

Strażnik skrzywił się, ale posłusznie skinął głową. Już będąc przy samych drzwiach, usłyszał:

– I przyślij tu Brendę. Z herbatą i bułeczkami. Herbata ma być różana. Będę też potrzebować kilku dodatkowych filiżanek. Aha, przeproś Bradena za waszą nieudolność. Napracował się, żeby zwabić pozostałą dwójkę do Instytutu, a wyście to tak artystycznie spieprzyli.

Kiedy za Heronem zamknęły się drzwi, Helen niemal z czułością spojrzała na Richarda i westchnęła.

„Daję ci jeszcze kwadrans, ale jak do tego czasu się nie ockniesz...”.

Dłoń zanurkowała w głębinach szuflady biurka. Po chwili obok sterty papierów stał też flakonik z zielonym glutem w środku i nalepką, na której koślawymi literami wypisano: „Ostrożnie! Mocz krakena!”.

* * *

Dee nie poruszył się, a jedynie nieznacznie rozchylił powieki. Leżał na boku na kozetce, więc pole widzenia miał nędzne. Na tyle jednak dobre, by dostrzec, że znajduje się w gabinecie. Regały z ciemnego drewna pełne książek i zdjęć, dyplomy na ścianach, wzorzysty dywan, stolik kawowy i dwa obite skórą fotele. Gabinet byłby klasyczny do bólu, gdyby nie jedna z gablot pełna dziwacznych sprzętów, słoików z podejrzaną zawartością oraz kilka spreparowanych minivivernów i kawałki szkła walające się pod ścianą.

Pod oknem, za ciężkim dębowym biurkiem, otoczona stertą papierzyśk, siedziała kobieta o krótkiej postrzępionej blond fryzurze. Biały kitel miała narzucony na ciemnozieloną lekarską bluzę. Dostrzegł zapinkę w kształcie czarnej harfy z wplecionym srebrnym węzłem. Kobieta coś notowała, zupełnie nie zwracając na niego uwagi.

„Lekarka”.

Pomyślał, że rozsądniej będzie nie ujawniać, że się ocknął. Ostatecznie nie został tu uprzejmię zaproszony.

Z boku biurka, zwinięty w kłębek na podobieństwo kota, drzemał w swym posłaniu śnieżnik cętkowany. Niewielki vivernik uwielbiany przez panie z powodu swej łagodnej natury, gabarytów sprawiających, że bez problemu mieścił się w damskiej torebce, oraz białych łusek zdobionych srebrnymi cętkami, które nadawały mu eleganckiego wyglądu. Richard zapatrzył się na zwierzątko.

– Wiem, że masz do nich słabość. Mam go od niedawna, ma na imię Mefir. To straszny śpioch. Nie obudziłby go nawet krzyk interceptora – usłyszał cichy głos kobiety. Błękitne oczy wpatrywały się w niego z uwagą. Wstała, podeszła do niego.
– Ocknąłeś się. Bardzo mnie to cieszy.

Pomogła mu usiąść. Nie protestował. Ból rozsadzał mu głowę, świat przed oczami nieco pływał.

– Pozwól – mruknęła.

Ośluchała go, sprawdziła puls i latareczką zbadła kurczenie się źrenic. Zdawała się bardzo zadowolona z wyniku badania. Na koniec z kieszeni fartucha wyjęła mały skórzany portfel zdobiony ćwiekami.

– To chyba twoje. Musiałeś zgubić, kiedy upadłeś. Był pusty, kiedy go znaleźliśmy.

Schował portfel w bocznej kieszeni nogawki. Milczał. Z pewnością go przeszukali. Poczul ulgę, gdy zrozumiał, że nic nie znaleźli. Gnębiło go jednak pytanie, co z przyjaciółmi? Na stole dostrzegł dwa flety, co mogło oznaczać, że dopadli Desire i Tancmistrza. Co z Ciceronem? Gorączkowo rozmyślał, jak wybrnąć z sytuacji. Kobieta otworzyła usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Odwróciła się ku nim.

– Wejść!

Do środka wpadło, a właściwie zostało wepchniętych, trzech mężczyzn. Wszyscy mieli skute z przodu ręce i każdemu towarzyszył strażnik z odbezpieczoną bronią. Rozejrzeli się. Ciceron natychmiast zauważył Dee

siedzącego na kanapie. Zrobił krok w jego stronę, a wtedy jeden ze strażników osadził go w miejscu szarpnięciem za kołnierz.

– Richard, nic ci nie jest?!

– Oberwał w głowę. Przez jakiś czas będzie go bolała i może nie być do końca przytomny, ale poza tym jest w świetnej formie – odezwała się kobieta.

Ciceron gwałtownie cofnął się, gdy ją zobaczył. Zaskoczenie w bladych oczach szybko zastąpiły gniew, strach i obrzydzenie, jednak starszy pan błyskawicznie zapanował nad emocjami.

– Helen Gregorian. Kłamczucha, złodziejka, morderczyni. Coś pominąłem?

Kobieta roześmiała się serdecznie, jakby właśnie została zalana potokiem komplementów!

– Cador! – Podeszła do niego, serdecznym gestem poklepała po ramieniu. – A niemal uwierzyłam, że zginęliście w tamtym wąwozie. Ty i Cresidius.

– Kiedy straciłaś tę wiarę?

– Kiedy przyniesiono mi do sekcji zwłoki twojego brata, a ja wyjęłam z jego ciała sześć kul – odparła z lekkim rozbawieniem. – Pomyślałam, że skoro on przeżył wypadek w wąwozie, ty też musiałeś. Zachodziłam w głowę, kto spłonął w tamtym aucie? Gdzie jesteś, co robisz? I choć trudno ci będzie w to uwierzyć, tęskniłam za tobą, stary draniu.

Tancmistrz z Desire spojrzeli z zaskoczeniem na Cicerona. Ten, nie odrywając oczu od Helen, całkiem spokojnie oświadczył:

– Zapomniałem dodać, że to doktor Gregorian była... moją mentorką w czasach, gdy pracowałem dla Palatynatu. Ukradłaś moje wyniki badań!

– Uuu! – Zaczekała ciągle rozbawiona. – No, chyba nie będziesz się bocył? Zresztą nie ukradłam, sam mi je dałeś.

– Nie do TAKICH celów! Miały zostać wykorzystane do pomocy, nie do zagłady elfów!

– Jako twój szef i mentor miałam prawo do tych notatek – ciągnęła

nieporuszona.

– Poprawka, Palatynat je miał!

– Palatynat to JA!

Ciceron prychnął, zerknął na przyjaciół.

– Zawsze miała wybudzać ego.

Ona również spojrzała na Tancmistrza i Desire. Jakby zdradzając im największe tajemnice, puściła do nich oko i szepnęła:

– A Cador był zawsze zbyt skromny. Ale ma trochę racji, każdy ma jakieś mocne i słabe strony. Jedni lubią majstrować ciekawe rzeczy, ale nie mają odwagi się nimi posłużyć. Inni muszą za tych pierwszych odwalić czarną robotę, nie patrząc, że przy tym ubrudzą ręce. Usiądziecie? Cudownie.

Niczym mistrzyni świata w gościnności wskazała fotele pod ścianą. Strażnicy popchnęli tam mnichów i tylko dla Cicerona ustawili krzesło naprzeciw biurka. Jego też usadzili na nim siłą i również nie rozkuli. Helen swym zwyczajem przysiadła na blacie tuż obok.

– Twoi przyjaciele... Mają jakieś nazwiska?

– Proszę. Jest coś, czego wielka Helen Gregorian jednak nie wie. – Teraz Ciceron pozwolił sobie na kpinę. – Wiem, że lubisz wyzwania. Sama poszukaj odpowiedzi.

– Tak będzie. A znalezienie ich to tylko kwestia czasu. To ty zrobiłeś z nich podróbki Calliere i Christopa? – Głową wskazała Desire i Tancmistrza. – Na pewno! Zawsze miałeś słabość do magii. Przyznaję, nawet nieźle ci to wyszło. Zdradził ich brak czipów, które wszczepiamy każdemu studentowi w nadgarstek.

– Blefujesz. Nie macie przy wejściu skanera.

– Ależ mamy, Cador, mamy. Technologia zrobiła postęp, miniaturyzacja to świetne rozwiązanie, a nasi pracownicy i studenci przechodzą specjalne szkolenie, żeby nawet po pijaku nie zdołali ujawnić takich detali. Niech zgadnę: powiedziano ci, że skaner nawalił i czekamy na nowy?

Dłuższą chwilę toczyli pojedynek na spojrzenia. W końcu starszy pan skrzywił się i uznał swoją przegraną.

– Nie chciałam wierzyć, kiedy Braden powiedział mi, kogo spotkał w tamtym pubie – znów odezwała się Helen. – Każdego innego wyśmiałabym, ale przecież to był TWÓJ Braden. Nie mógł się mylić. Powiedział mi, co kombinujecie. Intryguje mnie jedno: dlaczego?

– Tego też ci nie powiem – oświadczył pogodnie Ciceron.

Kobieta zerknęła na niego z ukosa, przygryzła wargi.

– Nie żartowałam, kiedy mówiłam, że za tobą tęskniłam. Że mi ciebie brakowało.

– Wybacz, że nie odwzajemnię tych uczuć. Wykorzystałaś moje wyniki do wybicia połowy społeczności Palatynatu!

– Raczej do zapewnienia dobrobytu tej drugiej połowie! – odparowała.

– Helen!

Zrozumiała, że palnęła jedno zdanie za dużo. Uśmiechnęła się do strażników przypatrujących się jej podejrzliwie.

– Nie słuchajcie go, to taki staruszek-kłamczuszek – oznajmiła pogodnie. – Zawsze miał bujną wyobraźnię, a po śmierci brata kompletnie odleciał. Ale trzeba mu oddać, że dzięki wynikom jego badań udało się wyprodukować wiele leków. Społeczność Palatynatu ma u niego ogromny dług wdzięczności. Znów rozległo się pukanie. Drzwi uchyliły się, wpuszczając ciemnoskórą kobietę. Była wysoka i dobrze zbudowana. W grubiutkich dłoniach trzymała tacę z talerzem pełnym bułeczek, maselniczką i dżemem jagodowym. Na widok więźniów i strażników z odbezpieczoną bronią zatrzymała się skonsternowana. Helen wskazała jej minibarek stojący koło jednej z gablot. Kobieta położyła tacę na jego blacie.

– Dziękuję, Brenda. A herbata?

– Zaraz przyniosę, pani doktor.

– Świetnie.

Kobieta ruszyła z powrotem ku drzwiom. Kątem oka dostrzegła na kanapie Richarda, ciągle nie do końca przytomnego.

Posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– Brenda! – Podniesiony głos Helen Gregorian przywołał ją do porządku. – Później się przywitasz. Czekaemy na herbatę, pamiętasz?

– Tak, oczywiście – bąknęła.

– Jeszcze jedno: jak sytuacja w laboratorium?

– Pod kontrolą.

– Za pół godziny niech przyjdzie do mnie Braden, ale do tego czasu nikt ma nam nie przeszkadzać. Czy to jasne?

– Absolutnie – potwierdziła Brenda. Zerknęła jeszcze przez ramię i opuściła pomieszczenie.

Tanccmistrz z Desire wymienili ukradkowe spojrzenia. Ciceron skupił się na Helen. Ta zaś się uśmiechnęła.

– No to mamy chwilę na pogawędkę. Potem zafunduję ci małe sam na sam z Bradenem. Po takim czasie rozłąki coś wam się należy. Będziesz zaskoczony, jak wielu rzeczy nauczył się ode mnie przez te lata. – Ciągle się uśmiechała, a przecież słyszał, podobnie jak wszyscy w pomieszczeniu, jawną pogroźkę w jej głosie. – O czym to myśmy rozmawiali, zanim nam przerwano?

– Że za mną tęskniłaś – zadrwił.

– I nie skłamałam. Przez ten cały czas, kiedy pracowałam w różnych laboratoriach, nadzorowałam wielu naukowców. I teraz też nie skłamię, mówiąc, że żaden nie dorównywał ci intelektem.

Ciceron wykrzywił usta.

– Skułaś mnie i postawiłaś strażnika ze spluwą za plecami tylko po to, bym wysłuchał twoich komplementów?

Zachichotała.

– Cadór, wyostrzył ci się dowcip. Cudownie. – Chrząknęła i spoważniała. –

Prawda jest jednak taka, że Palatynat ma wielu utalentowanych naukowców, ale żadnego geniusza twojego pokroju – oświadczyła i nikt w pomieszczeniu nie miał żadnych wątpliwości, że mówi jak najbardziej szczerze.

Ciceronowi na moment odebrało mowę. Desire i Tancmistrz zerknęli na starszego pana z zaskoczeniem i podziwem. Tymczasem Helen Gregorian mówiła dalej:

– Jak wiesz, Instytut to nie tylko szpital i hospicjum. Hodujemy też zwierzęta do różnych celów. Między innymi do produkcji leków. Wymyślamy nowe, ulepszamy stare, testujemy. Ale nie będę cię tym zanudzać. Doskonale wiesz, jak to działa.

– A mówisz mi to, bo?... – Ciceron w końcu odzyskał głos.

– Bo dawno temu zauważyłam, że rynek nielegalnych leków rozwija się i kwitnie. Mało tego, te lewe medykamenty są świetnej jakości. Takiej, o jakiej ja, mimo posiadania najlepszego laboratorium, sprzętów, personelu, mogę tylko pomarzyć. Mają niezłą, choć nie do końca poznaną recepturę i bazują na składnikach zwierzęcych. Podejrzewałam, że pochodzących od vivernów czy feniksów. To dało mi do myślenia. – Wstała, podeszła do barku, złapała pieczywo i nóż. – Bułeczkę? – Zerknęła na Cicerona, ostentacyjnie ignorując pozostałych mężczyzn.

– Nie, dzięki.

– Nie pogniewasz się, jeśli sobie przygotuję? Przez te wydarzenia w laboratorium nie zdążyłam zjeść śniadania. – Nie czekając na odpowiedź, przekroiła pieczywo, obficie posmarowała dżemem. – Wracając do tematu... – Oparła się ponownie o biurko, ugryzła bułkę, chwilę delektowała się nią. – Pomyślałam, że dobrze byłoby wysledzić, kto i jakimi kanałami zaopatruje medyczne podziemie, potem zdobyć szczegóły receptur, odkryć magazyny surowca. Co ciekawe, moi ludzie nie byli w stanie namierzyć źródła, a tych kilku złapanych dilerów nie miało bladego pojęcia, gdzie jest centrala.

– A to niefart – mruknął Tancmistrz.

Desire ujrzał, że przyjacielowi drgnął kącik ust. Parsknął dyskretnie.

Helen przyjrzała im się uważnie. Zaraz jednak zwróciła się do Cicerona:

– Ale ten – wskazała Tancmistrza – musi jeszcze popracować nad poczuciem humoru.

Opatowi drgnęły usta. Obejrzał się przez ramię, uśmiechnął się do podwładnych, pokręcił głową jakby z dezaprobatą.

– Moi ludzie albo przychodzili z niczym, albo znikali. Nawet Braden. Mój niefart został przełamany w dniu śmierci twojego brata, bo...

Kolejne pukanie do drzwi znów przerwało ich rozmowę. To zirytowało Helen.

– Tak!

Ponownie zjawiła się Brenda. Na blacie barku koło bułeczek postawiła następną tacę, tym razem z filiżankami i dzbankiem herbaty. Pomieszczenie wypełnił kwiatowy aromat. Kobieta zajęła się nalewaniem napoju.

– Różana, tak jak lubisz. – Helen uśmiechnęła się do Cicerona.

– Dzięki, ale od dawna jej nie piję.

– Boisz się, że cię otruję... Nie mam ci tego za złe. – Upiła łyczek.

W tym czasie Brenda naląła herbaty i zaniósła Richardowi. Ciągłe skołowany siedział na kanapie i przysłuchiwał się dziwnej rozmowie toczonej przez Helen i Cicerona. Ciemnoskóra kobieta przykucnęła i podała mu filiżankę. Nagle straciła równowagę, zachwiała się. Odrobina gorącego naparu wylała się na spodek.

– Przepraszam najmocniej! Gapa ze mnie. Już to sprzątam.

Wcisnęła spodek do rąk Richarda. Ten zapatrzył się tępym wzrokiem w porcelanę. Brenda wyjęła z kieszeni fartucha chusteczkę. Dokładnie wytarła dół filiżanki. Nachyliła się ku Richardowi.

– Oddychaj! – szepnęła, niemal nie poruszając ustami. – Proszę mi to dać – dodała już pełnym głosem. – Ten spodeczek też jest mokry. A teraz proszę pić, poczuje się pan lepiej.

Chwilę później zniknęła, a Helen Gregorian po raz kolejny podjęła przerwany

wątek.

– Widok Cresidiusa zaskoczył mnie. Twój brat był głupcem, jeśli sądził, że mimo upływu tylu dekad może ot, tak wrócić do Metropolii i żyć tu w poczuciu, że nie zostanie rozpoznany.

– Mój brat był człowiekiem nadziei.

– Nadziei?

– Tak, nadziei na to, że wrogowie powyzdychali. Że ty nie żyjesz! Najwyraźniej kiepsko to sprawdził.

– Ty również. Wasza strata.

Helen upiła kolejny łyżeczek. Odstawiła filiżankę na biurko i skrzyżowała ramiona.

– Kiedy zobaczyłam go na stole sekcyjnym, pomyślałam, że jak na tak starego pierdziela wygląda nadspodziewanie dobrze i młodo. To nie mogła być tylko zasługa genów, nawet jeśli częściowo były elfie. Druga myśl była taka, że ty też przeżyłeś. Że zaopatrywałeś go w medykamenty. I już wiedziałam, kto stoi za produkcją i dystrybucją tych nielegalnych leków. Musiałam cię tylko namierzyć!

– Helen, z twoją wyobraźnią powinnaś zacząć pisać książki. Koniecznie fantasy. – Ciceron się roześmiał. – Przyznaj lepiej, że masz obsesję na moim punkcie.

– Zawsze byłeś w moim typie. – Zachichotała.

– Ale nigdy cię nie chciałem!

Obydwoje śmiali się serdecznie, jak dwoje starych przyjaciół wspominających anegdoty sprzed lat. Desire z Richardem, Tancmistrem i strażnikami przyglądali się im skonsternowani. Nagle kobieta spoważniała.

– A tak zupełnie serio, w odnalezieniu ciebie miał pomóc mi on. – Skinieniem głowy wskazała Dee ciągle tkwiącego na kanapie z filiżanką w dłoni. – Mój najlepiej przygotowany, choć kompletnie nieświadomy swej roli szpieg.

Richard zerknął na nią jak na wariatkę, z wrażenia aż się zakrztusił.

– Ja?! Co za brednie!

Ciceron też spojrział na nią z politowaniem.

– Richard?!

– Dla ciebie Richard. Dla mnie... Ian McLaurie! – odparła triumfalnie.

– TEN Ian McLaurie?! – zainteresował się Desire. – Znany hodowca vivernów i feniksów z dobrej, choć nieszczęśliwej rodziny? Ten, który zginął w napadzie prawie rok temu?!

Wszyscy spojrzeli zaskoczeni na ciemnowłosego mnicha, potem na Richarda.

– Ten sam – powiedziała spokojnie Helen. – Był ciężko ranny, ledwo z tego wyszedł. Wykorzystałam jego rzekomą śmierć, zmodyfikowałam rysy twarzy, doprawiłam odrobiną hipnozy i wysłałam na poszukiwania. Kto jak nie hodowca vivernów odnalazłby szybciej wszelkie nielegalne hodowle? Zwłaszcza ze swoimi znajomościami? Miał się włóczyć, niby bez celu, po Palatynacie i szukać. W odpowiednim momencie wrócić i zdać mi relację. Dyskretnie.

Mnisi, strażnicy i kobieta skupili się na Richardzie.

– O czym pani mówi?! Nie wiercie jej! – Tylko tyle zdołał wykrztusić. – By to elfia zaraza, czemu pani kłamie?!

Helen wydawała się teraz naprawdę zmartwiona.

– Widzicie? Tak dobrze gra swoją rolę, że będzie temu zaprzeczał do upadłego, bo nawet on sam wierzy, że jest Richardem Dee-Zander. To niesamowita historia. Jestem z niej tak dumna, że muszę się nią pochwalić. Dobrze, od czego by tu zacząć?

Mnisi znieruchomieli. Kamień okazałby więcej emocji niż twarze tych trzech mężczyzn. W istocie z niecierpliwością czekali na kolejne słowa Helen.

– Terapia Iana trwała wiele miesięcy. Jak powiedziałam, z ledwością udało nam się uratować mu życie. Po tamtej strzelaninie zostało mu utykanie na prawą nogę i blizny na piersi, boku i udzie.

– To po pożarze szpitala psychiatrycznego! – zaprotestował słabo Dee.

– Chciałam, żebyś tak myślał...

Zobaczył litość na jej twarzy i go zemdliło.

– W istocie większość z tego, co napisałeś w swoim pamiętniku, było jednym wielkim oszustwem spreparowanym pod moje dyktando.

– Czemu?!

– Żeby uwiarygodnić twoją przykrywkę szumowiny i kryminalisty. Tylko ktoś taki zdołałby przeniknąć do środowiska innych kryminalistów. Musiałeś w swej roli stać się tak wiarygodny, by niezależnie od sytuacji nikt nie zdołał cię zdemaskować. Wmówiłam ci, że jesteś poszukiwany przez konstabli, że musisz uciekać, ukrywać się... Stąd twój przymus nieustannej wędrówki, poczucie alienacji, zagrożenia. I ta bajeczka, że rodzina zamknęła cię w szpitalu, bo chciałeś popełnić samobójstwo. Ten żal, który miałeś do nich. To on sprawiał, że nie chciałeś ich odwiedzić, a co za tym idzie – zweryfikować swojego życiorysu. Wymyśliłam wszystko. Twojego ojca, Franka Dee-Zander, wędkarza. Matkę pijącą herbatę z cytryną codziennie o pół do piątej na tarasie waszego domu nad morzem. Siostrę Haylee i jej paskudnego viverna Kamyka. A tuż po twoim zniknięciu tę historyjkę, że utonęli.

Dee odstawił filiżankę na podłogę. Przez chwilę trwającą wieczność patrzył z niedowierzaniem na kobietę. Im dłużej mówiła, tym bardziej był skołowany. Wmawiał sobie, że to nie może być prawda, bo przecież nic nie pamiętał z rzekomej strzelaniny, w której niemal zginął, ani z długotrwałej kuracji. Że tylko śni koszmar, z którego zaraz się obudzi. A jednak nadal tkwił na tej cholernej kanapie i pozwalał, by słowa tamtej kobiety jak trucizna sączyły się do jego uszu. Jeśli kłamała, skąd znała tyle szczegółów z jego pamiętnika? Jeśli był Richardem, jakim cudem tak dobrze znał się na vivernach? Ukrył twarz w dłoniach, już nie wiedząc, co myśleć. Przyjaciele spoglądali na niego z niepokojem i troską. Ale czy na pewno to nadal byli jego przyjaciele? No bo przecież nie ona! Tymczasem Helen kontynuowała:

– Mówią ci coś nazwiska Castor Smith, Paul McCoy, James Harris, Eric

Widdows? Zapewne. To jedne z wielu ksywek, jakie dla ciebie wymyśliłam.

– Musiało ci cholernie zależeć, skoro znalazły się w prawdziwych kartotekach konstabli – wtrącił Ciceron.

– A żebyś wiedział. Tak starannie odrobiłam swoją pracę domową, że w miejsce Iana pojawił się Richard i nawet jego matka nie domyśliłaby się prawdy. Uwierz mi, byłam tak zdesperowana, że spaliłabym Instytut do gołej ziemi w zamian za obietnicę odnalezienia ciebie...

Starszy pan zamilkł porażony wyznaniem.

– Chyba nie chciałbym, żeby ktoś miał takiego hopla na moim punkcie – mruknął Desire.

Ciceron pokręcił głową.

– Jest tylko jedno małe ale, Helen.

Kobieta uniosła brwi zainteresowana.

– To nie Richard znalazł nas, ale my jego. I aż do wczoraj nie mieliśmy pojęcia, że dziś tu będziemy. Wniosek: Dee nie mógł nas tu doprowadzić. Nic się nie zmieniło. Jesteś mistrzynią kłamstwa. Założę się, że hipnozą albo lekami wyciągnęłaś z niego to wszystko. Mam rację? Ale nie wyjawiał ci naszych sekretów, bo zwyczajnie ich nie zna. Dlatego podpytujesz nas w nadziei, że nieopatrnie coś chlapniemy. – Zerknął na kobietę z politowaniem. – Kłamstwo jest dla ciebie tak naturalne jak oddech, ale uwierz, Helen, nie udusisz się, jeśli ten jeden raz powiesz prawdę. Choćby tę dotyczącą Richarda.

Gregorian westchnęła jakby zniecierpliwiona, skrzyżowała ramiona i niespiesznie przemierzyła gabinet.

– No dobrze, przyznam się do porażki – rzuciła.

– Słucham?!

Przygryzła wargi, zawahała się.

– Jak powiedziałam, miał mi pomóc cię odnaleźć, ale... tego nie zrobił. Zależało mi na pełnej kontroli, na szybkich i wiarygodnych informacjach, dlatego

wszczepiłam Ianowi czip. Miał go zaszyty w prawym udzie, pod blizną postrzałową.

Mnisi wymienili zaniepokojone spojrzenia. Richard pobladł.

– Wszystko poszłoby zgodnie z moim planem, gdyby któregoś dnia czip nie zamilkł, a Ian nie zerwał się ze smyczy.

– Hej, nie jestem psem!

– To prawda, wybacz, nie jesteś. Niefortunne porównanie. Jednak zniknąłeś mi z oczu na kilka ładnych miesięcy i nawet sprawdzenie kartotek policyjnych w poszukiwaniu którejś z twoich fałszywych tożsamości nic nie dało. Przyznaję, byłam wściekła, zdruzgotana i przekonana, że cię już nie odzyskam. Że wszystkie moje starania szlag trafił. Aż do dziś. Chciałeś prawdy. Proszę bardzo – znów skupiła się na Ciceronie. – Nie mam pojęcia, co was sprowadziło do Instytutu, ale przez przypadek upiekłam dwie pieczenie na jednym ogniu. Zdobyłam ciebie i odzyskałam Iana. I mimo tego incydentu z wybiciem naszych diablików nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem szczęśliwa!

Wzięła głęboki wdech, uśmiechnęła się szeroko.

– No proszę, miałeś rację, nie udusiłam się, mówiąc prawdę.

Z satysfakcją zobaczyła, że Ciceron zaciska gniewnie szczęki. Długą chwilę milczał, wraz z przyjaciółmi przetrawiał nowiny.

– Najwięksi zbrodniarze wpadali na niewielkich przestępstwach. Panią właśnie to spotkało – odezwał się nagle Tancmistrz. – Jeśli nawet nie sposób udowodnić pani udziału w zagładzie elfów, to modyfikacja wyglądu bez zgody pacjenta, zmuszenie go hipnozą do robienia podłych rzeczy, kradzież jego tożsamości też są karalne.

– Łał! I co mi zrobisz? – zakpiła Helen. – Polecisz na skargę do konstabli? Śmiało, jednego masz za plecami. Po godzinach dorabia jako strażnik w Instytucie. Jest wtajemniczony we wszystko i doskonale rozumie, co znaczy „ściśle tajne”. Ale muszę cię zmartwić, mój bezimienny kolego, tych wszystkich rzeczy też mi nie udowodnisz, bo zwyczajnie nie są prawdziwe. – Obeszła biurko, z jednej z szuflad

wyjęła kopertę i podała ją Ciceronowi. – Czytaj.

Starszy pan z wahaniem odebrał kopertę z rąk kobiety. Wyjął ze środka kartkę, rozłożył ją. Wodniste tęczęwki z uwagą prześledziły tekst.

– Cadór?! – nie wytrzymał Desire. – Co to jest?

Opat wciągnął powoli powietrze.

– Oświadczenie pisane ręką Richarda, że w zamian za zastosowanie nowatorskiego leczenia i wyprowadzenie siostry, Uny McLaurie, ze stanu śpiączki dobrowolnie i z pełną świadomością wyraża zgodę na... Na to wszystko, o czym ona mówiła.

– By to elfia!... – mruknął Desire.

W pomieszczeniu pełnym ludzi zapadła cisza.

– Też chcę to zobaczyć! – zażądał nagle Richard.

– Masz do tego pełne prawo i cieszę się, że chcesz z niego skorzystać – powiedziała Helen.

Podeszła do niego i wręczyła dokument. Cierpliwie czekała, aż skończy czytać. Kucnęła naprzeciw niego, ujęła jego dłonie. Jej głos brzmiał niesamowicie łagodnie, gdy mówiła:

– Witaj w domu, Ian. Miło cię znowu widzieć.

Spojrzał w oczy Helen. Intensywnie niebieskie, życzliwe. Znów nadpłynęło *déjà vu*.

– To normalne, że pamięć płata ci figle. Ale to minie – zapewniła, jakby odczytując jego myśli.

– Co z atakami?

– Atakami?

– Duszności, migreny, kołatanie serca, halucynacje?...

– Ach, to... – Zmarszczyła brwi. – Pozostałość po urazach, których doznałeś w trakcie tamtego napadu. Dałam ci na to leki, ale pewnie dawno się skończyły, co? – Pogładziła go po kolanie, uśmiechnęła się. – Każę przygotować kolejne.

Więcej cierpień nie będzie, obiecuję.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

– Pani doktor? – W drzwiach stanęła Brenda.

– A prosiłam, żeby mi nie przeszkadzać!

– Mam przekazać, że strażnicy mają się zgłosić do laboratorium. Tu mają zostać tylko ci niezbędni. Polecenie dyrektora Calliere.

– Polecenie dyrektora Calliere?! – zadrwiła Helen. – Może choć raz niech poleci synalkowi zabrać się za naukę, a nie chlać w pubach w podejrzanym towarzystwie! – zgrzytnęła zębami, spojrzała na ciemnoskórą kobietę uważnie, w końcu machnęła ręką zrezygnowana. – W porządku. Heron, stań przy drzwiach, wy dwaj możecie iść. – Kiwnęła głową na ochroniarzy.

Mężczyźni wyszli, a Brenda zaczęła krzątać się przy minibarku.

– Brenda? Co robisz?

– Przepraszam, pomyślałam, że może już tu posprzątam, ale jeśli przeszkadzam, to oczywiście wrócę później...

– Nie, w porządku, zajmij się tym. Aha, kiedy przyjdzie Braden?

– Za jakieś dwadzieścia minut do pół godziny. Jego też zatrzymali w laboratorium.

– A niech to! No trudno. Czyli mamy chwilę więcej na pogawędkę.

Podczas gdy ciemnoskóra sekretarka krzątała się po gabinecie, Helen znów skupiła się na Ianie.

– Przez tyle miesięcy martwiłam się o ciebie. Una zresztą też.

– Ona?...

– Tak jak obiecałam, będzie zdrowa. Jeszcze dziś wdrożymy jej terapię. Pójdziemy do niej, gdy tylko zjawi się Braden. Możesz nawet zagrać jej na flecie, jeśli masz ochotę. Odzyskaliśmy go dla ciebie. – Wskazała instrument leżący na biurku.

– Nie no, zaraz poryczę się ze wzruszenia! – zakpił Desire.

Helen zacisnęła usta. Wszelka życzliwość wyparowała w ułamku sekundy. Wstała, odwróciła się i spojrzała na ciemnowłosego zakonnika jak na wyjątkowo upierdliwą muchę. Niespiesznie podeszła do niego.

– Bawi cię jego cierpienie? – Głową wskazała Richarda. – Śmiesz przywiązać do siostry? Poświęcenie się dla niej? To, co wspólnie przeszli?

– Raczej brzydzi sposób, w jaki manipulujesz emocjami tego biedaka! Helen, czy jak ci tam...

– Dla ciebie doktor Gregorian, śmieciu – syknęła, lecz przyjrzała się Desire z uwagą. Jak wojownik, któremu w końcu trafił się godny przeciwnik. Z błyskiem nadziei w oku na niezłą walkę.

– Podziwiam cię, Helen, wiesz? – palnął Desire. Zobaczył jej uniesione zdumieniem brwi, zaszarżował na całego: – Grasz na emocjach Richarda jak wirtuoz na wiolonczeli. Lata praktyki, co?

Zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Chciałeś powiedzieć, na emocjach Iana – poprawiła go. – To nie gra, to troska. Jestem przyjaciółką jego matki, znam Iana od dziecka i traktuję go, jakby był moim synem.

– Bo swoich własnych zżarłaś, modliszko?

Helen zgrzytnęła zębami.

– Się nazywasz? Zresztą nie, nie mów mi. Za chwilę zrobi to Ian. Zdradzi mi nie tylko, kim jesteście, ale też skąd pochodzicie, po co wdarliście się do Instytutu. Opowie mi w szczególach, co porabiał przez ostatnie miesiące, gdzie jest wasza siedziba, zapasy leków i po co chcieliście porwać tego pacjenta z Terminala. – Jej usta wyrzucały z siebie słowa z szybkością karabinu. – Jest mi to winien za wyleczenie Uny. Zobaczymy, co będzie dla niego ważniejsze: ukochana siostra, której przed laty nie uratował przed vivernem, czy lojalność względem kilku niedawno poznanych przygłupów. Tak więc rozgość się i słuchaj jego opowieści. Mam nadzieję, że po wszystkim będziesz się równie szeroko uśmiechał, bo to jedyna rzecz, jaka jest w tobie interesująca.

Odwróciła się z powrotem do swego podopiecznego.

– Ale żeby nie było, że jestem modliszką, że cię zmuszam, Ian. Wybierz. Una albo oni. Wybierz właściwie.

Spojrzał na nią zaskoczony. Zaraz, gdzie słyszał te słowa? Beznamiętna mina Cicerona nie udzieliła mu odpowiedzi. Zobaczył, że za plecami Helen Gregorian Tancmistrz i Desire porozumiewają się wzrokiem.

– Co powiedziałaś? – bąknął.

– Że to czas wyboru. Musisz zdecydować, kto jest twoim przyjacielem i wobec kogo być lojalnym. Ale wybierając, pamiętaj o siostrze...

– Ona ma rację – odezwał się Desire głosem tak spokojnym, jakby cały dzień spędził na medytacjach. – Choć to tylko iluzja wyboru, wybierz właściwie, Dee.

Ciemnowłosa zakonnik posłał mu uśmiech. Dylematy w głowie Iana jeszcze się nasiliły. Nigdy w życiu nie czuł się tak rozdarty. Więc zrobił to wszystko dla siostry? Jeśli otworzy usta, przywróci jej zdrowie, lecz zdradzi przyjaciół. Czy Helen ich skrzywdzi? Nie ulega wątpliwości! Co prawda jest tylko lekarzem, ale... Ale z drugiej strony to ona odpowiada za wybuch epidemii. Ciceron to jej obsesja i największy wróg. Nie musiał nawet pytać, co się z nim stanie. A co z Mayą? Bazylią? Elfim rodzeństwem? Ich też zdradzi... A klasztor w Fenaby? A wyprawa do Wietrznych Katedr? A tyle istot, których los zależy od działalności Cicerona? Komu wierzyć? Kogo posłuchać?

Rozejrzał się po gabinecie. Spojrzał na swój flet ciągle tkwiący na biurku. W przeblasku wspomnienia wrócił do niego obraz dziewczęcego ciała leżącego nieruchomo w przezroczystej kapsule, wróciły też dźwięki lirycznej muzyki i smak słonych łez wylanych w czasie tamtej wizyty. Kolejny przeblask i wizja śmierci młodego faceta. Miał na imię Russel, był... jego młodszym bratem i zginął na jego oczach rozszarpany przez viverna! Zginął, ratując Unę... I jeszcze jeden obraz: rozpacz rodziców na pogrzebie Russela i Helen przytulająca matkę! Uczucie żalu zdławiło mu gardło. Patrzył na Cicerona, Tancmistrza, Desire... Z nimi dzielił dużo świeższe, lecz nie mniej ważne wspomnienia.

Zobaczył, że wpatrują się w niego z napięciem na twarzach. Gdzieś za plecami Helen dostrzegł Brendę. Podniosła dłoń, pozdrowiła go gestem. Zobaczył w jej rękach papierową serwetkę. I jakieś bazgroły. Bezgłośnie poruszyła ustami. Dałby głowę, że wyszeptała: „Oddychaj!”. Przypomniał sobie, gdzie widział tę kobietę. Poszedł za jej radą, wziął głęboki powolny wdech i, już nie patrząc na mnichów, powiedział:

– Helen, podaj mi, proszę, mój flet. Chciałbym zagrać coś Unie...

Nie zobaczył jej triumfalnego uśmiechu, a jedynie czubki butów, gdy stanęła tuż przed nim i wręczyła instrument. Ujął jego koniec, płynnym ruchem obrócił go w palcach.

– Słuszny wybór, mój drogi...

Ian przez chwilę patrzył na flet, potem lekko nim machnął. Z końca instrumentu posypały się gwiazdki. Niewielki ich obłoczek spadł na ciągle śpiącego Mefira. Kiedy obłok zniknął, zgromadzonym na powrót objawił się biało-srebrzysty vivern, tyle że odziany we wściekle różowego pampersa i takież czepek niemowlęcy wiązany pod brodą. Zakrzywiony dziób skutecznie zatykał sporych rozmiarów malinowy smoczek. Vivern dalej spał.

Brenda bezgłośnie parsknęła śmiechem. Helen spojrzała zaskoczona najpierw na Mefira, potem na Iana.

– Wybacz, że się nie zgodzę – palnął Desire. – Różowy to jednak kiepski wybór. Taki niemęski. A to w końcu samiec. No, ale Ian dopiero uczy się zaklęć, więc trzeba mu wybaczyć.

– Ty!... – Helen błyskawicznie odwróciła się ku zakonnikowi i stanęła jak wryta. Desire już nie siedział skuty w fotelu pod ścianą, ale stał tuż za nią i w oswobodzonych dłoniach trzymał drugi flet.

– Zapomniałem dodać: mnie zaklęcia wychodzą lepiej. *Mortua!* – Wykonał dłonią oszczędny gest, po którym kobieta zastygła na podobieństwo posągu. – *Somnum!* – dorzucił, bo zaczęła wrzeszczeć. Helen natychmiast uspokoiła się, zamknęła oczy, głowa opadła jej na pierś.

– Heron! – usłyszeli głos Brendy.

Wszyscy natychmiast spojrzeli ku drzwiom. Dłoń strażnika zamarła w połowie drogi ku kłamce.

– Rozumiem, że mam usiąść w fotelu i nie robić niczego głupiego? – spytał.

– Będziesz tak uprzejmy? – Ciceron wskazał mu fotel. Gdy ciemnoskóry strażnik w nim zasiadł, opat mruknął: – Heron, to nic osobistego, ale... miłych snów. *Somnum*.

Strażnik, podobnie jak Helen, przymknął oczy. Jego oddech stał się powolny i płytki.

Opat zerknął na podwładnych.

– Mamy cholernie mało czasu. Richard, przepraszam – poprawił się – Ian, zechcesz nas rozkuć?

– Ja to zrobię – wtrącił się Desire. – Jeszcze dorobiłby wam cycki albo, co gorsza, Tancmistrzowi uśmiech.

Przesunął dłonią nad kajdankami Cicerona, potem Tancmistrza. Bezszelestnie otwarły się, dywan stłumił odgłos upadku.

– Myślałeś, że cię tu zostawimy? – Ciceron szybko podszedł do Iana, poklepał po ramieniu i uśmiechnął się serdecznie.

– Wy... Daliście się złapać, żeby odnaleźć i uwolnić... mnie?!

– Tak trudno uwierzyć, że komuś na tobie zależy? – odparł pytaniem staruszek. – Nie wiedziałem tylko, że ona żyje – wskazał głową Helen – i zarządza tym... ehm... przybytkiem. A później byłem ciekaw, co nam zdradzi, a jeszcze bardziej, jakiego ty dokonasz wyboru.

– Nie chcę być niemiły, ale pogadacie potem – burknął Tancmistrz. – Czas na nas. I tak siedzimy tu dłużej, niż zamierzaliśmy, a jeszcze mamy masę roboty. Desire, wykończ sukę. Spotkamy się przy wozie.

– Sekunda! – wtrącił Ian.

Wyminął przyjaciół, podszedł do ciemnoskórej sekretarki wciąż stojącej koło

minibarku. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Złapał się na myśli, że kobieta, którą pamiętał, była potężna i otyła, natomiast ta tutaj po prostu wysoka, o bujnych kształtach. Musiała też być silna, no i mylnie brał ją za lekarkę.

„To wszystko wina leków” – pomyślał.

Może nie była piękna, jednak ten brak urody nadrabiała ciepłym spojrzeniem i dołączkiem w policzku, gdy się uśmiechała.

– Jesteś Brenda, prawda? To ty opiekowałam się mną w szpitalu. – Spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

Odpowiedzią był kolejny uśmiech.

– Pomagałaś mi przetrwać strach, halucynacje, mówiłaś o kontroli oddechu. Potem usunęłaś mi czip i podpaliłaś skrzydło szpitalne, żebym mógł uciec! Pamiętam! Zaczynam sobie wszystko przypominać!

– Ona – wskazała głową Helen – nieźle namieszała ci w głowie. Ale już w porządku, prawda?

– W najlepszym. – Ujął jej duże, ciepłe dłonie, spojrzał w ciemne oczy z wdzięcznością. – Dziękuję, Brenda.

Coś mu podała. To była serwetka, a na niej dwa pospiesznie skreślone słowa: „Ona kłamie!”. To te bazygroły pomogły mu chwilę wcześniej podjąć decyzję. Schował serwetkę do kieszeni.

– Zbierajmy się! – burknął Tancmistrz.

– Czekać! – Teraz dla odmiany zaprotestował Ciceron. – To nasza ostatnia szansa.

– Szansa? Na co? – nie zrozumiał Desire.

– Na poznanie prawdy.

– Przecież wiemy już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

– Nie, Helen to patologiczna kłamczucha. Nigdy nie wysłałaby Iana z tak banalnego powodu jak receptury leków. Nie starałaby się aż tak bardzo.

– Nie mamy na to czasu!

– To zajmie tylko chwilę.

Opat wyciągnął dłoń ku kobiecie, wybudził ją zaklęciem, kolejnym zmusił do mówienia prawdy. Spojrzał na Helen, była przytomna, lecz nadzwyczaj spokojna. Pozbawiona wszelkich emocji.

– Czy Richard Dee-Zander to naprawdę Ian McLaurie?

– Tak – odparła beznamiętnie niczym maszyna, a nie żywy człowiek.

Stojąca za jej plecami Brenda cicho krzyknęła. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy skupili się na Gregorian.

– Gdzie jest jego siostra Una?

– Nie żyje.

– Co?! Mówiłaś, że ją uzdrowisz! – sapnął Ian.

– Kłamałam. Gdybyś wiedział o jej śmierci, nie zechciałbyś współpracować.

– Czekaj, Dee. – Ciceron starał się uspokoić go gestem. – Helen, jak umarła Una?

– Wizyta Iana w Świątę Kaganków wybudziła ją ze śpiączki. Dziewucha nie chciała współpracować, próbowała zwać. Nie dała się pojmać żywcem...

Ian zamarł niezdolny do wypowiedzenia choćby słowa, a Ciceron pytał dalej:

– Czemu zrobiłaś z niego szpiega?

– Żeby odnalazł ciebie i jeśli zdoła, to także klepsydry.

– Klepsydry? Jakie klepsydry?! Co o nich wiesz?

– Że zawierają wskazówki, jak dotrzeć do legendarnych Wietrznych Katedr.

– Czemu opowiedziałaś nam tę bajeczkę o szukaniu magazynu leków?

– Żeby zdobyć zaufanie Iana. Żeby sam zechciał opowiedzieć mi o was. Ian ma trudny charakter. Tylko podstępem można coś z niego wyciągnąć. A co do kłamstw... Po prostu je lubię.

– Cudownie – zakpił Desire.

Ciceron puścił tę uwagę mimo uszu.

– Jeszcze jedno, Helen, co chciałaś zrobić z nami i Ianem?

Kobieta zawahała się, ale zaraz z lekkim uśmiechem oświadczyła:

– Obiecałam moim studentom, że dziś będą ciekawe zwłoki do sekcji...

Ciceron ponownie wprowadził Helen w sen. Zgromadzeni dłuższą chwilę milczeli, jakby sami byli pod wpływem sennego zaklęcia. Zaraz jednak odezwała się Brenda:

– Miło było poznać, ale teraz naprawdę musicie już iść! Zaraz będzie tu Braden. Wyjątkowy szuja. – Opat drgnął na te słowa, ale nic nie powiedział, a kobieta dodała: – Nie chcecie wiedzieć, co zrobił tamtemu krasnoludowi, który napadł laboratorium.

– Jasne – powiedział Desire. – Bardzo nam pomogłaś, Brenda. Odwdzięczę się, serio.

– To ja poproszę zadatek. – Uśmiechnęła się do niego łobuzersko. Ujęła jego twarz w swoje duże, ciemne dłonie, a potem wypłaciła sobie a konto wdzięczności zaliczkę w postaci soczystego całusa. Klepnęła Desire w tyłek, szepnęła mu coś do ucha, mrugnęła i zażartowała: – Resztę odbiorę kiedy indziej, słodziaku. A teraz wiesz, co robić. Wykończ tę szmatę. – Głową wskazała Helen. – A mnie wyczyść pamięć z wyjątkiem tego fragmentu o wdzięczności – zachichotała.

– Eee, jasne! – wybąkał Desire chyba pierwszy raz w życiu czerwony jak burak.

Tancmistrz klasnął w dłonie.

– Koniec amorów. Zbieramy się. Dzięki. – Skinął dłonią Brendzie. – A ty lepiej na to nie patrz. – Pociągnął Iana za sobą na korytarz.

Opat ruszył za nimi.

– Ciceron? – rzucił Desire.

Starszy pan zerknął przez ramię.

– Do ciebie należy decyzja...

Zobaczył pytanie w oczach opata i uściślił:

- Mam ją zabić? – Wskazał głową śpiącą Helen. – Sporo nagrzeszyła...
- Śmierć to zbyt lekka kara – wycedził Ciceron i zamknął za sobą drzwi.

* * *

– *Caeco* – mruknął Tancmistrz w stronę kamer, nim pozwolił Ianowi wyjść na korytarz. – Jak się czujesz?

– Po herbacie Brendy jak nowo narodzony.

– To dobrze.

– A tak przy okazji, skąd znacie Brendę? W czym wam pomogła?

– Poznaliśmy ją godzinę temu. Okazało się, że też nie jest fanką ludzi palatyna. Grzecznie poprosiłem i zgodziła się dla nas coś przechować.

Iana zaintrygowały tłumaczenia Tancmistrza, ale nie zdążył tego przemyśleć, bo mnich mruknął „tędy” i zniknął w bocznym korytarzu. Ian szybko go dogonił.

– Wyjście jest w drugą stronę.

– Wiem, ale nie wdzieraliśmy się tu dla frajdy.

– A Ciceron? – spytał Ian.

– Będzie czekał w wozie – burknął przyjaciel i jeszcze przyspieszył kroku. – Już niedaleko.

– Niedaleko czego?

Ale Ian nie dosłyszał już odpowiedzi, bo Tancmistrz zniknął mu za zakrętem. Tym razem dobiegł do końca, zatrzymał się i przezornie zerknął. Nie uśmiechało mu się ponownie oberwać po głowie.

– Będziesz tam stał i się gapił czy mi pomożesz? – usłyszał charakterystyczną chrypkę Tancmistrza. – Tutaj!

Otworzył boczne drzwi do jakiegoś pomieszczenia, zapalił światło, wszedł pierwszy. Pokój był podobny do pozostałych, tyle że nie miał okien, a ściany aż do sufitu pokrywały jasne kafle. Gdy tylko rozbłysły lampy, dał się słyszeć szum wentylacji. Było tu cicho, sterylne i bardzo zimno.

– Chłodnia – poinformował lakonicznie Tancmistrz. – Ma dwie części. W tamtej przetrzymuje się zwłoki. Ludzkie.

Wskazał dłonią uchylone drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie na metalowych półkach aż po sufit, niczym towar w magazynie, leżały ciała okryte nie wiedzieć czemu przezroczystą folią. Ian poczuł dreszcz na ich widok. Niektóre należały do staruszków i wyglądały jak poskręcane, uschnięte pnie drzew. Lecz na jednej z półek dojrzał zwłoki jakiegoś chłopaka. Sądząc po urazach, śmierć musiała nadejść wyjątkowo brutalnie i szybko. Ian miał nadzieję, że na tyle szybko, że dzieciak się nie nacierpiął. Było też ciało małej dziewczynki do połowy zwęglone i kobiety z rozciętym gardłem. Poczuł słodki smak w ustach. Czuł, jak to się zaraz skończy. Przełykając raz po raz ślinę, skupił się na słowach Tancmistrza.

– Ale nas interesuje ta część. Tu przechowywane są odpady medyczne i trupy zwierzaków do utylizacji. – Przyjaciół wskazał szereg metalowych kontenerów.

– Aha. A co MY tu robimy?

Tancmistrz nie odpowiedział. Przyjrzał się dłuższą chwilę pojemnikom, jakby liczył je w myślach.

– Kradniemy – odparł. – To powinien być ten. – Wskazał piąty pojemnik. Podszedł tam, uniósł pokrywę, zerknął do środka. Usatysfakcjonowany podniósł kciuk ku górze. – Dobra, zabierajmy nasz skarb i wynośmy się stąd. Byle szybko.

– Skarb?

– Naszego elfa. Przechowaliśmy go tu sobie. Łap za te uchwyty – zakomenderował mnich. – No, Ian, nie ma czasu! Sam nie dam rady, zbyt ciężki.

– Zaraz, włożyłeś księcia do kontenera z... trupami?!

Tancmistrz się skrzywił. Wzruszenie ramion miało być w jego mniemaniu wystarczającą odpowiedzią.

– Serio?! – Ian zdębiał. Spojrzał na zakonnika, jakby oczekiwał oświadczenia, że ten jedynie żartuje, ale nic takiego nie nastąpiło. – Ale księcia? Do kontenera? Z TRUPAMI?! – wycedził teatralnym szeptem.

– To nie księżę, tylko któryś z jego krewnych. Majestatu mu od tego nie ubędzie – odparował przyjaciel. – A ty pokaż mi jedną osobę, która chciałaby go szukać w takim miejscu.

Ian przygryzł usta.

– Na własnych nogach nie pójdzie?

– Za słaby. Dekady spędzone w Terminalu zrobiły swoje.

– Czemu nie użyjesz jakiegoś zaklęcia? Nie wiem, lewitacji choćby? Facet sam poleciałby do auta.

– Ian, Dee czy jak ci tam! Ile razy mam przypominać, że mamy tylko domieszkę elfiej krwi? Nie jesteśmy w pełni wykształconymi czarodziejami, nie znamy wszystkich zaklęć świata. Jeśli ty takie znasz, to proszę, nie krępuj się, użyj go! Jak nie znasz, to skończ gadać i łap te cholerne uchwyty!

Ian skrzywił się i pokręcił głową.

– Nie wierzę, że to robimy.

– Jesteś człowiekiem małej wiary. Dobra, widzisz te drzwi? – W jednej ze ścian znajdowały się szerokie, acz zamknięte wrota z napisem „Wyjście ewakuacyjne”. – Byłoby szybciej, ale nie możemy ich użyć.

– Bo?

– Zablokowane. Jeśli sforsujemy blokadę, zbiegną się wszyscy strażnicy, których chwilowo mamy z głowy. Włóż to. – Wcisnął Ianowi do rąk biały fartuch. – Może będziemy mieli szczęście i ktoś uzna nas za personel.

Wspólnie wypchnęli kontener przez drzwi na korytarz.

– Na razie, z powodu tego zamachu, większość strażników wezwali do laboratorium. Dzięki temu mieliśmy chwilę na znalezienie ciebie i pogawędkę z panią doktor – kontynuował Tancmistrz cichym głosem. Naparł barkiem na pojemnik, popchnął go w kierunku wyjścia. Sapnął. – Tych paru ochroniarzy, którzy zostali w tej części Instytutu, włóczy się bez sensu. Desire potraktował ich dziecięcym zaklęciem poszukiwacza.

– Czyli?

– Są przekonani, że gdzieś tu ukryty jest wielki skarb, a oni lada chwila go odnajdą.

– Jaja sobie robisz.

– To akurat domena Desire. Jeśli spotkamy tych strażników, za cholere nie patrz im w oczy!

– Z pewnością mi się to uda!

Mocniej pchnęli kontener, kółka nieprzyjemnie zgrzytnęły, w środku coś zatarabaniło i rozległ się jęk. Porozumieli się wzrokiem. Przyspieszyli.

– Nie udusi się?

– To elf, one mają inną przemianę materii. – Tancmistrz wzruszył ramionami.

– Dobra, uchyl pokrywę, skoro tak się o niego martwisz.

– Ale...

– Co tym razem?

– Bardzo jest pokrzwawiony?

– Co? Ian, o czym ty mówisz?!

– Wsadziłeś go do pojemnika z trupami! Wolę wiedzieć, co tam zobaczę.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – zakpił mnich – ale nie jesteś czasem hodowcą vivernów? Podobno widziałeś wiele trupów.

Ian zmarszczył brwi. Intensywnie przeszukiwał zakamarki pamięci. Tym razem bezskutecznie. W końcu wzruszył ramionami.

– Co racja, to racja – mruknął i przełykając ze zdenerwowania ślinę, odemknął pokrywę kontenera. – Hej, on jest goły!

Tancmistrz przewrócił oczami.

– Trzymajcie mnie ludzie, bo nie wyrobię! Najpierw przeszkadzał mu kontener z trupami, teraz fiutek elfa na wolności! Jak będziemy w samochodzie, pożyczysz mu majty. A teraz zapieprzaj albo, na Onyksową, za chwilę już nic nie będzie ci przeszkadzać!

Spojrzał na Iana takim wzrokiem, że ten zdołał jedynie wykrztusić: „Eee, jasne!” i jeszcze: „Mogłeś powiedzieć, że kontener jest czysty”. Ruszył gwałtownie, z trudem panując nad rozpędzonym pojazdem. Przyhamowali przed najbliższym zakrętem, ale mimo to omal nie wyrznęli pojemnikiem w ścianę i... skradającego się ochroniarza!

Wyminęli go dosłownie o włos, a facet nawet ich nie zauważył! Zobaczyli skupienie i ekscytację na jego twarzy. Korytarz był dobrze oświetlony, a jednak mężczyzna dzierżył w dłoniach włączoną latarkę. Snopem światła omiatał ramy okien, zerkał pod ławki, oglądał framugi drzwi. Wszystko to robił pomału i skrupulatnie. Zaglądał w każdą dziurę czy zakamarek. Poruszał się ostrożnie niczym przerośnięty kameleon. Sprawiał wrażenie istoty egzystującej w innych światach, niedostępnych dla osób postronnych. Pogładził klamkę okna z taką radością, jakby znalazł bezcenny klejnot. Z kosza na śmieci dobył papierek, pieczołowicie go złożył i schował do kieszonki na piersi, jak gdyby świstek był banknotem o wysokim nominale.

Chwilę patrzyli na strażnika z niedowierzaniem, a on ciągle ich nie dostrzegał. Tancmistrz przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Kiwnięciem głowy nakazał jechać dalej. Kółka cicho zgrzytnęły, lecz ochroniarz nie zwrócił na to uwagi.

Ujechali kilka metrów, gdy z pojemnika znów dało się słyszeć jęk. Dłuższy i mocniejszy. Na dodatek coś walnęło od środka w pokrywę. Tancmistrz zacisnęła usta, a potem pięść. Ian czuł, że gdyby tylko pokrywa się uchyliła, majestat potomka księcia ucierpiałby jeszcze bardziej. Zerknął przez ramię, chcąc upewnić się, że i tego strażnik nie zauważył, i wtedy...

– Szlag! – zaklął. – Gazu!

Z całej siły pchnął kontener.

– Tylko mi nie mów, że spojrzałeś mu w oczy! – wycedził Tancmistrz i też się obejrzał. – W mordę!

Kompletnie wybudzony z zakłęcia poszukiwacza ochroniarz stał na końcu korytarza i wgapiał się z niedowierzaniem w dwóch uciekinierów. Zaraz jednak

dobył spluwę i z wrzaskiem ruszył w ich stronę.

Później wszystko potoczyło się błyskawicznie.

– Zatrzymam go, zwiewaj, Dee! – krzyknął Tancmistrz.

Dało się słyszeć huk, jakby powielony akustyką korytarza. A może tylko im się tak zdawało?

– Spudłował! – mruknął Tancmistrz z satysfakcją. – Moja kolej!

Podczas gdy Ian pędem ruszył do wyjścia, starając się nie zabić elfa na kolejnym zakręcie, Tancmistrz posłał ochroniarzowi zaklęcie *Somnum*. Upewnił się, że tamtego przytuliła podłoga, i podążył za przyjacielem.

Tymczasem facet w kontenerze jęczał coraz głośniej, zaczął nawet coś pokrzykiwać i kląć. Spróbował otworzyć klapę. Zaraz jednak poddał się, a wtedy uszu Iana dobiegły odgłosy... bulgotania?

„Pięknie – pomyślał. – Nie dość, że goły, to jeszcze zarzygany. W tej sytuacji sformułowanie »romantyczny jak elf« brzmi co najmniej jak kpina!”.

W tym momencie dogonił go Tancmistrz.

– Szybciej! Zaraz będziemy mieli na głowie całą ochronę Instytutu, a potem jeszcze konstabli!

Wspólnie mocniej pchnęli kontener. Elf w środku zawodził teraz jak profesjonalna płaczka, ale nie zwracali na to uwagi. Zasapani pognali do wyjścia. Zbliżyli się do ostatniego zakrętu, a innych strażników szczęśliwie nie było widać. Porozumieli się wzrokiem i gwałtownie wyhamowali. Ian przyczaił się za kontenerem, Tancmistrz pobiegł do przodu upewnić się, że droga bezpieczna. Wychylił się zza węgła, a wtedy rozległ się kolejny huk i kilka następnych. Siła ostrzału rzuciła mnicha na ziemię.

– Ja chędoże! – stęknął. Złapał się za ramię. Spomiędzy szczupłych palców popłynęły rubinowe strumyczki. – Wiej, Ian! – ryknął.

Ten usłyszał czyjeś kroki. Obejrzał się. Źrenice rozszerzyło przerażenie, bo oto drugim końcem korytarza, otoczona grupą strażników, zbliżała się... postać

z jego koszmarów! Była odziana w ciemnozielone szaty i widział jedynie jej oczy, ale to były TE oczy! Déjà vu zaatakowało. Umysł wspomniał wszelkie cierpienia, jakich doznał z rąk tej istoty, ale też stało się dla niego jasne, co nastąpi dalej. Ból, tortury, a zanim nadejdzie śmierć, obieca tej jakże realistycznej zjawie wszystko, czego ta zechce, zdradzi wszelkie tajemnice.

Ian poczuł, że się dusi. Panika zagarniała go z gwałtownością burzy piaskowej. Zaczął dyszeć, trząść się. Drżały mu ręce, ból ogniem wypełnił trzewia. Skulił się pod ścianą koło kontenera. Zacisnął szczęki. Istota była coraz bliżej. Wyciągnęła dłoń, coś mówiła. Jeszcze chciał uciekać, lecz nie był w stanie nawet się czołgać. Wstrząsany dreszczem zastygł pod ścianą.

„Kontroluj oddech” – ostatkiem sił przywołał słowa Brendy, ale nie zdołał się już do nich zastosować.

Zjawa pochyliła się nad nim. Kolejne elementy układanki wspomnień wskoczyły na swoje miejsce w chwili, gdy istota płynnym ruchem zdjęła... czepek oraz maseczkę chirurgiczną.

– Katalepsja wywołana hipnozą. Coraz bardziej podoba mi się ten sposób kontrolowania ludzi i nieludzi. – Błękitne oczy Helen Gregorian uważnie wpatrzyły się w źrenice Iana. – Naprawdę sądziłeś, że ty i twoi przyjaciele zdołacie mi umknąć? – szepnęła mu wprost od ucha.

Był w pełni świadomy, lecz kompletnie pozbawiony możliwości ruchu. Mógł jedynie leżeć i słuchać.

– Czemu zawsze wszystko musisz spieprzyć? – zainteresowała się Helen. Westchnęła. – Nawet lubiłam ciebie i Russella, wiesz? Ale to Una była najważniejsza. Miała dar. Wy mieliście jej tylko pilnować. Co z tego, że tamtego dnia nie umarła, skoro zapadła w śpiączkę? Co z tego, że twoja wizyta ją wybudziła, skoro wolała dać się zabić, zamiast współpracować? Spierdoliliście sprawę koncertowo.

Błękitne oczy wpatrzyły się w niego ze złością.

– A teraz jeszcze to! Miałeś okazję wszystko naprawić, namierzyć Cadora,

odnaleźć klepsydry. Szkoda, że nie skorzystałeś z drugiej szansy, którą ci dałam.

Usłyszał stukot obcasów o posadzkę. W polu widzenia pojawiła się ciemna czupryna, zielono-szare oczy.

– Dyrektor Calliere żąda informacji, co się u nas dzieje. Życzy sobie usłyszeć to bezpośrednio od pani. Jest u siebie. Wściekła. Grozi, że... Pani doktor? To pilne!
– Ian usłyszał cichy głos Bradena.

– Okej! Słyszałam!

Helen zgrzytnęła zębami. Podniosła się. Ledwie sięgała Bradenowi ramienia, a jednak to on skłonił głowę z pokorą.

– Ian ma czekać w moim gabinecie. Skuty, ale w dobrym stanie – szepnęła. – Resztę wykończ, byle szybko. Nie mamy czasu na twoje zabawy. Aha, Braden, na tego bruneta uważaj. – Wskazała głową kogoś znajdującego się poza polem widzenia Iana, ale domyślił się, że mówi o Desire. – Zna czary, może nawet lepiej niż ty. Wracam, jak tylko wyjaśnimy sobie z dyrektorem Calliere, kto tu rządzi.

Zniknęła, a wtedy dało się słyszeć szepty.

– Cisza! – warknął Braden.

Ian zrozumiał, że mówi do pozostałych strażników. Ciało miał obolałe i nadal nie mógł się ruszyć.

Zobaczył elfa pochylającego się nad nim.

– Pożegnałeś się z kolegami? Nie? Szkoda. Już nie zdążysz – zakpił. – Helen chciała, żebyś był w dobrym stanie, ale mały kop to nie tortury. Co prawda niszczy buty, ale jak poprawia samopoczucie. – Czubek buta elfa wylądował na żebrach Iana, wypierając mu dech z piersi. Oczy zasły mu łzami, obrazy rozmyły się. Zdało mu się, że otoczyła go lepka, wilgotna mgła. Jęknął. Stukot obcasów podpowiedział mu, że Braden odszedł, ale to go nie uspokoiło. Musi wstać, wziąć się w garść, pomóc przyjaciółom! W jakim stanie jest Tancmistrz? Co z Desire i opatem?

Wspomniał instrukcje Brendy, że musi oswoić swój strach, nazwać go, potem

stawić mu czoła, bo tylko tak odegna omamy. Teraz już wiedział, że jego strach ma na imię Helen. Zrozumiał, jak bardzo namieszała mu w głowie i że to ona, najpewniej za sprawą hipnozy, stoi za jego halucynacjami.

„Kontroluj oddech – pomyślał. – Kontroluj... To nie zjawa, a człowiek z krwi i kości. Łatwy do zniszczenia. Weź się w garść. Zbyt wiele istot na ciebie liczy. Mnisi, Evan, Bazylia, Maya... No, dalej! Rusz się, zasrany tchórze!”.

Wziął głęboki wdech i przetoczył się na brzuch. Usłyszał wystrzał i czyjeś sapnięcie, potem charakterystyczną chrypkę Tancmistrza.

– Strzeliłeś do mnie z mojej własnej spluwy?!

Braden się zaśmiał i Iana dobiegł odgłos naciskania spustu, a potem jeszcze jeden i kolejny, ale tym razem broń nie wypaliła.

– Rozumiem, że nie masz zapasowego magazynka? – zapytał uprzejmie elf. – Nie szkodzi. Zabić można na wiele ciekawszych sposobów. Ale zabrać z sobą na taką akcję tylko jeden magazynek? Trochę obciach, nie sądzisz?

– Oprócz gadania potrafisz coś jeszcze? – zadrwił Tancmistrz.

Jęk przyjaciela odpowiedział Ianowi, co zrobił Braden. Ian podciągnął nogi pod brzuch. Wraz ze zniknięciem Helen siły zdawały się wracać. Ciągłe obolały i zamroczony spróbował wstać. Cały czas powtarzał sobie, że musi kontrolować oddech.

Wyjrzał zza kontenera i zobaczył rozmyty obraz korytarza. Niedaleko, w kałuży krwi leżał Tancmistrz. Nad nim, z ręką wspartą na biodrze stał Braden. Jedną stopę opierał na przestrzelonym ramieniu zakonnika i przyglądał się pistoletowi Tancmistrza. Otaczało ich pięciu innych strażników, każdy z bronią wymierzoną w leżącego. Desire i Cicerona nie było.

Ianowi udało się klęknąć. Grzbietem dłoni wytarł załzawione oczy, znów odetchnął głęboko. Wyciągnął dłoń przed siebie, z trudem panując nad jej drżeniem.

„Oby się udało”.

– *Somnum!* – nieprecyzyjnie rzucone zaklęcie dosięgło dwóch strażników.

Ku zdumieniu towarzyszy bez słowa osunęli się na ziemię. Pozostali rozejrzeli się, a jeden z nich dojrzał Iana i wskazał go pozostałym. Zanim zdążyli go obezwładnić, padło kolejne *Somnum*, które powaliło dwóch następnych. Został jedynie Braden i jeden ze strażników. Odwrócili ku Ianowi zdziwione twarze.

Strażnik wycelował, lecz elf wytrącił mu broń i wymierzył policzek.

– Nie słyszałeś, co powiedziała?! Ma żyć! A ty, cherlaku... – Ruszył w stronę Iana ciągle próbującego wstać. – Helen nie mówiła, że już znasz zaklęcia...

– Śmieciom ma się zwierzać? *Mortua!*

– *Protecto!* – Braden spokojnie odpowiedział zaklęciem ochronnym. – Niestety, Helen chce, żebyś był w dobrym stanie. *Sertis!*

Nagle podłoga pod kolanami Iana i ściana za jego plecami zaczęły pokrywać się zielonymi gałązkami. Te błyskawicznie urosły, wypuściły kolejne pnącza oraz listki i oplotły jego ciało na podobieństwo bluszczu. *Sincantatum* definitywnie odebrało mu możliwość rzucania zaklęć. Chwilę potem Ian przypominał roślinny pomnik. Jedynie tęczęwki koloru palonej kawy zdradzały, że pod spodem wciąż jest żywa istota. Szarpnął się. Bezskutecznie.

– Ten bluszcz całkiem sympatycznie pachnie. – Bradenowi zaśmiały się oczy. – Wdychaj, wprawi cię w dobry nastrój. Za chwilę spodoba ci się nawet egzekucja tego blond brudasa.

Zadowolony odwrócił się do Tancmistrza i wyciągnął rękę do strażnika. Ten bez słowa podał mu własną broń, którą dopiero co podniósł z podłogi. Elf sprawdził ją, a potem odbezpieczył.

Tymczasem od zapachów rośliny Ianowi zakręciło się w głowie. Jednak zamiast euforii aromaty wywołały w nim zgoła odmienne uczucia. Pogarda. To było dokładnie to, co czuł do Bradena w tym momencie. I jeszcze złość z każdą sekundą wzbierająca jak wody rzeki w czasie powodzi. Nie mógł rzucać zaklęć, ale mógł mówić. Wściekłość sprawiła, że zrobił to dosadnie i soczyście.

– Hej, elfotłuku zasrany! – wycedził i z satysfakcją zobaczył, że przykuł

uwagę Bradena, który zde gustowany obejrzał się przez ramię. – Jakie to uczucie pracować dla osoby, która wybiła całą twoją populację?

– Miałem cię o to samo zapytać – odparował elf. – Jeśli próbujesz grać na zwłokę, to wybaczone, ale nie wyszło. – Znowu skupił się na Tancmistrzu.

– Jak to się stało, że tobie, czystej krwi elfowi, inne elfy nie zdradziły nic o Wietrznych Katedrach? Że tkwisz jak wierny pies przy tej morderczyni Helen? – palnął Ian.

Braden zacisnął szczęki i pięści. Milczał.

– Chyba już wiem – ciągnął Ian. – Sprzedałeś się długo przed zarazą, prawda? Może nawet szpiegowałeś Cadora. Co takiego zaoferowała ci Gregorian?

Tamten zaśmiał się, jakby zorientował się, że Ian gra na zwłokę.

– I tak byś nie uwierzył, gdybym powiedział. Lepiej przyjmij, że nie jestem ani trochę sentymentalny i patriota ze mnie żaden. Ot, taka ze mnie czarna owca w rodzinie. – Wzruszył ramionami. – Gdy wróci Helen, będziesz zabiegał o moją pomoc i wsparcie. Obiecasz wszystko, by tylko przeżyć. Wiem to – oświadczył spokojnie. – Ale na razie gadaj, co chcesz, skoro czujesz taką potrzebę.

Wyciągnął dłoń, wymierzył broń w Tancmistrza. Nie zauważył, że w trakcie ich pogawędki Ianowi udało się uwolnić rękę i wyjąć ukryty w cholewce buta flet. W chwili gdy Braden odwracał się w stronę mnicha, Ian rzucił instrument przyjacielowi. Flet poszybował nisko, tuż obok kolan elfa. Światło lamp odbiło się od jego metalicznej powierzchni. Elf dostrzegł go, lecz złapać nie zdołał. Instrument wylądował koło stóp mnicha. Ten zgiął się, chwycił go, resztką siły machnął. Dało się słyszeć huk. Niewidzialna siła rzuciła Bradenem o ścianę, całe otoczenie spowił dym. Gdy znikł, ukazał się elf leżący bez ducha opodal Iana.

– *Somnum!* – wyszeptał Tancmistrz i ostatni ze strażników zapadł w sen. – *Terminatus.* – Skierował instrument w stronę przyjaciela.

Gałązki, listki, pędy z soczyście zielonych zmieniły się w brunatne uschnięte patyczki, te z trzaskiem rozpadły się i zniknęły. Ian ponownie opadł na podłogę, jednak zaraz się pozbierał. Z trudem dotarł do mnicha.

– Nie ma czasu – wychrypiał Tancmistrz. – Desire... Cador... Są tam. – Głową wskazał wyjście, do którego pierwotnie zmierzali. Rzeczywiście, obydwaj mnisi leżeli na podłodze. – Braden musiał ich dopaść, gdy my byliśmy w chłodni.

Chwiejnym krokiem Ian podbiegł do nich. Żyli. W boku Cicerona ziała rana. Przyciskał do niej palce, jakby w złudnej nadziei, że tym sposobem powstrzyma krwotok. Coś mamrotał.

Desire był tuż obok. Włosy za prawym uchem miał posklejane krwią. Jej strumyk wsiąkł też w ubranie. Cios musiał być potężny, skoro zakonnik stracił przytomność. Ian szybko ocenił stan przyjaciół. Przeniósł spojrzenie na Tancmistrza, potem na kontener z elfem i na koniec korytarza w obawie, że za sekundę pojawi się w nim Helen.

„Trzech rannych i elf. Nie dam rady uratować wszystkich!”.

Odwrócił głowę ku wyjściu. Zablokowane. Niedaleko drzwi leżało kilku strażników najpewniej obezwładnionych przez Desire. Samochód zniknął, a na zewnątrz wciąż lało. Ian zacisnął usta. Gorączkowo rozmyślał, jak wybrnąć z sytuacji. Usłyszał jęk Tancmistrza, a potem jego ciche:

– *Doloris!*

Spojrzał na niego. Końcem fletu przyjaciel dotykał ran na ramieniu. Przez zaciśnięte zęby powtórzył kilkakrotnie zaklęcie. Rozerwane tkanki nie zasklepiły się, ale przestały krwawić i chyba też boleć. Tancmistrz się podniósł i na szeroko rozstawionych nogach, zataczając się, dotarł do Cicerona. Jego własne cierpienie nie przeszkodziło mu wspomóc opata zaklęciem, lecz było widać, że starszy pan jest w kiepskim stanie. Trzymając instrument, Tancmistrz nakreślił znak krzyża, a wtedy powietrze wypełniła chmura różnokolorowych kwiatów o upajającym zapachu. Kolejny czar – *Viventium* – sprawił, że szare twarze przyjaciół nabrały zdrowszego kolorytu, piersi uniósł wdech, kończyny się poruszyły.

Pierwszy ocknął się Desire. Chwilę siedział oszołomiony, jakby próbując zorientować się w czasoprzestrzeni. Zaraz jednak podniósł się i rozejrzał.

– Długo byłem nieprzytomny? – Dotknął obolałej głowy, ze zdumieniem

odkrywając krew na palcach.

– Zbyt długo – burknął Tancmistrz. – Leć po Brendę. Musi pomóc nam zwać.

– Elf?

– Mamy go. – Głową wskazał kontener.

– A Ciceron? Widziałem, że jest ranny. Co z nim?!

– Źle. Na razie go znieczuliłem. Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym szybciej damy radę mu pomóc. No leć!

Desire pospieszył korytarzem do gabinetu Helen, w którym zostawił uśpioną sekretarkę. Zdrową ręką Tancmistrz złapał Iana za ramię. Szarpnięciem doprowadził do stanowiska ochrony, za nic mając protesty przyjaciela.

– Stój spokojnie!

Szczupłe palce zabębniły w klawiaturę i wkrótce monitory przyniosły odpowiedź. Tancmistrz posłał Ianowi mroczne spojrzenie.

– Tylko się upewniam – wycedził. – Dawno powinienem to zrobić, ale zawsze coś stało na przeszkodzie.

– O czym ty?!...

– Tym razem Gregorian nie kłamała, nie masz czipa. Dobrze! Teraz szybko! Ty bierzesz gołodupca z kontenera, ja Cicerona. Zaraz pewnie wróci to babsko. I na pewno nie będzie sama!

– Ale!...

– Nie czas na wymianę uprzejmości!

Ian kiwnął głową. Najszybciej jak zdołał wrócił do kontenera, uniósł klapę. Chabrowe, usiane srebrem tęczówki elfa spojrzały na niego niezupełnie przytomnie. Minutę oraz ocean przekleństw później Ian zrezygnował z wyszarpięcia golasa na zewnątrz i zwyczajnie... przewrócił kontener. Przy akompaniamencie jęków i wyklinań chudzielec wytoczył się ze środka. Ian kucnął. Kolejnym szarpnięciem przerzucił sobie elfa przez ramię i ostrożnie wstał.

Pod drugą ścianą toczył się podobny pojedynek. Ranny Tancmistrz próbował

podnieść bełkoczącego Cicerona. Kiedy mu się to nie udało, zwyczajnie złapał starszego pana za kołnierz i z całej siły pociągnął. Smuga krwi na podłodze – jaskrawy dowód słabości Tancmistrza – uzmysłowiła mężczyznom beznadziejność sytuacji.

Nagle z dwóch stron korytarza dało się słyszeć tupot i... warczenie? Przyjaciele zdążyli tylko porozumieć się wzrokiem, bo oto jednym końcem nadciągała chmara strażników poprzedzana trzema minivivernami tropiącymi, drugim Desire wraz z ciemnoskórą sekretarką. Wszyscy stanęli jak wryci, a potem Desire ryknął:

– Na bok!

Tancmistrz z Ianem natychmiast odsunęli się ku ścianom, ale zaraz ruszyli ku przyjacielowi. Ten stał z dłonią wspartą o biodro i zaciętym wyrazem twarzy. W drugiej ręce trzymał flet. Machnął nim na viverny.

– *Mortua!* Siad, kundle!

Zakłęcie zadziało. Zastygłe z rozłożonymi skrzydłami zwierzęta nie wyglądały groźnie, raczej groteskowo. Jak realistycznie wykonane rzeźby w gabinecie figur woskowych albo zestaw sporych rozmiarów zabawek dla dzieci. Jednak Ian wiedział, jak te „zabawki” wykorzystająby swe uzębienie, gdyby dać im szansę. Zwłaszcza że nadal mogły poruszać łbami. Zielone ślepia z pionową źrenicą śledziły otoczenie, krzykosyki informowały potencjalne ofiary, co się wydarzy, gdy tylko zakłęcie przestanie działać. Na samą myśl o tym dreszcz przebiegł Ianowi po plecach.

Szybko odgonił ponure myśli, spojrzął na ochroniarzy. Kilku z nich też uziemiło zakłęcie Desire. Zamarli w cudacznych pozycjach, barykadując przejście następnym. Pozostali mogli jedynie wyklinać. Ciemnowłosy zakonnik obejrzał się na przyjaciół.

– Dogonię was!

Machnął ponownie instrumentem, a wtedy niewielki flet, który Desire nosił w cholewce prawego buta, transformował w pełnowymiarowy flet poprzeczny

opleciony *stellum*.

– O nie! Tylko nie to! – mruknął Tancmistrz.

„Będzie dobrze” – zdawała się mówić mina przyjaciela. Uniósł kciuk w górę, ale zaraz skupił się na kolejnych strażnikach, którzy właśnie forsowali mur żywych posągów.

Brenda szturchnięciem dała znać Tancmistrzowi i Ianowi, by szli za nią. Ruszyli bez ociągania. Tancmistrz złapał Cicerona za kołnierz, zaraz jednak wspomogła go Brenda. Złapali opata za ręce i nogi i wspólnie zaczęli wycofywać się ku końcowi korytarza. Nie uszli paru kroków, gdy ponownie usłyszeli tupot nóg, warczenie, a może syczenie kolejnych vivernów i wrzaski ochrony. Odwrócili głowy.

Za ich plecami Desire ciągle stał pośrodku korytarza. Zamknął oczy, flet przyłożył do ust. Wziął wdech, a wtedy... instrument zapłakał! Ian zamarł. Zdumienie rozszerzyło mu źrenice, wzruszenie ścisnęło gardło. W powietrzu znikąd zmaterializowały się... srebrzyste feniksy! Tylko dwa i niewielkie, ale jakież piękne. Smukłe ciała, skrzydła o wydłużonych metalicznych lotkach i niemal pawi ogon wywoływały zachwyt. Szum skrzydeł i kwilenie perfekcyjnie współgrały z muzyką fletu. Ptaki krążyły wokół Desire, przez co mnich wyglądał, jak gdyby stał we wnętrzu srebrnego tornada. Ciemne włosy falowały targane podmuchami powietrza.

– To nie miały być feniksy. – Ian usłyszał szept Tancmistrza. – Nie feniksy! Desire, co ty wyprawiasz?!

Zanim przemyślał uwagę zakonnika, wrzasnął:

– Desire, nie! – A potem: – Wiej, Dee!

Jednak Ian zamarł z rozdziawionymi ustami, wpatrzony w czarodziejskie przedstawienie. Z zachwytu wyrwał go wysoki pisk i wtedy... feniksy zaatakowały. Podziw zastąpiło przerażenie, bo oto Ian zobaczył, że ptaki podlatują do urzeczonych muzyką strażników, machnięciem skrzydeł podcinają im gardła i wracają do ciemnowłosego zakonnika. Ten nadal stał z przymkniętymi

powiekami i wygrywał na flecie najpiękniej, jak potrafił. Palce nawykłe do naciskania spustu pistoletu teraz z wirtuozerią uwalniały dźwięki. Ptaki zatoczyły koło i zaatakowały następnych ochroniarzy, a potem viverny.

Tancmistrz kilkakrotnie machnął instrumentem, zamruczał *Protecto*. Z czarodziejskiej osłony patrzeli na kolejne ciała padające na posadzkę, na karminowy dywan krwi zaścielający coraz większą powierzchnię podłogi i na przyjaciela, którego jak im się wydawało, znali tak doskonale.

Ostatni ze strażników dokonał żywota obok swego viverna. Feniksy nawróciły. Dostrzegły Tancmistrza, Iana i Brendę. Wydały kolejny pisk i rzuciły się ku przyjaciołom.

– *Protecto! Protecto!* – wrzeszczał raz po raz zakonnik.

Feniksy odbiły się od niewidzialnej przegrody, ale zaraz wróciły. A potem jeszcze raz i znowu. Ian pokręcił głową.

– To na nic.

Zagryzł usta.

– Póki on gra – głową wskazał Desire – one będą atakować. Wybacz, Tancmistrz.

Wyszarpnął zaskoczonemu mnichowi flet i machnął nim.

– *Terminatus!* – Zlikwidował czarodziejską zaporę. Muzyka, do tej pory nierobiąca im krzywdy, teraz niemal ich obezwładniła. Ian skierował instrument ku feniksom. – *Terminatus!* – zawołał, ale... nic się nie stało! – Jasna cholera!

– Co robisz, głupcze?! Oddaj! – Warknął Tancmistrz na widok nadlatujących ptaków. – Dawaj ten cholerny flet, inaczej wszyscy zginiemy!

Ale nie było już czasu na kłótnie, na ucieczkę też nie. Ian rzucił się na ziemię.

– Padnij! – wrzasnął.

Nie zdążył sprawdzić, czy Tancmistrz z Brendą zastosowali się do rozkazu, bo srebrzysta śmierć zaatakowała, mijając skrzydłem o włos jego własne gardło.

– Desire, *Terminatus!* – wrzasnął ponownie i znów nic się nie wydarzyło. –

Mortua! – Zakłęcie nie dosięgło ciemnowłosego zakonnika. Odbiło się od jednego z ptaków, nie czyniąc mu krzywdy. – By to elfia!... *Desire, Somnum!* – Po raz ostatni machnął fletem w stronę mnicha kompletnie zatraconego w muzyce. Ale i to zakłęcie nie dotarło do mężczyzny. Ian rzucił flet Tancmistrzowi. – Ochroniaj mnie!

Zerwał się i... rzucił pędem ku ciemnowłosemu zakonnikowi. Susami pokonywał dzielącą ich przestrzeń. Ptaki dostrzegły go, ruszyły za nim w pościg. Gdzieś za plecami rozległo się burkliwe *Protecto*, lecz nie zrobiło wrażenia na feniksach. Coraz głośniejszy szum skrzydeł podpowiadał Ianowi, co się za chwilę stanie. Usłyszał pisk, a potem świst. Pochylił się odruchowo. Srebrzyste ptasie ciała jak pociski przefrunęły nad jego głową. Końcówki piór z ogona jednego z feniksów musnęły plecy Iana, niczym skalpele rozcinając ubranie, nacinając skórę. Poczuł ciepło i ból. Spojrzał przed siebie. Feniksy zawracały. Ian wiedział, że tym razem im nie umknie.

„Pieprzyć to!” – pomyślał.

Pochylił się i skoczył do przodu. Z impetem wyrzwał o podłogę zalaną krwią. Rozpęd i mokre podłoże sprawiły, że ślizgiem dotarł do ciemnowłosego zakonnika i podciął mu nogi. Ten wyłożył się jak długi, a flet wyleciał mu z rąk. Pozostali obserwowali lot instrumentu, który rąbnął w ziemię i uszkodził posadzkę, ale sam nadal był cały.

Gdy muzyka nagle ucichła, feniksy... rozpadły się na milion srebrzystych płomyków, które opadły na podłogę i zniknęły. Chwilę potem *Desire* ocknął się z muzycznego amoku.

– Kiepsko wyglądasz, Ian – szepnął na widok utyłanego krwią przyjaciela i... zemdłał.

Korytarz wyglądał jak pole bitwy: usiane trupami, skąpane we krwi.

Pierwsza odezwała się Brenda.

– A to dał popis! – szepnęła, ale zaraz dodała: – Dopiero teraz mamy przechłapanie! No, chłopaki, jeśli ciągle chcecie stąd uciec, to jest ostatni moment.

Calliere ma więcej strażników. A jak zobaczy to, co tu zmalowaliście, rzuci przeciwko wam wszystkich konstabli Palatynatu i wszystkie bestie, które tu hodują.

Spojrzeli po sobie oszołomieni.

– Zabierajcie flecistę i golasa – zakomenderowała. Nadspodziewanie łatwo przerzuciła sobie Cicerona przez ramię. – Za mną!

– Brenda! – zawołał za nią Tancmistrz.

– Tiaa?

– Na pewno dasz radę? – Wzrokiem wskazał półprzytomnego opata.

Uniosła kciuk do góry i mrugnęła porozumiewawczo.

– Nie takie rzeczy się robiło.

Ostrożnie, by nie pośliznąć się na kałużach krwi, ruszyła korytarzem w sobie wiadomym kierunku. Tancmistrz z Ianem, dzierżąc w ramionach swoje żywe pakunki, karnie podążyli za nią.

* * *

Niemal biegnąc, Brenda powiodła ich z powrotem do Terminala. Jego wrota stały otworem, a jedyny strażnik, dotknięty zaklęciem poszukiwacza, właśnie oddalał się korytarzem wiodącym ku ambulatorium, przetrząsając po drodze wszystkie zakamarki. Widząc to, Brenda zmarszczyła brwi. Zerknęła na Tancmistrza.

– Coś mnie ominęło? – Głową wskazała ochroniarza i otwartą śluzę.

– Nie, skąd? – Tancmistrz wykrzywił po swojemu usta.

– Nic mi do tego, co mu zrobiliście. Ważne, żeby nie wytrzeźwiało zbyt szybko, inaczej będziemy mieć kłopoty.

– Już mamy kłopoty. I liczymy na to, że nas z nich wyciągniesz – mruknął płowowłosa zakonnik.

Tym razem to Brenda się skrzywiła. Zajrzała do środka Terminala.

– A Huxley?

– Kto?

– Hux, nadzorca Terminala. Jemu też zaaplikowaliście jakieś czary-mary?

– Absolutnie nie.

– To gdzie się podział?

– Gdzieś tam. – Tancmistrz machnął ręką ku kolonii kapsuł. – Zajął miejsce naszego golasa.

– Ooo, to dlatego liczba rezydentów się zgadzała. Centrala Instytutu może to sprawdzić. Fizycznie nie wchodzi do Terminala, ale na odległość nie skontrolują, kto konkretnie siedzi w kapsułach. To słaby punkt tego systemu. Pusta kapsuła odesłana na miejsce wywołałaby alarm, a przynajmniej zainteresowanie ochrony. Zapobiegliście temu, wsadzając do niej Huxleya. Sprytne – mruknęła Brenda z uznaniem.

Gdy tylko wpadli do środka, natychmiast zablokowała drzwi i mrużąc: „Leki, potrzebujemy leków”, pobiegła do pomieszczenia obok. Migiem wróciła, niosąc najpotrzebniejsze lekarstwa i opatrunki. Tancmistrz spojrzał na kobietę nieufnie, gdy z jakiejś fiołki nabrała do strzykawki przezroczysty płyn.

– To dla niego. – Głową wskazała Cicerona leżącego na wznak na podłodze. Ruchy miała szybkie i pewne. Słowa opuszczały jej usta z prędkością wiewiórek ścigających się w Memoriale. – Z całym szacunkiem dla was, ale wasze zaklęcia to za mało. Nawet czystej krwi elf znający perfekcyjnie czary miałyby kłopot z udzieleniem mu pomocy. To środek przeciwwstrząsowy. Nie wiem, kto go tak urządził, ale mam nadzieję, że ten lek uratuje mu życie. Wyluzuj – rzuciła, widząc minę Tancmistrza. – Przed chwilą pomogłam wam uciec. Chyba nie sądzisz, że teraz was zabiję?

– No właśnie, pomagasz nam – burknął mnich. – A ja ciągle nie wiem dlaczego...

Brenda wytrzymała jego spojrzenie.

– I niech tak zostanie. Jedyne, co musisz wiedzieć to, że nie tylko wy macie swoje plany i sekrety. A teraz pozwolisz? – Podeszła do Cicerona, odwróciła go na

bok, odsłoniła pośladek. Wprawnym ruchem wbiła igłę. – Z zawodu jestem pielęgniarką, z zamiłowania rewolucjonistką – wyjaśniła. – Twoja kolej. – Zerknęła na Tancmistrza.

– Co?

Zobaczył, że nabiera inne lekarstwo do następnej strzykawki. Zacisnął usta.

– Nie strzelaj fochów, też jesteś ranny – burknęła, nie przejmując się jego miną. – Ten specyfik postawi cię na nogi. Znieczula wszelkie rany, dodaje wigoru, zwiększa wytrzymałość.

– Uparłaś się zagrać w reklamie, co?

Zignorowała kpinę.

– Stosują go konstable zawsze, kiedy pacyfikują Kryształowe Wodospady.

– Skąd to wiesz?

– Mam swoje źródła. Będziemy tak stać i czekać, aż ochrona zapuka do drzwi Terminala czy szybciej zdecydujesz się opuścić spodnie?

Tancmistrz zgrzytnął zębami. Odwrócił się plecami do Brendy. Rozpiął spodnie, odsłonił pośladek. Nie zobaczył wykrzywionych z uznaniem ust kobiety, za to doskonale usłyszał jej szept:

– Ładny.

– Proszę cię! – Chrząknął zażenowany.

Zamiast odpowiedzi poczuł ukłucie, a potem pieczenie w miejscu iniekcji.

– Kobiety! Niby niewiniątka, a co jedna to bardziej świntuszy! – mruknął i szybko podciągnął spodnie.

– Coś mi mówi, że akurat tobie dobrze by zrobiła odrobina bezceństw – palnęła Brenda. – Dobra, koniec flirtów. Nasz muzyk się ocknął. – Głową wskazała Desire, któremu zaczęła wracać świadomość.

Znowu na chwilę gdzieś zniknęła i wróciła z naręczem szarych kombinezonów, jakich używał średni personel.

– Na waszych ubraniach jest sporo krwi. Kaleki interceptor na milę by was

wyczuł. Wyskakujcie z ciuchów! Trzeba się ich pozbyć. No już!

Ian z Tancmistrem wymienili spojrzenia.

– Ciebie, skarbie, gołego widziałam nie raz. – Brenda zerknęła na Iana. – Twoja golizna też raczej niczym mnie nie zaskoczy. – Spojrzała ironicznie na płowowłosego zakonnika. – Migiem, panowie! Nie ma czasu!

Kiedy się przebierali, podeszła do ciągle nieprzytomnego potomka księcia i stanęła jak wryta.

– Zaraz, czy to elf?! – Dopiero teraz dostrzegła podwójną armillę na jego ramieniu, sześć palców u stóp. – Taki... prawdziwy?! Był w naszym Terminalu?! – wyjąkała, nie wierząc, że o to pyta.

– Najprawdziwszy – potwierdził Ian.

– A-ale!...

– Ale jak sama powiedziałaś, nie mamy czasu. Wyjaśnienia muszą poczekać.

Wspólnie pomogli przebrać się Desire. Elfa i Cicerona okryli kocami. Stare ubrania wrzucili do torby, którą również dostarczyła Brenda.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi Terminala. Na sekundę wszyscy zamarli. Kobieta przyłożyła palec do ust i wskazała ścianę na drugim końcu pomieszczenia, gestem nakazała iść za sobą. Podczas gdy walenie w drzwi nasilało się, przyjaciele okrążyli kolonię kapsuł. Ich lokatorzy spali nieświadomi zagrożeń i okrucieństw świata zewnętrznego.

„Może to i lepiej?” – pomyślał Ian, mijając inkubator z ciężarną kobietą w środku. Z jej twarzy bił taki spokój...

Ian poczuł się jak zwierzątko w pułapce: mur zdawał się jednolity, a na drugim końcu ochroniarze właśnie zaczęli forsować wrota. Brenda stanęła twarzą do ściany i czegoś wypatrywała. Nagle z triumfalnym uśmiechem podniosła niewielką klapkę ukrytą za jednym z filarów. Wcisnęła przycisk.

Niedługo potem opuścili Terminal sekretnymi drzwiami i biegiem ruszyli jedną ze ścieżek przecinających nekropolię archikatedralną graniczącą z terenami

Instytutu. Odprowadzały ich pokrzykiwania ochrony i syki vivernów przeszukujących otoczenie.

Kobieta szła przodem, niemal wlokąc ślaniającego się Desire. Rozglądała się. Nekropolia przypominała miasto otoczone niskim murem z szarego kamienia, gęsto zabudowane grobowcami. W labiryncie wyłożonych granitem uliczek łatwo było się zgubić, lecz Brenda zdawała się doskonale znać drogę.

Wędrowali w milczeniu. Ciągłe lało, a skąpane w deszczu chodniki stanowiły zagrożenie. Bez trudu można było się na nich pośliznąć, zwłaszcza komuś tak zmęczonemu jak Ian czy rannemu jak Tancmistrz. Na dodatek obciążonemu bezwładnym ciałem Cicerona.

„Ulewa zmyje nasze ślady – pomyślał Ian. – Dobrze. Viverny nas nie namierzą”.

Nie czuł zimna. Jeszcze nie. Ruch i wysiłek sprawiły, że mimo mokrych ubrań i strug lodowatej wody ciągle było mu ciepło. Na dodatek rany na plecach paliły żywym ogniem, więc deszcz przynosił namiastkę ulgi.

Zacisnął zęby. Podążał za Brendą i – by zająć umysł czymś innym – skupił się na tych wszystkich kunsztownie wykonanych kaplicach. Na zdobionych pięknymi rzeźbami grobach. Przeważały figury aniołów w różnych pozach, ze skrzydłami opuszczonymi albo rozłożonymi, ale były też harfy, róże czy kaganki. Lecz szczególną uwagę Iana zwróciła postać feniksa siedzącego nad wejściem do jakiejś kapliczki i trzymającego w dziobie klepsydrę. Zdawał się śledzić wzrokiem uciekinierów. Tuż obok znajdował się maleńki nagrobek z figurką kilkuletniego chłopca przytulonego do śpiącego vivernika. Zachwycił i zasmucił Iana.

„Jeśli oficjalnie umarłem, gdzieś tu musi być też mój grób...”.

Pomyślał, że wiele by dał, by zobaczyć to miejsce. Spojrzał na szerokie plecy kobiety idącej przed nim i na słabego Desire, którego podtrzymywała. Zastanowił się, czy Brenda pokazałaby mu rodzinny grobowiec, gdyby poprosił, ale zaraz ofuknął się w myślach.

„Nie czas na sentymenty!”.

Zacisnął zęby, mocniej chwycił łydki elfa przerzuconego przez ramię. Ten stęknął. Poruszył się i mało co, a wypadłby z jego objęć.

– Co za dzień! – mruknął Ian opryskliwie. – Najpierw niemal zabił mnie poranek melomana, potem wzięłem kąpiel w cudzej krwi, a teraz jeszcze to! Slalom w deszczu między grobowcami! Na dodatek pole widzenia ogranicza mi mrożony pięćdziesiąt lat tyłek! Męski!

– Nie był mrożony – dobiegł go szept z za pleców.

– Wzruszyłem się! – prychnął Ian. – Niech ci nie wpadnie do głowy zwierzać mi się z higieny osobistej, elfie!

Odpowiedzią było bulgotanie, po którym coś ciepłego, mokrego i śmierdzącego spłynęło po nogawce Dee.

– Na Onyksową Harfę! Czym oni was tam karmili?!

Kolejna odpowiedź nie padła, bo jego półżywy bagaż prawdopodobnie zemdłał. Ian zdwoił wysiłek, by nadążyć za Brendą, która właśnie wkroczyła do starszej, zapuszczonej części cmentarza.

Tu dróżki były węższe, bardziej zarośnięte, bez płyt chodnikowych, a ziemia pod wpływem ulewy zmieniała się w śliską glinę. Zwolnili. Bez słowa ostrożnie stawiali stopy. Jednostajny szum deszczu przerywało sapanie Tancmistrza, jęki Cicerona, czasem odległe syki vivernów i odgłosy pogoni.

Ian wiedział, że zaklęcie *Doloris* nie załatwi wszystkiego. Nie uleczy ran, nie zniweluje zmęczenia ani nie będzie działało w nieskończoność. Potrzebowali odpoczynku, więcej leków, pożywienia i choć odrobiny ciepła po tym lodowatym prysznicu, który zafundowała im natura. Czuł, że bez tego wszystkiego długo nie pociągną.

Zerknął na Tancmistrza. Mimo odniesionych ran i dźwigania Cicerona jego mina pozostała beznamiętna. Wolniejsze ruchy, potykanie się, chwiejny krok podpowiadały, że tylko zastrzyk Brendy utrzymuje go w pionie. Należało coś zrobić, i to szybko.

Tymczasem Brenda powiodła ich ku zrujnowanym, zapomnianym

kapliczkom. Niedaleko jednej z nich stanęła, rozejrzała się, rozgarnęła chaszcze. Przedarła się przez wysoką, śliską trawę do grobowca zdobionego rzeźbą elfki grającej na harfie. Kaplica nie miała schodków. Otaczało ją morze dzikiej zieleni. Kolumnienki przy wejściu zaanektował bluszcz. Popękany dach stał się nowym domem dla wszelkiego zielska i kilku maleńkich brzózek.

Brenda kiwnęła na nich. Gdy podeszli, przekreśliła rzeźbioną w ścianie, a ukrytą pod liśćmi klepsydrę o sto osiemdziesiąt stopni. Rozległo się jakby tykanie zegara i rzeźba zaczęła wracać na swoje miejsce. Kobieta powtórzyła to jeszcze trzy razy. Mężczyźni stali za nią, szczękając zębami z zimna, jednak ani jedno słowo skargi nie wydobyło się z ich ust.

Nagle figura elfki wysunęła się do przodu. Jej ręka już nie trzymała harfy. Była wyciągnięta jak do powitania. Brenda ujęła ją i też przekreśliła. Coś zgrzytnęło. Kobieta odsunęła się i pozostali zrobili to samo. Spod drzwi zaczęły wyjeżdżać schodki, a same wrota bezszelestnie się uchylily.

– Patrzcie pod nogi.

Brenda gestem zaprosiła ich do środka. Zanim sama weszła, upewniła się, że nikt ich nie ściga. Strugi wody zdawały się skutecznie odgradzać ich od świata. Kobieta wspięła się na stopnie, drzwi zamknęły się za nią równie cicho, jak otwarły.

* * *

Chwilę stali w całkowitych ciemnościach, wdychając stęchłe powietrze. Woda ściekała z ich mokrych ubrań, tworząc małe jeziora wokół stóp. Trzęśli się. Z emocji? Zmęczenia? Ran, głodu, zimna?

Gdzieś obok rozległo się szuranie. Ktoś się potknął, zaklął szeptem. Usłyszeli zgrzyt. Jakby przesuwania ciężkiego kamienia. Snop światła omiótł wnętrze.

– Wybaczcie – mruknęła Brenda. – To miejsce znam tylko z przekazów. Nigdy nie musiałam z niego korzystać.

Kaplicę rozświetlił pojedynczy prosty lampion. Rozejrzeli się. Ściany

z szarego kamienia zdobione były płaskorzeźbami feniksów i innych mitycznych stworzeń, a ekskluzywne kinkiety teraz obrósł gąszcz pajęczyn. Na sarkofagu z białego marmuru ustawiono... dwie urny z górskiego kryształu. Całość obficie pokrył kurz.

– Jak zauważyliście, o tę część cmentarza nikt nie dba. Tu chowano elfy na długo przed zarazą. Tak zwana miłość do nich to pieprzona hipokryzja. Tylko strach przed rozlaniem się zamieszek poza Kryształowe Wodospady powstrzymuje palatyna przed zrównaniem tego miejsca z ziemią – poinformowała szeptem Brenda, biegnąc od jednego kinkietu do drugiego i zapalając umieszczone w nich kaganki.

Ciepłe światło rozproszyło mrok, pozwalając mężczyznom się rozejrzeć.

– Władze nie mają odwagi zniszczyć wszystkiego naraz, ale co roku dyskretnie zabierają fragmenty cmentarza dla własnych celów. – Kobieta sapnęła gniewnie. – Tym sposobem za parę lat Nekropolia Elfów stanie się legendą. Ale nie pora na lekcję historii. Oliwy w kagankach wystarczy na kwadrans. Tylko tyle możemy odpocząć. Wiem, potwornie tu ciasno, ale nie mamy wyjścia. Opatrzyć rany. Poczekać.

– Poczekać? Na co? – rzucił Tancmistrz. – Cador NIE MOŻE czekać!

Pozwolił, by ciało Cicerona zsunęło się z jego ramienia. Najdelikatniej jak zdołał posadził opata na ziemi, oparł plecami o sarkofag. Mnich się zachwiał. Nie krwawił, ciągle był półprzytomny, ale co najważniejsze żył. Tancmistrz kucnął koło niego, objął. Głowa staruszka opadła na pierś. Coś mamrotał.

Ian z elfem przysiedli pod ścianą, a Desire usadowił się obok. Wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Nie mamy wyjścia – mruknęła Brenda. – Uruchomienie rzeźby przy grobowcu aktywuje ekipę ratowniczą po drugiej stronie. To znak, że potrzebna natychmiastowa pomoc, ale trzeba im dać parę minut.

Zobaczyła pytanie w oczach mężczyzn.

– Niedługo zrozumiecie. Teraz wasze rany. Zaczniemy od niego. – Wskazała

Cicerona.

Szybko obeszła całe pomieszczenie, najwyraźniej czegoś szukając. W końcu ciemne oczy dostrzegły coś za jedną z kolumniek zdobiących ściany. Brenda pogłodziła płaskorzeźbę feniksa siedzącego na gałęzi drzewa.

– A ochroniarze? – spytał Ian. – Nie znajdą nas tu? Mają viverny!

– Które świata zewnętrznego na oczy nie widziały! – odparła kobieta. – Jaskiniowy grafitowy prowadzony na smyczy przez byle dzieciaka szybciej by nas wytropił niż ta banda nieudaczników.

– No nie wiem... – Ian pokręcił głową.

Kobieta jakby nie usłyszała ostatnich słów. Całą uwagę skupiła na fragmencie rzeźbionego drzewa, który teraz wysunął się ze ściany. Sięgnęła do wnętrza skrytki znajdującej się za nim. Chwilę przeglądała jej zawartość, ale zaraz wróciła do Cicerona i Tancmistrza siedzących przy sarkofagu w kałuży wody. W dłoniach dzierżyła metalowe pudełko. Położyła je koło stóp opata i otworzyła. Skrywało wszystkie najpotrzebniejsze medycznie skarby świata i namiastkę pożywienia w postaci batoników energetycznych. Ciemne dłonie kobiety z wprawą rozcięły ubranie starszego pana. Zbadała go, zdezynfekowała ranę, a jednocześnie zaczęła objaśniać:

– Poznałam cię jakiś rok temu, Ian. – Posłała mu ciepły uśmiech. – Parę tygodni wcześniej zaczęłam pracę w Instytucie.

– Parę tygodni?! Myślałem...

– Że pracuję tam od lat? Nie. Udało mi się dostać tę robotę jakieś trzy miesiące przed twoją tak zwaną śmiercią. Jak już się pewnie domyśliliście – zerknęła na pozostałych mężczyzn – mamy wspólnego wroga, choć należymy do różnych organizacji. Miałam przeniknąć do Instytutu i dowiedzieć się... ehm... zresztą nieważne – urwała, czując, że zdradza zbyt wiele. – Ale zamiast do laboratorium, przydzielili mnie do części szpitalnej. W Święto Srebrzystych Kaganków przywieźli ofiary strzelaniny. Co ciekawe, zainteresowała się nimi mało znacząca lekarka, Helen Gregorian. Jak się później okazało, szara eminencja

Instytutu, ale wtedy tego nie wiedziałam. Osobiście zrobiła sekcję tylko jednej ofiary.

Brenda zawiesiła głos jakby dla lepszego efektu.

– Tamten facet był łudząco podobny do niego. – Kiwnięciem głowy wskazała Cicerona. – Resztę pokroili studenci. Ale mnie zaskoczyło, że Gregorian zajęła się też jedyną osobą, która przeżyła. Tobą. – Spojrzała na Iana. – Zaintrygowało mnie, że zwyczajny anatomopatolog wydaje polecenia i cały szpital wykonuje je bez szemrania. Że ktoś na co dzień krojący trupy wkracza na oddział intensywnej terapii jak do siebie. Że wypruwa sobie żyły, by uratować pacjenta, a potem tak często go odwiedza i dowiaduje się o jego zdrowie. Gdybyś widział, jak o ciebie walczyła... – Spojrzała na Iana tak, że przeszły mu ciarki po plecach. – Jakbyś, nie przymierzając, był ostatnim żywym elfem czystej krwi. Pamiętam, że w tamtym momencie nawet ją podziwiałam...

– I nie zastanowiło cię, czemu to zrobiła?

– Zastanowiło, a jakże. Tłumaczyłam sobie, że przecież jest święto i personel jest okrojony. Że Gregorian to bardzo mądra babka, bo prócz anatomopatologii ma kilka innych specjalizacji, no i akurat ma dyżur. Ale potem...

Ciemne oczy skupiły się na ranie Cicerona. Oczyszczyła ją, zdezynfekowała, zaczęła zamykać specjalnym klejem. Kontynuowała szeptem, który odbijał się od ścian grobowca, potęgując niepokój zebranych.

– Potem nie przekazała cię innym lekarzom. Nadal się tobą zajmowała. Z jakimś obsesyjnym zacięciem. No i zobaczyłam, co ci zrobiła. Parę razy zabrała cię z izolatki. Wracaleś po kilku godzinach, byleś wrakiem i w gorączce bredziłeś coś o ubranej w ciemne szaty zjawie, która wypruwa ci wnętrzności. Myślałam, że to halucynacje, wina leków, które dostawałeś. Ale miałeś kilka świeżych ran, które szybko zabiłniały się pod wpływem różnych maści. Gregorian tylko zakazała smarować tej na udzie, boku i na piersi. Nikt nie miał odwagi pytać dlaczego. Byłam przekonana, że zrobiła z ciebie królika doświadczalnego.

Ian patrzył na nią bez słowa.

– Ian McLaurie pochodził ze znanej rodziny. Nie rozpoznałaś go? – słabym głosem zapytał Desire.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Od początku miał bandaż na twarzy. Podobno z powodu ubytków skóry czy zakażonych ran... A w karcie wpisane: Richard Dee-Zander. Teraz wiem, że chcieli ukryć jego prawdziwą tożsamość, a potem zmodyfikowali wygląd. Gdybym wiedziała, kto kryje się pod opatrunkami... – Westchnęła. – Szkoda, że to się stało dopiero dziś.

Skończyła opatrywać Cicerona. Ponownie opatuliła go kocem, którego zewnętrzna powierzchnia okazała się wodoodporna. Następnie przeszła do Tancmistrza. Zajęła się jego ramieniem. Zacisnął zęby i nawet nie jęknął, kiedy przemywała ranę postrzałową.

– Jak wspomniałam – Brenda wznowiła opowieść – miałam w Instytucie inne zadania do wykonania. Ciebie, Ian, nie było na tej liście. Byłam jedną z wielu pielęgniarek pracujących na oddziale. Ty leżałeś w izolatce, a tam wstęp miało kilka starannie wybranych osób. Z początku sumiennie się tobą zajmowali, pilnowali cię. Jakbyś był skarbem, o którym nikt nie ma prawa się dowiedzieć. Z czasem poluzowali dyscyplinę. Jak to w każdej firmie, ktoś zachorował, ktoś inny wziął wolne. Dni płynęły leniwie, bez niespodzianek, jeden za drugim takie same. Dość powiedzieć, że z powodu braków kadrowych i rutyny coraz częściej przydzielali opiekę nad tobą mnie.

Skończyła opatrywać Tancmistrza.

– Ramię będziesz miał równie ładne jak tyłek, o ile zadbasz o tę ranę. – Rzuciła mu znaczące spojrzenie. Z metalowego pudełka wyjęła kilka batoników. Podała mężczyznom. – Jedzcie. Na głodniaka świata nie podbijecie, a to postawi was na nogi.

Podczas gdy przyjaciele zajęli się przeżuwaniami słodkości, ona przyjrzała się ranie na głowie Desire.

– Siedź spokojnie! – mruknęła, bo syknął, gdy przemyła mu ranę środkiem

dezynfekcyjnym. Dokładnie ją obejrzała. – Masz szczęście, nie trzeba szyć. – Kropelka kleju zamknęła ranę na głowie ciemnowłosego zakonnika.

– Dzięki, Brenda – szepnęła i przyjął od niej batonik energetyczny.

Ian przełknął ostatni kawałek.

– Dlatego mi pomogłaś? Bo znęcali się nade mną? – spytał cicho, kiedy zaczęła oglądać jego poranione plecy.

Spojrzała na niego.

– Chciałabym powiedzieć, że tak. Wyszłabym w waszych oczach na bohaterkę. Zaczęlibyście mnie podziwiać, może nawet lubić. Ale prawda jest brzydka. Moim celem było zdobywanie informacji. Głównie z laboratorium. A ciebie z początku widywałam sporadycznie. Dopiero gdy na stałe przydzielili mnie do opieki nad tobą, zrozumiałam, że to, co robią, nie jest standardowym medycznym postępowaniem. Byłeś dla nich ważny. Eksperymentowali na tobie. Nie mogłam takiej wiadomości nie przekazać dalej. A potem zwyczajnie cię porwałam.

– Co proszę?!

Kobieta westchnęła. Nieco zbyt impulsywnie przemyśla poranione plecy Iana. Stęknął.

– No PRAWIE porwałam. Tak, wiem, jak to brzmi. Przekazałam informacje o tobie moim przełożonym, a oni kazali mi to zrobić. Doszli do wniosku, że musisz być kimś ważnym. Że gdy wydobrzejesz pod naszą opieką, zdradzisz, co robiła ci Gregorian i w jakim celu. Opowiesz, kim ona jest i co się dzieje w laboratorium. Że będziesz dla nas cennym nabytkiem. Zaaranżowaliśmy to tak, że pewnego wieczoru ktoś podpalił skrzydło szpitalne. Ktoś inny pomógł ci wydostać się z izolatki. Ja byłam wtedy w budynku głównym z dala od wszelkich podejrzeń. Kłopot w tym, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Strażnicy, których podstępem odwołałam, nagle pojawili się z powrotem pod drzwiami twojego pokoju. Pożar trawił wszystko na swojej drodze. Przedarłeś się przez ścianę płomieni, ale nasz człowiek już nie. Strażnicy wypuścili viverny. Część skrzydła

szpitalnego spłonęła. Na drugi dzień w pogorzeliśku znaleźliśmy kilka zwęglonych ciał bestii i ludzi, ale twojego wśród nich nie było. Monitoring pokazał, że uciekłeś i Gregorian, i mnie... Nie mogli nawet posłać za tobą viverna. Nie podjąłby tropu, bo prawie wszystkie twoje rzeczy spłonęły. Resztę śladów zmyła ulewa.

– Prawie wszystkie?

– Pamiętasz, co mówiła Gregorian? Że większość jej pomysłów zapisywałeś w swoim notesie pod jej dyktando? Że miałeś wędrować po Palatynie i podświadomie szukać? Jego – głową wskazała Cicerona – i jakichś klepsydr? Zapis kamer pokazał, że zwiąłeś z tym notesem. Miałam nadzieję, że nie zaczniesz realizować planu tej kobiety. Namieszała ci w głowie bardziej, niż myślałam.

Tancmistrz z Desire porozumieli się wzrokiem. Ian wpatrzył się w nią z niedowierzaniem i jakby z napięciem.

– Co zrobisz teraz? – zapytał cicho.

Uśmiechnęła się. Pokręciła głową.

– Pytasz, czy was wydam? Spokojnie, moja misja skończona. Przez te miesiące po twojej ucieczce udało mi się wkupić w łaski Gregorian. Zostałam jej sekretarką. Dzięki temu wiem wszystko, czego kazano mi się dowiedzieć, i zrealizowałam wszystko, co kazano mi zrobić, a ty ze swoimi zanikami pamięci i tak nie powiedziałbyś nam nic nowego. Jak mówiłam, jestem po waszej stronie, ale moje cele są inne.

– Rozumiem, że nie wrócisz też do Instytutu? – burknął Tancmistrz.

– Po jego koncercie? – Brenda wskazała głową Desire.

Ciemnowłosy zakonnik popatrzył na przyjaciół jeszcze nieco rozkojarzony.

– Fałszowałem?

– Nie – odparł Tancmistrz.

– To co było nie tak?

– Poza wyczarowaniem pary srebrnych feniksów w roli seryjnych morderców? Absolutnie nic – palnął Ian.

– Fe... Feniksów?! Tancmistrz, to prawda?!

Ten rzucił Ianowi mordercze spojrzenie, zmełł w ustach przekleństwo.

– Małe były – burknął w kierunku Iana, jakby chciał powiedzieć: „Nie waż się mówić nic więcej!”.

– Ale feniksy?! Czy one?!... – gorączkował się Desire.

– Uratowałeś nam życie i tylko tyle musisz wiedzieć! – uciął przyjaciel. – Dość gadania, czas...

Ale w tym momencie usłyszeli jęk Cicerona, jego oddech przyspieszył. Odwrócili głowy. Nawet w świetle tych kilku kaganków twarz starszego pana wydała im się upiornie biała. Jak odratowany topielec rozpaczliwie próbował nabrać powietrza. Dłoń zacisnęła się na brzegu koca. Nogi zaczęły podrygiwać. Brenda spojrzała ponuro na mężczyzn.

– Pożegnajcie się – szepnęła. – Nie zostało mu dużo czasu.

Tancmistrz zaklął.

– Twój zastrzyk... Miał go uratować!

– Na śmierć nie wymyślono jeszcze lekarstwa – odparła. – Twoje zaklęcie nic nie dało, mój lek też okazał się za słaby. Być może kapsuła w Terminalu by mu pomogła, ale tam wrócić nie możemy. Przykro mi.

Tancmistrz zerwał się. Mokrymi dłońmi zaczął targać włosy. Analizował. Gorączkowo szukał rozwiązania. Przyjaciele obserwowali go z ponurymi minami. Nagle jego oczy spoczęły na nieprzytomnym elfie ciągle siedzącym pod ścianą. Zapatrzył się w niego, potem omiótł spojrzeniem przyjaciół.

– Czarna godzina! – mruknął. – Miało być na czarną godzinę.

Doskoczył do torby z poprzednimi ubraniami, wyciągnął własne. Z czeluści jednej z kieszeni dobył flakonik, na którego dnie zebrani ujrzeli resztki rubinowej substancji.

– Co to? – odezwała się Brenda.

– Krew interceptora – szepnął Desire. – Wybudziliśmy tym elfa.

– Macie w tym krew interceptora?! – Palec Brendy wskazał flakonik. Z wrażenia zaczęła się jąkać: – To jest...

Nikt jej nie słuchał. Wszyscy skupili się na Tancmistrzu oraz Ciceronie.

– Myślałem, że nic nie zostało. – Desire spojrział zaskoczony na przyjaciela.

– Oszczędny jestem! – warknął Tancmistrz. – Albo go to zabije, albo uzdrowi.

Rzucił się ku opatowi, ukląkł, odkorkował flakon. Krew, jak gęsty rubinowy syrop, niezdolnie powoli spływała ku szyjce buteleczki.

– Było tego więcej?! – gorączkowała się Brenda. – Skąd to macie?! Z Terminala? Nie wiedziałam, że mają tam takie rzeczy! I jeszcze ten elf... Jest tam więcej elfów czystej krwi?! Po co wam ten konkretny?! Obiecaliście mi wyjaśnienia!

Ponownie zignorowali jej pytania. Podczas gdy Brenda mruzczała ze złością: „Hux, ty gnojku! Powiedziałeś mi o ukrytych drzwiach, a to zataiłeś?!”, oni zajęli się opatem. Teraz to Ciceron i jego życie były priorytetem. Desire przytrzymał starszego pana, a Tancmistrz starał się precyzyjnie wkropić płynny skarb do jego ust.

– No dalej! – szeptał Desire. – Stary draniu, nie rób nam tego! Przełknij cholerstwo i wracamy do domu!

Ciceron się szarpnął. Klatka piersiowa raz po raz unosiła się spazmatycznym wdechem. Rubinowe złoto przeciekło między jego zębami, rozlało się na języku. Nagle oczy staruszka otworzyły się, wpatrzyły gdzieś w przestrzeń przed sobą. Bładowodniste tęczęwki błysnęły ogniem. Przerazenie rozszerzyło źrenice. Gdzieś z głębin gardła dobył się okropny krzyk pełen bólu. Ciceron wyprężył się, a potem opadł bezwładnie na posadzkę koło sarkofagu. Desire spojrział na Tancmistrza.

– Czy on?...

Płowowłosa zakonnik sprawdził puls opata.

– Tancmistrz?

Ten ciągle nic nie mówił. Przyłożył ucho do klatki piersiowej starego

zakonnika. Gestem nakazał wszystkim milczenie. Jedną potwornie długą chwilę słuchał. Nagle uniósł się, sapnął. Zobaczyli, że policzki ma mokre od łez. Skrzywił usta. W dłoniach znikąd pojawił się flet Iana. Tancmistrz przesunął nim nad ciałem przyjaciela.

– *Viventium...*

Kołdra cudownie pachnącego kwiecica okryła Cicerona. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, ale nie wydarzyło się nic. Tancmistrz powtórzył zaklęcie raz i drugi. I to nie przyniosło efektu. Zaczął coś mrużyć pod nosem. Gestem zlikwidował kwiaty. Ułożył Cicerona na wznak, dłonie położył na jego mostku. Następnym kilka minut obserwowali, jak z zacięciem robi staruszkowi masaż serca. Nikt nie śmiał otworzyć ust, by uświadomić Tancmistrzowi, że to nie ma sensu, że Cicerona już nie ma. Że teraz ciało staruszka to pusta skorupa, z której niczym z pękniętego naczynia wypłynęła cała życiowa energia. Obserwowali go i żal ścisnął im gardła.

– Cor, błagam! – szeptał płowowłosy zakonnik. – Cor!...

– Nic z tego nie będzie – usłyszeli słaby głos dobiegający gdzieś spod ściany.

Lekceważący ton mówiącego podniósł ciśnienie Tancmistrzowi.

– Będzie!! Musi być!

– Jeśli podałeś mu krew interceptora, to twój przyjaciel jest teraz jak śpiąca królewna po randce z wrzecionem. Zimny i sztywny.

Wszyscy odwrócili głowy w stronę głosu. Pod ścianą, opatulony w koc siedział chudy blondyn. Chabrowe oczy płonęły niezdrowym ogniem, ale ich posiadacz był całkowicie przytomny.

– Ożywiłem ciebie, to ożywię i jego! – warknął Tancmistrz.

– Tylko jeśli jest czystej krwi elfem. Jeśli to mieszaniec, to wybac, ale osiągnąłeś efekt odwrotny.

– To znaczy?!

– Wprowadziłeś go w stan podobny do głębokiej hibernacji. Zupełnie jakbyś

go włożył do kapsuły Terminala.

Ian zmarszczył brwi, przyjrzał się blondynowi z uwagą.

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że Cador żyje?!

– Dokładnie.

– A ty wiesz, jak go wybudzić? – upewnił się Tancmistrz.

– Na początek zabierz łapska z jego piersi. Za połamane żebra z pewnością ci nie podziękuje, kiedy się ocknie.

– A kiedy to nastąpi?

Elf wydał usta.

– Za chwilę albo nigdy. To zależy, czy macie odpowiednie antidotum.

W tym momencie odezwała się Brenda.

– Przepraszam, panie elf...

– Mów mi Daniel, skarbie.

Kobietę z wrażenia zamurowało. Pozostali zerknęli na niego skonsternowani.

– Obawiam się, że musicie iść. Zaraz zgasną kaganki... – bąknęła.

– A to oznacza, że?...

– Że wasz ratunek czeka po drugiej stronie.

– Po drugiej stronie czego? – wtrącił Ian.

– Cmentarza – odparła Brenda. – Jeśli dziadek jest zahibernowany, to wybudzanie może poczekać, tak?

Elf wzruszył ramionami.

– Właściwie może – zgodził się.

– Świetnie. To dla ciebie... Daniel. – Brenda podała mu dodatkowy komplet ubrań, który gwizdnęła z Terminala. – Mam nadzieję, że będą pasowały.

– Na Onyksową Harfę! Nic gorszego nie było? Rąbnęłaś te szmaty z lochów więziennych czy z przytułku dla kalekich trolli?

Brenda puściła tę uwagę mimo uszu, ale zauważyła, że Desire zacisnął pięści,

a Tancmistrz posłał elfowi lodowate spojrzenie.

– No a wy? Co żeście za jedni? I co to za nora? Bo na Instytut mi to nie wygląda. – Elf skrzywił się i chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się Ian. Jego stanowczy ton zaskoczył kompanów.

– Wszystko wyjaśnimy ci później. Na razie bądź uprzejmy się ubrać. Dziękuję.

Elfa na moment zamurowało. Przyjrzał się Ianowi uważnie, ale zaraz nieco ślamazarnie, lecz – co najważniejsze – bez protestów włożył ubrania.

Brenda złapała torbę ze starymi ciuchami. Podeszła do skrytki. Nim zaczęła upychać bezkształtny tobolek do środka, Ianowi coś się przypomniało.

– Czeka!

Podbiegł do niej, wyjął torbę z jej rąk. Dłonie metodycznie przekopywały bagaż. Kobieta śledziła jego poczynania bez słowa. W końcu Ian trafił na to, czego szukał.

– Teraz zrób z torbą, co chcesz – mruknął i wrócił do przyjaciół. – Podobno jestem beznadziejny w zaklęciach. – Z uśmiechem podał Desire skórzany pasek dopiero co wyciągnięty ze szlufek spodni. Tancmistrzowi wcisnął do rąk mały, nabijany ćwiekami portfel. Ian wzruszył ramionami, jakby uprzedzając pytania. – Wasze rzeczy. Spluwy co prawda stracone bezpowrotnie, ale to udało mi się przechować.

Dotknął palcem portfela, potem skózanego paska, mruknął *Terminatus*, a wtedy skóra zaczęła trzeszczeć, na przemian rozciągać się i kurczyć, a sama portmonetka zmieniać kształt i rozmiar. Wszyscy patrzyli zaintrygowani. Po chwili proces się zakończył. Dwa pasy na drobiazgi, które panowie oddali Ciceronowi przed wejściem do Instytutu, wróciły do swych właścicieli.

Tancmistrz wykrzywił po swojemu usta, co miało być oznaką podziwu. Desire milczał. Patrzył na swój pas i dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu chrząknął i nie patrząc na Iana, burknął podejrzenie łamiącym się głosem:

– Dzięki.

Dopiero teraz zobaczyli, że do jego pasa doczepiona była niewielka bransoletka z różyczkami. Tancmistrz dyskretnie uniósł kciuk, jakby chciał powiedzieć: „Dobra robota, cholernie dobra!”.

– Trochę obciachowe te czary. – Daniel ziewnął. – Tak to może popisywać się młodociany elf przed bandą skretyniałych gnomów.

Spojrzeni na niego zde gustowani, a Tancmistrz pomyślał, że już dawno nie spotkał istoty, która samą swą obecnością potrafiłaby zirytować tak wiele osób w tak krótkim czasie. Traf chciał, że byli skazani na tego bufona i chwilowo nie mogli nic na to poradzić.

– Słuchaj, Daniel... – warknął płowowłosy zakonnik, ale w tym momencie Brenda złapała go za rękaw.

– To może poczekać! Teraz serio musicie iść.

Mnich zacisnął usta i pokiwał niechętnie głową. Za jego plecami Desire wykonał oszczędny gest, mruknął *Sincantatum* i *Somnum*, a wtedy Daniel zamknął oczy i zamarł wsparty o ścianę.

– Wolę go nieść, niż słuchać, jak gada. – Wzruszył ramionami.

Tymczasem Brenda podeszła do urn stojących na płycie sarkofagu. Zatrzymała się naprzeciw nich. Ciemne palce chwilę przeszukiwały krawędź płyty. W końcu wcisnęły jej fragment. Płyta zgrzytnęła i odsunęła się na bok. Front opadł, a pośrodku ziała otchłań. Brenda ujrzała zdumienie na twarzach mężczyzn.

– Że tak to ujmę, to jest PRYWATNE wejście do katakumb. Długo przed powstaniem Palatynatu tam właśnie chowano mieszkańców. – Wskazała czeluść. – Podobno kilometrami ciągną się pod Metropolią, są wielopoziomowe i niestety musimy z nich skorzystać. Wychodzenie z powrotem na teren cmentarza nie wchodzi w grę. Nie czas na wyjaśnienia. Jedyne, co musicie zapamiętać to, że macie iść prosto i liczyć przecznice. Skręcicie w piątą w prawo i dojdziecie do rozwidlenia. Na nim znów w prawo i prosto do końca. Tam będzie ktoś na was czekał. Zapewni wam bezpieczną drogę ucieczki z Metropolii. Tej osobie możecie całkowicie zaufać, kimkolwiek będzie. Aha, niech wam do łbów nie wpadnie

schodzić na niższe poziomy. To głupie i niebezpieczne. Z tego labiryntu nie dalibyście rady umknąć.

– A ty? – zapytał Desire.

W odpowiedzi posłała mu uśmiech.

– Jak powiedziałam, katakumby to plątanina pełna zakamarków. Dla mnie też się jakiś znajdzie. No, nie traćcie czasu! I weźcie to. – Wcisnęła do rąk Desire latarkę. – Tam podobno lepiej nie używać czarów, a ja i tak mam zapasową.

Patrzyła, jak po kolei znikają w czeluściach. Ostatni wchodził Tancmistrz. Odwrócił się i podał jej rękę. Płyta sarkofagu zamknęła się nad ich głowami, gdy ostrożnie, krok po kroku schodzili w głąb podziemi.

Nie wiedzieli, że pogoń właśnie dotarła do starej części nekropolii, a miniviverny tropiące zaczęły krążyć wśród zrujnowanych kapliczek. Wyczuły nikłą woń palonej w kagankach oliwy, śladowe ilości krwi, którą mężczyźni przynieśli tu na siebie. Deszcz jednak ciągle padał, filtrując powietrze z wszelkich aromatów. Na dodatek zmienił ziemię niemal w grzęzawisko, dlatego bestie krążyły bezradnie, nie mogąc wskazać dalszej drogi.

Z grupy ochroniarzy wyłoniła się niewielka postać odziana w przeciwdeszczową pelerynę. Towarzyszył jej barczysty mężczyzna. Ulewa zdawała się nie robić na nich wrażenia. Istota zlustrowała wzrokiem kręcące się bez celu viverny, ochroniarzy, zarośnięte chaszczami grobowce. Analizowała. W końcu spojrzała na towarzysza swymi intensywnie błękitnymi oczami.

– Są w którejś z nich. – Wskazała kapliczki. – Macie przeszukać wszystkie!

– To grobowce pierwszych elfów!

– Mam się z tego tytułu wzruszyć? Odprawić jakąś ceremonię? Popłakać?

Braden zerknął spode łba na Helen, zacisnął usta, potrząsnął głową.

– Nie, oczywiście, że nie. – Odwrócił się ku pozostałym strażnikom. – Słyszeliście! Przeszukać kaplice! Wszystkie! No już!

Podczas gdy ochroniarze szturmowali wejście do najbliższego grobowca,

plowowłosy zakonnik i ciemnoskóra kobieta zatrzymali się u podstawy prowizorycznych schodów.

– To chyba czas pożegnania – mruknął Tancmistrz.

Ze zdumieniem odkrył, że przykro mu się rozstawać z tą pyską pielęgniarzką o apetycznych kształtach.

– Na to wygląda – odparła szeptem.

Dłuższą chwilę trwali w milczeniu, jakby chcąc ten moment odwlec, ile się tylko da. W końcu Tancmistrz ujął dłoń Brendy, uniósł ją do ust, ucałował. Wiedział, że już się nie spotkają, a jednak mruknął: „Do zobaczenia” zamiast: „Żegnaj”. I jeszcze: „Dziękuję”.

Zanim odszedł w mrok korytarzy, ponownie chwyciła go za rękaw.

– Ten staruszek – kiwnęła głową ku tunelowi, w którym rozpląnął się Ciceron niesiony tym razem przez Iana – naprawdę tak świetnie zna się na medykamentach?

– Jak nikt w całym Palatynie.

Brenda się zawahała. Przygryzła usta. Chwilę biła się z myślami. W końcu sięgnęła do jednej z kieszeni. W świetle latarki na ciemnej dłoni pojawiła się fiołka.

– Instytut ma wiele tajemnic. Pomogliście mi odkryć sporo z nich. Na przykład, że czystej krwi elfy nadal żyją i są tam przetrzymywane, choć mogą jedynie podejrzewać do jakich celów. Że w Instytucie mają krew zakazanego interceptora.

– Znaleźliśmy tylko tę jedną ampułkę – zaznaczył Tancmistrz.

– Ale była. To bardzo cenne informacje. Pracowałam tam rok, a nie udało mi się takich rzeczy dowiedzieć. To ja dziękuję.

Teraz ona złapała jego dłonie. Zrobiło mu się głupio, jak zawsze w kontaktach z kobietami. Brenda podała mu fiołkę i zamknęła na niej jego palce.

– To specyfik, który ci podałam. W Kryształowych Wodospadach jest na wagę złota. Wyrównuje nasze szanse. Zabiliby mnie, gdyby się dowiedzieli, że ci

to dałam. Jeśli Cadór jest tak dobry, jak mówisz, wybudź go zgodnie ze wskazówkami tego elfiego blond kretyna, ale potem nakłoń do zbadania składu tego leku. Jeśli wam się to uda, jeśli zdołacie wyprodukować tego więcej... – zająknęła się. – Proszę, wspomóż nas, a będzie wam wdzięczna cała społeczność...

Położył dłoń na jej ustach.

– Nie kończ. I tak powiedziałaś za dużo.

Przygryzł wargi. Zerknął na nią z ukosa.

– Założmy... – mruknął. – Tylko teoretycznie założmy, że mielibyśmy takie możliwości. – Nie wiedzieć czemu zaschło mu w ustach. – Jak moglibyśmy cię o tym powiadomić, gdyby, hipotetycznie rzecz jasna, coś takiego się powiodło?

Uśmiechnęła się.

– Jest w Kryształowych Wodospadach dosyć duża miejscowość – szepnęła. – Skirling. Ma sporo pubów. Znajdź ten, który ma orka w szyldzie i nazwie. Odszukaj mnie tam, a z przyjemnością sprawdzę, czy twoje ramię zagoiło się i wygląda równie ładnie jak... – Ugryzła się w język. Spojrzał na nią zaskoczony. Gdyby nie półmrok i kolor jej skóry, dałby głowę, że się zarumieniła. – Na Onyksową! Wybacz, plotę głupstwa.

– Wcale nie! – Też z jakiegoś powodu poczuł się zakłopotany. Niczym nastolatek na pierwszej randce. Westchnął i nie zdając sobie sprawy, że to robi, uśmiechnął się. – Ale... czas na mnie.

Nagle Brenda złapała go za ramię, przyciągnęła do siebie. Dłuższą chwilę szeptała coś wprost do ucha. W pierwszym momencie, gdy poczuł jej usta niemal dotykające jego skóry, zrobiło mu się gorąco, ale zaraz słowa Brendy sprowadziły go na ziemię. Odsunął się od niej, spojrzał zaskoczony i zaniepokojony. Odpowiedziała matczynym uśmiechem.

– Wierzę w was. Będzie dobrze. No, leć już. Dogoń przyjaciół. Pamiętaj, piąta w prawo, na rozwidleniu w prawo i do końca. I żadnych czarów.

Tancmistrz obejrzał się przez ramię. Światelko latarki tańczyło po ścianach korytarza w rytm kroków Desire. Niebezpiecznie szybko oddalało się od niego.

Odwrócił się, by jeszcze coś powiedzieć do Brendy, lecz kobieta zniknęła. Światła jej latarki też nie dostrzegł.

„Kobiety – pomyślał. – Jak chcą, potrafią szybko się ulotnić. Szkoda, że najszybciej znikają te, z którymi chcielibyśmy dłużej pobyc”.

Westchnął, schował fiolkę i podążył za przyjaciółmi. Intuicyjnie wpatrzył się w rozświetlone części korytarza, jakby chcąc zapamiętać jego zarys, nim pochłonie go ciemność. Podłoga była tu nierówna, jak gdyby w ubitą glinę gdzieniegdzie powciskano kamienie. Idąc, wodził dłonią po ścianach. Z nimi też było coś nie tak. One także nie były równe: raz chropowate, a raz gładkie jak szkło. I jakieś takie suche. Drewniane? Porcelanowe?

„Co, u licha?”.

Powierzchnia ścian sprawiała wrażenie pokrytej odwróconymi do góry dnem filiżankami albo połówkami piłek, to znów usiana była regularnymi zagłębieniami o ostrych krawędziach. I to powietrze. Chłodne, suche, przesycone kurzem i subtelnym aromatem. Mirra? Tancmistrz przyspieszył kroku, z jakiegoś powodu podenerwowany.

„Korytarz jak korytarz. Nie czas teraz zajmować się bzdurami”.

Potykając się, pospieszył za przyjaciółmi.

– Lubię towarzystwo, ale tu chyba byłoby mi zbyt tłoczno – usłyszał zasapany głos Desire niosącego elfa.

Tancmistrz zastanowił się, co przyjaciel ma na myśli. Zagadka rozwiązała się, gdy dogonił kompanów. Snop światła omiótł spory kawałek korytarza, ujawniając w końcu jego strukturę. Od podłogi po sklepienie wyścielony był czaszkami i piszczelami zmarłych! Tancmistrz gwałtownie oderwał dłoń od ściany.

– W mordę!

Usłyszał chichot przyjaciela.

– Tiaa, też uważam, że to kiepski wystrój wnętrza, ale trochę szacunku dla zmarłych, kolego! Kto wie, może gdzieś tu są kości twoich pradziadków?

Tancred mistrz zgrzytnął zębami. Tolerował wiele rzeczy, ale czarny humor w wykonaniu Desire zawsze uważał za niesmaczny i bezwarunkowo go tępił.

– Ile odnóg już było? – burknął, by zmienić temat.

– Żadnej w prawo. Wiedziałbyś, gdybyś szedł razem z nami, zamiast czule żegnać się z Brendą.

– Desire! – zachnął się Tancred mistrz, ale podświadomie ucieszył się, że w tych ciemnościach nikt nie dostrzeże jego zakłopotania.

– Dobra, nie wściekaj się. To tylko żart, tak? Skoro do tej pory żadna istota nie namówiła cię do grzechu, to wątpię, żeby Brendzie się udało. Zresztą ona woli mnie. – Ciemnowłose zakonnik zarechotał.

Tancred mistrz właśnie miał palnąć coś odpowiednio wulgarnego, ale nadciągającą awanturę przerwał Ian.

– Spójrzcie, to chyba odnoga. – Wskazał zagłębienie ściany.

Panowie udali, że ogromnie ich to zainteresowało, i po chwili temat Brendy stał się wspomnieniem. Przynajmniej dla Desire oraz Iana. Odnoga okazała się jedynie niszą w ścianie, choć dość głęboką i zdobioną freskami. Na widok zmumifikowanych zwłok kobiety odzianej w kosztowne, lecz rozsypujące się szaty przyjaciele umknęli, oglądając się od czasu do czasu za siebie, jakby w obawie, że mumia powstanie ze swego łoża i ruszy ich tropem.

Kilka następnych nisz dalej w końcu do nich dotarło, że przemierzają miasto pełne zmarłych istot. Nie czuli tego, patrząc na ściany. Tam były piszczele i czaszki, to prawda, lecz przypominające dekoracje w teatrze: upiorne, lecz umowne i nierealne. Jednak ciała w niszach były tak autentyczne! Kompletnie i świetnie zachowane. Niektóre wyglądały niczym jedynie pograżone w drzemce. To oraz cisza zakłócana stukotem butów i powietrze przesycone zapachem kadzidła nasuwały koszmarnie skojarzenia i wywoływały ciarki na plecach. Przestali zupełnie się odzywać. Pilnie śledzili najmniejsze załomy korytarza w obawie, że ten jeden konkretny im umknie.

– Jeszcze dwie – szepnął Ian, gdy sprawdzili którąś odnogę z rzędu.

Parę minut później dotarli do piątego odgałęzienia i stanęli jak wryci, bo de facto nie była to prosta przecznica głównego korytarza, lecz tunel rozdzielający się na kolejne dwa.

– Cudnie! Na rozwidleniu mieliśmy skręcić w prawo. Tysiąc dragenów dla bystrzaka, który wskaże odpowiedni kierunek. Kobiety! – mruknął Desire. – Na podstawie orientacji w terenie i czytania map można by robić testy płci w wątpliwych przypadkach. Ten, kto by oblał, z pewnością byłby płci żeńskiej! – W atmosferze wszechobecnej grozy dowcip wypadł żenująco.

– Daruj sobie stereotypy i czepianie się Brendy. Ona tu nigdy nie była, pamiętasz? – przypomniał Ian. – Dobra, co robimy?

– Czekaście – rzucił Tancmistrz. – Wiem, miało nie być zaklęć, ale co poradzę – mruknął jeszcze pod nosem i zniknął w jednym z korytarzyków.

Towarzyszyła mu pojedyncza latarenka wyczarowana zaklęciem *Illumina*. Podejrzanie szybko wrócił, a właściwie przebiegł obok nich.

– Tamtą odnogę sobie darujemy, jest pod wodą, okej? Spadamy! – krzyknął i... pogalopował właściwym korytarzykiem!

Desire z Ianem spojrzeli po sobie skonsternowani. Dziwny szelest za plecami i jakiś pomruk, a potem syczenie kazały im nie sprawdzać, kogo obudziła wizyta Tancmistrza. Nagły strach ścisnął im gardła, chłodny podmuch przyprawił o ciarki na plecach. Biegiem ruszyli za oddalającym się światłem latarenki. Z każdą chwilą ciała elfa i Cicerona ciążyły im coraz bardziej. Z każdym momentem ubywało sił i powietrza. Na dodatek korytarz zdawał się robić coraz węższy, a szelest za nimi nie ustawał. Coś pełzło. I to niepokojąco szybko.

– Tancmistrz! – ryknął Desire.

Przyjaciel się zatrzymał i obejrzał przez ramię. Dostrzegł coś za ich plecami. Wyjął flet.

– Uwaga! – wrzasnął, machnął instrumentem. – *Duratus!*

Przywarli do ścian. Zaklęcie minęło ich o włos. Usłyszeli dźwięk kruszącego się lodu, osuwania kryształowych kaskad, trzaski i znów szelest.

– Ja chędożę, nawet nie zwolnił! Wiejcie!

Teraz oni przegalopowali koło niego, nie oglądając się za siebie. Rozległ się huk i następne *Duratus*. A potem jeszcze jedno i kolejne. Trzeszczenia pękającego lodu zmieniły się w odgłosy schodzącej lawiny, jednak zaraz znowu dobiegał ich szelest i pomruk.

– Uparty skurwiel! – wysapał Desire.

– Aha – wykrztusił równie zasapany Ian. – Cokolwiek to jest, Tancmistrz na pewno da radę?

– Jaasne!

W tym momencie płowowłosa zakonnik dogonił ich.

– Sugeruję spinać zadki, jeśli nadal chcecie je mieć! Wypieprzać, panowie, ale już!

Znów ich wyminął i już zupełnie nie bacząc na zakaz używania zaklęć, wyczarował cały ocean latarek. W ich blasku dojrzeli na końcu korytarza wynurzającą się właśnie spod sterty lodu postać... bazyliuszka kryształowego!

Jego ruchy były powolne, płynne i pełne gracji jak u baletmistrza. Przy każdym z nich śnieżny puch zsuwał się z cielska gada, ukazując jego ogrom i urodę. Na chwilę równą mrugnieniu powiek mężczyźni znieruchomieli, westchnęli z zachwytu. Wszystko w tej bestii było piękne, począwszy od stalowoszarych oczu przez błyszczący metalicznie dziób i pazury po idealnie wypolerowane, niczym najwyższej jakości kryształowe lustro, łuski. Stąd właśnie brał się jego przydomek, bo gad przypominał ogromny, niewiarygodnej urody kryształ. Jedyne, co było w nim niepiękne, to charakter – wyjątkowo wredny – oraz to, co robił ze swymi ofiarami. Szczęśliwie dla przyjaciół ta rasa bazyliuszków nie zabijała wzrokiem.

Mężczyźni ocknęli się. Przerażenie rozszerzyło ich źrenice, podniosło im adrenalinę i sprawiło, że pędem przemierzali resztę korytarza. Tancmistrz znalazł się tam pierwszy. Barkiem rąbnął o zamknięte metalowe drzwi. Chwilę szarpał klamkę, póki nie nadbiegli przyjaciele. Desire brutalnie odtrącił go, pociągnął

zasuwę, której przyjaciel nie dostrzegł, i wrota się otwały. Przydzwonili o zalaną deszczem ziemię. Ta przytuliła ich jak matka dzieci do piersi. Tancmistrz stęknął, odwrócił się, machnął fletem.

– Blokada! *Obsidio!*

Drzwi zamknęły się z hukiem. Usłyszeli zgrzyt wracającej na miejsce zasuwy, rąbnięcie w zaporę od środka, intensywne niuchanie. Coś skrobało, a może szturchało wrota. Nagle zapadła cisza zakłócana jedynie szumem deszczu. Patrzyli z napięciem i jakby w obawie, że bestia sforsuje zamknięcia. To jednak nie nastąpiło.

„Zrezygnował” – pomyślał Ian i westchnął z ulgą.

I wtedy dobiegł ich krzyk. Okropny, dławiący gardło niczym szpony lodowatej ręki. Drgnęli, bo krzyk ten dochodził z czeluści tunelu, który dopiero co opuścili.

– Brenda? – szepnął Tancmistrz, ledwo poruszając ustami.

– To był męski głos – rzucił Desire.

– Jesteś pewien?!

– Jestem! – Ciemnowłosy zakonnik uciął spekulacje, nim w ogóle się rozpoczęły. Wolał nie roztrząsać, kto ich śledził i co się z tym kimś stało. Teraz to i tak było bez znaczenia, bo – sądząc po krzyku i ciszy, jaka po nim zapadła – ten ktoś właśnie rozstał się z życiem.

Rozejrzeli się. Dopiero teraz dostrzegli, że wyjście, którym uciekli, znajduje się w boku pagórka w niewielkim parku. Porośnięte krzakami do tej pory musiało być niewidoczne dla spacerowiczów. Po ich eskapadzie z daleka raziło oczy niczym neon świecący w ciemnościach. Kolejne zakłęcie Tancmistrza sprawiło, że drzwi zniknęły przysypane błotnistą ziemią i na nowo zarosły chaszczami.

– Dla pewności – mruknął zakonnik. – Żeby nikomu nie wpadło do łba tam włązić.

Desire zerknął na przyjaciela.

– Skąd wiedziałeś, który korytarz jest właściwy?

– Jestem bystrzakiem, a ty wisisz mi tysiąc dragenów!

Ciemnowłosa mnich splunął.

– Tiaa, jasne! Dowiem się, jak to zrobiłeś! Ale, ja chędożę, bazyliszek kryształowy! W katakumbach! Pod miastem! – sapał Desire. – Gdyby się wy dostał...

– No – zawtórował mu Ian. – Ciekawe, czy był tylko jeden. Bo jeśli jest ich więcej albo są tam inne bestie...

– I ciekawe czy władze o nim wiedzą?

– Dzięki waszej głupocie będą wiedzieć wszyscy. Nie mówiono wam, żeby tam nie używać zaklęć? Nawet jeśli je znacie? – odezwał się obcy głos. A zaraz potem ten sam głos dodał: – Tak przy okazji, panowie zamawiali transport? Bo jeśli tak, to zapraszam. Chyba że wygodnie wam w tych kałużach.

Odwrócili głowy. Nad nimi, ubrany w sztormiak, na szeroko rozstawionych nogach i z rękami wspartymi na biodrach stał... jasnooki rudzielec o połamanym nosie. Za jego głową błyskawica przecięła ołowiane niebo. Wichura targała peleryną. Strumyki wody ściekały mu po twarzy, lecz on nie zwracał na to uwagi.

– Ben Stoykov – szepnął Ian przez ścierpnięte z zimna usta.

Czuł, że z tym facetem dzieli wspomnienia sięgające dalej niż wczorajszy wieczór, lecz nie wszystkie zdołał sobie przypomnieć. Chwilowo tylko rozmowę pracowników w Czarnej Łusce i wymianę uprzejmości w Wylęgarni Feniksów. Zerknął na połamany nos Bena, świadectwo minionych i zapewne burzliwych czasów.

Rudzielec odwdzieczył mu się niewinnym spojrzeniem i beztrosko zagaił:

– Zapamiętałeś. Miło. Rozumiem, że kufelka cydru dzisiaj też nie wychylimy, co, Paul?

„Nie rozpoznał mnie... – pomyślał Ian i niemal westchnął z ulgą.

– Na Onyksową! Za dużo tych niespodzianek jak na jeden dzień!”.

Zbierając się z ziemi, już na głos powiedział:

– To ty masz nam pomóc?

– Dokładnie. Mam was bezpiecznie wywieźć poza Metropolię. Chyba że macie inne plany?

Podał Ianowi rękę, pomógł wstać. Chwilę potem cała piątka znalazła się w jego vanie.

– Miało was być czterech. Żywych – mruknął Ben, a oni zastanowili się, skąd ma tak dokładne informacje. Zamiast wyjaśnień usłyszeli: – A mamy pięciu, z czego dwa trupy. Spokojnie, piątka też się zmieści. I nie, nie przedstawiajcie mi się. Mam gdzieś, kim jesteście i co żeście zmalowali. Z tamtego grobowca został wysłany sygnał SOS, a to obliguje mnie do pomocy. Bez zadawania pytań i bez dyskusji. Wypełnię swój obowiązek, pomogę wam uciec, ale na tym nasz romans się kończy. Ta osoba, dla której byliście tak cenni, że uruchomiła alarm... Co wam powiedziała?

– Że możemy ci bezgranicznie zaufać – burknął Tancmistrz.

– I tyle? – Usta Bena wykrzywiło uznanie. – Dobrze. Jak to mówią: im mniej wiesz...

– Tym szybciej w razie wpadki znudzisz się psom palatyna – dokończył Desire.

Ben się uśmiechnął.

– Widzę, że się rozumiemy. To ja tylko dodam: nigdy się nie spotkaliśmy, jasne?

Skinęli głowami.

– Na wypadek gdyby ktoś chciał skontrolować auto, wskakujcie do skrzyń.

Dopiero teraz zwrócili uwagę na kilka metalowych pojemników. Specjalne zaczepy mocowały pokrywy i blokowały dostęp do wnętrza. Zobaczył zaniepokojone spojrzenia mężczyzn. Szybko zaczął objaśniać:

– To przenośne inkubatory do transportu jaj vivernów. Chwilowo bez szuflad

podgrzewających. Mają świetną wentylację i sporo miejsca. Jakoś muszę was wywieźć, tak? Jak tylko znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, natychmiast was wypuszczę, obiecuję. Każdy zajmuje jeden pojemnik. Trupy upchniemy razem. Potem zajmę się ich utylizacją.

Jasne oczy spojrzały na nich z wyczekiwaniem. Desire z Ianem nie poruszyli się. Tancmistrz spojrział na przyjaciół.

– Mamy mu zaufać, pamiętacie?

Uchylił wieko najbliższej skrzyni. Zawahał się, skrzywił, zajrzał do środka.

– Na Onyksową, ale smród!

– Środki dezynfekcyjne. – Ben się zaśmiał. – Nikt ci nie mówił, że o jajka należy dbać? Zwłaszcza jajka vivernów. To zbyt kosztowny biznes, żeby na nim oszczędzać. Wystarczy jedno zakażone pustynną dżumą i całą hodowlę szlag trafia. A ty nie narzekaj. Tak czysto będziesz jechał chyba pierwszy raz w życiu, co? No, wskakuj!

Desire z Ianem zerknęli na Tancmistrza, na jego przemoczone ciuchy, zarost błagający o brzytwę, brudne włosy, podkrążone oczy. Czuli, że krzywy nos Bena za chwilę dozna nagłej, niespodziewanej i niekoniecznie udanej operacji plastycznej. Zdziwili się, bo Tancmistrzowi tylko drgnął kącik ust, jakby mnich usłyszał właśnie świetny dowcip.

– Najpierw oni. – Wskazał nieprzytomnego elfa i Cicerona. – Każdy do osobnego pojemnika. Ostrożnie. Są nieprzytomni, nie martwi. Więc przestań marzyć o utylizacji i zapamiętaj: to z nimi masz się obchodzić jak z najdroższymi jajami vivernów. Jasne?

Chwilę stali naprzeciw siebie niczym bokserzy gotujący się do walki. W końcu Ben uśmiechnął się, zrobił krok w tył.

– No proszę, przez chwilę miałem cię za mięczaka. Za kretyna zresztą też. Myliłem się, miła niespodzianka. Ale wyluzuj, przez najbliższą godzinę czy dwie masz we mnie oddanego sprzymierzeńca. Energię oszczędzaj na prawdziwych wrogów. Przy okazji, przydałby mi się ktoś taki w firmie. Więc gdybyś szukał

pracy, to pod warunkiem że się wykąpiesz...

– Będę pamiętał – przerwał mu Tancmistrz. – Teraz, sprzymierzeńcu, bądź tak cholernie uprzejmy i pomóż nam zapakować naszych przyjaciół do tych cudownie czystych konserw.

Ian spojrział na Tancmistrza z uznaniem, ale i lekkim podenerwowaniem. Napływały kolejne wspomnienia związane z Benem. Żadne nie należało do miłych. W każdym z nich rudzielec był apodyktycznym bufonem. W każdym z nich otoczenie szybko i bez sprzeciwu wykonywało jego polecenia. On, Ian, był jednym z nielicznych, którzy potrafili Benowi pokazać środkowy palec i zmusić do ustępstw. Do tego grona właśnie dołączył płowowłosy mnich. Ian czuł, że ego Bena nie pozwoli mu zapomnieć o tym incydencie.

„Brenda mówiła, że osoba, którą spotkamy, będzie na sto procent godna zaufania. Jednak to Ben! No, ale Brenda... Jest zobligowany do pomocy...” – bił się z myślami.

Intuicja podpowiadała mu, że ciemnoskóra pielęgniarka nie okłamałaby ich, że mogą jej wierzyć, ale rozsądek nakazywał zachować czujność. A przede wszystkim nie dać się rozpoznać.

Jakiś czas potem przemierzali podtopione uliczki Metropolii. Strugi wody wciąż lały się z nieba, ani na moment nie słabnąc. Grzmoty przetaczały się przez niebiosy, jakby ktoś tam w górze toczył partię kręgli. Wyludnione, ciche zaułki, pozamykane na głucho małe kafejki i sklepiki sprawiały nieco upiorne wrażenie. Jak gdyby wszyscy mieszkańcy w jednym momencie zdecydowali się na porzucenie tętniącego do tej pory życiem miasta. Pojedyncze samochody sunęły, rozpryskując na wszystkie strony wodę spod kół.

Monotonny szum deszczu i silnika usypiały, tylko przemoczone ciuchy i zimno podtrzymywały czujność. Nagle auto Bena ostro zakręciło, wjechało w jakieś podwórko. Silnik zgasł. Ian uchylił pokrywę swojego kontenera. Przyjaciele zrobili to samo. Ben spojrział na nich. Był bardzo poważny.

– Macie mi zaufać, pamiętacie?

Wpatrzyli się w niego z wyczekiwaniem.

– Drobną zmianą planów – rzucił. – Ulewa podtopiła spory kawałek miasta. Ulice są puste, bo zalane. Jazda w tych warunkach to jak proszenie się o kłopoty i ściąganie na siebie uwagi konstabli. Na pewno kontrolują wszystkie auta. Dlatego przeczekamy tu godzinę czy dwie, a potem...

– Tu? – odezwał się Ian.

– Jesteśmy w Śnieżnych Magnoliach. To parking na tyłach Czarnej Łuski. Tędy dostarczamy towar. Mam pewien pomysł, ale musicie mi zaufać. Serio. Zaraz wracam. Wy w tym czasie schowajcie się pod tą plandeką. – Wskazał ciemnozieloną płachtę leżącą za jego fotelem. – Jest ogniotrwała i wodoodporna. Czekajcie, nie róbcie żadnych głupstw i zostawcie jak najwięcej miejsca w wozie.

Drzwi vana trzasnęły. Zostali sami.

– Sugeruję zwiewać, póki możemy – cicho odezwał się Ian.

Tancmistrz pokręcił głową.

– Nie, ten facet nam pomoże.

– Skąd ta pewność? – Desire spojrział na przyjaciela wzrokiem pełnym wątpliwości. – Nie wierzę gościowi. Zgadzam się z Ianem. Czas na nas.

– Stoykov nam pomoże – powtórzył z uporem Tancmistrz.

– No nie wiem – mruknął Ian. – Kiedy wczoraj wyszliście z Wylęgarni, zagadał do mnie, proponował cydr. Przedstawiłem się jako Paul McCoy i wymigałem od popijawki, ale...

– Aaa, to dlatego o tym wspominał. – Desire pokiwał głową.

– Ale jak Stoykov domyśli się, kim jestem naprawdę...

– Zrobi się ciekawie – dokończył za niego ciemnowłosy zakonnik.

– O czymś nie wiem? – wtrącił Tancmistrz.

– Ian i Ben... Delikatnie rzecz ujmując, nigdy za sobą nie przepadali – poinformował Desire.

Ian zerknął na niego zaskoczony. Mnich wiedział całkiem sporo o jego

poprzednim życiu. Tym oficjalnym.

– No co? Lubię obstawiać wyścigi vivernów – rzucił tytułem wyjaśnienia Desire. – A przez wasze bójki w trakcie zawodów straciłem swego czasu sporo dragenów.

– Ooo! Wybacz – wykrztusił Ian.

– Stoykov myśli, że on nie żyje. – Mnich zwrócił się do Tancmistrza. – I lepiej niech tak zostanie. Dobra, spadamy. Łap elfa, ja wezmę Cicerona. Ian, bierz flet. Będziesz nas osłaniać.

– Nie! Poza Stoykovem nie ma w tej chwili nikogo, kto mógłby nam pomóc – upierał się Tancmistrz.

– Złapię kontakt z Kinnonem i jakoś nas wydostanę.

– Szybciej konstable złapią nas! – Jasnowłosa zakonnik nie dawał za wygraną.
– Brenda zaklinała się, że osobie, którą spotkamy, możemy bezgranicznie ufać. Niezależnie od tego, kto to będzie. Wierzę jej!

– Słucham?! – nie wytrzymał Desire. – Znasz ją godzinę i masz do niej AŻ TAKIE zaufanie?! Serio?!

– Zapytał facet, który powierzył nasze życie i misję anonimowej kelnerce tylko dlatego, że kwadrans wcześniej przeleciał ją koło śmietnika – odparował Tancmistrz i skrzyżował ramiona.

Desire zrobił się purpurowy z gniewu i upokorzenia. Sapnął. Z trudem zachowując spokój, rzucił:

– Nie, nie dlatego.

– Czyżby!?

– Tiaa. Wyjaśniłbym ci to, gdybyśmy mieli więcej czasu, a ty nie byłbyś takim fiutem!

Być może wymiana zdań rozwinęłaby się w ciekawą dyskusję, gdyby nie odgłosy świadczące o tym, że Ben wraca. Na dodatek nie sam.

– Zaufajcie mi. PROSZĘ! – wycedził Tancmistrz przez zaciśnięte zęby.

Miał w oczach coś takiego, co sprawiło, że przyjaciele już bez ociągania wyskoczyli z pojemników. Zielona plandeka okryła ich dokładnie w tym momencie, w którym Ben otworzył drzwi vana. Przez dziurkę w płachcie Ian dostrzegł jego nerwowe spojrzenie lustrujące pojemniki i wyraz ulgi, gdy zobaczył, że są puste. Rudzielec chwycił jeden z nich i szarpnął. Z rozmachem położył na podstawionym wózku.

– Brać mi stąd to gówno, ale już! – ryknął do kogoś niewidocznego. – Dokładnie wypucować! Śmierdzi jak stare gacie menela!

Przyjaciele usłyszeli szuranie kolejnych pojemników wyciąganych na wózek.

– To z Marcepanowej Chatki czy z Magicznej Studni? – wymienił ktoś nazwy dość znanych sklepów, najwyraźniej też należących do Stoykova. Ian rozpoznał w tym głosie jednego z mężczyzn podsłuchanych w czasie wizyty w Czarnej Łusce.

– A co? Zamierzasz podzielić się pensją z tymi, co wylecieli? Nie? To zapieprzaj! Jak zobaczę w Czarnej Łusce podobny syf, to wam zrobię takie czarymary w papierach, że roboty będziecie szukać następną dekadę! A skoro już tu jestem, dawać mi te padłe pisklaki!

– Te srebrzystych karłów? – zapytał inny głos po chwili ciszy.

– A zdechło wam coś jeszcze?!

– N-nie, skąd! Ale przecież miały iść do utylizacji... – Teraz pracownik się jąkał.

– I pójdą. Tym razem zrobi to cwaniak, który wam wcisnął tę partię zdechlaków. Ten tak zwany hodowca. Na swój własny koszt. I dawać mi też jego papiery. Kretyn myśli, że mnie wyrucha, a ja mu jeszcze za to zapłacę! Zobaczymy, czy będzie równie mądry po rozmowie ze mną.

– Chce go pan... ehm... odwiedzić? Zwrócić te karły? Rozwiązać umowę?

– Udam, że tych pytań nie było, Bastien – wycedził Ben. – Papiery!

– Oczywiście! Już się robi!

– Aha – krzyknął Ben za odchodzącymi mężczyznami – przynieście też te pisklaki, co jeszcze żyją. Nie zamierzam wydawać fortuny na leczenie padliny!

– Ale chwilę temu oglądał je doktor z naszej przychodni – wtrącił drugi lękliwy głos. – Mówi, że bez problemu...

– Ten idiota, który nie wie, że vivernowi nie wtyka się termometru w zadek?!

Odpowiedziało mu chrząknięcie.

– Teraz już wie – wykrztusił któryś z mężczyzn.

– Co? – nie zrozumiał Ben.

– Stracił kawałek palca i teraz już wie – powtórzył mężczyzna nieco głośniej. Skryty pod plandeką Ian z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– Stracił kawałek pa...! Co się dzieje w tym burdelu?! Czy otaczają mnie same ćwoki i debile!? – pienił się rudzielec. – Kiedy to się stało?

– Niecałą godzinę temu. Ale spokojnie, rana niegroźna. To tylko odgryziony opuszek. Nawet nie trzeba było szyć. Doktor sam się zdezynfekował i opatrzył – zapewnił gorliwie drugi mężczyzna. – Nawet żartował, że...

Nagle umilkł. Dało się słyszeć teatralne westchnienie. Ian dostrzegł, że Ben zasłania dłońmi twarz, a potem kręci głową z niedowierzaniem.

– Na Onyksową! Najgłupszy konował Palatynatu musiał trafić akurat do mojego sklepu? Czym sobie na to zasłużyłem?

Znow zapadła cisza.

– Mike, zawieź łapiducha do Instytutu. Niech mu na izbie przyjęć podadzą surowicę. A w moim imieniu poproś o najgorszą pielęgniarkę i najbardziej tępą igłę. Jak przez tydzień nie usiądzie na zadku, to może się kretyn nauczyć, że pisklaki karłów są ja-do-wi-te! Nikt mu nie powiedział, że właśnie dlatego sprzedajemy je po drugiej wylince? Bo wtedy zanikają u nich gruczoły jadowe?

– Mówiliśmy. Nie chciał słuchać!

– Czego ich uczą na tych studiach, do cholery?! Mike, nie trać czasu. Choćby za kudły, masz go dostarczyć do Instytutu.

Dało się słyszeć: „Tak jest, proszę pana”, a potem trzaśnięcie drzwi budynku. Nieco spokojniejszym tonem Ben powiedział:

– Bastien, leć po dokumenty i po te piskłeta. Dobrze je zapakuj. Chcę je dowieźć żywe do hodowcy.

– Jasne. Co do tych padłych...

– Tak?

– Proponuję je zabrać w kontenerze na odpady. Trupy szybko się rozkładają.

– Miałem powiedzieć to samo – zgodził się Ben. – Ostatnie, czego mi trzeba, to zasyfić samochód. Przywieź też drugi kontener. Podwójny. I kilka większych klatek. Za parę dni oddam. Potrzebuję ich na mojej fermie.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu Czarnej Łuski. Odprowadzało go spojrzenie jasnych oczu Bena, jego kolejne westchnienie i szept:

– Na Onyksową! Czy muszę SAM zacząć hodować te pieprzone karły, żeby były coś warte? Ech, nie ma już hodowców z prawdziwego zdarzenia. Gdzie nie spojrzysz, tam pseuduchy.

Oparł się o drzwi vana. Chwilę stał wpatrzony w strugi deszczu. Dzięki zadaszeniu, pod którym zaparkował, mógł obserwować ulewę, nie moknąc. Ołowiane niebo nie przejaśniło się ani trochę. Skrzywił się, zerknął na plandekę walającą się z tyłu auta i podjął decyzję.

– Kolejna zmiana planów – rzucił półgębkiem, ciągle udając, że przygląda się niebu. – Prognozy mówią, że będzie tak lało co najmniej do wieczora, a może nawet cały jutrzejszy dzień. Nie mamy tyle czasu. Musicie zniknąć. I to jak najszybciej.

– Aha – ktoś mruknął.

Płachta się poruszyła.

– Zaraz przywiozą inne kontenery. Takie, w których wozimy padlinę do spalania. Wejdziecie do nich...

– O, nie! Znowu kontener na trupy? – Tym razem Ben rozpoznał głos Iana.

Uśmiechnął się.

– Znowu? Przykro mi, jeśli liczyliście na wygodną taksówkę, ale na takie ekstrawagancje nas nie stać. Zwłaszcza że drogi wylotowe z Metropolii właśnie są blokowane.

– By to elfia zaraza! – dało się słyszeć burknięcie Tancmistrza.

– Kontenery przywalimy klatkami i ścierwem karłów i jakoś was wywiozę. Musimy się sprężyć. Nie wiem, co żeście zmalowali, i dalej nie chcę wiedzieć, ale konstable latają po mieście, jakby im kto płonące pochodnie w tyłki powsadzał.

– Skąd to wiesz? Rzucili jakiegoś newsa do mediów? – zapytał Desire.

– Tych oficjalnych? Jeszcze nie. Zapewne zrobią wielką fetę, jak tylko was złapią. I właśnie dlatego musimy się wynosić, póki jeszcze możemy. Chyba że bardzo zależy wam na sławie?

Zapadła cisza.

– Rozumiem. Czyli bryłowanie w mediach jednak was nie interesuje. Zatem postanowione. Jak tylko moi ludzie przywiozą klatki, natychmiast wyjeżdżamy. – Znów spojrzął na ołowiane niebo. Pomyślał, że paskudna pogoda może być jednak ich sprzymierzeńcem. – Tiaa... bo jeśli konstable wezmą z sobą miniviverny tropiące, a wezmą z pewnością, to deszcz... – szepnął do siebie.

– Coś pan mówił, szefie? – Znikąd pojawił się Bastien, pchając wózek załadowany klatkami i kontenerami.

Żelastwo tarabaniło i sprawiało wrażenie piramidy, która lada chwila runie. Na jej szczycie chwiały się pojemniki szczelnie osłonięte pokrowcem chroniącym od zimna i deszczu. Dobiegało z niego kwilenie. Nagłe pojawienie się mężczyzny zaskoczyło Bena. Drgnął wystraszony.

– Że zapowiadali przelotne deszcze – mruknął, żeby tylko coś powiedzieć. – O potopie nie było mowy. Cholerne pogodynki!

– Aha – potwierdził Bastien. – I na pewno chce pan jechać w taką pogodę?

– Jutro ma być nie lepsza, a karły nie mogą czekać.

Wspólnie zaciągnęli wózek z kontenerami i klatkami pod drzwi vana. Mężczyzna podał Benowi papierzyska zamknięte w foliowej kopercie. W ciągu kolejnych minut razem w milczeniu ładowali pojemniki.

– Przydałoby się ich więcej – odezwał się Ben, gdy skończyli. W wozie ciągle było zbyt dużo miejsca.

– Jeszcze coś się znajdzie.

– Chyba spory ten przychówek na pana fermie.

– Spory, a co najważniejsze zdrowy. Nie to co te tutaj karły – prychnął Stoykov. – Dobra, pomogę ci. Będzie szybciej.

Na moment zniknęli w budynku, by powrócić z następnymi klatkami.

– Przypilnuj, żeby Mike zawiózł doktora do Instytutu – powiedział Ben, wsiadając do wozu. – A jakby się facet stawiał, to powiedz mu, że...

– Zrobi mu pan takie czary-mary w papierach, że następnej roboty będzie szukał dekadę – odparł mężczyzna z kamienną miną.

Ben uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Dokładnie. Wracam przed zamknięciem. Nie dajcie mi kolejnego powodu do wkurzenia.

Trzasnęły drzwi szoferki. Silnik odpalił za pierwszym razem. Rudzielec chwilę wsłuchiwał się w jego mruczenie jak w ulubioną balladę. Parę minut później zalaną deszczem siatką ulic zmierzał wraz z niebezpiecznym ładunkiem ku rogowcom miejskim.

* * *

Najkrótsza droga ku wolności wiodła przez dwie dzielnice: Smoczych Dracen i Purpurowych Wisterii. Jednak wybranie tej trasy oznaczałoby przejazd koło Instytutu, z którego pasażerowie furgonetki dopiero co zwiali. Ben musiałby też minąć Palatium oraz Archikatedrę, które jako najważniejsze obiekty Palatynatu z pewnością zmieniły się teraz w fortece. Dlatego zdecydował się na dłuższą, ale

w jego mniemaniu bezpieczniejszą drogę przez rekreacyjne tereny Pustynnych Róż.

Ulewa trwała w najlepsze. Wycieraczki nie nadążały zbierać wody z szyb vana, dlatego Ben jechał powoli i ostrożnie. Dzięki siatce kontaktów wiedział, gdzie spodziewać się pierwszych blokad. Wiedział też, że nie zdoła ich ominąć.

Zagryzł usta. Rozejrzał się. Bębnienie deszczu o dach wcale nie uspokajało. Jadąc, zastanawiał się, czy jednak nie podrzucić „gorącego towaru” do jakiejś kryjówki i wywieźć go dopiero, gdy wszystko się uspokoi.

Ale zaraz wspomniał, o czym doniesiono mu w ostatniej chwili. O stercie trupów w Instytucie. Ludzkich i zwierzęcych. O wściekłości palatyna, gdy usłyszał, że tu, w Metropolii, w ciągu jednej doby doszło do podwójnego ataku na Instytut, jakby to były, nie przymierzając, Kryształowe Wodospady. Ben domyślał się, w jaką furię musiał wpaść komendant policji na wieść o nieudolności swoich „orłów”, i zrozumiał, że opcja przeczekania w jakiejś kryjówce nie wchodzi w grę. Do jutra nie będzie takiej speluny w tym mieście, której konstable nie wywrócą do góry nogami. Nie oszczędzą żadnego przybytku uciech, klubu, knajpy, mordowni. Zapręgą do roboty wszystkich swoich szpicli, wszelkie uliczne mendy, każdego, kto da im cień nadziei na znalezienie sprawców. Kiedy to nie pomoże – a nie pomoże – zabiorą się za przetrzepanie tyłków biedocie z dzielnicy Dębów, a potem każdemu, kto okaże się choć trochę podejrzany. Jeśli zajdzie potrzeba, przetrząsną nawet przedszkola, domy starców i schronisko dla bezpańskich zwierząt.

Ben głośno wciągnął powietrze.

„Tiaa, niewątpliwie łomot będzie okrutny. – Wy tężył wzrok, by dostrzec cokolwiek przez zalane deszczem szyby. – Ronenweth musi szybko i pokazowo załatwić sprawę, jeśli chce pozostać palatynem. Nie będzie to proste w otoczeniu tylu hien”.

Dotarli na obrzeża Śnieżnych Magnolii. Mężczyzna dostrzegł mały, kompletnie pusty skwer. Zatrzymał vana.

– Dobra, panowie, załatwimy to teraz.

Odwrócił głowę ku zielonej płachcie, która poruszała się na jego słowa. Po

chwili wychynęła spod niej ciemna czupryna Desire, za nim ukazał się Tancmistrz i Ian. Ten ostatni zakaszłał. Przyjaciele zerknęli na niego z niepokojem, lecz alarm okazał się przedwczesny. Zapyłona plandeka wywołała u niego mały napad astmy, nie atak dotychczasowej choroby.

– W tych kontenerach jest padlina. – Ben kiwnął głową ku pojemnikom. – Plan jest taki: wyjmujemy ją, włączycie do środka, a ja was z powrotem nakrywam zwłokami. Wiem, mało sympatyczne, ale będzie skuteczne. Nie ma takiego policyjnego trepa, który miałby odwagę pomacać zdechłego viverna, więc przejazd przez blokadę nie powinien stanowić problemu.

– Czyli to nie są czyste, puste kontenery? – upewnił się Ian.

Odpowiedzią było... niemal rozbawione spojrzenie rudzielca.

– Pięknie!

Wizja przytulenia się do zwierzęcych umarłaków wydała się Ianowi, delikatnie mówiąc, obrzydliwa. W pamięci poszukał wspomnień dotyczących swej działalności jako hodowcy. Tu ciągle napotykał na próżnię. Musiał uwierzyć na słowo, że kontakty z trupami były dla Iana McLauriego, to znaczy dla niego, czymś niestety dość częstym. Wziął się w garść, zgrzytnął zębami.

– Na co zdechły?

– Na nic zakaźnego, jeśli o to chciałeś zapytać. – A widząc kamienne miny mężczyzn, Ben pospieszył z wyjaśnieniem: – To dobry pomysł, bo konstable są przesądni. No, przynajmniej spora część z nich. Wierzą, że dotknięcie padłego viverna przynosi pecha. Że ten, kto to robi, sam zdechnie w męczarniach w trakcie pełnienia służby. A wszystko dlatego, że kiedyś jeden z nich zapadł na pustynną dżumę po tym, jak nieudolnie zabezpieczał miejsce zbrodni na fermie vivernów.

– A podobno do tej formacji dostają się najlepsi i najmądrzejsi – mruknął Desire. – Rany, takiej bzdury to nawet ja bym nie wymyślił.

Ben skwitował tę uwagę skrzywieniem warg.

– Dobra, wyłaźcie spod tej szmaty. Czas wyjąć zdechlaki z pojemników.

– Czekaj – odezwał się Ian na tyle gwałtownie i stanowczo, że wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. – Dokąd nas zabierasz? Sama ucieczka to nie wszystko. Potem musimy zadbać o transport, żywność i tak dalej. Powiedziałeś, że wypuścisz nas, jak tylko wyjedziemy z Metropolii. Czyli wywalisz nas w środku lasu, a potem mamy sobie radzić sami? Chcemy to wiedzieć teraz.

Ben spojrzał na niego przenikliwie.

– Masz rację. Powinniście wiedzieć. Zawiozę was na fermę, gdzie hodowane są feniksy i inne zwierzaki. Leży na uboczu. Odpoczniecie, posilicie się, obmyślicie dalszą strategię. Nikt was tam nie będzie szukał. JESZCZE nie.

– Jeszcze nie? – Tancmistrz zmarszczył brwi.

– Niestety, słyszałem o waszym wyczynie w Instytucie. – Ben westchnął. – Byliście jak mało subtelny niedźwiedź, który uparł się odebrać zapasy miodu mocno wkurwionym pszczołom. Z każdą chwilą blokad na drogach przybywa, i to w imponującym tempie. Wielki show w postaci metropolitalnego polowania na was właśnie się zaczął. A ja nie chciałbym zobaczyć swojej gęby w mediach w kontekście tej sprawy. Jednak muszę dotrzymać przysięgi, że pomogę każdemu, kto uruchomi alarm w grobowcu. Tak więc, moje miłe, głupiutkie niedźwiadki, skoro już opiłyście się miodzikiem, a nie chcecie mieć skłutych przez pszczołki dup, ruszcie je i zacznijcie rozpakowywać kontenery.

Ian rzucił ukradkowe spojrzenie Desire i Tancmistrzowi. Potem zerknął na Bena i pokręcił głową.

– To najbardziej oklepany i przewidywalny sposób ucieczki. Na dodatek rozładunek i ponowny załadunek zajmie zbyt dużo czasu. Mam lepszy pomysł...

* * *

Ben zaciągnął się papierosem. Piątym. Usta wykrzywiło obrzydzenie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz palił. Po takim czasie abstynencji jeden pet smakowałby jak nasączona kocimi szczynami tłąca się gazeta. Pięć impregnowało wnętrze ust i przyprawiało o odruch wymiotny. Ben się zakrztusił. Łzy napłynęły mu do oczu.

„By to elfia zaraza, co za świństwo!”.

Przez kłęby dymu spróbował zobaczyć drogę. Ledwo zdołał. W oddali pojawił się zarys gór, do których za wszelką cenę musiał dotrzeć. W dolinach między nimi znajdowały się fermy. Także ta należąca do niego. Ściana deszczu, grafitowe chmury i wszechobecny półmrok sprawiły, że wzgórze wyglądały jak nieudolny rysunek wykonany węglem. Ponury i rozmyty. Ciemna linia drogi ciągnęła się upiornie. W jej połowie dostrzegł złociste punkciki – zapewne latarek. Tańczyły wokół czarnych kształtów, które w miarę jak się do nich zbliżał, upodabniały się do wozów konstabli.

„Blokada”.

Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział na tej drodze tak imponującej blokady złożonej z policyjnych wozów, zasieków z drutu, minivivernów tropiących oraz gromady postaci odzianych w szare przeciwdeszczowe peleryny i kręcących się jak rozżłoszczone szerszenie. Właściwie nigdy nie widział tu ŻADNEJ blokady. Zwolnił. Dyskretnie wytarł spocone ze zdenerwowania dłoń. Ponownie się zaciągnął. Wypuścił dym nozdrzami, chrząknął, bo cholerstwo drapało gardło.

„Że też dałem się na to namówić”.

Podjechał do zapory. Przed nim stały jeszcze dwa auta. Usłyszał piskliwe głosy i płacz. W świetle reflektorów dostrzegł stojącą w strugach deszczu trzęsącą się kobietę. Woda spływała po jej długich, ciemnych włosach, a ona usilnie starała się ochronić je kapturem kurtki, który raz po raz zrywała wichura.

Kobieta próbowała rozmawiać z konstablem: łąpała go za rękę, chciała coś tłumaczyć, o coś prosić. Nagle gliniarz wyszarpnął dłoń, odburknął, a wtedy jeden z vivernów zerwał się i doskoczył. Kobieta gwałtownie cofnęła się, uderzając plecami o wóz. Ben zobaczył przerażenie i nienawiść na jej twarzy. Zaraz jednak posłusznie zajęła miejsce za kierownicą i zaczęła uspokajać dzieci. Tymczasem konstable metodycznie sprawdzali wszelkie schowki w jej aucie, obejrżeli podwozie specjalnymi lusterkami. Viverny niuchały, badały otoczenie rozwidlonymi jęzorami, syczały, odsłaniając zębiska, tym samym jeszcze

pogłębiając przerażenie dzieci.

– Skurwiele – mruknął Ben.

W końcu konstable pozwolili odjechać zapłakanej kobiecie i zajęli się przetrząsaniem drugiego wozu. Uszu Bena dobiegły teraz odgłosy awantury. „Jedziemy na urlop”, „Nie wiecie, kim jesteśmy!” i jeszcze: „Mamy wysoko postawionych przyjaciół”. Rozprawienie się z dwojgiem emerytów było szybkie i brutalne. Skuci i bezceremonialnie wrzuceni do policyjnego wozu odjechali w kierunku Metropolii, a ich wóz odstawiono na pobocze.

Funkcjonariusz machnął ręką do Bena. Ten zaciągnął się, jakby to miał być ostatni papieros w życiu. Przełknął ze zdenerwowania ślinę.

„Na Onyksową, niech się uda!” – pomyślał i delikatnie wcisnął gaz. Samochód potoczył się do przodu.

Ben dostrzegł twarz konstabla.

„Posterunkowy Van Iversen”. – Niemal westchnął z ulgą.

Ten podstarzały glina chwilę przed emeryturą często patrolował tereny przylegające do fermy Bena. Zdarzyło im się kilka razy miło pogawędzić. Raz czy dwa Van Iversen wspomógł Stoykova przy namierzaniu szajki złodziei vivernich jaj. Innym razem Ben dofinansował lokalną komendę sowitym datkiem. Pozostawali nie tyle w zażyłości, co w życzliwych relacjach.

Ben wiedział, że nie może liczyć na specjalną taryfę ulgową, ale ze względu na starą znajomość liczył na nieco delikatniejsze potraktowanie. Widział, jak Van Iversen obszedł się z tamtą kobietą oraz emerytami. Z kilku wariantów, jakie przygotował wspólnie z uciekinierami, odrzucił opcję błagania konstabla o przepuszczenie oraz jego zdominowania czy szantażu. Jeśli mieli wyjść z tej przygody bez szwanku, musiał to rozegrać sprytnie. Problem w tym, że konstabl nie był sam. Towarzyszyło mu kilku uzbrojonych kumpli i banda gadzich mutantów, więc przekupstwo też odpadało.

„Niebezpieczna zbieranina. Będą się przed sobą popisywać. Muszę być ostrożny, ale i bardziej cwany. – Jasne oczy beznamiętnie obserwowały gliniarzy,

umysł pracował na najwyższych obrotach. – No dobra, widownia czeka. Czas wprawić ją w zachwyty poziomem gry aktorskiej”.

Opuścił szybę wozu. Kłęby dymu owionęły konstabla.

– Posterunkowy Van Iversen, witam pana – rzucił Ben z uśmiechem i widząc zaciętą minę policjanta, dodał lekko: – Coś się stało? Był jakiś wypadek? Może w czymś pomóc?

– Dokumenty!

Ręka tamtego zatrzymała się tuż przed nosem kierowcy. Rudzielec zamrugał. Teatralne rozbawienie walczyło z udawanym zdumieniem na jego twarzy.

– Panie konstablu, przecież się znamy. Po co te nerwy? Już daję.

Pochylił się ku desce rozdzielczej. Na półce nad nią, w stercie papierzysk odnalazł te właściwe. Podczas gdy Van Iversen udawał, że sprawdza dokumenty, Ben zagaił z dziecinną naiwnością:

– Czyli jednak nie wypadek. Szukacie kogoś? Kogoś niebezpiecznego? Wie pan, wolałbym wiedzieć. Pamięta pan, że moja ferma leży na uboczu i gdyby...

– Nazwisko!

Oczy Bena rozszerzyło zaskoczenie.

– Benjamin Leonard Stoykov – odparł, siląc się na nonszalancki ton. – Zresztą po co pan pyta? Przecież pan wie.

– Cel podróży?

Ben zaciągnął się papierosem, wydmuchnął kłęby dymu, chrząknął.

– Moja ferma oczywiście. – Nagle z jego głosu zniknęła wszelka życzliwość. Ton stał się cierpki, zniecierpliwiony. – Panie posterunkowy, jeżdżę tędy kilka razy w tygodniu i pan doskonale o tym wie. Dzisiaj muszę jeszcze wstąpić do innego hodowcy, a potem wrócić do Metropolii. Może proszę mi powiedzieć, jak mam wam pomóc, zamiast obsztorcowywać starego przyjaciela. Przecież nie raz współpracowaliśmy. Może i teraz wam się przydam.

Van Iversen spojrzał mu w oczy tak przenikliwie, że ciarki przebiegły Benowi

po plecach. Wytrzymał jednak spojrzenie konstabla.

– Więc? Mogę wam jakoś pomóc?

– Oczywiście, obywatelu Stoykov – wycedził tamten. – Proszę wysiąść i przejść na tył wozu.

Ben skrzywił się i kręcąc z dezaprobatą głową, mruknął „niech będzie”. Zanim opuścił auto, jeszcze parę razy się zaciągnął. Już na zewnątrz cisnął peta na ziemię. Krople deszczu zabębniły o kaptur sztormiaka, w sekundzie scaliły się w strumyki, a te pognały ku ziemi. Przechodząc na tył auta, rudzielec zaklinał rzeczywistość, by ostatnia wersja planu się powiodła. Kątem oka dostrzegł, że Van Iversen przywołuje kolegów z ich vivernami.

– Nie radzę – odezwał się cicho do konstabla.

– Słucham?! – Ten odebrał to jako groźbę.

Jak na swój wiek funkcjonariusz zaskakująco szybko wyjął i wymierzył broń w plecy Bena, cofnął się.

– Ręce do góry. Odwróć się bardzo powoli – warknął.

„Kurtyna w górę. Przedstawienie czas zacząć”.

Krzywiąc się, Stoykov posłusznie wypełnił rozkaz. Podbiegli pozostali konstable. Każdy ze swoim minivivernem wielkości doga. Z trudem nad nimi panowali, bo zwierzęta podchwyciły intrygujący zapach i zatańczyły wokół swoich przewodników jak husky, które Ben widział kiedyś na archiwalnych filmach z wyścigów psich zaprzęgów.

Stoykov zerknął na bestie. Uśmiechnął się w myślach. Za chwilę ich ekscytacja przerodzi się w agresję. Miał cholerną nadzieję, że bójka będzie wystarczająco ostra, by odwrócić uwagę konstabli od niego.

Póki co przekonująco grał rolę dzianego hodowcy, który nie w porę ugryzł się w język. Uniósł ramiona, odwrócił się twarzą do Van Iversena. W jednej z dłoni trzymał kluczyki. Zatrząsł się, gdy poczuł zimne strugi deszczu wpływające przez rękawy pod kurtkę.

– Czego nam nie radzisz, Stoykov?

– Panowie, źle się wyraziłem – spróbowałem wyjaśnić nieporozumienie. – Chodziło mi tylko o to, że mam tam kilka karłów srebrzystych, których wolałbym nie wystawiać na deszcz i wicher. Są w bardzo ciężkim stanie, a ja odwożę je do hodowcy, który mi je chore sprzedał. Jak zdechną, zanim mu je oddam, nie zobaczę złamanego dragena. A wiercie mi, to są cholernie cenne viverny. Pięć tysięcy dragenów za sztukę.

– Czemu ma nas to obchodzić? – spytał inny funkcjonariusz.

Ben odwrócił w jego stronę głowę i ujrzał chudą, szczurzą twarz oraz wąską linię ust. Mężczyzna był wyższy rangą od Van Iversena, więc to z nim należało się układać.

– Bo odszkodowanie, jakiego od was zażądam, będzie horrendalne – powiedział spokojnie Ben.

Szczurza Twarz nawet nie mrugnął. Van Iversen odebrał to jako rozkaz. Dосkoczył do Stoykova, wyrwał mu kluczyki, odepchnął na bok. Rudzielec aż się zatoczył. Bez pozwolenia opuścił ręce, otarł mokrą twarz, jak gdyby w tym deszczu miało to coś dać. Skrzyżował ramiona i westchnął z teatralną rezygnacją, podczas gdy tamci właśnie gmerali przy zamku do drzwi vana.

Po chwili w świetle latarek ukazało się jego wnętrze po sufit zawałone pojemnikami i klatkami. Tuż przy wejściu zobaczyli kilka mniejszych transporterów zasłoniętych pokrowcami. Po ich otwarciu oczom funkcjonariuszy ukazały się pisklęta.

Zdrowe karły przypominałyby kurczaka, gdyby nie pastelowozielone łuski, długi mocny ogon i śmieszne wyrostki na głowie. Nazywano je srebrzystymi, bo z każdą kolejną wylinką coraz bardziej zbliżały się do tej barwy, jednocześnie nie zmieniając gabarytów. Na dodatek z każdym zrzuceniem następnej warstwy naskórka ubywało im agresji. Stąd paradoksalnie należało obawiać się piskląt karłów, a nie dorosłych osobników. A że potrafiły pięknie naśladować śpiewy ptaków i z zachowania przypominały brykające kocięta, chętnie były kupowane

jako prezent dla bogatych staruszek rezydujących w Gajach Oliwnych. Ich wysoka cena wynikała nie z mody, ale faktu, że były trudne w hodowli. Wymagały bowiem specjalnej karmy złożonej ze świeżych ostryg i wina oraz ręcznie przygotowywanych kosmetyków na bazie oleju kokosowego, na które należało zdobyć pozwolenie. Za sowitą opłatą oczywiście. Do tego należało doliczyć pensję wykwalifikowanego opiekuna oraz koszty leczenia, które w przypadku karłów nigdy nie były małe.

Te tutaj wyglądały marnie. Siedziały półprzytomne, podpierając się pyskami i rozpostartymi skrzydłami. Jeden zwinięty w kłębek miał zaklejone ropą oczy i nozdrza. Ciężko oddychał. U wszystkich łuski były matowe i nastroszone. Łuski te podrygiwały przy każdym wdechu, upodabniając gady do konających ptaków.

– Przyda im się odrobina świeżego powietrza – stwierdził Szczurza Twarz. – Chyba że zamierza je pan wykończyć dymem, a winę zrzucić na hodowcę. Odszkodowanie pewnie byłoby spore, co?

– Wypraszam sobie! I z całym dla pana szacunkiem, ale chyba pan nie wie, że dym tytoniowy nie szkodzi karłom, a te konkretne lekko usypia. W ich stanie to akurat bardzo pożądane.

Zobaczył w oczach gliniarza powątpiewanie, ale też niepewność. Naprawdę nie miał pojęcia o hodowli vivernów, co rudzielec zamierzał bezlitośnie wykorzystać.

– Co im dolega?

– Dobre pytanie – odparł Ben. – To nie wygląda na pustynną dżumę, ale nasz doktor w Czarnej Łusce nie wyklucza innych chorób zakaźnych. Na wszelki wypadek w moim sklepie już zarządziłem kwarantannę. Wóz też pójdzie do dezynfekcji. Waszym zwierzętom także sugeruję się nie zbliżać. Jak chcecie ich użyć, to na własną odpowiedzialność.

– Mamy wierzyć, że takiej klasy hodowca jak pan chce wwieźć te parszywki na swoją fermę?

Ben pokręcił głową. Tym razem nie udawał zniecierpliwienia.

– Przecież tłumaczę, że jadę je oddać poprzedniemu właścicielowi. I z całym szacunkiem, ale o moją fermę nie musicie się martwić. W każdej szanującej się hodowli przy wjeździe jest śluz dezynfekcyjna. Powinniście się martwić o swoje viverny. Też nie były tanie – warknął.

Szczurza Twarz uśmiechnął się, ale bez serdeczności. Podeszedł do Bena i spojrzał mu w oczy.

– Dziękujemy za troskę o nasze zwierzęta, obywatelu Stoykov, ale opiekują się nimi najlepsi lekarze. Także nie są tani. Jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Czemu zdecydował się pan w taką pogodę na jazdę poza Metropolię?

Oczy gliniarza zmieniły się w dwie bryłki ciemnego lodu. Ben poczuł ciarki na plecach. Strużka potu spłynęła mu między łopatkami.

– Ile razy mam powtarzać, że jadę odwiedzić karły...

– Słyszałem! Mnie interesuje, czemu tak bogaty i znany facet nie zlecił tego któremuś ze swoich ludzi, tylko fatyguje się osobiście. Na dodatek w taką ulewę. No, Stoykov, czemu?

Ben zaklął w myślach. Czuł, że rozmowa wymyka się spod kontroli. Musiał ją odzyskać, i to szybko.

– Nawyki ze starych, acz nieodległych czasów, kiedy byłem ledwie zamożny – odparował błyskawicznie. – Lubię robić interesy bez pośredników, bo tylko wówczas mam pewność, że idą po mojej myśli. Temu hodowcy karłów jadę zrobić awanturę, bo sprzedał mi chory przychówek. Wydaje się panu, że tamten facet zechciałby rozmawiać z którymś z moich ludzi? Wątpię. – Skrzywił się. – Chce pan robić kontrolę – stwierdził. – Nie ma sprawy. Byle szybko. Za każdego padłego pisklaka pana posterunek dostanie fakturę na pięć tysięcy. – Cofnął się, robiąc miejsce funkcjonariuszom.

Szczurza Twarz wciąż nie wydał rozkazu, a jednak jeden z konstabli wraz ze swym vivernem natychmiast podeszedł do auta. Zwierzę wyciągnęło głowę do przodu, zbliżyło pysk do klatek, postrzępionym jęzorem sprawdziło otoczenie.

Przestąpiło z nogi na nogę, kilka razy uderzyło z ekscytacji ogonem o moką jezdnię, machnęło szczątkowymi skrzydłami. Konstabl pewniej chwycił je za obrozę.

Nie pomogło. Vivern zaczął kręcić się wokół niego, powarkiwać, syczeć. Szturchnął pyskiem jedną z klatek, a wtedy wyrwany z letargu karzeł otworzył zielone ślepia, mocniej się zatrząsł, zakaszłał, kichnął żółtawym katarem wprost w nozdrza intruza. Tamten się cofnął. Odsłonił zębiska. Jeszcze spróbował szturchać pozostałe klatki, lecz pisklaki w nich siedzące nie zwróciły na niego uwagi. Konstabl spojrział z wyczekiwaniem na decyzję przełożonego.

– Kontenery! – wycedził Szczurza Twarz, a wtedy inny funkcjonariusz otworzył boczne drzwi vana.

Ben usłyszał odskakiwanie zatrząsków klap zamykających pojemniki. Westchnął z teatralną dezaprobatą. Pokręcił głową dla lepszego efektu. Kilka następnych długich minut funkcjonariusze sprawdzali kontener po kontenerze. Towarzyszyło im coraz mocniejsze powarkiwanie bestii. Z każdą chwilą robiły się coraz bardziej niespokojne. Ben znów uśmiechnął się do własnych myśli, choć minę miał wciąż kamienną.

„Tiaa, nie ma to jak odór padlinki. Dalej, gnojki, śmiało, wdychajcie. A potem bawcie się dobrze”.

W tym momencie usłyszał ostrzegawczy krzyk jednego z konstabli starającego się odciągnąć swego viverna od ostatniego kontenera. Inny nie zdążył komendą zdyscyplinować swej bestii, również próbującej skontrolować pojemnik. Gady rzuciły się sobie do gardeł. Po chwili szaro-zielona warcząca kula przetoczyła się w poprzek drogi. Zwierzęta huknęły z rozpędu o niewielkie drzewo rosnące na poboczu. Pień trzasnął jak zapalka i drzewo wysokości domu zachwiało się. Podmuch wiatru przechylił je kilka razy na boki, nim ostatecznie rąbnięto tuż przed maską vana, wywołując popłoch i widowiskową ucieczkę konstabli.

Stoykov zachichotał w myślach.

„Ech, orły. Elitarna jednostka, co?”.

– By to elfia zaraza! – wydarł się Szczurza Twarz. – Co się dzieje z tymi zwierzakami?!

To było bardzo dobre pytanie. Teoretycznie zwłoki – nieważne czyje i w jakim stanie – nie powinny robić na minivivernach wrażenia. Gady szkolono do tropienia żywego celu. Miały go upilnować do czasu przybycia konstabli i atakować tylko na wyraźny rozkaz. Tymczasem na oczach zgromadzonych mężczyzn teoria właśnie brała w łeb. Bo dla dwóch bestii walczących na poboczu drogi o fragment padliny otaczający je świat przestał istnieć. Pogrążone w amoku, oszołomione fetorem zwłok, rwały zębiskami ciało przeciwnika, prwały pazurami jego mięśnie, dźgały kolcem jadowym ogona, waliły skrzydłami. Świeża, płynąca z ran krew działała jak dodatkowy katalizator agresji. Pierwotne instynkty zgubione w procesie hodowli i stłumione w trakcie żmudnych tresur teraz na powrót dawały o sobie znać. Oto ludzie ujrzeli wściekłe bestie kompletnie niereagujące na komendy.

„Zaraz! – Ben przyjrzał się zwierzętom. Zaskoczenie odebrało mu mowę. – Nie powinny mieć spiłowanych zębów i pazurów? I jeszcze ten kolec jadowy w ogonie. Powinien być amputowany! Tego nie przewidzieliśmy! By to elfia zaraza!” – pomyślał, spoglądając ze strachem na ich naturalny arsenał broni.

Przezornie zamknął tylne drzwi vana, a potem odsunął się na bezpieczną odległość. Zafascynowanym wzrokiem patrzył na walczące bestie: w jego oczach konesera starcie wyglądało jak pięknie zaaranżowany taniec, a nie śmiertelna bitwa. Czuł ekscytację i zachwyty. Przerazenie było na końcu tej listy emocji.

Konstable poszli w ślady Bena i też się cofnęli. Jeden z nich wystrzelił w powietrze. Zwierzęta nie zwróciły na to najmniejszej uwagi. Gliniarze zamarli. Przestali krzyczeć, wydawać polecenia. Dotarło do nich, że jakakolwiek ingerencja byłaby głupotą. Jedyne, co mogli zrobić, to czekać z naładowaną bronią w garści. Dwaj z nich prędko oddalili się wraz z pozostałymi vivernami. Reszta konstabli przyglądała się gadzim gladiatorom, nie mając żadnych wątpliwości, że jeśli przeżyją, ich agresja obróci się przeciw nim, ludziom.

Ale oto właśnie jedna z bestii złapała drugą za gardło. Potężnym kłapnięciem przegryzła je. Mężczyźni usłyszeli też chrzęst łamanych kości karku. Vivern zachwiał się, z jego pyska wydobył się zniekształcony krzykosityk, a potem jaskrawoczerwona piana. Zwierzę jeszcze spróbowało zrobić krok czy dwa. Zatoczyło się, przewróciło i zamarło w grząskim podłożu. Czerwoną pianę zastąpiła kałuża krwi rozwodnionej przez deszcz.

Drugi vivern zwrócił głowę ku ludziom. Źrenice rozszerzyła kolejna fala ekscytacji. Koniec ogona uderzył o ziemię. Raz, drugi i kolejny.

Ben przełknął ślinę.

„Robi się ciekawie...”.

Skryty za samochodem ukradkiem ruszył do szoferki. Miał tam schowaną pod siedzeniem niewielką kuszę. Pociski załadowane środkiem usypiającym powaliłyby nawet pustynnika serpentynowego. Zawsze woził tę broń ze sobą. Ot tak, na wszelki wypadek. Teraz mogła się przydać. Nie zdążył jednak dotrzeć do kabiny, bo usłyszał krzyk, tupot nóg, kilka warknięć i strzał. Jak na zwolnionym filmie odwrócił głowę i spojrzał przez ramię. Za jego plecami Szczurza Twarz stał nieruchomo. W wyciągniętej ręce ciągle dzierżył pistolet, a u jego stóp leżał vivern z rozwalonym łbem.

„Ja chędożę! Ale się porobiło!”.

Konstabl dostrzegł go, odwrócił głowę w jego stronę. Był wściekły. Opuścił rękę, szybkim krokiem podszedł do Stoykova.

– Ty dokąd?!

Rudzielec zgrzytnął zębami. Odwrócił się twarzą do gliniarza. Kciukiem wskazał za siebie.

– Do szoferki – powiedział powoli i spokojnie. – Mam tam kuszę ze strzałkami usypiającymi. Dzięki pana błyskotliwej interwencji już nie będzie potrzebna.

Tamten chwilę przetrawiał słowa Bena. Strata dwóch cennych służbowych vivernów, niepotrzebne narażenie życia ludzi, ewentualna skarga Stoykova i jego

żądanie wysokiej rekompensaty za stracone pisklęta... Wszystko mówiło mu, że pochwały za tę akcję nie dostanie. Zwłaszcza że nic nie znaleźli. Chwilę mierzył rudzielca wzrokiem.

– W imieniu Palatynatu dziękuję za współpracę, obywatelu Stoykov – warknął tak, by go wszyscy usłyszeli.

Zobaczył, że Benowi drgnął ironicznie kącik ust i podszedł do niego bliżej.

– Opowiedz komuś, co tu się wydarzyło, a zrobię ci takie przeszukanie, że będzie cię bolał nawet zwieracz odbytu – szepnął. – Spierdalaj, Stoykov!

Na końcu języka Ben miał pytanie, komu przesłać rachunek za karły. Ale jako że Szczurza Twarz sam wyglądał jak rozzłoszczony vivern, rudas darował sobie kolejne zaczepki.

„To nie czas na udowadnianie sobie, kto ma większe jaja – pomyślał. – Innym razem, szcurku, innym razem”.

Chwilę potem gnał zalaną deszczem drogą, zostawiając za sobą grupę rozwścieczonych mężczyzn.

„Już wiem, skąd taka ulewa. Niebiosa płaczą nad tymi kretynami”.

Zerknął w boczne lusterko.

Konstable ładowali na wozy padłe viverny, usuwali szczątki drzewa, przekrzykiwali się w deszczu, kłócili i szukali winnego. I tylko Szczurza Twarz ciągle stał nieruchomo i beznamiętnym wzrokiem śledził van, póki ten nie zniknął za zakrętem drogi między wzgórzami.

* * *

– No, misiaczki, koniec wycieczki!

Ben zatrzymał auto pod imponującym świerkiem rosnącym na rozstaju dróg. Naciągnął kaptur na głowę, wysiadł i przeszedł na tył wozu. Rozejrzał się.

Droga prowadząca w lewo była wygodna, szeroka i stara. Wiodła na jego i kilka innych ferm. Ta biegnąca w prawo powstała niedawno. W istocie był to

krótki, niewysoki, sztuczny wąwóz – właściwie korytarz wyłobiony w ziemi. Ściany zabezpieczono przed osypywaniem kamieniami i metalową siatką, jednak ciągle wyglądały, jakby lada moment miały runąć. Na ich szczycie rosły krzaki i kilka starych drzew. Gęste rozłożyste korony połączyły się niczym baldachim, przez co w dole stale panował półmrok, dający też pewną ochronę od deszczu i spojrzeń ciekawskich. Ulewa sprawiła, że dno pokryło śliskie błoto.

Rudzielec upewnił się, że są sami, i przekręcił klucz w zamku. Wnętrze auta stanęło otworem. Stoykov otaksował spojrzeniem piramidę klatek i kontenerów. Z zadowoleniem przyjrzał się karłom.

– Wygląda na to, że się udało – mruknął i jego usta wykrzywiło uznanie. – Kto by pomyślał, że konstable dadzą się nabrać... Szkoda tylko, że musiałem palić to świństwo.

– Niewielka cena za bezpieczne przekroczenie blokady – szum deszczu przełamały czyjeś ciche słowa.

– Dwa martwe policyjne viverny, połamane drzewo i banda wściekłych konstabli to niewielka cena? Masz ciekawe poczucie humoru, Paul – odparował Stoykov. – I co w tym było bezpiecznego? Widziałeś zębiska tych vivernów? A pazury? Nie były spiłowane! Ten pomysł z papierosem naszpikowanym kocimiętką i zwłokami przyprawionymi walerianą...

– Wiem, też mi się podobał – dało się słyszeć zadowolony głos Iana. – Viverny lubią zielsko, a niektóre z nich to istne ćpuny. Dziwne, że tego nie wiedziałeś. Proszę, kilka kulek zioła przeznaczonego dla kotów, jedna walerianowa zabawka i pięć papierosów zrujnowało dobre samopoczucie sługusów Ronenwetha. Tania ta broń i pomysł, ile jej masz w swoim sklepie. – Zachichotał.

– Bardzo śmieszne. Masz pojęcie, co by było, gdyby te konkretne zwierzaki jednak nie okazały się ćpunami albo gdybyście to wy się naćpali?

– Walerianą? – zakpił Ian.

– O, albo jeszcze lepiej, gdyby konstabl nie zabił tamtego viverna? No i jak musiałem nadymić w samochodzie, żeby kondensacja dymu była odpowiednio

wysoka. Będę wietrzył ten wóz następny rok! – burknął rudzielec, udając, że nie dosłyszał złośliwości. – Co do blokady... Przebiliśmy się przez nią, jasne, ale coś mi mówi, że już niedługo ten facet dobierze mi się do dupy. Wyglądał na mściwego i niegłupiego skurczybyka.

– Nie narzekaj, nie panikuj, tylko otwórz w końcu klatki – odezwał się inny głos, stłumiony i zniecierpliwiony.

Ben zaczął manipulować przy zatraskach. Po chwili zadaszanie pierwszej klatki odchyliło się ku górze, ścianki rozchyliły na boki. Siedzący w środku karzeł ocknął się. Podniósł łeb, machnął skrzydłami, zrobił krok do przodu. Dało się słyszeć ciche *Terminatus*.

Stoykov ponownie zamarł z rozdziawionymi ustami. Godzinę temu był świadkiem przemiany pięciu rosnących mężczyzn w pięć niewielkich pastelowozielonych pisklaków. Wtedy nie wierzył własnym oczom. Teraz patrzył na to ponownie, znów myśląc, że śni.

Zielonkawy karzeł zaczął przeciągać się, otrzepywać nastroszone łuski, przestępować z łapy na łapę. Westchnął. Smużka dymu opuściła jego nozdrza. Skóra zafalowała, zaczęła się naciągać. Zmieniała też ubarwienie i jakby trzeszczała. Końcówki skrzydeł pękły, uwidoczniając dłonie. Podobnie łapy przekształciły się w stopy obute w ciemne traperki. Kończyny wydłużyły się, ciało wysmukliło, spionizowało. Na dodatek zaczęło dynamicznie rosnąć. Pisklak zamrugał. W miejsce jego zielonych tęczówek o pionowej źrenicy pojawiły się inne, szmaragdowe z czarnymi plamami, a potem zupełnie czarne. Potrząsnął rogatym łbem, a ten w sekundę wygładził się i pokrył ciemnym włosem. Vivernik przeciągnął się raz jeszcze, odetchnął głęboko i nagle jego miejsce zajął... *Desire*. Usiadł na brzegu auta, opuścił nogi, pomasaował kark i przeciągnął się mocno, jak ktoś nieco zdrętwiały. Sapnął, wydmuchując resztki dymu. Sięgnął za siebie i wyjął flet spod plandeki. Dotknął nim pozostałych klatek.

– *Terminatus* – powtórzył kilka razy.

Chwilę potem obok niego pojawił się Tancmistrz i ciągle rozbawiony Ian.

Kolejne *Terminatus* przywróciło dawne kształty Ciceronowi oraz Danielowi, ale tego ostatniego Desire na powrót obłożył zaklęciami *Somnum* i *Sincantatum*, zanim elf na dobre się wybudził.

– Za dużo gada i jest upierdliwy jak mucha na kupie gnoju. Tylko by nam przeszkadzał – pospiesznie wyjaśnił Desire, widząc uniesione brwi Bena.

– To po co go ze sobą taszczycie, skoro tak was wkurza?

Tancmistrz szybko osłonił elfa, tak by Stoykov nie mógł dostrzec jego uszu.

– Nie lubimy gnojka, ale to nasz... ehm... jakby kuzyn – pospieszył z wyjaśnieniem. – Rodzina, rozumiesz. Obiecaliśmy jego matce, że wróci do domu cały i zdrowy.

– Kuzyn? W istocie uderzające podobieństwo – ironiczne spojrzenie Bena przemknęło po tak różnych twarzach przyjaciół. Zmieszali się. – A nie prościej byłoby go nieść jako karła, zamkniętego w klatce?

– Ostrygi i wino – zachichotał Desire. – Jak znam drania, pewnie zażądałby najdroższych. Lepiej niech pozostanie człowiekiem.

– A dziadek? – Rudzielec wskazał głową Cicerona. – Założyciel waszego upiornego rodu?

Tancmistrz wzruszył ramionami.

– Bystry jesteś.

– To niech jeszcze zgadnę, cierpi na narkolepsję i akurat teraz ma atak?

Ian przewrócił oczami, Desire parsknął śmiechem. Tylko Tancmistrz zachował powagę.

– Łał. Twoja spostrzegawczość powala na kolana. Chcesz poznać moje dolegliwości? Albo ich? – Wskazał przyjaciół.

– Nie, dzięki – odparł spokojnie Ben. – W sumie masz rację, nie moja sprawa, co z was za jedni. Obiecałem wywieźć was z Metropolii. Zrobiłem to. Ale zgodnie z tą obietnicą to koniec naszej randki. Widzicie tę drogę? – Wskazał głową wąwóz. – Jest krótka. Prowadzi na fermę, o której wam mówiłem. Właściciel tej posesji nie

odmówi wam pomocy.

– Właściciel? Co ty kombinujesz? – Ian zerknął podejrzliwie na rudzielca. Nagle minął mu dobry nastrój. – Miałeś nas zawieźć do siebie.

– Niczego takiego nie powiedziałem. – Stoykov również spoważniał. – Obiecałem schronienie na fermie, ale nie twierdziłem, że na mojej.

Na chwilę zapadła cisza zakłócana jedynie szumem deszczu. W końcu ponownie odezwał się Ian:

– Dobra, a coś więcej?

Ben się uśmiechnął.

– Ferma, na którą zaraz wejdziecie, powstała niedawno. Raptem parę miesięcy temu i ciągle jest w budowie, więc patrzcie pod nogi. Hodują tam jednorozce, utopce i małe odmiany feniksów. Czy coś jeszcze, tego nie wiem. Właścicielem jest... – Zrobił teatralną przerwę i spojrzał znacząco na Iana: – ...Treller McLaurie.

Mężczyźnie serce podskoczyło do gardła, ale miny nie zmienił na jotę. Patrzył beznamyślnie na Stoykova, podczas gdy ten z pewnym rozbawieniem odpalił drugą bombę.

– Treller to gościnny facet, ale ty o tym wiesz, prawda... Ian?

Ian sapnął i zacisnął szczęki. Chwilę lustrował Stoykova wzrokiem. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Zrozumiał, że zaprzeczanie byłoby śmieszne i bezcelowe. Stojący za jego plecami Desire i Tancmistrz wymienili spojrzenia. Ten ostatni dyskretnie sięgnął po flet. Ian przełknął ślinę.

– Od kiedy wiesz, że ja...?

– Że jesteś Ianem McLauriem? Miłości życia bym nie rozpoznał? – palnął Ben.

– C-co? – Zamrugnął gwałtownie.

Stoykov roześmiał się, pomasaował szczękę.

– Proszę, sławnemu Ianowi McLauriemu pierwszy raz w życiu zabrakło języka w gębie. To wielka chwila. Zaczynam żałować, że nie wziąłem aparatu

fotograficznego. – Grzbietem dłoni otarł twarz z łez rozbawienia zmieszanych z kroplami deszczu. – A tak serio – w jednej chwili spowaźniał – miłość od nienawiści dzieli cienka, czasem niedostrzegalna granica. Nas łączy to drugie uczucie, choć mam wrażenie, że tego nie pamiętasz. – Wpatrzył się natrętnie i jakby z zawodem w Iana.

Ten nic nie powiedział. Bardzo starał się kontrolować emocje, choć z każdą minutą było to coraz trudniejsze. Serce waliło mu jak młotem, oddech stał się szybki i krótki. Myśli galopowały.

„Rozpoznał mnie! Teraz nas wyda! Ale Brenda!... A tak jej wierzyłem!”.

Desire z Tancmistrzem stali z tyłu i spokojnie słuchali, ale w zaciśniętych dłoniach skrytych za plecami dzierżyli flety oplecione *stellum*. Płowowłose zakonnik dyskretnie machnął własnym. W myślach wypowiedział zaklęcie. Tymczasem Ben kontynuował:

– Nie wiem, jakim cudem żyjesz, kto i po co zmodyfikował twój wygląd ani jak wplątałeś się w tę aferę w Instytucie. Wiem tylko, że... cieszę się, że tu jesteś.

– S-słucham?! – Ian zająknął się z wrażenia. – Jestem twoim wrogiem, a ty się cieszysz, że mnie widzisz?!

Stoykov pokiwał głową.

– Tiaa, wiem jak to brzmi, ale zrozum, szczerą i głęboką nienawiść to potężne uczucie. A strata największego wroga to jak utrata miłości życia, kochanki... Od dnia, w którym rzekomo zginąłeś, moja egzystencja straciła koloryt, pikanterię, niemal sens. Chcesz wiedzieć, kiedy dotarło do mnie, że Paul McCoy to Ian McLaurie?... – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Wczoraj, w Wylęgarni Feniksów. Wcześniej w Czarnej Łusce zwróciłeś moją uwagę, ale nie umiałem sprecyzować czemu. Potem zobaczyłem cię w pubie. Znow przyciągnąłeś mnie jak magnes. Pojąłem dlaczego, gdy spojrzałem na zdjęcie.

– Zdjęcie? – wtrącił Desire.

– Wisi na Ścianie Sławy. – Ben przeniósł spojrzenie na ciemnowłosego zakonnika. – Jest na nim Treller McLaurie. Głaszcze feniksa. Obok niego stoi

dzieciak. Ty, Ian. – Znow spozrzał na męzczyznę.

Ian gwałtownie wciągnął powietrze.

– Nie wydałeś nas konstablom na blokadzie, ale zrobisz to teraz, prawda?

Stoykov popatrzył na niego zaskoczony.

– Po jakie licho miałbym się aż tak trudzić? I aż tak ryzykować?

– Treller – mruknął Ian. – To proste, zamierzasz go wmieszać w tę sprawę. Zniszczyć. Nie pozwolę ci na to...

Desire i Tancmistrz przyjrżeli się uważnie Benowi. Ciągłe nie reagowali. Stoykov spozrzał na nich, uśmiechnął się, pokręcił głową.

– A nie mówiłem? Nienawiść to potężne uczucie. Dodaje pikanterii życiu, podnosi adrenalinę. Ian może i ma luki w pamięci, ale podświadomie pielęgnuje tę nienawiść jak drogocenną roślinkę. I nawet teraz, mimo że uratowałem mu życie, wam zresztą też, będzie mnie podejrzewał o najgorsze sprawy. A zamiast zwyczajnie powiedzieć „dziękuję”, pewnie przystawi mi pistolet do głowy. Ale muszę cię rozczarować, mój nieprzyjacielu od serca – znow zwrócił się do Iana. – Treller to jeden z nielicznych świetnych hodowców. Porządny chłop, dobry człowiek. I choć cię to zdziwi, szanuję go.

– Czemu mamy ci wierzyć? – Tancmistrz znowu dyskretnie machnął fletem.

– Bo to prawda. Jak się pewnie domyślacie, ja i osoba, która uruchomiła alarm w tamtym grobowcu, należymy do pewnej organizacji. Nie wolno mi zdradzić nic więcej, więc proszę, nie potraktujcie mnie jakimś paskudnym zaklęciem. To byłoby niewdzięczne, a w razie waszej wpadki – groźne. Jedyne, co musicie wiedzieć, to że mamy wspólnego wroga. Wiecie, kogo mam na myśli. Złożyłem przysięgę, że na każde wezwanie uratuję potrzebujących. Zrobiłem to. Wydanie was konstablom nie wchodzi w grę, bo zaszkodziłbym sobie i ludziom, z którymi pracuję. Dziś ja ocaliłem was, mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał prosić o rewanż. No, zasuwajcie na fermę. Tam nie będą was szukać. Przynajmniej jakiś czas.

Zobaczył pytanie w oczach Iana. Pospieszył z wyjaśnieniem:

– Musi być jakiś powód, że cię widzę, mimo że oficjalnie zginąłeś. Zakładam, że ktoś maczał w tym palce. A skoro tak, to zapewne konstable cię rozpoznali, mam rację?

Ian potwierdził skinieniem.

– Ale nie będą cię tu szukać, bo tę fermę Treller zbudował po waszym pogrzebie.

– Naszym?

– Twoim i twojej matki – palnął Stoykov i natychmiast ugryzł się w język, bo zobaczył szok na twarzy Iana. – By to elfia zaraza! Nie wiedziałeś!

Dee wciągnął głęboko powietrze i gwałtownie je wypuścił. Wbił wzrok w czubki własnych butów unurzanych w błocie, zacisnął pięści. Stres jak lodowate szpony zacisnął się wokół jego gardła. Słowo klucz „matka” uwolniło falę kolejnych wspomnień. We wszystkich Martine powracała jako elegancka bizneswoman. Taką ją zapamiętał. Gustowne kostiumy, staranny makijaż, szpilki warte fortunę, biżuteria, za jaką wielu popełniłoby zbrodnię. I jeszcze perfumy o delikatnej konwaliowej nucie. Jednak w żadnym ze wspomnień nie przytuliła jego, Russela czy Uny, nie poczytała bajki do snu. To zawsze była rola nianiek i... Trellera. Martine miała ważniejsze sprawy na głowie, lecz jakie? Tego akurat Ian nie zdołał sobie przypomnieć.

Na nowo powróciło też zdumienie, że ta wysublimowana arystokratka związała się z kimś pokroju Trellera. Z szorstkim facetem, którego życie nie oszczędziło. Nawykłym do spania pod gołym niebem, rozmiłowanym w prostym życiu, górskich wędrówkach i hodowli dziwacznych stworzeń. Nie dość, że się z nim związała, to jeszcze obdarzyła trójką dzieci, a teraz...

– Nie żyje? – wyszeptał.

Podniósł głowę, spojrzął na rudzielca. Ten zmieszał się jeszcze bardziej, zerknął na pozostałych mężczyzn. Tancmistrz nic nie powiedział. Odezwał się Desire:

– Na wieść o twojej śmierci popełniła samobójstwo. Wyprawiono wam

wspólny pogrzeb i razem pochowano w rodzinnym grobowcu. Było o tym głośno w mediach, bo byliście znaną rodziną... Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w taki sposób.

Spojrzał na Iana zaniepokojony. Ten dłuższą chwilę wpatrywał się w ołowiane niebo, wsłuchiwał w szum deszczu, oddychał głęboko wilgotnym powietrzem. Przetrawiał wszelkie szokujące nowiny ostatnich dni i godzin. W końcu zerknął na przyjaciół, obliznął usta.

– Macie dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki?

Desire potrząsnął głową. Pomyślał, że Dee zdumiewająco dobrze przyjął paskudne nowiny, i poczuł do niego szacunek.

– Zaczęłeś mówić o nowej fermie mojego ojca, a ja ci przerwałem. Dokończ, co chciałeś powiedzieć. – Teraz Ian wpatrzył się w Bena.

– Właściwie powiedziałem już wszystko. Skoro powstała po twojej śmierci, to nie wiedziałeś o jej istnieniu, więc nikt nie będzie podejrzewał, że się na niej schroniłeś. Jeszcze. Ale nie siedźcie tam zbyt długo. Nie narażajcie starego McLauriego bardziej, niż to konieczne. – Ben się uśmiechnął. – A teraz wybaczcie, muszę jechać.

Zobaczył uniesione brwi rozmówców.

– Czas zrobić pokazową awanturę pewnemu hodowcy karłów. Na wypadek gdyby konstable chcieli mnie sprawdzić. Macie pojęcie, jak ciężko trzeba pracować na reputację bogatego dupka? Nie mogę pozwolić, żeby ta reputacja ucierpiała.

Niespodziewanie Tancmistrz zrobił krok do przodu.

– Dzięki – powiedział po prostu.

Wyciągnął dłoń. Rudzielec uścisnął ją bez słowa, podobnie jak rękę Desire. Mnisi cofnęli się, robiąc miejsce Ianowi. Ten przestąpił z nogi na nogę. Palce jednej dłoni miażdżyły drugą.

– Przekażę Trellerowi... ojcu – poprawił się – co dla nas zrobiłeś.

– Nie. – Głos Bena stał się stanowczy. – Nic mu nie powiesz!

– Źle cię oceniliśmy i...

– Zapamiętaj w końcu: MNIE TU NIE BYŁO. Konstable wyciągną wszystko z Trellera, jeśli uprą się go przesłuchać, więc im mniej wie...

– Jasne. – Ian skinął głową. Teraz jego dłoń wystrzeliła do przodu.

Długą, bardzo długą chwilę Ben Stoykov wpatrywał się w tę rękę. Nawet nie ukrywał wahania czy powinien ją uścisnąć. W końcu uśmiechnął się, zrobił krok w tył.

– Uwielbiam cię nienawidzić. Nie odbieraj mi tego ofertą przyjaźni – warknął z przesadną wrogością.

Dostrzegł zaskoczone spojrzenie Iana.

– Spadajcie. No już. – Znow wczuł się w rolę bogatego kretyna.

Odwrócił się na pięcie. Trzasnęły drzwi szoferki.

Chwilę potem jedynym wspomnieniem obecności rudzielca w tym miejscu były ślady opon jego vana pozostawione w błocie, ale i te szybko rozmył deszcz.

– Co jak co, ale Stoykov potrafi się oryginalnie pożegnać – prychnął Desire.

Wspólnie z Tancmistrzem ruszył w głąb wąwozu. Ian jeszcze chwilę stał w strugach deszczu, wpatrując się w zakręt, za którym zniknął Ben, i zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszał. No i czy to możliwe, że tak źle ocenił tego rudzielca z połamany nosem?

– Idziesz? – usłyszał chrapliwy głos Tancmistrza.

– Wierzcie mu?! – odkrzyknął w odpowiedzi. Dogonił przyjaciół. – Wierzcie, że nas nie wyda? Serio?

Dźwigający Cicerona Tancmistrz odwrócił się.

– Rzuciłem na niego zaklęcie prawdomówności.

– Kiedy?!

– O rany, wy dwaj serio musicie czuć do siebie miętę, skoro żaden z was tego nie zauważył – zakpił mnich. – A myślałeś, że stoimy tak spokojnie z Desire i słuchamy waszej pogawędki, bo kręci nas brzmienie waszych głosów? Ben nie

kłamał. Z własnej woli nas nie wyda.

– A pod przymusem?

– Po zakłęciu splątanego języka? Zamkną go w wariatkowie, zanim zdąży odszczekać wszelkie głupoty, których nagada.

– Zakłęcie splątanego języka? Jest takie?!

Odpowiedziało mu ironiczne spojrzenie Tancmistrza.

– Przestań już kłapać dziobem i zasuwaj poprzytulać się do tatusia!

– Ale zakończyłeś pierwsze zakłęcie, zanim rzuciłeś to drugie?

Tancmistrz przewrócił oczami.

– Wypieprzaj!

* * *

– Łał! – mruknął Desire.

– Niewielka, niedawno wybudowana, skromna ferma, co? – Usta Tancmistrza wykrzywił podziw.

Ian milczał. Wpatrywał się jedynie w zabudowania, wdychając powietrze przesycone aromatem pinii. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby nic powiedzieć, bo gardło dławiło wzruszenie. Chrząknął tylko i zamrugnął z nadzieją, że się nie rozbeczy.

Oto stali na wzgórzu u wejścia do niewielkiej doliny, której połowę porastał sosnowy las. Drugie pół wykarczowano i zmieniono w przestronne wybiegi. Obok znajdowały się stajnie oraz inne pomieszczenia gospodarskie. Były tu też dwie dużych rozmiarów woliery – jedna ciągle w budowie – oraz kilkanaście małych. Wszystkie osłonięte ruchomymi zadaszeniami, by ochronić lokatorów przed niespodziankami aury. Przez przeszkłone fragmenty ścian stajen można było ujrzeć ruch i sylwetki zwierząt. Odległość i słabnący w końcu deszcz powodowały, że nie sposób było dostrzec nic więcej.

Ale tym, co przyciągnęło wzrok Iana, nie były padoki czy imponujące

woliery, lecz niewielki domek z drewnianych bali, który przycupnął skromnie tuż przy ścianie lasu. Też musiał zostać zbudowany niedawno, bo drewno wciąż było jasne i świeże. Przed gankiem stało terenowe auto całe pochłapane błotem, a z komina snuł się dym.

„Jest w domu”. – Ian ucieszył się na myśl, że zobaczy ojca.

W umyśle pojawił się obraz rosnącego mężczyzny o srebrzystej czuprynie. Za tą wizją nadpłynęły kolejne. Ian wspomniał, że Treller nie jest zbyt towarzyski, więc o drogi dojazdowe dbał tyle co nic (mimo że na jego fermach budynki i woliery musiały być czyste, funkcjonalne i nowoczesne). W mniemaniu ojca szeroki wygodny trakt był zaproszeniem dla gości, a tych konsekwentnie unikał, choć gdy już się napatoczyli, stawał się bardzo gościnny.

Ian się rozejrzył. Jedyłą drogę ulewa zmieniła w grzęzawisko. Nie chcąc brodzić po kostki w błocie, przyjaciele ruszyli skrajem lasu. Dzięki temu mieli też szansę dłużej pozostać niezauważeni. Ostatecznie nie mogli mieć pewności, że Treller jest sam.

Niedaleko domu przyczaili się w krzakach. Elfa i Cicerona posadzili pod drzewami, a sami podeszli bliżej. Porozumieli się wzrokiem. Ian wskazał palcem na siebie i na budynek, dając do zrozumienia, że pójdzie tam sam i wybada, czy jest bezpiecznie. Desire w odpowiedzi uniósł kciuk. Ian pochylił się i ruszył do przodu. Chwilę potem przywarł do ściany budynku, przykucnął, wyjrzał zza węgła.

„Pusto”.

Niemal czołgając się, dotarł na ganek. Przycupnął tuż przy oknie, nieco się uniósł i zerknął przez szybę do środka. Trellera nie było, lecz w kominku palił się ogień, a nad nim w kociołku najwyraźniej gotował się obiad. Ian wyteńczył wzrok. Otaksował pomieszczenie. Gospodarza ciągle nie dostrzegął.

– Nie ma potrzeby czaić się pod oknem. Jeśli jesteś głodny, wystarczy zapukać. Nie mam zwyczaju zapraszać gości, ale nie odmówię strawy i dachu nad głową potrzebującemu – usłyszał cichy głos za plecami.

Przymknął oczy. Kolejny fragment puzzli wspomnień wskoczył na swoje

miejsce. Pachniały dymem ogniska i pieczeniem z rusztu, błyszcząły rozgwieżdżonym niebem, brzmiały odgłosami pasikoników, syczeniem vivernów, grą na flecie i właśnie tym głosem snującym kolorowe opowieści.

Ian uśmiechnął się, podniósł i odwrócił.

– A dla pięciu potrzebujących też się znajdzie miejsce przy twoim kominku... tato?

– Tyle razy prosiłem!... – Głos starszego pana zadrżał wzruszeniem.

– Żeby w ten sposób do ciebie nie mówił, bo czujesz się staro – dokończył Ian i pozwolił się zamknąć w niedźwiedzim uścisku ojca, a potem długą chwilę przytulać i poklepywać po plecach.

Ramiona Trellera drżały, starszy pan raz po raz pociągał nosem. Niemal brutalnie odsunął Iana, przyjrzał mu się. Twarz miał mokrą od łez.

– Wiedziałem, że pewnego dnia wrócisz – wyszeptał z mocą. – Nie stójmy tu tak. W środku jest ciepło. Wysuszysz się, ogrzejesz, najesz. I zawołaj przyjaciół. Niech przestaną się wygłupiać w tych krzakach. Dla nich też znajdzie się porcja gulaszu i szklanica cydru.

Dopiero teraz Ian dostrzegł Tancmistrza zerkającego na nich zza pnia sosny i przysłuchującego się rozmowie. Pokręcił z dezaprobatą głową, gestem przywołał przyjaciół.

Ubłocone buty zostawili w przedsionku. Rozglądając się z zaciekawieniem, przeszli za gospodarzem do salonu.

Dół chaty Treller zbudował na planie otwartym. Całość sprawiała przytulne wrażenie i była schludnie utrzymana. Część McLaurie wydzielił na coś w rodzaju kącika wypoczynkowego z dwoma fotelami ustawionymi przy kominku. Za niewielkim kontuarem miał dobrze wyposażony aneks kuchenny z szafkami i zlewem. Pod jedną ze ścian niewielką biblioteczkę, a pod drugą schody wiodące na pięterko. Zapewne do sypialni. Starszy pan właśnie tam zniknął na chwilę.

Wrócił z naręczem koszul i spodni. Ubrania były sfatygowane i pachnące kulkami na mole, ale dla przyjaciół liczyło się, że są suche i czyste. Jakiś czas

potem przebrani rozsiedli się na podłodze wokół kominka, wcześniej usadzając nieprzytomnego Cicerona w fotelu. Po raz kolejny upewnili się, że żyje, i starannie opatulili go kocem. Daniela ułożyli pod ścianą i również okryli.

Treller pokazał Ianowi, gdzie znaleźć kubki i butlę cydru, a sam zaczął kroić pajdy chleba. Nie zadawał pytań, a jedynie zerkał z ciekawością na przybyszy: zmęczonych, zmarzniętych uciekinierów dźwigających jakiegoś półżywego staruszka i sennego niemowę. Skoro byli z Ianem, musieli być jego przyjaciółmi. I jakim cudem odnaleźli jego, Trellera, na tym wygwizdowie? Pomyślał, że wyjawia mu tyle, ile zechcą, gdy już odpoczną i się posilą.

„Zaiste, szykuje się interesująca rozmowa”.

Gulasz pachniał wspaniale, a w smaku był jeszcze lepszy. Gorący, pożywny i ostry. Treller nałożył go do misek i rozdał przybyszom. Zapalił fajkę i w milczeniu obserwował, jak łapczywie pochłaniają posiłek.

„Stado głodnych, zgonionych wilków” – pomyślał.

– Dokładkę? – zwrócił się grzecznie do Desire.

Ten spojrział na swoją pustą już miskę, potem na starszego pana. Zmarszczył brwi, zastanowił się.

– Zaraz, dodałeś coś do tego gulaszu? Środki nasenne na przykład? Zaśniemy, a ty powiadomisz konstabli?

– Na Onyksową Harfę! Jak śmiesz?! To mój ojciec, pamiętasz? – warknął Ian.

– Nie obraża się gospodarza w jego własnym domu! Przepróż natychmiast! – Odwrócił głowę w stronę Trellera. – Wybacz temu cymbałowi. Sporo żeśmy przeszli, oberwał w głowę, pewnie dlatego pieprzy takie głupoty.

– Rozumiem.

– Nie zostaniemy długo. Nie możemy... – mruknął prędko, by zmienić temat.

– To ma związek z tym, co się stało w Instytucie?

– Słyszałeś...

– Trudno było NIE słyszeć.

Ian chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy Tancmistrz odłożył swoją do połowy zjedzoną porcję.

– Dobry ten gulasz. Dziękuję – burknął. – Jednak pytania mojego przyjaciela zasługują na odpowiedź. Zwłaszcza w naszej sytuacji.

Zanim starszy pan powiedział cokolwiek, Tancmistrz rzucił niewinne pytanie:

– Sporo tego jedzenia jak dla jednej osoby. Zawsze pan tyle gotuje?

Ian dostrzegł flet opleciony *stellum* w jego ręku. Podniósł własną. Czuł, że musi rozwiązać podejrzenia dotyczące ojca, nim Tancmistrz z Desire zrobią coś głupiego.

– Ja ci odpowiem. Nie, Treller nie spodziewał się nas, jeśli o to chciałeś zapytać. Gotuje raz na kilka dni. Taki nawyk. Potem codziennie odgrzewa sobie małą porcję. Oszczędność czasu. Ten gulasz miał mu wystarczyć na tydzień. Hej, co z wami? Okażcie wdzięczność człowiekowi, który ugaszcza was, jak może. Skąd w was ta podejrzliwość?

Tancmistrz spojrzał na Desire.

– Ja to zrobię – mruknął enigmatycznie.

Ciemnowłosa zakonnik skinął głową na znak, że się zgadza.

– Co zrobisz?! – teraz Dee był już serio wkurzony.

– Zadam pytania – odparł Tancmistrz niemal nonszalancko. – Postaram się być grzeczny, choć nie gwarantuję, że miły. Panie McLaurie... – zwrócił się do Trellera.

Ian zerwał się, ale został powstrzymany przez ojca.

– Moi bezimienni przyjaciele... – Starszy pan na moment zniknął w obłoku dymu z fajki. – Nie wyjawiacie nic ze swoich sekretów, ale żądacie sekretnych wyznań ode mnie. – Spojrzał przenikliwie na mnichów, zagryzł usta. – W innej sytuacji poszczułbym was moim interceptorem. Tiaaa, gdyby tylko sytuacja była inna... – mruknął jakby do siebie. Zaraz jednak ocknął się. – Ale nie jest – stwierdził spokojnie. – Chcecie wiedzieć, czemu nie zaskoczył mnie widok Iana,

choć pochowałem jego i żonę niemal rok temu. Jakim cudem rozpoznałem go, mimo że nie przypomina chłopca, którego wychowywałem tyle lat.

Wskazał półkę nad kominkiem, na której stało kilka zdjęć. Na jednym z nich, wraz z roześmianym młodym mężczyzną wznosili toast szampanem, za ich plecami pysznił się puchar zdobyty w Memoriale. Młodzieniec ze zdjęcia miał trzydniowy zarost i ciemne, choć spłowiałe od słońca włosy do ramion, jasne oczy i absolutnie nie był podobny do Iana stojącego teraz pośrodku pokoju. Starszy pan westchnął.

– Już czas... – szepnął zapatrzonego w to zdjęcie. – *Cognoscetis veritatem et veritas liberabit vos...*

– Co? – nie zrozumiał Ian. Z minuty na minutę sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

– To cytat z pewnej sławnej księgi – powiedział Tancmistrz. – W wolnym tłumaczeniu oznacza: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Panie McLaurie, o jaką prawdę panu chodzi? Już czas na co?...

Pomaku, bardzo powoli Treller odwrócił się w stronę syna. Przyjrzał mu się. Był bardzo poważny.

– Na spowiedź. Zbyt długo z nią zwlekałem.

– Tato? – Iana zaniepokoił mrok w oczach ojca, zaskoczył żal. Szóstym zmysłem czuł, że nadciąga coś niedobrego. Jakaś wiedza, której nie powinien i nigdy nie miał osiąść. Zaszło mu w ustach.

– Zginąłeś, bo widziałeś za dużo – usłyszał szept Trellera.

– Nie rozumiem...

– Przypomnij sobie, SYNU! – W tym jednym zdaniu zawarty był rozkaz, ale i czułość. – Wieczór w ostatnie Święto Srebrzystych Kaganków. Poszedłeś odwiedzić Unę. Wracając, pomyliłeś korytarze, zerknąłeś do jednej z sal...

– Zobaczyłem Helen i grupę studentów trenujących na manekinie sekcję zwłok elfa. – Strzępki obrazów pojawiły się w umyśle Iana. – Oburzyło mnie to, ale co to ma do rzeczy?

– Tylko tyle, że to nie był manekin.

Ianowi w jednej chwili zabrakło tchu. Jak po potężnym ciosie w splot słoneczny. Sapnął. Zawiesił wzrok na płomieniach w kominku. Wpatrzony w ogień przeszukiwał zakamarki pamięci. Helen wyciągająca tkanki z wnętrza ciała. Zamykająca Ianowi drzwi przed nosem. Niezadowolona, że zobaczył ją przy pracy. I jeszcze wieczorny spacer. Ciężarna kobieta... strzelająca do niego i... Cresidius Cordell ostrzegający go krzykiem, a potem odpowiadający ogniem napastniczce. Nagle cała sprawa zdała się tak oczywista jak oglądana z bliska przez ogromną lupę. Spojrzał na ojca szeroko otwartymi oczami. Mnisi również.

– Zobaczyłeś prawdziwego elfa, dlatego musiałeś zginąć.

– Ale przecież zwłoki elfów rozpadają się po śmierci!

– A czy ja powiedziałem, że był martwy?

– Sugerujesz, że to była?...

– Nie sugeruję!

– Ja chędożę! Wiwisekcja! – wykrztusił Desire i natychmiast położył dłoń na własnych ustach, jakby w obawie, że wypuszczą kolejne szokujące nowiny.

– By to elfia zaraza! – Tancmistrz złapał kubek cydru, wychylił go kilkoma łykami.

Chwilę wszyscy milczeli zapatrzeni w ogień kominka, zasluchani w trzask płonącego drewna. Żałowali, że słów, które właśnie padły, nie sposób odwrócić.

– Potem, już na ulicy to Cresidius Cordell chciał uratować mi życie. Jakaś kobieta... miała skrytą pod sukienką broń... on wrzeszczał... strzelał... – szeptał urywanymi zdaniem Ian. – Jak odpłaceć Cadorowi za śmierć brata? – Spojrzał na nieprzytomnego staruszka siedzącego w fotelu. Teraz już rozumiał, dlaczego opat wydał mu się znajomy przy ich pierwszym spotkaniu.

– Cresidius był dobrym człowiekiem, ale opuścił nas lata temu. To był jego wybór. Ten na ulicy też. Nie zadrećzaj się tym – wycedził Desire.

– Łatwo powiedzieć. – Ian bezwiednie upił łyček cydru.

– Proszę dokończyć, panie McLaurie – znów odezwał się Tancmistrz.

Treller skinął głową, westchnął ciężko i podszedł do syna. Spojrzał na niego.

– Nie myśl o mnie źle...

– Nie mógłbym!

– To się zaraz okaże...

Treller skierował kroki do stolika. Odłożył fajkę, nalał sobie solidną szklanicę cydru, wychylił kilkoma haustami i z łoskotem odstawił szkło na blat. Grzbietem dłoni otarł usta. Podszedł do kominka. Zatrzymał się na wprost niego. Założył ręce do tyłu, wpatrzył się w płomienie. Cicho zaczął opowiadać:

– Ty, Russel, Una, ja... Chciałem, żebyśmy tworzyli zgraną, kochającą się rodzinę... Prawdziwą rodzinę...

– Tak było – bąknął Ian, nie rozumiejąc, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Nie, nie było. – Treller odetchnął i już bez dalszego wahania twardym głosem kontynuował: – O twojej oficjalnej śmierci dowiedziałem się od Helen Gregorian. Powiedziała wprost, co się stało i że kazała cię zlikwidować.

– Co ty pleciesz, Treller?!

Tancmistrz z Desire patrzeli to na starszego pana, to na jego syna, przeczuwając, że to dopiero początek rewelacji. McLaurie odwrócił się do Iana.

– Byłem wściekły...

– WŚCIEKŁY?!

– ...ale nie mogłem nic zrobić. Pochowałem cię w rodzinnym grobowcu, potem zacząłem pozbywać się wszystkiego, co łączyło mnie z dawnym życiem. No, niemal wszystkiego... – Znów zerknął na fotografię nad kominkiem. – Sprzedałem fermy, domy, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Nie chciałem pamiętać ani ciebie, ani Uny czy Russela. Jednak szybko zatęskniłem za poprzednim życiem. I za wami. Ostatecznie prócz hodowania bestii i niańczenia dzieci niczego innego nie umiałem i nie znałem. Z reszty pieniędzy, jaka mi została, założyłem tę małą fermę... Ale odchodzę od tematu.

Uśmiechnął się żałośnie do syna.

– Nie byłem zaskoczony twoim widokiem i rozpoznałem cię bez trudu, bo Helen wyjawiała mi, że jednak żyjesz. Umrzeć miałeś tylko oficjalnie. Ze zmienioną twarzą i nazwiskiem miałeś zacząć dla niej pracować. Powiedziała, że to ty masz odnaleźć właściwe klepsydry wiodące do skarbów elfów i jakiegoś Cadora. Choć odniosłem wrażenie, że bardziej zależało jej na tym drugim. Jakby w powodzenie odszukania fortuny elfów już nie wierzyła. Zrozumiałem też, czemu nie pozwolono mi otworzyć twojej trumny na pogrzebie. Zwyczajnie była pusta. Helen pokazała mi na zdjęciu, jak teraz wyglądasz.

Ian zamarł wpatrzony w ojca, niezdolny do wykrztuszenia jednego choćby słowa.

– Pozwolił jej pan na to? – burknął z niedowierzaniem Tancmistrz.

– C-co? – Starszy pan jakby się ocknął. Odwrócił głowę ku płowowłosemu mnichowi.

– Ta kobieta przyznała, że kazała zamordować pańskiego syna. Potem, że przeżył, że zmodyfikowała mu wygląd i pamięć, zmusiła, by dla niej robił podłe rzeczy. A pan jej na to wszystko pozwolił? Ot tak? – Tancmistrz pstryknął palcami.
– Bez kary? Bez sądu? Nawet bez pytań?

– Łatwo jest osądzać, kiedy nie wie się wszystkiego, co?

– Więc oświeć nas, Treller. Ian zasługuje na odpowiedzi, a my mamy czas, by ich wysłuchać – wtrącił Desire.

– Nie, nie mamy! – warknął Ian. – Ktoś jedzie!

Zamilkli. Przez chwilę słyszeli jedynie trzask drewniek płonących w palenisku. Czyżby miał słuchowe omamy? Ale zaraz ich uszu dobiegł odgłos jakby mruczenia, które z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze.

– Poprawił ci się słuch – stwierdził Treller, patrząc na syna. – Wzrok pewnie masz równie rewelacyjny. Spokojnie, wygląd też wróci do normalnego.

Wyjrzał przez okno.

– Szlag!

Podbiegł do ściany znajdującej się naprzeciw drzwi wejściowych. Coś nacisnął, a wtedy fragment litych bali drewnianych uchylił się na podobieństwo drzwi. Za nimi kryło się niewielkie pomieszczenie bez okien, za to z małym lufcikiem i skrzynią pełną zapasów na czarną godzinę.

– Włazić! – wrzasnął. – Nie gadać, nie ruszać się, nie oddychać! Cokolwiek się tu wydarzy, macie udawać, że was tu nie ma!

Nie wiedzieli, co tak rozzłościło starszego pana, ale czuli, że zwlekanie byłoby głupotą. Tancmistrz złapał Cicerona, a Desire szarpnięciem podniósł Daniela. Pędem zanieśli ich do kryjówki. Kiedy mijali Trellera, ten w końcu dostrzegł spiczaste ucho elfa skryte dotychczas pod włosami.

– Czy to?!... – Jego oczy rozszerzyło zaskoczenie. – Później mi to wyjaśnicie!

Podczas gdy Ian zbierał ich ubłocone buty, suszące się przy kominku ubrania i wrzucał przez uchylone drzwi pomieszczenia, starszy pan prędko zmył błoto z kafli w przedsionku.

– A jak mi się który odezwie!... – Pogroził uciekinierom. – I macie go pilnować – zwrócił się do Tancmistrza, wzrokiem wskazując syna – albo, na Onyksową Harfę, serio poszczuję was moim interceptorem! Tak, mam interceptora!

Potem już bez zwłoki trzasnął drzwiami kryjówki, ustawił przy ścianie fotel, odsapnął, poprawił srebrną czuprynę. Wzrokiem zlustrował pomieszczenie. Miski z gulaszem! Doskoczył, złapał je i wrzucił do zlewu. Szklanice z cydrem znalazły miejsce tuż obok. Treller okręcił się na pięcie, prędko sprawdził, czy wszystko uprzątnięte. W tym momencie rozległy się kroki na ganku, a potem ktoś zastukał. Zgrzytnął zębami, ale podszedł do drzwi. Z rozmachem je otworzył.

– Czego! – warknął.

– Treller, kochaanie – dało się słyszeć czyjeś charakterystyczne przeciąganie samogłosek, a potem wysoki śmiech. – Przyjechałam zobaczyć, czy żyjesz.

Zamknięci w kryjówce mężczyźni nastavili uszu.

– Żyję! Zobaczyłaś! Spierdalaj!

Drzwi zamknęły się z potężnym hukiem.

Mężczyźni ukryci w schowku spojrzeli po sobie skonsternowani.

– Zaraz, czy to była... mama?! – szepnął niemal bezgłośnie Ian. – Jak to możliwe?! Przecież umarła! I czemu ojciec?!...

Tancmistrz przyłożył palec do ust, nakazując ciszę, zerknął przez szparę w ścianie. Wkurzony Treller przemierzył pokój, zatrzymał się przy stoliku, nalał sobie kolejną szklanekę cydru. Znów dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi. W progu stanęła starsza pani. Złożyła parasol, postawiła go w kącie. Nie zdjęła drogiego płaszcza ani zdobionych kaloszy. Jedynie poprawiła fryzurę zburzoną wiatrem. Ręce włożyła do kieszeni, wydeła usta.

– Prostack i cham. Jak zwykle. Pomyśleć, że kiedyś nawet mi się to podobało.

Starszy pan puścił tę uwagę mimo uszu.

– Co się stało, że opuściłaś luksusową trumnę w swoim ekskluzywnym grobowcu?

Martine roześmiała się perliście, jak z wyśmienitego żartu.

– Luksusową trumnę. Niezłe. Serio – mruknęła, nagle tracąc cały swój arystokratyczny akcent. – Ale nie rozumiem, po co pytasz. Sprowadza mnie nasz syn, Ian, oczywiście.

– Nie mamy syna. Nigdy go nie mieliśmy! – wycedził Treller.

Skryty za ścianą Ian niemal krzyknął, a Tancmistrz na wszelki wypadek uziemił go zaklęciem *Mortua* i *Silentium*.

– O tym, którego tak nazywasz, nie widzę powodu gawędzić. – Treller skrzyżował ramiona. – Jego trumna spoczęła koło twojej rok temu, jeśli zapomniałaś.

– Hmm, wybacz, skarbie, ale trupy ośmiu ochroniarzy i czterech vivernów w Instytucie twierdzą inaczej. Aha, dochodzi jeszcze jeden w katakumbach pod miastem.

– Mam gdzieś to, co się stało w Instytucie! I nie wierzę, żeby Ian maczał w tym palce. A ty lepiej powiedz, że to ta suka Helen tak twierdzi! Bo ja jedyne, co wiem, to że zniszczyłaś mi życie!

– Uuu! Ponad pięćdziesiąt lat temu byłeś tym niszczeniem zachwycony! – prychnęła Martine.

Uciekinierzy zerkali przez szpary w ścianach swej kryjówki, nie wierząc w to, co słyszą.

– Przerabialiśmy to, Treller, milion razy. Mdli mnie na myśl, że mamy to zrobić raz jeszcze. – Starsza pani podparła się pod boki. Jej głos stał się twardy, rozkazujący. – Łatwo było brać drageny na rozwój swoich legendarnych dziś hodowli, prawda? Przyszedłeś w jednych portkach, jedyny majątek, jaki miałeś, to wiedza. O bestiach. Daliśmy ci fortunę. Jedyne, co miałeś dać w zamian, prócz toksyn tych bestii, to nazwisko trójce gówniarzy. Zaopiekować się nimi, póki nie będą gotowi i... nie przywiązywać się do nich za bardzo!

„Co?!” – chciał krzyknąć Ian, lecz najcichszy dźwięk nie opuścił jego ust.

Potrząsnął głową. Po zaklęciu *Mortua* nie mógł zrobić nic więcej. Zerknął z nienawiścią na Tancmistrza.

Ten pokręcił głową.

– Obiecał, że prawda cię uwolni – szepnął wprost do ucha. – Patrz i słuchaj!!

Treller wsparł się o blat stolika. Wpatrzył się w butlę niemal opróżnioną z cydru.

– Zgodziłem się, fakt, ale byłem młody, biedny, głupi i zakochany – szepnął.

– Rzadko się z tobą zgadzam, ale istotnie, byłeś głupi. Właśnie zniszczyliśmy populację elfów, a ty sądziłeś, że darujemy jednej kalekiej półsyrenie tylko dlatego, że moczyłeś się na jej widok. – Parsknęła śmiechem. Skrzyżowała ramiona. – Ostrzegałam, żebyś nie meblował waszej sypialni łóżkiem wodnym. Nie słuchałeś.

Z kontuaru przy aneksie kuchennym wzięła czysty kubek. Nalała resztkę cydru.

– Ale nie przyszłam tu wyklócać się o przeszłość. Było, minęło. Z trójki bachorów został Ian. Odnalazł się i podobno nie podróżuje sam. Zakładam, że się u ciebie pojawi.

– Nie wie o istnieniu tej fermy. Powstała po jego śmierci, pamiętasz? – przypomniał Treller.

Martine upiła spory łyk cydru.

– Ohyda! – skrzywiła się, odstawiła kubek, westchnęła. Przez twarz przemknął cień zawodu, co ucieszyło starszego pana, ale zaraz usłyszał: – A ty pamiętasz jeszcze, czemu to robimy?

– Bo jesteście chciwi? – zakpił Treller.

– Gdybyśmy byli, nadal chodziłbyś w jednych śmierdzących gaciach, a o pastylkach długowieczności mógłbyś jedynie marzyć – odparowała. – Więc pozwól, że ci przypomnę: robimy to dla ludzkości. Chodzi o bezpieczeństwo i dostatek. Między innymi dla tak niewdzięcznych mend jak ty. Powiem wprost: kiedy Ian się tu pojawi, a pojawi się na pewno, wydasz mi go. Czas najwyższy, żeby zaczął robić to, do czego został wyszkolony.

Treller zaśmiał się gorzko.

– Matczyna miłość, co? – mruknął. Przeniósł spojrzenie na kobietę. Przyjaciele usłyszeli żal w jego głosie, gdy po chwili się odezwał: – Powiedz, ale tak szczerze, czy przez te pięćdziesiąt lat choć raz pomyślałaś o nim ciepło? Nazwałaś go synem? Zapragnęłaś przytulić, jakby naprawdę był twoim dzieckiem? Choć raz, Martine?

– Odbiło ci?!

Ian przylgnął twarzą do ściany. Już niemal nie oddychał, nie mrugał. Pozwalał, by jad sączył się do jego uszu. Czuł coraz mocniejsze duszności, ale miał gdzieś, czy za chwilę powali go atak tajemniczej choroby. Desire z Tancmistrzem spojrzeli na niego z litością.

– Problem w tym, że jesteś zbyt uczuciowy, Treller – ciągnęła Martine. – I zobacz, dokąd cię to zaprowadziło. Straciłeś swoją syrenkę, jednego

przyszywanego syna oraz majątek. Został ci Ian i Una, twoja ulubienica. Ją też stracisz, jeśli nie wydasz mi tego gówniarza!

– Ile razy jeszcze będziesz mi grozić śmiercią Uny? Nie zrobiłem nic, kiedy Helen powiedziała mi, że zastrzeliła Iana. – Rąbnął pięścią w stół. – By to elfia zaraza! Do końca życia będę żałował, że nie udusiłem sukki gołymi rękami! Nie protestowałem, gdy zdradziła, że na nim eksperymentowała! Wszystko dla Uny! Dla obietnicy, że darujecie jej życie! Że dacie jej spokój, że ją uwolnicie! Że dacie spokój też jemu, gdy tylko spełni swoją rolę. Czy ty nie masz serca, kobieto?! Gdzie twoje ludzkie odruchy, uczucia?!

– Niech pomyślę... – Wpatrzyła się w niego zimno. – Ach, już wiem, zostały w katakumbach pod miastem. Razem z rodzicami, których na pastwę bazyliuszka rzuciły elfy!

Chwilę toczyli pojedynek na spojrzenia. Treller pierwszy spuścił wzrok.

– Martine – odezwał się pojednawczym tonem – masz rację, nasze kontakty z elfami miały też czarne strony. I to prawda, wśród elfów zdarzały się wredne skurczybyki, mordercy i psychopaci. Ale w którym społeczeństwie ich nie ma? Jeśli jednak pamiętasz, tamta grupa złamała prawo, bo organizowała nielegalne walki bestii. Vivernów i bazyliuszków właśnie. Planowali niebezpieczną zabawę dla bogatych klientów, nie mordowanie ludzkości. Z tego, co pamiętam, twoi rodzice poszli do katakumb, bo uwielbiali rozrywkę z dużą dawką adrenaliny. Znali ryzyko. Zgodzili się na nie. Wiedzieli, że czasem sytuacja wymyka się spod kontroli. Tak się stało tamtego wieczora. Pamiętasz, co się naprawdę wydarzyło? Nalot konstabli? Śmierć wielu bestii? Wiele ofiar wśród ludzi, ale też wśród elfów? Pamiętasz, jak surowo ukarano organizatorów? Że to wtedy wprowadzono rygorystyczne przepisy o zakazie Hodowli Zwierząt Mitycznych jeszcze zaostrzone po śmierci Russella? Z powodu jednego incydentu wybiłyście z Helen całą nację, a teraz chcecie ograbić trupy!

– Jednego incydentu?! – wrzasnęła. – Ten INCYDENT miał na imię Noah i był moim ojcem! Drugi incydent to Aurelia, moja matka! A trzy kolejne to

rodzeństwo moje i Helen! Oprócz nich było jeszcze kilkadziesiąt, jak to cudownie ująłeś, incydentów. Żadnemu nie spieszyło się na randkę z bazyliszkiem kryształowym.

– Wiem, Martine, wiem, źle się wyraziłem, przepraszam. Ale nie niszczy Uny ani naszego syna w imię przeszłości – poprosił cicho.

Chwilę patrzyli na siebie. Treller się zgarbił. Cała energia, którą zawsze emanował, w jednej sekundzie wyparowała. Nagle Ianowi objawił się staruszek u kresu życia, przygnieciony winą, starający się odkupić grzechy. Zerknął na osobę, którą do tej pory zwał matką. Zszokował go jej wyraz twarzy. Nigdy nie widział takiego ogromu nienawiści w czyichś oczach. Martine zgrzytnęła zębami.

– Niewielka to cena za zemstę tak słodką – wycedziła. – Poza tym, jak sam powiedziałeś, my nie mamy syna. Nigdy go nie mieliśmy.

Z zaciśniętymi pięściami ruszyła do drzwi.

– Pamiętaj, Treller, Una liczy na ciebie! Nie zawieź jej i daj mi znać, gdy tylko... – Nagle umilkła, gwałtownie się zatrzymała, okręciła się na pięcie. – Minęło ponad pięćdziesiąt lat, a ty nadal uważasz mnie za kretynkę!

Wzrokiem wskazała miski piętrzące się w zlewie. Pełne ciągle ciepłego gulaszu. W przypiływie furii złapała jakąś butelkę i z całej siły cisnęła. Zaskoczony Treller nie zdążył się uchylić czy złapać krawędzi blatu.

Sekundy później podziwiał słoje drewnianej podłogi, z rozciętej skroni kapała krew, zalewając jedno oko. Zobaczył jeszcze, że Martine dostrzegła ślady na deskach kończące się przy ścianie, a potem jej zdobione kalosze cał od twarzy, gdy mijala go, idąc ku składzikowi. Zanim nastąpiła ciemność, usłyszał, jak mruczy niby do siebie:

– Proszę, synuś cały czas tu był i słuchał... Może to i lepiej. No tak, mogłam przypuszczać, Treller, że schowasz go w tej komórce. To było głupie, Ian, dać się zamknąć w tak ciasnej pułapce – oznajmiła donośnie i z satysfakcją. Z kieszeni dobyła broń. Nacisnęła fragment belki. Drzwi odskoczyły. – Powiedz: dzień dobry, mamusiu.

– Dzień dobry, mamusiu! *Mortua!*

Rozległ się huk, po którym ciało Martine osunęło się na ziemię.

Reszty Trellera już nie zanotował w pamięci. Uleciała wraz ze świadomością na ładnych kilka minut.

* * *

Podczas gdy Ian zaczął przetrząsać szuflady kuchni w nadziei, że znajdzie jakieś opatrunki dla Trellera, Desire pochylił się nad ciałem starszej pani. Przysunął twarz do jej twarzy. Spojrzał ironicznie. Zobaczył, że Martine jest wściekła. Jednak po zaklęciu *Mortua* mogła jedynie leżeć nieruchomo i wyklinać.

Oczywiście jak na arystokratkę przystało, klęła soczyście i zdumiewająco kreatywnie. Królowały porównania Desire do genitaliów najpodlejszych istot oraz obietnice perwersyjnego seksu z rozżarzonymi obcęgami, jeśli ten natychmiast nie uwolni wielmożnej pani McLaurie. Ciemnowłosy zakonnik dowiedział się też, że jego matka z pewnością była cichodajką w jakiejś melinie obsługującej zawszonych konstabli i że on sam na drugie imię ma bękart. Starsza pani darła się jak zacięta pozytywka, dopiero zaklęcie *Silentium* zapewniło przyjaciółom ciszę oraz spokój.

– Dużo lepiej – mruknął Desire, gdy Martine zamilkła. – Przecież Helen musiała ci powiedzieć, że Ian nie podróżuje sam – wyszeptał jej do ucha, a zrobił to niemal z czułością. – Że choć nie ma rodziny, ma przyjaciół, którzy staną w jego obronie? Więc czemu założyłaś, że tkwi w tym składziku bezbronny?

Odsunął się, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarł. Jasne oczy kobiety odpowiedziały nienawiścią. Podniósł się. Zaklęciem spionizował ciało staruszki, a nawet sprawił, że zawisło kilka cali nad ziemią.

– Zamierzam panią bardzo gruntownie wypowiadać, pani McLaurie – oświadczył. – Zdradzi nam pani wszelkie swoje grzeszki i wszystko to, czego Treller nie zdążył. Przez wrodzoną życzliwość sugeruję współpracę. Entuzjastyczną.

Jednak w tym momencie stały się dwie rzeczy. Najpierw Treller ocknął się, usiadł na podłodze, jęknął i dotknął rozciętej skroni. Ze zdziwieniem popatrzył na swoje palce, które wyglądały jak unurzane w soku malinowym. Zaraz potem Ian przestał przetrząsać aneks kuchenny. Gwałtownie się zatrzymał i zamarł wpatrzony w okno.

– Ktoś jedzie! – drugi raz tego dnia usłyszeli tak stanowcze zapewnienie.

– Znowu? Nie wierzę – mruknął Tancmistrz.

Martine uśmiechnęła się triumfalnie i spojrzała hardo w ciemne oczy Desire. Ten zgrzytnął zębami.

– Niech zgadnę – rzucił do Iana, ciągle wpatrując się w starszą panią – zaraz będzie tu Helen i jej elfi kundel?

– Oraz banda konstabli z vivernami. Tak, to viverny – mruknął Ian, dostrzegając zbliżające się sylwetki wielu aut terenowych wypełnionych krzyczącymi ludźmi i ich bestiami. – I lepiej uwierzcie, jest ich sporo. Zdecydowanie więcej niż w Instytucie.

– Ile mamy czasu?

Dee pokręcił głową, westchnął.

– Minutę, może dwie – szepnął, nie patrząc na przyjaciół. – Daleko żeśmy dotarli, ale nasza przygoda właśnie tu się kończy. Wybaczcie, że nie dotrzemy do Wietrznych Katedr. Przykro mi, że nam się nie uda. Po tym wszystkim, co zrobiła Helen, Martine i reszta, kara ich nie minie. Zdechnę – wycedził – ale wymierzę im ją tu i teraz! Dawać *stellum*!

Desire zobaczył wyciągniętą dłoń Iana. Szybko wymienił zaskoczone spojrzenie z Tancmistrzem. Ich przyjaciel właśnie postanowił popełnić widowiskowe samobójstwo, zabierając do grobu tylu konstabli, ilu zdoła. W jednej chwili podjęli decyzję.

Ukryli swych podopiecznych w składziku, sami stanęli u boku Iana uzbrojeni w złość, flety oplecione *stellum* i pewność, że tak łatwo skór nie sprzedadzą. Ian zdążył jeszcze pomyśleć z żalem, że już nigdy nie pogłaszcze Bazylia, nie przytuli

Mai, nie robi tak wielu rzeczy, o których marzył. Desire mruknął: „Pieprzyć to, miałem kolorowe życie!”, a Tancmistrz: „Dajmy fiutom popalić!”.

I w tym momencie słabym, ale rozkazującym tonem odezwał się Treller:

– Nie czas na bohaterstwo, idioci! Dupa to najlepsze miejsce, by je chwilowo schować.

Wstał i chwiejnie wsparł się o stolik. Gniewnym spojrzeniem wskazał ponownie składzik.

– Martine wiedziała o kryjówce, ale Helen nie. Jeszcze jest szansa na uratowanie waszych tyłków, tylko dajcie mi działać. No już! I brać mi stąd tę sukę!

– Spojrzał na starszą panią. – Będzie waszą kartą przetargową. Helen za nic nie pozwoli jej skrzywdzić, więc jeśli odkryje składzik, lepiej żeby Martine była w nim z wami. No, dalej! Mam pomysł, jak ich oszukać, ale ruszcie się w końcu!

– Ale to ten sam pomysł co poprzednio – mruknął Tancmistrz.

– Wersja ulepszona! – warknął Treller. – Użyjecie tych przedłużeń męskości – wzrokiem wskazał flety – tylko jeśli mój plan zawiedzie. Nie marnujcie czasu!

Pół minuty później, przekonani, że popełniają największy błąd swego życia, znowu pozwolili się zamknąć w składziku. Tym razem towarzyszyła im Martine. Stali ciasno upakowani, niczym śledzie we wnętrzu niewielkiej konserwy. Nie mogli wykonać najmniejszego ruchu, z trudem przychodziło im nawet oddychanie. Jedną ręką Desire obejmował starszą panią w talii, drugą przytrzymał *stellum* przy jej gardle. Tancmistrz z Ianem ponownie zajęli się obserwacją salonu Trellera. Niedługo potem drzwi chaty otwały się z hukiem i stanęła w nich niewielka postać w przeciwdeszczowej pelerynie.

– Proszę, kolejna wiedźma zaszczyciła moje progi! – prychnął na jej widok Treller. – A co to, umówiłyście się urządzać tu sabat czarownic?!

Helen Gregorian otaksowała zimnym spojrzeniem wnętrze salonu.

– Gdzie Martine? I co z twoją głową? – warknęła zamiast powitania.

Starszy pan przeszedł do aneksu. Z jednej z szafek wyjął czystą ścierkę do

naczyń. Przytknął do skroni. Kątem oka dostrzegł miski z gulaszem w zlewie. Zaklął w myślach, że nie zdążyli ich schować. Cicho gwizdnął.

– Twoja kuzyneczka mnie tak załatwiła – powiedział już na głos. – I nie pytaj, gdzie się podziała, bo nie wiem. Gdy się ocknąłem, już jej nie było. Zawsze twierdziłem, że to wariatka.

Wrócił do salonu. Stał naprzeciw Helen.

– Też będziecie mnie wypytywać o Iana?

– Skoro oberwałeś po łbie, to znaczy, że nie wyjawileś Martine, gdzie on jest – stwierdziła Helen z kpiną w głosie.

– A niby skąd mam wiedzieć? Nie miałem pojęcia, że wrócił, że ma coś wspólnego z tą aferą w Instytucie. – Zdumiało go, że potrafił tak łatwo zagrać naiwniaka.

– Ale teraz już wszystko wiesz? – Była jakaś podejrzana beztroska w tym pytaniu tak lekko rzuconym przez Helen.

– Martine mi powiedziała.

– Aha. Rozumiem. A gdzie ona teraz jest?

– Mówiłem, nie wiem. Ale jak znam tę wiedźmę, to w drodze do Metropolii. Pewnie odreaguje złość i wyda fortunę na stertę paskudnych szpilek w jakimś babskim butik.

– Jej samochód ciągle stoi niedaleko twojej chaty. – Helen przyjrzała mu się spokojnie. – Nie masz nic przeciwko, żebyśmy się rozejrzeli tu i ówdzie? Poszukali Martine i tego dzieciaka?

– Jeżeli pod eufemizmem ROZEJRZEĆ SIĘ kryje się przeoranie mojej fermy i wywrócenie jej do góry nogami, to tak, mam coś przeciwko. Ale czy sobie to rozglądanie darujesz, jeśli wniosę ten sprzeciw?

Gregorian uśmiechnęła się, pokręciła głową jakby z rozbawieniem.

– Wygadany jak zawsze – mruknęła.

Ktoś zastukał w okno. Odwrócili głowy i ujrzeli Bradena. Miał podbite jedno

oko i osmaloną grzywkę. Spojrzał pytająco na Helen.

– Zaczynajcie od przeszukania stajni. Zaraz do was dołączę! – krzyknęła, a wtedy elf skinął głową i zniknął.

Ponownie odwróciła się do Trellera.

– Hmm, a taka to była ładna ferma. Niemal ukończona. Masz talent do autodestrukcji. Szkoda...

– Ile razy mam ci mówić, że nie wiem, gdzie jest Martine i Ian?!

– Zrozumiałam za pierwszym razem. Ty też powinieneś rozumieć, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

Treller zrobił krok w tył. Uniósł dłonie w poddańczym geście.

– Jasne, spal tę budę do gołej ziemi i baw się przy tym dobrze – warknął. – Kiedy palatyn zapyta mnie o dostawę toksyn i gdzie są nowe viverny dla konstabli, przedstawię mu rachunek za szkody razem z twoim nazwiskiem i adresem!

– Chcemy tylko się rozejrzeć... – Helen poczuła, że traci kontrolę.

– Nie ma sprawy, ale BEZ UDZIAŁU waszych vivernów. Wiem, ile ich straciliście w Instytucie. Niewiele wam zostanie, kiedy spotkają się z moimi. Dla ludzi ta konfrontacja też nie będzie bezpieczna.

– Grozisz mi?

– Ostrzegam. Bestie z tej fermy są dopiero szkolone. Na tym etapie hodowli nawet mnie trudno je opanować. Zastanówcie się dwa razy, nim otworzycie puszkę Pandory. Dla własnego bezpieczeństwa sugeruję zostawić wasze zwierzęta przy szosie wyjazdowej. I powiedz swoim ludziom, żeby nie zbliżali się do boksów-inkubatorów w stajni numer jeden. To byłoby bardzo głupie.

Helen zacisnęła usta. Odwróciła się ku wyjściu. Kątem oka dostrzegła ruch w aneksie kuchennym. Treller uśmiechnął się, gdy zobaczył, że kobieta z wrażenia przełyka ślinę, bo oto – przywołany gwizdnięciem – bezszelestnie pojawił się... feniks. Skromnie przysiadł na metalowym blacie, ten skrzypnął pod jego ciężarem, bo ptaszysko było ogromne. Błękitne końce jego skrzydeł niemal dotykały podłogi,

podobnie jak paradny ogon. Całe jego ciało, z wyjątkiem niebiesko obramowanych oczu, niewielkiego czuba, sterówek ogona i skrzydeł, było w odcieniu głębokiej czerni. Oczy przypominały dwa węgielki czujnie wypatrujące ofiar.

– Mieszkać w towarzystwie interceptora? I kto tu jest wariatem? – mruknęła Helen i czym prędzej opuściła chatę Trellera.

Starszy pan odprowadził ją wzrokiem. Niespiesznie podszedł do ptaka. Zdjął z półki rękawicę ogniotrwałą i włożył ją. Pieszczotliwym gestem pogładził feniksa po głowie. Ten zaczął ocierać się o rękę staruszka niczym dziwaczny kot. Treller się uśmiechnął.

– Nie przejmuj się głupim gadaniem – odezwał się do feniksa. – Mało która baba potrafi docenić piękno interceptora.

Ptak spojrzał na niego swymi nieskończenie mądrymi oczami.

– Tak, wiem, Una potrafiła – szepnął w zamyśleniu Treller.

Zamknięci w składziku Tancmistrz i Desire obserwowali tę scenę skrajnie zdumieni. W głowie im się nie mieściło, że można tak po prostu pogłaskać latającego mordercę. Nawet Tom czy Sloan nie zdołaliby tego zrobić. No, może jedynie Mairin, o ile jej obsesja na punkcie bestii nie była częścią przechwałką. Ian się uśmiechnął.

– To Dante – szepnął. – On i Treller są nierozłączni. Ojciec ma go od zawsze.

– Zaraz, czy posiadanie interceptora nie jest czasem zabronione? – szepnął Desire.

– Jest. Zawsze zastanawiało mnie, jakim cudem Treller dostał na niego zgodę. Teraz myślę, że chodzi o dostęp do cennej krwi i piór. Ojciec nigdy nie pozwolił Dantemu na samospalenie. Twierdzi, że to podbija agresję interceptorów. A on chciał udowodnić, że to bardzo przyjazne ptaki. Zawsze zazdrościłem mu umiejętności obłaskawiania bestii. Ten ptak słucha go jak najwierniejszy pies, ale to tylko jedna z jego wielu zalet.

– Aha... – bąknął półgębkiem Tancmistrz. – Wydawało mi się, że interceptory są większe...

– Bo są. Ten jest po prostu stary, a samozapłon to jego marzenie.

W tym momencie w progu salonu pojawił się Braden.

– Doktor Gregorian prosi, by oprowadził ją pan po fermie.

– Doktor Gregorian prosi – powtórzył kpiąco starszy pan. – Zapamiętaj, synu – zwrócił się do elfa – doktor Gregorian nie umie prosić. Powiedz jej, że mam ważniejsze sprawy na głowie niż zabawa w przewodnika. Zwierzyję czas oporządzić.

Braden nie ruszył się na krok. Wzrok miał nieustępliwy. Treller sapnął zniecierpliwiony, machnął ręką.

– No dobrze, niech będzie. Idę. Nie byłoby szkody, gdyby was coś zżarło, ale im szybciej się was pozbędę...

Odłożył rękawicę na blat koło feniksa. Dyskretnie puścił do niego oko. Idąc do drzwi, donośnym głosem oznajmił:

– Dante, słońce ty moje, nie opuszczaj chaty, dopóki nie wrócę, i zachowuj się grzecznie. Pilnuj dobytku. A gdyby ktoś chciał tu myszkować, wiesz, co robić.

Te ostatnie słowa starszy pan wypowiedział, wpatrując się w Bradena. Ten zerknął na feniksa, przełknął nerwowo ślinę.

– Panie McLaurie, o co mnie pan podejrzewa?!

– Pracujesz dla Helen, więc o wszystko co najgorsze! – palnął Treller.

Wyminął elfa i zniknął. Braden jeszcze raz spojrzął na interceptora. Ten zwrócił ku niemu łeb, spojrzął tak, że elf aż się wzdrygnął. Feniks otworzył dziób. Wysoki pisk wypełnił pomieszczenie. Przez szpary między belkami przyjaciele dostrzegli strach na twarzy mężczyzny.

Szybko otaksował salon. Pomyślał, że nawet dla Helen i jej szczodrych obietnic nie zaryzykuje randki z interceptorem. Wycofał się jak niepyszny i chwilę potem uciekinierzy zostali sami.

– Co teraz? – mruknął Tancmistrz.

– Słyszałeś, co powiedział McLaurie. Mamy czekać – odparł Desire. – Wyjdę

do salonu, rozejrzę się.

- Nie radzę – powiedział cicho Ian.
- Dlaczego?
- Dante dostał rozkaz. Ma pilnować dobytku.
- Tak, przed Bradenem i ludźmi Helen...
- Przed wszystkimi!
- Żartujesz...

– Wolałbym, żebyś nie sprawdzał swojej teorii. – Ian wytrzymał spojrzenie przyjaciela. – Dante jest piekielnie inteligentny, do tego szybki, bezlitosny i skuteczny. Widziałem, jak zabił jelenia, jednym ciosem dzioba przebijając mu klatkę piersiową i serce. Ale widziałem też, co zrobił diablikowi szaremu, który w amoku rozwalił swój boks i kilka innych. Zionięciem wypalił temu vivernowi oczy. Potem dosiadł go, przytrzymał za kark, nakrył skrzydłami. Kiedy w końcu go puścił, po diabliku została kupka popiołu. A wszystko na rozkaz Trellera. Więc jeśli ojciec mówi, że mamy tu zostać, to nie waż się otwierać tych pieprzonych drzwi!

- Eee, jasne! – bąknął Desire.

Znieruchomieli w swej pułapce. Zamilkli, posłusznie czekając. Nie trwało to długo, bo najpierw podłoga zadrżała, a ich uszu dobiegł stłumiony odgłos jakby eksplozji. Ian zobaczył, że Martine zbladła, nerwowo oblizwała usta. Przez szpary między belkami dostrzegli Dantego. Przeształ z łapy na łapę, wyciągnął głowę, nasłuchiwał, jednak nadal tkwił na metalowym blacie, obserwując otoczenie.

Budynkiem zatrzęsała kolejna eksplozja. Drewniane belki zatrzęszczały. W ciszę i spokój kryjówki wdarły się krzyki ludzi, syki vivernów, ryk konającej zwierzyny, strzały z broni.

- Na Onyksową!... Co tam się dzieje?! – wykrztusił Desire.

W tym momencie rozległ się tupot i do salonu wpadł Treller. Miał rozwianą czuprynę, czerwoną z wysiłku i wściekłości twarz. Sapnął, rozejrzał się i migiem

doskoczył do skrzyni pod oknem. Z rozmachem ją otworzył. Wieko uderzyło o ścianę, zostawiając wgniecenie w drewnianej belce. Starszy pan nie zwrócił na to uwagi.

– Jakim trzeba być idiotą, żeby zaglądać do samicy czarta smoczego wysiadującej jaja?! – cedził słowo po słowie. – Nie wspominałem, żeby unikać stajni numer jeden?!

Szarpnięciem wydobył kuszę. Załadował strzałki. Drugi magazynek zaczepił o pas przy spodniach. Posłał ostre spojrzenie ku składzikowi i kolejne w stronę Dantego.

– Zostawiam ich pod twoją opieką. Pilnuj ich jak oka w głowie i chroń nawet za cenę własnego życia.

Harmider przed domem, wrzaski, kolejne strzały i ryk bestii sprawiły, że starszy pan już bez ociągania wybiegł z domu.

Tymczasem Ian sięgnął dłonią do zamka. Odciągnął skobel. Drzwi cicho pyknęły.

– Co robisz? – syknął Desire.

– Ojciec jest jednym z nielicznych hodowców mających zgodę na rozmnażanie niebezpiecznych gatunków – wyszeptał prędko. – Zawsze ma tylko kilka sztuk, i to pod ścisłą kontrolą. Ich tkanki dostarcza do Instytutu. Tam robi się z nich leki. Najwyraźniej któryś z konstabli wlaźł do nieodpowiedniego boksu. Czarty to cholernie niebezpieczne viverny. Musimy się stąd ruszyć. Jeśli Trellerowi nie uda się zabić tej samicy, będziemy tu mieli armagedon. Ta rasa nie fruwa, ale świetnie biega i pluje kulami ognia na pięćdziesiąt metrów!

– Ehm, Ian – wtrącił Tancmistrz, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. – Ale pamiętasz, że w salonie nadal siedzi Dante? Interceptor? Morderca?! Jest mi raczej wszystko jedno, kto mnie spali.

Dee uśmiechnął się, ale bardziej do własnych wspomnień, w których z ojcem porozumiewał się niemal bez słów. Zwłaszcza jeśli idzie o hodowlę bestii.

– Nie słyszałeś? Ma nas chronić. Musimy się stąd zbierać. Czekać, pójdę

pierwszy. Niech pozna, że to ja.

Uchylił drzwi komórki. Wystawił głowę na zewnątrz. Dante odwrócił łeb w jego stronę. Zamarł. Chwilę sprawdzał tożsamość intruza, nie bacząc na krzyki za oknem i kolejne wystrzały z broni. Zaraz opuścił skrzydła, przysiadł na skokach. Dee podszedł ostrożnie i pomału. Spokojnie sięgnął po rękawicę ogniotrwałą. Włożył ją.

– To ja, Ian, pamiętasz?

Wyciągnął dłoń do feniksa. Ten zerknął na rękę, ale się nie poruszył. Opuszkami palców Dee pogładził Dantego po szyi. Ptak wyglądał jak wpatrzona w niego kunsztowna figura. Mężczyzna przełknął nerwowo ślinę. Czyżby wszystko, czego uczył go ojciec, miało okazać się bez wartości? Te godziny spędzone na obserwacjach bestii, na karmieniu ich, pielęgnacji ran i chorób, opiece nad pisklakami, obłaskawianiu? Może to Treller posiadał wyjątkowy dar rozmawiania ze zwierzętami, a on, Ian, był jedynie jego niegodnym naśladowcą? Czuł, że szybko musi przekonać do siebie Dantego, inaczej feniks zabije jego i wszystkich w tym pomieszczeniu. Pomyślał, że jest tylko jeden sposób, by ptak go ostatecznie zidentyfikował. Głupi, ale skuteczny sposób.

Zdjął rękawicę. Sięgnął po nóż. Kropla krwi zabarwiła opuszek palca. Niemal wstrzymując oddech, Dee wyciągnął dłoń ku feniksowi. Ten pochylił głowę jak pies obwąchujący rękę przy powitaniu. Mężczyzna zacisnął usta. Żar bijący od Dantego parzył mu palce. To właśnie dlatego w kontaktach z tymi stworzeniami używano rękawic ogniotrwałych, bo spokojny feniks nie spopiełał otoczenia, ale był niczym nagrany piekarnik, a oparzenia długo się goiły. Dante wysunął postrzępiony język. Końcówką dotknął pokrwawionego opuszka. Ian zacisnął z bólu zęby. Łza spłynęła po policzku, jednak ręki nie cofnął nawet o cal. Feniks skosztował mieszaniny krwi i potu człowieka. Spojrzał na niego, krzyknął wysoko i przeciągle, a potem... podstawił łeb do pogłaskania!

– Ja chędożę! – rozległo się ciche i pełne niedowierzania westchnienie Desire.

– Nie czas na zachwyty nad tresurą feniksów – burknął Tancmistrz. – Ian,

możemy wyjść?

Ten pogładził Dantego dłonią zabezpieczoną rękawicą.

– Poczekajcie, sprawdzę otoczenie.

Podszedł do okna. Dyskretnie wyjrzał.

– Co u licha?... – wyszeptał.

Chwilę stał z rozdziawionymi ustami, bo oto najpierw zobaczył chmurę konstabli zwiewających, jakby diabła zobaczyli, potem dostrzegł... samego diabła! A właściwie czarnego viverna rozmiarów byka z potężnymi rogami skrzyconymi po bokach głowy, sznurem kolców ciągnących się wzdłuż krawędzi skrzydeł, garniturem imponujących zębisk oraz kilkumetrowym ogonem zakończonym najeżoną kolcami kulą, który z dziką radością galopował za ludźmi.

– Czart smoczy! – wyszeptał niemal bezgłośnie. – Na wolności! Nie wierzę!

Ale oto zwierzę jakby go usłyszało. Zwróciło łeb w jego stronę. Ian zobaczył dym wypełniający jego nozdrza i zrozumiał, co się zaraz stanie.

– Padnij!

Złoty blask opromienił mu twarz, a chwilę potem okno obok jego głowy rozstrzaskało się w drobny mak. Ułamki sekund zdawały się trwać wieczność, w powietrzu fruwały fragmenty desek, drzazgi, okruchy szkła. Wszystko spowił gryzący dym.

W krytycznym momencie Ian odruchowo rzucił się na podłogę w stronę aneksu kuchennego i nakrył głowę dłońmi. Kiedy dym się przerzedził, a pył opadł, uniósł głowę i otworzył oczy. Zakaszłał. Na blacie nad jego głową jak gdyby nic siedział Dante i patrzył przed siebie nieporuszony swoimi przenikliwymi oczami. Ian machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Na zewnątrz jest czart smoczy, broń nas! To rozkaz Trellera!”, ale w tym momencie dotarło do niego, że wokół zapadła cisza.

Odwrócił głowę ku oknu, by zobaczyć, co się stało z vivernem, ale okna nie było. Otwór okienny wyglądał jak ogromna rana o poszarpanych brzegach. W jej

środku, przytrzymując się ściany, stał... Braden i szeroko otwartymi oczami patrzył to na Iana, to na Dantego, to na coś leżącego na kamiennych płytach otaczających kominek. Ian też spojrział w tamtą stronę. Zamrugał, bo obraz zdał mu się surrealistyczny.

Oto na kaflach tuż przed paleniskiem leżał... ogromny czarny rogaty łeb z wywalonym jęzorem. Z nozdrzy ciągle unosiły się smużki dymu. Brzegi precyzyjnie odciętej szyi także dymiły, zdradzając, co się wydarzyło. Reszty ciała viverna... nie było.

Ian zerknął na składzik. Zobaczył wystające stopy Tancmistrza oraz zdobione gumowce Martine i jedną jej rękę. Przeniósł spojrzenie na Dantego. Feniks pochylił głowę, jakby oczekując podziękowań za dar w postaci łba czarta.

Tymczasem Braden ocknął się z pierwszego szoku i wyciągnął rękę jak do zaklęcia. I znów Ian nie zdążył zareagować. Czarno-błękitny pocisk wystrzelił ku elfowi. Chwilę potem obok łba viverna na płytach przed paleniskiem leżała druga głowa. Ciemna postrzępiona czupryna dymiła, podbite oczy ciągle błyszczały zdumieniem. Dante znikł.

– By to elfia zaraza! – Desire wyczołgał się ze składziku.

– No... – bąknął Ian, zbierając się z ziemi.

Ze stanu skrajnego szoku wyrwał ich jęk Tancmistrza. Usiadł w otwartych drzwiach kryjówki. Usta i nos miał zalane krwią, ale... wyszczerzył się do nich w parodii uśmiechu!

– Tancmistrz? – wykrztusił Ian.

– To nic – mruknął. – Tylko rozcięta warga i rozbity nos. Jak czart plunął ogniem, siła odrzutu była taka, że oberwałem od Martine z główki.

Wypluł ukruszony kawałek zęba, rękawem wytarł pokrwawioną twarz.

– Jak to mówią, do wesela się zagoi. Chyba.

Szybko podszedł do zlewu. Lodowata woda przyniosła ulgę, kuchenna ścierka pomogła zatamować krwawienie. Znów rozległy się strzały i krzyki ludzi, ale jakby

w oddali. Już nie tracąc czasu, Ian doskoczył do dziury po oknie. Chwilę stał osłupiały. Desire z Tancmistrzem też podeszli, zastanawiając się, co tym razem zszokuje ich oczy.

– Myślisz, że to robota Dantego? – szepnął Desire, ledwo ruszając ustami.

– Raczej czarta smoczego – odszepnął Ian. – Spójrzcie tam. – Wskazał dłonią tereny przed nimi.

– By to elfia!... – mruknął Tancmistrz i mocniej docisnął ścierkę do pokrwawionej twarzy.

Przestrzeń padoków, alejki między nimi, droga wyjazdowa z fermy – wszystko zostało usiane trupami. Zmasakrowanymi, wypatroszonymi. Błoto zmieszane z krwią pokryło zwłoki. Biel ciał ludzi, tęczowe ubarwienie utopców, srebrna sierść jednorożców oraz błyszczące łuski ptakosmoków czy pomniejszych vivernów wywleczonych ze swoich boksów pokryte tą mazią tworzyły artystyczny przerażający melanz. Jedna ze stajen płonęła niczym przeogromna pochodnia. Niedokończona woliera zawaliła się. Z pozostałych dobiegały kwilenia przerażonego ptactwa. W oddali ostatni konstable zwiewali, ostrzeliwując się zażarcie przed drugim z czartów. Za nimi gnał... Treller, wrzeszcząc i raz po raz strzelając do viverna z kuszy!

– A mnie się wydawało, że to Sloan jest pomyłony – burknął Tancmistrz.

Vivern się potknął. Buchnął jeszcze dymem z nozdrzy, jeszcze posłał kulę ognia w ślad za konstablami, spopielając po drodze jakiś świerk. Strzałki Trellera zdawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Starszy pan za wszelką cenę próbował odwrócić uwagę bestii od konstabli.

I nagle mu się udało. Rogaty łeb odwrócił się w stronę Trellera, pochylił się, sapnął. Pazury grzebnęły w błocie niczym u byka szykującego się do ataku. Zobaczyli, że McLaurie staje naprzeciw bestii, zaciska zęby, mocniej chwyta kuszę.

– Chyba mu odbiło – szepnął Desire.

– Dopiero teraz to zauważyłeś? – mruknął płowowłosy mnich.

Ianowi serce podskoczyło do gardła, oczy zaszły łzami.

– Ratuje ludzi – powiedział cicho. – Nawet za cenę własnego życia, zrobi to.

Tancmistrz szybko ocenił sytuację, splunął resztką krwi.

– Nie tak prędko! Desire, za mną!

Skoczył do przodu. Przyjaciele ruszyli za nim. Tancmistrz zerknął przez ramię.

– Ian, zostajesz!

– Ale!...

– Nie masz *stellum*, idioto!

Chwilę potem Ian stał samotnie w na wpół rozwalonym budynku, obserwując, jak mężczyźni pędzą w stronę rozjuszonego czarta, wrzeszcząc jak opętani i klęcząc okrutnie. Szarża przyjaciół była imponująca, zaklęcie *Mortua* nie schodziło im z ust.

Z wrażenia starszy pan i bestia na moment zapomnieli o czekającym ich pojedynku i zgodnie zwrócili głowy w stronę mnichów. Nawet konstable przestali uciekać, ciekawi wyniku starcia patrzyli, co będzie dalej. Gdy jednak tylko dostrzegli Desire oraz Tancmistrza, przypomnieli sobie, po co przyjechali na tę fermę. Z bronią gotową do strzału zawrócili.

I wtedy bestia poczuła się osaczona. Posłała mnichom kulę ognia, przed którą tamci w ostatniej chwili uskoczyli na boki. Kolejne kule wypluła w stronę konstabli, przypominając im, gdzie ich miejsce. W końcu zwróciła głowę ku Trellerowi. Ten szepnął:

– Przykro mi, że muszę to zrobić.

Zamknął oczy i nacisnął spust kuszy. A potem jeszcze raz i znowu. Seria strzałek pofrunęła w stronę bestii. Wszystkie trafiły do celu. Ale zanim środek usypiający zabił viverna, rozległ się wysoki pisk, a potem świst. Kiedy do niego dotarło, co się zaraz stanie, z całych sił wrzasnął:

– Uciekaaaaać!

Odwrócił się na pięcie i pędem ruszył w dół zbocza. W ostatniej chwili, bo oto gdzieś spod pułapu chmur zapikował czarno-błękitny kształt. Pruł powietrze niczym grot olbrzymiej strzały, wydając z siebie krzyk, od którego ciarki przechodziły po plecach.

– Dante! – wyszeptał Ian, a oczy rozszerzyło mu przerażenie.

Nagle pocisk dotarł do swego celu. Rozległ się huk, a potem ryk konającego viverna. W jednej chwili całą dolinę wypełnił oślepiający blask. Jak gdyby słońce w całym swym majestacie postanowiło na moment zstąpić z niebios. Fala rozgrzanego powietrza buchnęła, powalając wszystko na swojej drodze i zabijając tych, którzy byli najbliżej.

Smród spalonego mięsa, dym i parująca z przemokniętej ziemi woda utworzyły kolejną mieszaninę, która zaatakowała nozdrza Iana i wymusiła atak kaszlu. Jednak nie zatrzymała go w drodze na pobojuwisko.

Podbiegając bliżej, zobaczył ogłuszonego i posuwającego się na czworakach Desire uparcie dzierżącego *stellum* w rękę. Gdzieś obok, w kłębach dymu i pary siedział Tancmistrz i przecierał załzawione oczy. Ian ciągle nie dostrzegał ojca. Skierował wzrok w miejsce, gdzie widział go po raz ostatni.

– Niech mu nic nie będzie! Proszę! Niech mu nic nie będzie! – powtarzał cicho jak mantrę, przeszukując otoczenie.

Pod jakimś krzakiem zobaczył kuszę. Pobiegł tam i niemal krzyknął, gdy ujrzał palce ciągle zaciśnięte na rękojeści. Doskoczył, rozgarnął mokre gałęzie. Usłyszał jęk, potem sapnięcie. W akompaniamencie soczystych przekleństw starszemu panu udało się usiąść. Miał osmaloną i ubabraną błotem twarz, nie do końca kojarzył, co się wydarzyło.

– Jestem na to za stary! – oświadczył i zaczął podnosić się z ziemi.

Ian podał ojcu dłoń, pomógł wstać, uśmiechnął się.

– Wcale nie, tato, wcale nie! – zapewnił i w tym jednym momencie poczuł się tak zwyczajnie szczęśliwy.

McLaurie sapnęła. Rozejrzał się. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co

się stało.

- Czart smoczy? – zapytał, wyłaząc z krzaków.
- Zabił go Dante. Tak właściwie zabił oba czarty. Miałeś inne?
- Nie. Twój przyjaciele?
- Poturbowani, ale żyją.
- Konstable?

Ian zagryzł usta. Treller właściwie zrozumiał tę ciszę.

– Helen zwiłała zaraz na samym początku. Kilku jej ludzi zginęło. Wróci tu z większym oddziałem. Nie może was wtedy tu być. Spadajcie!

- Tato...
- Uprzątnę, co się da, i powiadomię palatyna. Zrzucę wszystko na Helen.
- Tato.
- No już, nie ma czasu!
- Tato!

Ian stanął na wprost ojca, położył mu dłonie na ramionach.

– Jedź z nami.

Starszy pan znieruchomiał zaskoczony propozycją.

– Nie mogę – oświadczył, jakby to było oczywiste. – Nie mogę zostawić zwierząt. Ktoś musi o nie zadbać! O te, które przeżyły. Ktoś musi to wszystko uprzątnąć i...

- Tato! – wrzasnął Ian. – Oni cię zabiją! Nie rozumiesz?!
- Co ty pleciesz?! Przecież to wina Helen! Opowiem wszystko palatynowi i...
- To ty nie rozumiesz! Wrócą tu i zrównają tę fermę z ziemią!

– Nie zrobią tego. – Treller pokręcił z uporem głową. – Produkuje dla nich cenne toksyny. Ta ferma jest ważna dla Palatynatu. Udam, że mnie napadliście, wszystko wyjaśnię. Będą wściekli, ale za kilka tygodni sytuacja wróci do normy, a ty będziesz bezpieczny i, co najważniejsze, z dala od Metropolii.

Ian mocniej zacisnął palce na ramionach ojca.

– Nie bądź naiwny – wycedził. – Konstable widzieli, jak nam pomagasz. Poza tym ktoś, kto wybija populację elfów, nie okaże litości jednemu hodowcy. Nawet gdyby w swoim fachu był najlepszy pod słońcem.

Treller spojrzął na syna spode łba. Znow miał żal i mrok w oczach.

– Poniosę karę, wiem to. Ale muszę tu zostać – wyszeptał. – Dla Uny. Słyszałeś, co jej zrobią, jeśli nie będę posłuszny. To dlatego ratowałem konstabli. Dla niej.

Ian puścił ojca. Odstąpił dwa kroki w tył. Chwilę patrzył na zgarbioną postać starszego pana. Zacisnął usta. Rozpacz dławiała mu gardło, ale wiedział, że musi to powiedzieć.

– Una nie żyje – szepnął wpatrzony we własne buty.

Zapadła długa cisza zakłócana jedynie monotonnym szumem deszczu. Ian podniósł głowę, zerknął na Trellera. Ten stał naprzeciw syna. Gniew walczył z niedowierzaniem o pierwszeństwo na jego twarzy. Starszy pan niespiesznie pokręcił głową.

– Nawet tak nie żartuj...

– Nie śmiałybym. Helen nam to zdradziła.

– Helen Gregorian to patologiczna kłamczucha!

– Nie tym razem. Kiedy to mówiła, była pod wpływem zaklęcia prawdomówności.

– Byłeś przy tym?! – Głos ojca stał się ostry, wrogi.

– Tak. Powiedziała, że moja wizyta w Świątę Kaganków wybudziła Unę. Że próbowała im zwać i nie pozwoliła złapać się żywcem. Przykro mi, tato.

– Jesteś... Jesteś absolutnie pewien?! – Starszy pan wpatrywał się natrętnie w syna. W jego oczach było tyle bólu, ale też... nadziei? Nadziei, że może nastąpiła koszmarna pomyłka? Może Iana wprowadzono w błąd?

– Absolutnie... – wyszeptał Dee.

Treller głośno wciągnął powietrze, skrzywił się, złapał się za pierś. Z cichym jękiem opadł na kolana. Ramiona zdrząły od tłumionego szlochu. Ian ukląkł obok niego. Długą chwilę obejmował ojca, kołysał i gładził po głowie niczym małe przerażone dziecko. Pozwalał, by jego łzy do cna zmoczyły mu kołnierz. Nic nie mówił. Po prostu był.

Kiedy Treller podniósł głowę, w jego oczach była już tylko pustka. Jakby z odejściem Uny zniknął też sens jego życia.

– Tak – szepnął – masz rację. Teraz już nic mnie tu nie trzyma.

Wstał. Nie oglądając się na syna, ruszył na pobojuwisko.

– Tato?! – zawołał za nim Ian.

– Nie ma czasu – warknął Treller. – Trzeba odnaleźć Dantego, zabezpieczyć zwierzęta, spakować wszelkie notatki.

– Notatki? Dantego?

– Dante to feniks, pamiętasz? Właśnie teraz jest gdzieś na tym pogorzeliśku jako pisklak, mały i przerażony. Musimy go odnaleźć, zająć się nim, zanim stanie się niebezpieczny albo co gorsza wpadnie w łapy Helen. Wiedźma zawsze miała na niego ochotę.

– Więc czemu ci go nie odebrała?

– Bo byłem pierwszą osobą, którą zobaczył po wykluciu. Taki feniks nie słucha potem nikogo innego. Helen wiedziała, że nie zapanuje nad Dantem. Cały czas chciała, żebym wyhodował jej własnego. Tyle że do rozrodu potrzeba dwóch feniksów, a tak się składa, że Dante jest jedynym okazem interceptora w całym Palatynacie. Jasne, można spróbować innych metod odtworzenia rasy, ale to czasochłonne, kosztowne, niebezpieczne i nieprzewidywalne.

– Oooo. Nie wiedziałem – mruknął Ian.

– Nie było potrzeby, żebyś wiedział. Zresztą gdyby wszyscy mieli wiedzę na temat tych ptaków, każdy świr i idiota na tym świecie zechciałby mieć własnego interceptora. W efekcie Palatynat szybko zapełniłby się feniksami, ale jeszcze

szybciej wyludnił. Aż tak nieodpowiedzialny nie jestem.

– No tak. A notatki?

– Mój notes. Mam w nim wszelkie zapiski na temat hodowli niebezpiecznych bestii. Nie mogą się dostać w niepowołane ręce. Z powodów jak wyżej.

– Jasne.

Miejsce zgonu czarta smoczego wyglądało jak lej po bombie. Z samego viverna nie zostało nawet wspomnienie. Spaloną trawę i ziemię zdążył rozmoczyć deszcz, przez co okolica wyglądała jak misa pełna mokrego dymiącego popiołu. Dobry kwadrans brodzili w tej ciepłej brei razem z Tancmistrem oraz Desire i z każdą chwilą tracili nadzieję na odnalezienie feniksa. Wiedzieli, że muszą się spieszyć. Ludzie Helen pewnie tylko czekali na posiłki. Przyjaciele wzmogli poszukiwania.

Kiedy Tancmistrz wysnuł podejrzenie, że może feniks po prostu się nie odrodzi, a Ian zaproponował, żeby jeszcze tylko przeszukali fragment blocka przy drodze wyjazdowej z fermy, nagle szara breja tuż pod nogami Desire poruszyła się. Zabulgotała, strzeliła małym gejzerkiem, zakwiliła.

Ciemnowłosa zakonnik pochylił się zdumiony. Dotknął palcem blocka, rozgarnął je. Ujrzał mały dzióbek i końcówki niewielkich skrzydełek. Zaraz potem paciorki ciemnych oczu. Rozczulił go ten widok. Jak gdyby ujrzał słodkiego niemowlaczka. Bezwiednie się uśmiechnął. Zanurzył dłoń w brei i wydobył feniksa. Nieświadom wagi odkrycia odwrócił się ku przyjaciołom.

– Mam skubańca! – oświadczył zadowolony.

McLaurie szybko podszedł do niego. Jednak na próbę zbliżenia ręki Dante zareagował maleńkim strumykiem ognia! Starszy pan spróbował ponownie. Efektem było dziabnięcie i poparzone palce. Zagryzł usta, zaklął. Chwilę myślał. Nie odebrał Desire ptaka, a jedynie obejrzał możliwie najdokładniej.

Mnich zastanowił się, czemu McLaurie z Ianem mają takie poważne miny i czemu wymienili zaniepokojone spojrzenia. Potem zobaczył gniew i zawód na twarzy Trellera.

– Moja wina – szepnął starszy pan. – Dekady wspólnego życia z Dantem uśpiły moją czujność. Powinienem był przewidzieć, że odrodzenie jest jak ponowne wyklucie się. A teraz jedyny interceptor Palatynatu znalazł nowego pana.

Spojrzał na zdezorientowanego Desire.

– Gratuluję, właśnie zostałeś ojcem.

– Co? Nie! Zabieraj go! No już!

Ręce Desire wystrzeliły ku Trellerowi. Ten zawahał się, skrzywił, zrobił krok w tył.

– Byłeś pierwszą osobą, którą Dante zobaczył po swych ponownych narodzinach. Zdążył też poznać twój zapach, posmakować twojej krwi – starszy pan wskazał zadrapania na rękach mężczyzny – wsłuchał się w bicie twojego serca. Wszystko zapamięta do kolejnego odrodzenia. Od teraz jesteś dla niego najważniejszą istotą na świecie. Będę ci mówił, jak się nim opiekować, ale to ty bierzesz za niego pełną odpowiedzialność, więc lepiej się staraj!

– Zaraz, czy to znaczy, że będzie słuchał wyłącznie moich rozkazów?! Jaja sobie robicie, tak?

Ojciec z synem wymienili spojrzenia. Czuli, że nagłe i niespodziewane rodzicielstwo ciemnowłosego mnicha będzie co najmniej ciekawe, a już na pewno nienudne.

– Schowaj go pod koszulę. To bardzo delikatny pisklak. Może zmarznąć. I dopóki nie podwoi masy ciała, masz go tam nosić, ogrzewać i nie rozstawać się z nim, nawet jak będziesz szedł do kibla – warknął Treller.

Odwrócił się i ruszył ku pozostałościom chaty. Ian z Tancmistrzem podążyli za nim.

– Jak zmarznąć?! Przecież to feniks! Normalnie latający piekarnik! – krzyknął za nimi Desire. – A jak mnie oparzy? Albo dziabnie? A tak w ogóle to co jedzą interceptory? No i niby jak mam się kąpać z interceptorem w gaciach?

– Powiedziałem, że masz go trzymać pod koszulą, nie w gaciach! Gatki

zostaw dla innego, mniej ważnego ptaka. – McLaurie przewrócił oczami. Westchnął. – I nie, nie oparzy cię, ale lepiej go nie wkurzaj, bo dziabnie.

– Widać tak musiało być, tato – powiedział cicho idący obok Ian. – Nie ma się co boczyć na zrządzenie losu. Desire będzie wymagał pomocy. Twojej. I ogromnych pokładów cierpliwości.

– Wiem. Inaczej niech niebiosa mają nas w swojej opiece.

– Nawet nie lubię ptaków! – dobiegł ich jeszcze głos ciemnowłosego mnicha. – Helou! Czy ktoś w ogóle słucha tego, co mówię?

Treller wciągnął głośno powietrze przez nos.

– Mam nadzieję, że charakter twojego przyjaciela nie jest adekwatny do imienia? – Spojrzał zaniepokojony na syna.

– Obawiam się, że jest.

McLaurie pokręcił głową zrezygnowany.

– Tam, w górze – wpatrzył się w zachmurzone niebo – właśnie teraz ktoś ma niezły ubaw. Interceptor w rękach takiego człowieka to prośba o kolejny armagedon.

* * *

– Ale zrozumcie, nie mogę się nim opiekować! – Desire naprawdę się wkurzył. – Nie znam się na feniksach. Poza tym mam ważniejsze rzeczy do roboty.

– Aha, na przykład obstawianie wyścigów vivernów i bałamucenie panienek. – Tancmistrz zerknął do wnętrza chaty, splunął. Łeb czarta ciągle tkwił przed paleniskiem, a nogi Martine nadal wystawały ze składziku. Poza tym wszędzie panowały cisza i spokój.

– Przykro mi, że byłeś pierwszą osobą, którą Dante zobaczył po odrodzeniu. Pech, ale nic na to nie poradzisz. Więc przestań narzekać i przytul dzidzię do piersi – zakpił Ian.

Weszli do chaty. Pospiesznie zaczęli wyciągać swoje rzeczy ze składziku.

Daniela i Cicerona na chwilę posadzili pod jedną ze ścian.

– A nie prościej skrócić mu kark? Przecież będzie niebezpieczny! – nie dawał za wygraną Desire. – No, spójrzcie na mnie! Czy ja wyglądam na pogromcę interceptorów?!

Treller westchnął. Ten ciemnowłosy cwaniak z flecikiem w garści zaczynał mu grać na nerwach.

– Nie masz być pogromcą, tylko przewodnikiem i przyjacielem. Widzisz różnicę? I zapamiętaj jeszcze, zabicie pisklaka nie wchodzi w grę – uciał.

Poszedł do składziku. Ze skrzyni na zapasy wydobył niepozorny notes oprawiony w zabarwioną na zielono sfatygowaną skórę.

– Czemu?! – zawołał za nim Desire.

– Bo można to zrobić tylko jadem bazyliuszka, a ja go nie mam. – Starszy pan znów ukazał się w drzwiach do schowka. Przeszedł nad ciałem ciągle uziemionej Martine, kompletnie nie zwracając na nią uwagi. Pospiesznie zaczął pakować najpotrzebniejsze drobiazgi do jakiejś torby. – Zresztą ten ptak już teraz jest bezcenny. To jedyny interceptor w całym Palatynacie. Jego pióra, krew...

– Ehm, Treller – wtrącił Ian. – Właśnie sobie przypomniałem, chyba nie jest jedyny.

McLaurie spojrzał na syna. Zmarszczył brwi.

– Nie?

– Widziałem kilka jaj u jednego hodowcy. – Ian wspomniał wizytę w antykwariacie Toma.

– Ale żadnego pisklaka czy dorosłego feniksa? – upewnił się Treller.

– Same jaja.

– I jeszcze, niech zgadnę, to było w Kryształowych Wodospadach, facet wygląda jak sęp w okularach, jest w moim wieku i jeździ zdezelowaną półciągarówką?

Desire nieco nerwowo przytulił pisklaka, który zakwilił. Tancmistrz podrapał

się po brodzie. Wpatrzyli się w starszego pana zaintrygowani.

– Nie wiem, jak się nazywa. Ta wiedza nigdy nie była mi potrzebna. Sporadycznie robię z nim interesy, dostarczam jaja bestii – powiedział spokojnie Treller. – Dawno temu skontaktował nas jeden... Zresztą nieważne. Dla mnie istotne było, że mogę się zemścić na Helen. Że z tych jaj produkowane są leki dla wszystkich chorych mieszańców, których ona najchętniej by się pozbyła.

– To ty dostarczasz jaja vivernów?! – Ian wytrzeszczył oczy.

– No.

– Robisz to tyle lat i nic nie powiedziałaś?!

– Miałem dać ogłoszenie w mediach? To nie jest robota, o której trąbi się na prawo i lewo. Chciałem wspomóc mieszańców, ale nie mogłem narażać ciebie, siebie ani Uny. Co do tych jaj interceptora...

– No właśnie. Skąd je miałeś? A co, jeśli wykluły się z nich inne interceptory? Ten facet, u którego je widziałem, twierdził, że niedługo będą się kluć. Groził, że napuści na mnie takiego feniksa.

– Tom?! – zapytał Tancmistrz z niedowierzaniem. – Niemożliwe!

– To było w dniu, kiedy odkryłem jego zaplecze. Kiedyś wam o tym opowiem – mruknął Ian i znowu naskoczył na ojca. – A ty, zawsze tak do bólu odpowiedzialny, masz pojęcie, co narobiłeś?!

– Mam. Absolutnie nic. – Usta Trellera rozciągnął uśmiech. – Tamten facet blefował. Bo widzisz, żadne z jaj nie było zależne, więc nie ma takiej opcji, żeby niebo nad Palatynatem zaroilo się od tych ptaków.

– Nie rozumiem.

– A czego? Przecież mówiłem, Dante to jedyny interceptor. SAMICA. Jej talenty są przeogromne, ale nawet ona nie rozmnoży się bez obecności samca.

– Samica?! – Ian wiedział, że rozpoznanie płci u feniksów jest bardzo trudne, ale i tak poczuł się zażenowany, jak smarkacz, którego przyłapano na nieodrobieniu lekcji.

Treller dostrzegł zakłopotanie syna.

– Nie przejmuj się – rzucił. – Też o tym nie miałem pojęcia, dopóki nie złożył pierwszego jaja. I było mi równie głupio.

– Oooo! Więc te, które widziałem u tamtego hodowcy...

– Składała Dante, gdy przychodził czas godów – potwierdził ojciec. – A że kiepsko to przechodziła, zabierałem jaja i zwiększałem intensywność treningów. Dzięki temu zapominała o urojonym macierzyństwie i znów stawała się najgenialniejszym wśród feniksów.

– Na Onyksową Harfę! A to bidula – mruknął Desire. Bezwiednie pogładził pisklaka po główce.

– Te jaja były pełnowartościowe, jeśli chcecie wiedzieć. Nawet niezależne są na wagę złota. Surowiec pierwsza klasa! – cmoknął Treller.

– Jak tłumaczyłeś Helen znikanie jaj? Przecież cały czas miałeś jakieś kontrole!

McLaurie uśmiechnął się z satysfakcją.

– O płci interceptora nie miała pojęcia. Co do innych jaj, nawet Gregorian nie postawi konstabla przy każdym gnieździe. Podbierałem je zaraz po złożeniu, Helen podawałem zaniżoną liczbę. Zdarzało mi się podbierać jaja nawet czartom i nikt, z wysiadującą samicą włącznie, się tego nie domyślił. Lata praktyki. Ale wam tego nie radzę. Co do ciebie, mój młody przyjacielu, to chętnie ulżyłbym ci w opiece nad Dantem, ale...

– Świetnie. To może niech pan ją zmusi do kolejnego samospalenia, a potem będzie pierwszy przy odrodzeniu – olśniło Desire.

Treller pokręcił głową. Spojrzał na Desire wnikliwie, pogroził mu palcem.

– Nie wymigasz się od rodzicielstwa tak szybko, gagatku! Samospalenia dokonuje tylko dorosły feniks. To nastąpi najwcześniej za jakieś dwadzieścia lat i będzie wyglądało mniej więcej podobnie. – Kiwnął głową ku dziurze w ścianie, za którą na padoku ciągle dymił szary lej. – Więc póki co przytul córcię do piersi

i przyjmij do wiadomości, że następne lata będzie jedyną kobietą w twoim życiu!

– Co?!

– Jestem spakowany – rzucił Treller, ignorując głupią minę Desire i chichoczących Tancmistrza z Ianem. – Zbierajmy się. Za długo już kłapiemy tu ozorami.

– A ona? – Ian nagle spowaźniał i wzrokiem wskazał Martine. – Słyszała naszą rozmowę. Zdradzi Helen wszystko, co tu mówiliśmy.

Pochylili się nad starszą panią.

– Nie zdradzi – burknął Tancmistrz.

Flet opleciony *stellum* błysnął w jego dłoni. Wymruczane zaklęcie pomknęło ku Martine. Ian nigdy nie widział bardziej bezbronnej i przerażonej istoty niż ta kobieta w tym momencie. Ciągle znieruchomiła i niema pod wpływem zaklęć *Mortua* i *Silentium*, teraz dodatkowo oszalała po zaklęciu spletanego języka.

Wspomniał, czego się dopuściła przez te wszystkie lata, i natychmiast litość zniknęła z jego serca. Przerzucił Daniela przez ramię. Dziura po oknie okazała się wystarczająco szeroka dla nich dwóch. Śpiącego elfa usadził na tylnej kanapie wozu i wrócił po Cicerona.

– Czas na nas – oznajmił Desire. – Chodźcie. Muszę nawiązać kontakt z Kinnonem. Trzeba odnaleźć Harfę, pamiętacie?

– Ach, racja, Harfa – mruknął Ian.

Zobaczył pytające spojrzenie ojca.

– Opowiem ci wszystko w drodze. Póki co musisz wiedzieć, że zamierzamy odnaleźć Wietrzne Katedry elfów. Znaleźliśmy już mapę z trasą, którą musimy przebyć, i mamy elfa z książęcego rodu, który tę trasę odczyta. To ten facet w twoim wozie. Spędził lata w Terminalu, więc jest zbyt słaby, żeby uciekać. To by go wykończyło.

– I dlatego jest nieprzytomny?

– Nieprzytomny? Nie, zwyczajnie śpi. – Ian wzruszył ramionami. – Desire

uśpił go zaklęciem.

– Zaklęciem?

– Tak, wiem, też byłem zaskoczony, że ktoś potrafi je rzucać. Jak zauważyłeś, Tancmistrzowi i Desire wychodzą znakomicie. Co do Daniela, tak jest prościej go transportować – dodał, bo jakoś nie miał ochoty wspominać o wyjątkowo irytującym charakterze elfa.

– Aha – bąknął Treller nie do końca przekonany.

– Pałac księcia w Dzielnicy Elfów otworzy się tylko wtedy, gdy Daniel wyśpiewa sonet ukryty w mapie, a wirtuoz zagra na Onyksowej Harfie. Tyle że to musi być oryginalny instrument, bo ten, który przechowują w Archikatedrze Palatynatu, to podobno podróbka. Wirtuoza mamy, teraz czas namierzyć Harfę.

– I nie wiecie, gdzie ona jest? – upewnił się McLaurie.

– Jeszcze nie – wtrącił Desire. – Ale spokojnie, Kinnon, nasz przyjaciel na pewno ją znajdzie. Nie takie rzeczy odszukiwał.

– Śmiem wątpić – zakpił Treller. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie kolejny raz odezwał się Ian:

– Ktoś jedzie!

– Zaciąłeś się?! No ile można?! – Tancmistrz wyjrzał przez dziurę w ścianie. – By to elfia zaraza! Chodu!

Na odchodnym starszy pan pochylił się jeszcze nad Martine, coś do niej burknął, szarpnął za klapy kosztownego płaszcza, wywlókł z chaty i porzucił w kępie ubłoconej trawy.

– Czekaście, muszę spalić tę budę, inaczej viverny wytropią nas po zapachu! – krzyknął i pędem wrócił do budynku.

Po chwili płomienie zaczęły trawić dobytek Trellera. Ten rzucił jeszcze ostatnie pełne żalu spojrzenie do wnętrza chaty, jak gdyby w umyśle chciał wyryć każdy jej szczegół. Odgłosy zbliżających się konstabli i ponaglenia mnichów sprawiły, że ocknął się i pogalopował do auta.

Chwilę potem, rozbryzgując na wszystkie strony błoto, McLaurie ze swymi pasażerami ruszył sobie tylko znaną dróżką w głąb lasu. Następne pół godziny gnali, jedynie cudem nie roztrzaskując się na pniach drzew. Starszy pan prowadził pewnie i bez strachu. Przyjaciele trzymali się uchwytów i osłaniali głowy, gdy auto podskakiwało na wybojach, ale żaden z nich nie zaprotestował. Żadnemu nie przyszło też do głowy narzekać. Desire pomyślał, że gdyby Treller był vivernem startującym w wyścigach w Memorialu, postawiłby na niego wszystkie oszczędności i jak nic wygrał niezłą fortunę. Kiedy w końcu wypadli na szosę, ciemnowłosa zakonnik z autentycznym podziwem i szacunkiem powiedział:

– O ile konstable nie mają latających minivivernów, nie musimy się obawiać, że nas dogonią. Z takim kierowcą nie ma na to szans.

– Nie musisz mi kadzić, pomogę ci przy Dantem i bez tego – mruknął McLaurie zamiast podziękowania. – A konstable MAJĄ fruujące viverny. Przynajmniej do wczoraj mieli.

– Co takiego?! – wykrztusił Ian.

– Diabliki szare, tak? Te, których parę sztuk wczoraj wytłukliście w Instytucie.

– To nie my!

– Mniejsza z tym. Nie jestem z tego dumny, ale konsultowałem dla nich tę krzyżówkę.

– Innymi słowy, pan odpowiada za wyhodowanie tej wersji diablików – stwierdził Tancmistrz. – No to faktycznie dziękować nie ma za co.

Treller westchnął. Zapatrzył się w szarą wstążkę drogi umykającą pod kołami wozu.

– To mnie nie tłumaczy, ale robiłem to dla Uny. Wszystko robiłem dla niej – powiedział cicho. – Pewnie wiecie, że jedyne fruujące do tej pory viverny to te łagodne rasy biorące udział w Memoriale i w wyścigach. Ale nie nadawały się dla palatyna i jego ludzi. Oni chcieli, by bojowe i tropiące też potrafiły latać. Obiecywali mi niestworzone rzeczy za viverna, którego jak konia można byłoby

dosiąć i pofrunąć w dowolną część Palatynatu. Ale to nie takie proste. Wyhodowanie odpowiedniej krzyżówki zajmuje lata. O diablkach wiem wszystko. Znam każdą ich dobrą i złą stronę. Wszelkie słabości. To nie będzie łatwe, ale pokonamy gadziny, nawet jeśli Instytut na podstawie moich wskazówek wyhoduje następne. Obiecuję.

Następny kwadrans znów jechali w milczeniu przed siebie. Nie bardzo wiedzieli, gdzie się znajdują. Ważne, że Treller wiedział. Wskazał Tancmistrzowi swoją torbę.

– Gdyby któryś z was był głodny, mam tam suchary i butelkę cydru. Od zielonego notesu trzymać łapy z daleka!

– Treller – odezwał się Ian.

– Tiaa?

– Co ze zwierzakami z twojej fermy? Tymi, co przeżyły?

McLaurie zacisnął dłonie na kierownicy.

– Niewiele ich zostało. – Chrząknął, jakby coś zdławiło mu gardło. Przesadnie stanowczym tonem dokończył: – Nie przejmuj się nimi. Cilian wie, że w razie mojej... No w każdym razie da sobie radę.

Skupił się na drodze i już nic nie powiedział, ale Ian wiedział, że za tym milczeniem kryje się szczerzy żal za utraconymi bestiami. Jechali w ciszy.

Szose przed nimi i za nimi po obu stronach porastał las, ale co najważniejsze, była pusta. Ciągle padało, choć jakby już mniej. Powietrze było zimne, wilgotne, przesycone aromatami omszałych drzew.

– Tu zrobimy postój. – Desire wskazał niewielki parking na poboczu, przytulony do ściany lasu. Było tu kilka stołów zбитych z prostych bali oraz parę drewnianych ław. – Tancmistrz zmodyfikuje wygląd samochodu, a ja spróbuję złapać kontakt z Kinnonem. Im szybciej dowiemy się, gdzie jest Harfa...

– Postój to nie najlepszy pomysł – odparł Treller, jednak posłusznie zatrzymał auto.

– Wiem, ale to nie zabierze dużo czasu. Muszę skontaktować się z Kinnonem. To ryzykowne, ale...

– Nie musisz – powiedział spokojnie McLaurie. – I za milion lat nie namierzycie tej Harfy.

– Kinnon da radę.

– Nie, nie da. Nawet palatyn z całym swoim dworem myśli, że w Archikatedrze przechowywany jest oryginał. Tylko cztery osoby na tym bożym świecie wiedziały, że jest inaczej. Nie mam pojęcia, skąd wy wiecie.

– Treller, o czym ty?... – odezwał się Ian.

– Wiele lat temu, gdy ty, Una i Russel byliście jeszcze małąkami dziećmi i mieszkaliście w Instytucie...

– Co?!

– Zanim was adoptowałem – ciągnął Treller niewzruszenie – jak każde dziecko byliście poddawani serii badań. Helen z Martine uparły się wytypować dzieciaki o specjalnych talentach. Takie szkraby miały zostać wyszkolone i w przyszłości nieświadomie odszukać drogę do Wietrznych Katedr, do skarbu elfów.

– Też szukamy Wietrznych Katedr, ale nic nie wiemy o żadnych utalentowanych dzieciakach. Wiedzieliśmy tylko, że mamy znaleźć konkretne klepsydry z ukrytą mapą w środku. Jakim cudem Gregorian wpadła na tak niedorzeczny pomysł? – wtrącił Tancmistrz, przegryzając suchara.

– Dobre pytanie – odparł Treller. – Doszły mnie słuchy, że na moment przed rozpętaniem zarazy, grupa elfów ruszyła w drogę, by sprawdzić, czy zdołają wrócić na swe dawne tereny.

– Też o tym słyszeliśmy.

– Kiedy powrócili z dobrymi wieściami, zaraza już szalała. Nie zdążyli przed nią umknąć. Jeden z nich wpadł w ręce Helen. Nie mam pojęcia, co mu zrobiła. Zanim wyzionął ducha, zdradził, gdzie był i po co. I że wskazówki, jak dotrzeć do Dzielnic Elfów, są ukryte w pięciu oryginalnych klepsydrach rodowych. Że

właściwe klepsydry rozpozna jedynie dzieciak o specjalnych talentach. Helen i Martine uwierzyły w te bzdury. Wizja, że oprócz wybicia elfów zagarną też ich skarby, kompletnie je oszołomiła. A w swojej nienawiści były tak zżarte, że życie poświęciły na dokonanie zemsty. Oczywiście musiały być dyskretne. Wysłanie konstabli do oficjalnych poszukiwań klepsydr, w czasie gdy elfy padały jak muchy, nie wchodziło w grę. Zresztą nie potrafiliby ich odnaleźć. Poza tym i bez tego mieli ogrom roboty.

– Aha – bąknął Ian.

– Pamiętajcie, że spora część społeczeństwa była spokrewniona z elfami. Lubiano je i ceniono. To spowodowało, że...

– No nie wiem – wtrącił Tancmistrz. – Bez powodu nie szukałyby drogi powrotnej.

– ...że Martine i Helen wołały działać w ukryciu. Testami Helen wytypowała waszą trójkę. Russel przejawiał talent w kontaktach z drogocennymi kamieniami i dokumentami, ty, Ian, świetnie dogadywałeś się z wszelką zwierzyną. Ale Helen uważała, że to Una jest najważniejsza, bo gdy dotknęła Harfy, instrument się zmienił. Dla nich to był znak, że trafili na właściwego dzieciaka.

– Co się stało z Harfą? – zapytał cicho Ian i zastanowił się, jakie jeszcze nowiny go zaskoczą.

– Jakby to powiedzieć... – McLaurie podrapał się po szyi. – SKURCZYŁA SIĘ, tylko tak chyba można określić to, co się z nią stało. Była przy tym obecna Helen, Martine i ja. No i Una oczywiście. Harfa od zawsze była cenna, dlatego szybko zatuszowano całą aferę. Ogłoszono, że doznała niewielkich uszkodzeń i oficjalnie zarządzono renowację. Po wszystkim z pompą odsłonięto w Archikatedrze kapsułę z idealną kopią w środku, i absolutnie nikt nie domyślił się, co się wydarzyło.

– Nawet ja tego nie wiedziałem – mruknął Tancmistrz ni z gruszki, ni z pietruszki. – A oryginał? Zaginął? Bo jeśli tak, to rzeczywiście mamy problem.

Treller się roześmiał. Dłuższą chwilę rechotał, ocierając łzy. Patrzyli na niego

skonsternowani.

– Tato? – bąknął Ian.

Gdy starszemu panu minął atak śmiechu, zerknął na nich z ponurą satysfakcją.

– Nie, Onyksowa Harfa nie zaginęła. Była tak cenna, że Martine postanowiła się z nią nie rozstawać. Uważała, że tylko osobiście jest w stanie jej dopilnować. A ja tej wiedźmie właśnie ten skarb odebrałem.

– Pan wybaczy, McLaurie, ale chyba nie rozumiemy – mruknął Desire.

Treller odsapnął i wrócił do tłumaczenia.

– Były wkurzone na Unę za to, co zrobiła, a przecież była dopiero kilkuletnim szkrabem. Nie miała pojęcia, co się stało. Postanowiły, że będą miały Unę na oku. A przy okazji Russela i ciebie, Ian, też. Ostatecznie nie wiedziały, które z was da radę wypełnić zadanie ani ile czasu to zajmie. A żebyście mieli dostęp do najlepszych szkół oraz mogli korzystać z wszelkich koneksji, wpadły na pomysł, że URODZICIE SIĘ w arystokratycznej rodzinie. Wpływowej i zamożnej. Mnie, już wiecie czemu, zmusili do ożenku z Martine. Miałem szkolić głównie Iana. To dlatego większość czasu mieszkaliśmy ze mną na fermie. Tak powstała rodzina McLauriech. Lata mijały, wasza trójka kształciła się, a jednocześnie szukała.

– Nie rozumiem – mruknął Ian.

– Nie pamiętasz, jak Martine zabierała was w ODWIEDZINY do przyjaciół z bogatych domów? Kiedy zaraza wytlukła elfy, cały ich majątek został rozkradzony. Potem sprzedawano go na czarnym rynku. W wielu arystokratycznych domach klepsydrami rodowymi elfów dekorowano salony. Snobistyczna moda cmentarna – prychnął. – Martine zachwycała się gustem gospodarzy, a przy okazji podsuwała waszej trójce klepsydry do sprawdzenia. W ten sposób zwiedziliście najważniejsze rezydencje Palatynatu, jednak właściwych klepsydr nie znaleźliście. Helen z Martine były sfrustrowane, ale jedyne, co mogły zrobić, to zintensyfikować wasze szkolenie. Russel miał zinfiltrować środowisko urzędników, Una artystów, ty, Ian, przebyć Palatynat wzdłuż i wszerz i przeszukać prowincję. Potem doszło do tego wypadku i śmierci

Russela w trakcie Święta Srebrzystych Kaganków. Una też niemal umarła. W śpiączce okazała się Helen zbędna. Chcieli ją...

– Żartujesz?! – wycedził Ian.

Treller uśmiechnął się ze smutkiem i pokręcił głową.

– Wybłagałem, żeby darowali jej życie. Zgodzili się w zamian za wyhodowanie specjalnej krzyżówki diablików. A potem ty odwiedziłeś Unę i wszystko totalnie się popieprzyło.

– O rany... – Ian ukrył twarz w dłoniach.

Chwilę siedzieli, wsłuchując się w odgłosy deszczu bębniącego w dach auta, który w ich uszach brzmiał niczym marsz żałobny.

– A co z Harfą? – burknął Tancmistrz, by przerwać tę ciszę.

– A tak, Harfa. – McLaurie jakby się ocknął. – Jak powiedziałem, wasz przyjaciel...

– Kinnon.

– ...nigdy by jej nie znalazł, bo tylko Helen, Martine i ja wiedzieliśmy, co się z nią stało. Na dodatek wygląda na to, że one dwie nie miały pojęcia, do czego ten instrument ma posłużyć. Gdyby wiedziały, pilnowałyby go jeszcze lepiej. Jestem też przekonany, że tamten elf (pewnie w nadziei na uwolnienie albo by zyskać czas) wmówił Gregorian jakieś bzdury o utalentowanym dziecku.

– Ale co z tą Harfą?! – nie wytrzymał Desire.

– Cały czas była bezpieczna, a – co najważniejsze – w naszym zasięgu. – Starszy pan uśmiechnął się i po prostu otworzył dłoń. Kamyki zdobiące głęboką czerń miniaturowego instrumentu błysnęły zimnym światłem.

– Zaraz, przecież to ulubiona broszka Martine! – wyjąkał Ian.

– Zgadza się. – Treller zachichotał. – I w tym tkwi cała ironia: kapsuła w Archikatedrze zawiera marną podróbkę, którą mogą podziwiać nieliczni. A bezcenny instrument przerobiony na błyskotkę codziennie jest na widoku wielu ludzi, zwyczajnie wpięty w klapę zakietu. Ale dla was najważniejsze jest, że już nie

musicie go szukać. Trzeba tylko wymyślić, jak sprawić, by wrócił do swych dawnych rozmiarów.

– Nie pogniewa się pan, jeśli sprawdzimy, czy rzeczywiście jest oryginalna? – Tancmistrz pochylił się nad ręką Trellera i z uwagą przyjrzał się broszce.

– Oczywiście, jeśli tylko macie pomysł, jak to zrobić. – Treller podał mu klejnot.

– Tak się składa, że mam – mruknął Tancmistrz. Ujął broszkę w dwa palce, uniósł na wysokość oczu. Długą chwilę wpatrywał się w klejnot, po czym z nieprzeniknioną miną oddał broszkę Trellerowi, a ten schował ją do torby. – W drogę. Czas odwiedzić pewnego ducha w Sleepy Graves. Panie McLaurie, czy coś panu dolega?

– Fizycznie? W życiu nie czułem się lepiej!

– Świetnie – odparł Tancmistrz.

Wyciągnął dłoń ku Trellerowi, coś szepnął jakby do siebie. Srebrna moneta, w którą zmienił się starszy pan, znalazła schronienie w jednej z kieszonek jego pasa. Donośne: „Ła! To się nazywa jazda!” Trellera wzbudziło rozbawienie wszystkich prócz Iana.

– To go mogło zabić! Czemu to zrobiłeś? – Oczy młodego McLaurie błysnęły gniewem.

– Po tylu naszych przygodach nadal zadajesz takie pytania? – Tancmistrz pokręcił głową. – Konstable będą szukać sześciu konkretnych facetów, a twarz twojego ojca jest teraz na top liście złoczyńców. Zresztą chyba mu się podobało. A skoro on jest zadowolony, to czemu ty narzekasz? – dodał i mruknął kolejne zaklęcie.

Druga moneta zniknęła w czeluściach kieszonek, wrzeszcząc: „Bo to wcale nie jest fajne!”.

Desire zachichotał, ale zaraz skupił się, potrząsnął głową i też coś zamruczał. Po chwili na jednym z siedzeń rozsiadła się... Evangeline.

Tanccmistrzowi drgnął kącik ust.

– A oni? – dało się słyszeć znikąd pełen pretensji głos Iana. – Daniela i Cicerona w nic nie zmienisz?

– Tylko jeśli będę musiał – odparł płowowłosy mnich. – Są zbyt słabi, pamiętasz? To mogłoby się dla nich skończyć źle. Chwilowo jedynie zmodyfikujemy im twarze.

Znalezionym w bagażniku kocem nakrył dwóch nieprzytomnych mężczyzn. Machnięcie *stellum* i wyszeptane zaklęcie załatwiły sprawę. Po chwili piaskowa chihuahua rozgościła się na przednim siedzeniu pasażera.

– Ty prowadzisz, Desire.

– Nie ma sprawy, pieseczku – odparła Evangeline swoim zmysłowym głosem.

Przesiadła się na fotel kierowcy. Niepasująca do reszty ciała kobiety duża męska stopa w wielkim bucie agresywnie docisnęła gaz.

– Hej, nie chcę być niemiły, ale jak mi zadrapiasz lakier, nawet interceptor ci nie pomoże! – warknęła jedna z monet głosem Trellera.

Evan jedynie się zaśmiała. Terenowe auto posłusznie wystrzeliło do przodu.

– Twój skarb w moich rękach jest całkowicie bezpieczny – mruknęła.

– Jasne. Najpierw odebrałeś mi Dantego, teraz auto – zaczęła narzekać moneta. – Niedługo będę musiał się z tobą ożenić, żeby zachować resztki majątku!

Odpowiedzią był chichot kobiety i ostentacyjne ziewnięcie chihuahua.

* * *

Następnych kilka godzin – z nadzieją na posiłek, odrobinę wytchnienia, ale co najważniejsze na potwierdzenie autentyczności Harfy – przemykali bocznymi drózkami ku Sleepy Graves. Podczas gdy piaskowa chihuahua spała zwinięta w fotelu pasażera, jasnowłosa kobieta pewną ręką prowadziła auto. Feniks skryty między jej piersiami ogrzewał i dodawał jej sił. Czasem wystawiał dziób i zerkał zaniepokojony tym, że ciemnowłosy ojciec zmienił się w piękną matkę. Jednak

zdążył dobrze poznać zapach Desire i bicie jego serca, więc natychmiast uspokajał się i po chwili znów zapadał w drzemkę.

Jedna z monet, pogrążona w głębokim śnie, pochrapywała miarowo głosem Trellera. Druga, surfując na granicy półsnu i jawy, marzyła.

W tych marzeniach Ian widział siebie patrzącego na skąpane w słońcu zabudowania klasztoru w Fenaby. Czuł szczęście i radość na myśl, że spotka ukochaną. Że weźmie ją w ramiona, odetchnie zapachem jej włosów, nasyci usta miękkością jej ust. W tych wizjach czyjeś czarne oczy uśmiechały się zmysłowo. Inne, te błękitne z gwiazdzistą źrenicą wypatrywały go tęsknie. I były jeszcze te ostatnie, szafirowe, nakrapiane srebrem. O coś prosiły, na coś miały nadzieję...

I znowu, jak tamtej nocy w kościółku, mężczyzna pozwolił trzem parom tak różnych dłoni objąć się, ukołysać. Zawirował wraz z nimi między kolumnkami tak znanej sobie świątyni, dając się uwieść grzesznej muzyce. Znów upoił go zapach pinii i górskich potoków, uszy wypełnił szept pełen rozkosznych obietnic i jeszcze... trzepot skrzydeł. Uniósł głowę. Złociste feniksy krążyły pod stropem kościółka. Każde uderzenie skrzydłami uwalniało kaskady złotego pyłu, który natychmiast pokrywał wszystko wokół.

Iana zachwycił ten widok. Zamarł wpatrzony w ptaki. Lecz zaraz czyjeś usta, czyjeś dłonie stały się sprawcami innego rodzaju uniesienia. Chłodne płyty podłogi świątyni nie ostudziły rozpalonych ciał. Nawa główna wypełniona klepsydrami i aulosami nie stłumiła jęków rozkoszy. Balansując na krawędzi spełnienia, Ian niemal modlił się, by nigdy do niego nie doszło. By stan najwyższej ekstazy nigdy się nie skończył.

– Ooo, taaak... – westchnął.

Evangeline zerknęła krytycznie w stronę, skąd dochodził jęk.

– Ooo, nieeee! – warknęła.

Skrzywiła się, pokręciła głową z dezaprobatą.

– Znowu? Chyba jednak wolę, jak nasz kochaś ma swoje legendarne ataki.

Zaraz jednak na powrót skupiła się na drodze, udając, że nie słyszy kolejnych

rozkosznych westchnień Iana. Na wszelki wypadek co jakiś czas modyfikowała wygląd samochodu i nieco swój własny. Szczęśliwie dla nich na żadnej z bocznych drózek nie natrafili na patrol konstabli.

Do Sleepy Graves dotarli nocą.

– Pobudka, panowie – zakomenderowała Evan, gdy wjeżdżali w rogatki.

Chihuahua przeciągnęła się, ziewnęła. Srebrna moneta przestała chrapać. Druga też ocknęła się ze swych wilgotnych fantazji.

– Zaraz będziemy na miejscu – poinformowała kobieta.

Przemierzyli miasteczko parę razy. Wyglądało, że od ich wyjazdu nic się tu nie zmieniło. Senne zwykle Sleepy Graves nocną porą sprawiało wrażenie kompletnie wyludnionego. Deszcz przestał padać i chmury rozstały się, odsłaniając upstrzoną plamami twarz księżyca. Jego srebrzysta poświata zalała miejscinę, nadając jej nieco upiorny wygląd. Evan i chihuahua czujnie rozglądali się wokół, lecz zagrożenia nie dostrzegli. Znajoma droga powiodła ich ku kościółkowi z szarego kamienia. Jednak nie podjechali pod same jego wrota. Zatrzymali samochód u wjazdu na posesję.

– Czekaście tu – szepnęła Evangeline.

Wysiadła i jak gdyby nigdy nic, nieco chwiejnym krokiem, z piaskową chihuahua na rękę, ruszyła ku świątyni. Stukot jej obcasów na mokrych płytach przyprawiał o ciarki na plecach. Jedyne czujny obserwator domyśliłby się, że kobieta ta nie nosi na co dzień butów na wysokiej szpilce.

Zacisnęła szczęki i dyskretnie się rozejrzała. Wejście do kościółka było tuż obok. Sama świątynia, cicha, oświetlona jedynie księżycowym blaskiem, jawiła się Evan domem z horroru.

Nagle ciemna plama obok krzewów w ogrodzie poruszyła się. Kobieta drgnęła, poczuła gęsią skórę na plecach, sapnęła podenerwowana.

– Pani Evangeline? – usłyszała obcesowe pytanie.

Odwróciła się w stronę głosu.

Z ciemnej plamy wyłonił się kształt. Miał zlewający się z otoczeniem mundur, czarną furażerkę zdobioną szarym otokiem, metalową odznaką oraz piórkiem i czujne, taksujące spojrzenie. Konstabl.

Desire zaklął w myślach.

„Więc jednak czekali” – pomyślał.

Całkowicie wczuwając się w rolę, głosem Evan zapytał:

– Ależ mnie pan wystraszył! Co pana do mnie sprowadza nocną porą?

Konstabl otaksował go wzrokiem.

– Gdzie pani brat? – odpowiedział pytaniem.

– W Sirens Bay, u naszej ciotki oczywiście.

– Co tam robi? Kiedy wraca?

Evan zmarszczyła brwi, udając irytację.

– Nie rozumiem tego najścia o tej porze ani tak niegrzecznych pytań. Mój brat jest wolnym człowiekiem. Ma prawo przebywać, gdzie mu się podoba, i nie musi nikomu się z tego tłumaczyć!

– Przykro mi, że muszę wyprowadzić panią z błędu. – W tonie głosu konstabla był złowrogi chłód. – Obydwoje z bratem dopuściliście się przestępstwa. W imieniu palatyna aresztuję panią za ukrywanie i pomoc w ucieczce Erica Widdowsa, oszusta i złodzieja. Proszę za mną.

Dłonią wskazał ciemną plamę. Ta nagle rozbłysła reflektorami niezłe ukrytego auta. Skrzypnęły drzwi i oczom Evangeline ukazał się drugi konstabl.

Kobieta szybko oceniła sytuację. „Tylko dwóch funkcjonariuszy. Wiedzą o Ericu Widdowsie. Pewnie wiedzą też o naszej małej wycieczce do Instytutu, ale nie powiązali tych faktów. Inaczej drogi wokół Sleepy Graves zostałyby zamknięte i roiłoby się od takich służbistów. A skoro nie ma blokad?... – uśmiechnęła się do własnych myśli. – Gregorian jest przekonana, że ciągle tkwimy w Metropolii. Cudnie!”. Odetchnęła z ulgą.

– Pan wybaczy, że nie skorzystam z tak uprzejmego zaproszenia. Za to za

chwilę skorzystam ze swoich praw i powiadomię komendanta Terraneya o tym najściu. Jak wiecie, komendant to mój przyjaciel. Poproszę, żeby nie wyrzucał was z pracy, ale na premię w tym miesiącu nie liczcie.

Wypowiedziana pewnym głosem odmowa wprawiła konstabli w osłupienie. Przez chwilę stali kompletnie zaskoczeni, że ktoś w ogóle śmiał tak ich potraktować. Zaraz jednak jeden z nich sięgnął po broń. Odbezpieczył i zerknął wymownie na Evangeline.

– To właśnie komendant przysłał nas do pani. Jeszcze raz grzecznie zapraszam do wozu!

– Bezbronnej kobiecie grozicie bronią z powodu jakiegoś drobnego złodzieja? Ech, dżentelmeni! A mogę najpierw postawić na ziemi psa? Ma za sobą długą podróż i pewnie marzy o tym, by się wysikać – zakpiła Evan.

Dostrzegła zmieszane miny konstabli. Uśmiechnęła się, niespiesznie pochyliła i wypuściła z ramion piaskową chihuahua. Ta zeskoczyła na chodnik i w jednej chwili zmieniła się w Tancmistrza. Zakonnik machnął *stellum* i ryknął *Mortua!*. Porażeni zaklęciem konstable zastygli w ciekawych pozach z grymasami wściekłości na twarzach. Zaklęcie *Somnum* skutecznie pozbawiło ich jakiegokolwiek możliwości działania.

– Niemożliwe, żeby kobietom podobało się biegać cały czas w szpilkach. Na Onyksową, moje stopy! – mruknął Desire i natychmiast powrócił do swej dawnej postaci.

– Też tego nie rozumiem. – Odczarowany Ian uśmiechnął się na widok kościółka.

Wspomagani przez Trellera, przetrząsnęli otoczenie rezydencji. Na szczęście więcej intruzów nie było. Usadzili śpiących konstabli w ich wozie, swoim własnym Treller podjechał pod same drzwi świątyni. Rozejrzał się z zaciekawieniem.

Musiał być jakiś powód, dla którego wdzierali się ciemną nocą do opuszczonego kościółka gdzieś na prowincji, przy okazji pokonując czyhających konstabli. Postanowił zaczekać, aż towarzysze sami mu ten powód wyjawią. Już

wiedział, że może im zaufać, więc bez żadnych pytań pospieszył za mężczyznami do środka.

Przyjaciele nie zaryzykowali spaceru po czerwonym chodniku wiodącym przez oranżerię, pamiętając, jakie zasadzki na nim czekają. Pozwolili, by chmura magicznych latarenek rozświetliła ciemności. Otoczeni światełkami sforsowali wejście główne. Na ramionach nieśli śpiącego Daniela i nieprzytomnego Cicerona.

– Mairin! – krzyknął Tancmistrz. – Mairin, to my! Wróciliśmy! Mamy ważną sprawę!

Lawirując w oceanie aulosów, trybularzy i klepsydr, nawą główną dotarli do transeptu i dalej przez prezbiterium do zakrystii.

– Mairin! – wydarł się Ian. – Pokaż się! Potrzebujemy cię!

Wpadli do zakrystii. Podobnie jak reszta rezydencji, część kuchenna i jadalnia były ciemne i puste. Wąski strumyk księżycowego blasku, który wpadał przez niewielkie okna, oświetlał jedynie mały fragment pomieszczenia. Drugim źródłem światła był połyskujący piasek przesypujący się w klepsydrze stołu o szklanym blacie. Posadzili Daniela z Ciceronem na podłodze tuż koło drzwi.

– Mairin! Nie drocz się z nami! To naprawdę ważne! – krzyknął Tancmistrz, rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł.

Nikt też mu nie odpowiedział.

– Mamy Harfę! – wrzasnął Desire. – Tę prawdziwą! Jeśli chcesz ją zobaczyć...

– Dobrze, już dobrze! Pewnie, że chcę, tylko już się tak nie drzyjcie! – Gdzieś na belce nad ich głowami rozbłysło słońeczko, rozświetlając wszelkie zakamarki pomieszczenia. – Rany, prościej jest splawić trolla, który wyczuł ludzkie mięso, niż waszą czwórkę. Czy wy kiedykolwiek sypiacie? Bo ja tak! Wasze wrzaski zbudziłyby Nathaniela, a co dopiero kogoś tak delikatnego jak ja.

Splynęła z belki. Obrażona zasiadła przy stole, założyła nogę na nogę. Ziewnęła ostentacyjnie, dając do zrozumienia, że budzenie jej uważa za skandaliczne i niedopuszczalne. Nagle dostrzegła Trellera. Natychmiast przestała

udawać zaspaną. Otaksowała mężczyznę spojrzeniem. Starszy pan uśmiechnął się skonsternowany. Zdaje się, że kontakty z duchami nie były przez niego zbyt często praktykowane.

– Treller – szybko odezwał się Desire – poznaj Mairin, elfkę, właścicielkę tej rezydencji.

Mężczyzna się uklonił.

– Mairin, to Treller McLaurie – kontynuował zakonnik. – Ojciec Iana, którego znasz jako Richarda Dee-Zander. Treller to także...

– Jeden z najbardziej znanych hodowców bestii. – Oczy Mairin błysnęły z ekscytacji. Podniosła się, podpłynęła do starszego pana, okrążyła go i uśmiechnęła się do niego... uwodzicielsko! – Proszę, legendarny Treller McLaurie we własnej osobie! Witam pana w moich skromnych progach. Z przyjemnością posłucham o pana doświadczeniach w hodowli vivernów. Sama miałam ich sporo. Bazyliuszki również. Zapraszam do nawy głównej. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. A jeśli pan zechce, oprowadzę pana po rezydencji. Pokażę wszelkie jej zakamarki.

– To proponuję zacząć od krypty – palnął Tancmistrz. – Nathaniel, TWÓJ MAŻ, ucieszy się, że macie gości.

Zmieszany Treller nie bardzo wiedział, jak zareagować na awanse ducha. Czy ta kobieta właśnie z nim flirtowała?! Uśmiechał się, ale jednocześnie kłął w myślach, że nie potrafi odpowiednio szybko znaleźć jakiejś dowcipnej riposty na propozycje zjawy. Pewnie dlatego, że sam dawno nie flirtował.

Desire z trudem zdusił chichot. Ianowi zrobiło się głupio na myśl, że jest świadkiem podrywania własnego ojca. Za to Mairin doskonale zrozumiała aluzję Tancmistrza. Skrzywiła się, wzruszyła ramionami, ponownie obrażona zasiadła przy stole. Gestem wskazała krzesło.

– Panie McLaurie, proszę nie zwracać uwagi na tych smutasów. Zawsze kiedy sobie z czymś nie radzą, przychodzą do mnie. Zobaczymy, w czym teraz trzeba im pomóc, ale potem wrócę do mojej propozycji i porozmawiamy o bestiach. Zgoda?

Teraz Treller uśmiechnął się szeroko do zjawy. Skinął głową. Zasiadł przy stole. Patrząc na Mairin, miał takie uczucie, że oto natrafił na bratnią duszę, której całe życie szukał. Wszystko podobało mu się w tej niewielkiej kobiecie. Delikatny szelest głosu, zgrabna sylwetka, długie warkocze z wplecionymi w nie kamykami, szczerzy uśmiech, ale przede wszystkim miłość do bestii. Jedyne, co mu się nie podobało, to fakt, że Mairin nie była żywa i że miała męża. Choć nie potrafił się zdecydować, która z tych rzeczy irytuje go bardziej.

Zapatrzył się w zjawę urzeczonym wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, jak głupio wygląda. Mairin odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Desire z Tancmistrzem usiedli obok nich przy stole. Ten pierwszy nie wytrzymał i zachichotał, ten drugi pokręcił głową rozbawiony. Ian przysiadł tuż obok. Chrząknął. Nie pomogło. Trącił ojca. Ten w końcu się ocknął.

– Z tego, co pamiętam, dwa dni temu pożegnaliśmy się na zawsze – zaszumiała Mairin, by przerwać krępującą ciszę. – A teraz wyrwacie mnie ze snu, wrzeszcząc o Harfie, ale jakoś jej u was nie widzę.

– Dostaliśmy ją od niego. – Tancmistrz wzrokiem wskazał Trellera. – Grałaś na niej, znasz ją. Powiedz nam, czy to oryginał. McLaurie, zechcesz pokazać nam Harfę?

Starszy pan sięgnął do torby. Po chwili we wnętrzu jego dłoni ukazał się mroczny klejnot. Zjawa pochyliła się nad nim. Bardzo dokładnie obejrzała. Wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłodzić broszkę. Dłoń zawisła nad klejnotem, ale go nie dotknęła. Zagryzła usta. Armilla na jej ramieniu zapulsowała, a Ian dałby głowę, że z powodu ekscytacji właścicielki.

– Kto ją pomniejszył?

– Una, jego córka. – Tancmistrz kiwnął głową w stronę Trellera.

– On nie ma córki – odparła z mocą zjawa. – Ale w tym momencie to jest najmniej istotne.

– Skąd pani wie, że nie mam? – McLaurie zaskoczyło tak stanowcze oświadczenie Mairin.

– Człowiek nie może być ojcem elfa, a tylko elf mógł przemienić Harfę – mruknęła wymijająco i uśmiechnęła się do starszego pana. – Proszę położyć klejnot na blacie.

Treller uczynił to bez wahania. Zjawa zawisła tuż obok.

– *Revelabo* – mruknęła.

Z wnętrza broszki wystrzeliło światło. Chwilę wirowało, mieniając się kolorami tęczy. Nagle wir zatrzymał się i uformował obraz. Mężczyznom zdało się, że patrzą na wysokiej jakości trójwymiarowy hologram przedstawiający instrument w jego naturalnych rozmiarach. Harfa kształtem przypominała skrzydło ptaka. Smoliście czarną barwę przełamywał blask srebrnych strun i ich kryształowych zaczepów. W kunsztownych rzeźbieniach kryły się jakieś napisy, lecz przyjaciele nie potrafili ich odczytać.

Mairin opłynęła Harfę dookoła. Zawisła nad nią i obejrzała ją od góry. Niemal przytknęła nos do hologramu. Długo nic nie mówiła. W końcu przysiadła na skraju blatu, łza spłynęła po jej przezroczystym policzku. Otarła ją pospiesznie, pociągnęła nosem. Bez słowa uleciała między belki. Chwilę siedziała na jednej z nich w milczeniu.

Mężczyźni wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Mairin? – odezwał się niepewnie Ian.

– Wybaczcie. – Gdzieś z góry nadpłynął jej dziwnie zachrypnięty głos. – Przypomniałam sobie, kiedy ostatni raz na niej grałam. Potem na tyle lat zniknęła mi z oczu. Myślałam, że przepadła na dobre. Nie rozumiecie, jak to jest być znów tak blisko niej. Nie możecie rozumieć.

– Czyli to oryginał? – upewnił się Tancmistrz.

– Najprawdziwszy – potwierdziła.

– Świetnie – ucieszył się Ian, a Desire westchnął z ulgą.

Nagle dało się słyszeć ciche kwilenie.

– Hej, ciemnowłosa dowcipnisiu! – burknęła zjawa.

– To było do mnie? – zapytał Desire. – A czego czepisz się tym razem? Nieodpowiednio westchnąłem?

Mairin szybko wróciła na dół. Przyjrzała się mnichowi zaintrygowana. Dojrzała ciemny łepiek wystający spod jego koszuli. Jej oczy błysnęły ekscytacją i pożądaniem.

– Czy to?!...

– Interceptor, jeśli chciałaś zapytać. Jedyne w całym Palatynacie – odparł Desire, nie ukrywając zadowolenia z faktu, że zaimponował Mairin posiadaniem najgroźniejszej z bestii. – Jest mój! – oświadczył z dumą, a przyjaciele spojrzeli na niego ironicznie.

– Proszę, jeszcze parę godzin temu jej nie chciałem, a teraz się nią chwali – prychnął Ian.

– To... ehm... dziewczynka? – wykrztusiła zjawa. – Czyli w przyszłości może znosić jajka!

– Mairin, czego nie rozumiałaś w sformułowaniu: jedyny interceptor w całym Palatynacie? – palnął Desire. – Nawet gdy dojrzeje, nie rozmnoży się bez samca – powtórzył tyle co zasłyszane od Trellera słowa.

– Ale to pisklak! Skąd go masz?!

– De facto to bardzo stary ptak, który właśnie się odrodził – wtrącił Treller. W jego głosie brzmiał smutek. – Jednak Desire nie kłamie, to jedyny taki feniks. Widzę, jak bardzo ci się podoba. Przykro mi, że nie możesz go mieć. Niewiele osób potrafi docenić tak cudownego ptaka.

Mairin zerknęła na niego przenikliwie.

– Był twój. – Już rozumiała. – Ale ten ciemnowłosy barbarzyńca był pierwszą istotą, którą zobaczył po odrodzeniu.

Mina Trellera podpowiedziała Mairin, że ma rację.

– Szkoda – wyszeptała.

Desire przyjrzał się Trellerowi i zjawie z jakiegoś powodu niezadowolony.

Szybko schował feniksa pod koszulą i dokładnie pozapinał guziki. Tymczasem zjawia podjęła z nową energią:

– Wiecie już, co chcieliście wiedzieć. Harfa jest oryginałem, ale z tego, co pamiętam, pojechaliście do Metropolii po elfa spokrewnionego z księciem. I co z tym staruszką, który pojechał z wami? Z Ciceronem?

– Został ranny – odezwał się Ian. – Krwią interceptora wprowadziliśmy go w stan głębokiej hibernacji. Mamy nadzieję, że dzięki temu dotrze żywy do Fenaby, a tam uda nam się go uratować.

– I gdzie teraz jest?

– Pod tamtą ścianą. Razem z następcą księcia. Taka bystra z ciebie istota, a nie zauważyłaś – zakpił Desire, wskazując porzuconych przy drzwiach do nawy głównej Cicerona i Daniela.

Mairin odwróciła głowę w tamtą stronę. Zmarszczyła brwi. Podleciała do nieprzytomnych mężczyzn i zawisała nad nimi. Przyjrzała się elfowi. Zgrzytnęła zębami, podparła się pod boki. Jej oczy błysnęły złością.

– Na Onyksową Harfę! Chcecie mi powiedzieć, że ze wszystkich potomków księcia ocalał tylko ten idiota?! Serio w całym Terminalu nie było innego elfa z podwójną armillą?!

Tancmistrz pokręcił głową. Mairin prychnęła.

– Daniel to zakochany w sobie narcyz. Na dodatek krety. Brzydki i bez talentów. Nie umie śpiewać, nie umie nawet nucić, więc zapomnijcie, że wyśpiewa sonet przy drzwiach Archikatedry. To taka czarna owca w rodzinie. Ale najgorsze jest to, że... nie umie rzucać zaklęć.

– Hmm, czyli niepotrzebnie rzucałem na niego *Sincantatum* – mruknął Desire.

Mairin udała, że nie słyszała tej uwagi.

– Pamiętam, że zawsze zachwycało go wszystko, co związane z ludźmi. Bardzo chciał się do nich upodobnić.

– Patrzę na ludzkość i myślę, że to ironia losu – burknął Tancmistrz.

– To najgorszy z potomków księcia – kontynuowała zjawa. – Odrzucał zwyczaje swego ludu, bo uznawał je za archaiczne. Ma paskudny charakter.

– Wiemy.

– Będziecie musieli go wszystkiego nauczyć, ale przede wszystkim przekonać, żeby zechciał wziąć udział w waszej wyprawie. Pamiętam, że jako pierwszy zwiął z Wietrznych Katedr, bo uważał je za zaścianek cywilizowanego świata. Nigdy nie lubiłam gówniarza. Mało kto go lubił.

– Ale znasz jakiś sposób, żeby go okiełznać? – zapytał Desire.

Mairin uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

– A pewnie. I z przyjemnością ci go, mój ty dowcipnisiu, wyjawię.

* * *

Z resztek jedzenia, które znaleźli w zakrystii, przygotowali sobie prowiant na drogę i niecałą godzinę później znów żegnali się ze zjawą. Odprowadziła ich aż do wrót kościołka.

– Treller – zwróciła się do starszego pana. – Zaopiekuj się nimi. Będą potrzebowali wsparcia kogoś tak mądrego i doświadczonego.

– Możesz być pewna, że będę miał na nich oko – odparł zadowolony tym nagłym przejściem na ty.

– Uważaj na siebie, a po wszystkim odwiedź mnie. Moje zaproszenie jest ciągle aktualne. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego dłoń na pożegnanie. Spróbował dotknąć jej ręki, lecz poczuł jedynie chłód powietrza. Zobaczył, że się zasmuciła. Posłał jej ciepły uśmiech.

– Z przyjemnością tu wrócę. A teraz wybacz, muszę dopilnować tych młodych gamoni. Wystarczy na chwilę spuścić ich z oka i kłopoty gotowe.

– Fakt, niby tacy dojrzały, a czasami są jak dzieci – odparła ze śmiechem. Pomachała dłonią i odpłynęła w kierunku zakrystii.

W tym momencie od strony transeptu nadszedł Ian z torbą kanapek w garści.

W połowie nawy głównej minął Mairin. Zerknął na ojca.

– Lubisz ją – stwierdził.

– Czemu to robisz? – zapytał Treller, by zmienić temat.

– Czemu robię co?

– Czemu chcesz jechać do Wietrznych Katedr? Miałem nadzieję, że plany Helen nie zostaną zrealizowane, a tu nagle ty, z własnej woli chcesz spełnić jej marzenia...

Ian usłyszał rozczarowanie w głosie ojca. Zagryzł usta. Spojrzał na Trellera spode łba.

– To nie tak... – odparł. – Helen nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o to, że... Chodzi o to... – Nie miał doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów. Pewne sprawy zdawały mu się zbyt intymne, by ubierać je w słowa. Z każdą sekundą czuł się coraz bardziej głupio, ale w końcu wykrztusił: – Chodzi o to, że kogoś poznałem...

– Oooo! – wyjąkał Treller. Chyba też nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zaskoczony palnął bez zastanowienia: – To kobieta?

– Co? – bąknął Ian.

– Mężczyzna? – Starszy pan postanowił być tolerancyjny.

– Bestia! – palnął Desire, który nagle pojawił się znikąd z Ciceronem przewieszonym przez ramię.

I bez dalszych wyjaśnień minął osłupiałych panów McLauriech, rehcząc w najlepsze.

– Bestia? – Treller zerknął na syna, kompletnie nic nie rozumiejąc.

– Nie słuchaj go. Plecie jak potłuczony – mruknął Ian. – Pewnie z zazdrości, że oswoiłem bazyliuszka krótkopyskiego i...

– Oswoiłeś bazyliuszka? – Treller popatrzył na syna z dumą.

– Nic nadzwyczajnego u elfa, nie? – usłyszeli specyficzną chrypkę Tancmistrza.

Płowowłosy zakonnik wyminął ich, niosąc Daniela. Dostrzegł zszokowane spojrzenie Iana i bezceremonialnie palnął:

– Tatuś do tej pory nie zdradził ci, że jesteś elfem, a ty sam się tego nie domyśliłeś, co? Łał, no to faktycznie jesteś utalentowany, i to bardzo! Gratuluję!

Iana zatkało. Patrzył to na Trellera, to za oddalającym się Tancmistrzem. Zakręciło mu się w głowie. Przez moment zabrakło też tchu. Znów pojawiło się mrowienie stóp i swędzenie uszu. Zacisnął dłoń na aspensorium. Po chwili palce miał mokre od święconej wody.

– Oddychaj – usłyszał ciche słowa Trellera.

Pomyślał, że Tancmistrz ma rację. On, Ian, jest idiotą. Na dodatek ślepy. Przecież podświadomie cały czas wiedział, czuł to, co zakonnik niemal wykrzyczał przed chwilą na całe gardło. Że – mimo wszystkich informacji, jakie do tej pory zdobył – uparcie nie dopuszczał do siebie myśli o swoim pochodzeniu. I nawet gdy kawałki układanki złożyły się w pełen obraz, on nadal udawał, że tego obrazu nie dostrzega. A przecież od zawsze wiedział, przeczuwał, że jest elfem.

– Nie mam armilli, mam tylko pięć palców u stóp. Uszy... – bąknął, patrząc na Trellera. – No i jakim cudem żyję, skoro elfy wymarły na zarazę?!

– A jakim cudem żyje Daniel? – odparł McLaurie. – Nie wiem, ile naprawdę masz lat. Myślę, że koło siedemdziesięciu. Niedługo przed wybuchem zarazy, kiedy tamten elf nagadał Helen bzdur o utalentowanych dzieciach, ona zaczęła gromadzić elfiątko w Instytucie. Tylko tam były bezpieczne. Nie pytaj mnie, skąd je miała. Nie wiem. Nie wiem też nic o twoich prawdziwych rodzicach. Wiem tylko, że armillę można dostać na dwa sposoby. Z rodowej klepsydry lub w Archikatedrze Wietrznych Katedr w jakimś dziwnym ceremoniale. Kiedy zaraza przestała stanowić zagrożenie, a Helen oddawała mi was pod opiekę, zapytałem o to. Nie chciałem, żeby armilla pojawiła się pewnego dnia na waszych ramionach. Spędziliście w Instytucie kilka lat. Z tego, co wiem, byliście nielicznymi elfami, którym udało się przeżyć.

– Treller, no spójrz na mnie! Czy ja wyglądam jak elf?!

– Helen mówiła, że tak będzie – ciągnął McLaurie, jakby chciał mieć to już za sobą. – Że będziesz rósł podobny do ludzi i dopiero gdy będziesz dojrzewał, stopy i uszy... Że pierwszą oznaką będą duszności, bóle głowy, mrowienie stóp. Że poprawi ci się wzrok, a potem słuch. Te rzeczy u elfów wychowywanych w ich własnych rodzinach przebiegają łagodnie i niemal niepostrzeżenie. Ale ty żyłeś wśród ludzi, a Gregorian faszerowała cię specyfikami spowalniającymi ten proces. Chciała, żebyś najpierw solidnie się wyszkolił, no i żeby nikt cię nie zdemaskował. Żywy elf w naszym społeczeństwie... Masz pojęcie, jaki zrobiłby się szum wokół ciebie?

Ian oparł się plecami o ścianę. Zamknął oczy. Ciężko oddychał. Stres dławił mu gardło. Miał wrażenie, że jego świat właśnie rozsypał się na maleńkie okruszki. A może właśnie dopiero zaczynał powstawać?

– Oddychaj – usłyszał ponowny szept Trellera. Ojciec pogładził go po ramionach. – Przepraszam cię. Za wszystko.

Zakręciło mu się w głowie. Osunął się po ścianie, usiadł i ukrył twarz w dłoniach. McLaurie kucnął koło niego. Teraz to on objął syna, przytulił go i po prostu był. Trwali tak kilka minut. W końcu Ian otworzył oczy, odsunął się od ojca, wstał, pociągnął nosem. Nie patrząc na Trellera, bąknął:

– Chodźmy. Do Fenaby daleka droga, a my musimy być przed świtem.

Nie oglądając się na ojca, ruszył w stronę wozu. Zobaczył miny Tancmistrza i Desire, którym nagle minął dobry nastrój. Zrozumiał, że słyszeli całą jego wymianę zdań z Trellerem. Usiadł w fotelu kierowcy, zapiął pas. Poczekał, aż dołączy do nich McLaurie, i wtedy przekręcił kluczyk.

– Głupio wyszło, ale myślałem, że wiesz... – zagaiła piaskowa chihuahua. – Podejrzewałem to od jakiegoś czasu. Skaner w Instytucie potwierdził, że miałem rację. Nie sądziłem, że tak to przeżyjesz. Wybacz...

– Tiaa, jasne... – Ian zerknął we wsteczne lusterko. Czarny mastif przyglądał im się uważnie, podobnie jak maleńki pisklak wtulony w jego szyję. – Ale widzę, że póki nie dotrzemy do Fenaby, znów jestem Richardem Dee-Zanderem,

reporterem.

Zacisnął szczęki i skupił się na drodze.

Koniec tomu drugiego

This edition © copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018

Text © copyright by A.R. Reystone 2018 by arrangement with Syndykat Autorów

Ilustracje na okładce: Aleksandra Rak

Projekt okładki i typografii: Marta Weronika Żurawska-Zaręba

W przygotowaniu:

Tom 3

Redakcja: *Magdalena Adamska*

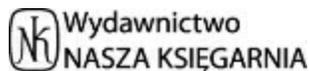
Korekta: *Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder, Krystyna Lesińska*

Korekta pliku po konwersji: *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13436-3

Plik wyprodukowany na podstawie *Wietrzne Katedry Tom 2*,

Warszawa 2018



www.naszaksięgarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.